

Rozwód

Diane Johnson



**„Błyskotliwa powieść
o zwariowanym zderzeniu
dwóch kultur. Urzekająca”.**

Boston Globe

„Zabawna powieść obyczajowa w najlepszym wydaniu”.

Los Angeles Times Book Review

„Stylowa, niebanalna, mądra”.

The New York Times Book Review

Rozwód

Diane Johnson

Seksowna Amerykanka w Paryżu. Isabel Walker przylatuje do Francji na zaproszenie swojej przyrodniej siostry, poetki, która obraca się w artystycznych kręgach towarzyskich. W małżeństwie Roxeanne z malarzem pochodzącym z francuskiej rodziny z tradycjami nie dzieje się jednak dobrze. Mąż rzuca ją dla pewnej Czeszki, żony amerykańskiego prawnika.

Isabel postanawia poważnie porozmawiać ze szwagrem. Podczas wizyty u teściów poznaje jego 70-letniego wuja, z którym nawiązuje romans. Czy uda się jej scalić rodzinę i odnaleźć własne szczęście?

Rozwód Diane Johnson to pełna humoru powieść wychwalana zarówno przez krytykę, jak i czytelników, wnikliwa komedia obyczajowa osnuta wokół motywów małżeństwa, zbrodni i pieniędzy.

Diane Johnson dzieli swój czas między Paryż i San Francisco. Napisała kilkanaście książek, jest dwukrotną finalistką nagrody Pulitzera. Za powieść *Rozwód* była nominowana do National Book Award.



Diane Johnson

Rozwód

**Przełożył
Jarosław Mikos**



PROLOG

Jestem wątpliwością i wątpięcym.

Jestem hymnem, który śpiewa bramin.

Emerson

Pewnie dlatego, że kiedyś studiowałam w szkole filmowej, chętnie wyobrażam sobie moją opowieść jako rodzaj filmu. W filmie ta część następowałaby zaraz po początkowych napisach i rozpoczynałaby się od szerokiego ujęcia panoramicznego, gdzieś z góry, może z wieży Eiffla, obejmującego w jednym kadrze scenki rozgrywające się poniżej na ulicach zagranicznego miasta, zupełnie jakby było to życie oglądane z odwrotnej strony teleskopu. Na zbliżeniu widać rozmaite obrazki, które budzą skojarzenia z Francją i wskazują na to, gdzie toczy się akcja - ludzi niosących długie bagietki, starszych mężczyzn w beretach, kobiety wyprowadzające pudle, autobusy, uliczne stargany z kwiatami, wejścia do metra w stylu art nouveau, które na pozór zapraszają do podziemnego świata sztuki i rozpusty, a w rzeczywistości prowadzą do sprawnego systemu komunikacji miejskiej; sprzeczność przypuszczalnie wiele mówiąca o Francuzach.

Potem w serii zbliżeń zdajemy sobie sprawę z tego, że niektóre z oglądanych przez nas osób wcale nie są Francuzami i że wśród tego całego galijskiego ruchu i zgiełku jest wielu Amerykanów. Z dala od rodzinnego kraju otaczająca ich aura podlega nieustannej zmianie, w miarę jak wchłaniają w siebie nowe perfumy, podobnie jak nieco trująca chemia Amerykanów przebywających za granicą poddaje lekkiej erozji nowe miejsce, w którym się znaleźli.

A oto kilka zbliżeń poszczególnych Amerykanów.

Grupa osób kręcących się w pobliżu American Express (jedna z nich to ja, Isabel Walker, próbuję wyjąć pieniądze z bankomatu).

Dwie młode kobiety w dżinsach pijące kawę w kawiarni. Surowo mierzą wzrokiem mężczyznę palącego papierosa, wstają i przesiadają się do możliwe najdalszego stolika. Na ich nijakich, ładnych, kalifornijskich twarzach widać niesmak. (To Roxy, moja siostra, i ja, Isabel).

Para dobrze ubranych ludzi z aparatem fotograficznym pijąca drinka w barze hotelu Ritz. Studiują plan miasta, próbując walczyć z następstwami różnicy czasu. To równie dobrze mogą być Niemcy. Niemcy to jedyni ludzie, których czasem można pomyłkowo wziąć za Amerykanów, nawet na zbliżeniu.

Elegancki mężczyzna czyta „Herald Tribune” w ulicznym ogródku kawiarni. Jego także można by wziąć za Europejczyka aż do chwili, gdy zaczyna starannie zdejmować masło z grzanki, zdradzając tym samym swój typowo amerykański, patologiczny lęk przed cholesterolem.

Ładna kobieta o obfitych kształtach, w płaszczu z norek, kupuje pomarańcze na ulicznym straganie z owocami. Mówi po francusku, ale z silnym amerykańskim akcentem. Ani na chwilę nie opuszcza jej promienny uśmiech, nawet wtedy, gdy mówi: „Byłam rozczarowana tymi truskawkami, monsieur Jadot”.

Port lotniczy Charles'a de Gaulle'a. Budowla rodem z dwudziestego pierwszego wieku. Przybysze poruszający się długimi korytarzami na ruchomych chodnikach wyciągają niebieskie amerykańskie paszporty, lekko zirytowani tym, że muszą poddawać się rytuałowi potwierdzania własnej tożsamości. Wiedzą, kim są.

Prawdę mówiąc, to nie są wcale jacyś typowi Amerykanie, ale niektóre z prawdziwych postaci występujących w mojej opowieści. A oto główni bohaterowie. Moja siostra Roxy i ja - to my jesteśmy dwiema młodymi kobietami, które uciekają przed palaczem, turyści w barze Ritza to nasi rodzice Chester i Margeeve Walkerowie, którzy właśnie przylecieli do Paryża wesprzeć Roxy w jej trudnej sytuacji. (Została porzucona przez swojego francuskiego męża, wkrótce ma urodzić drugie dziecko, a do tego w grę wchodzi jeszcze duża suma pieniędzy). Mężczyzna w kawiarni, który zdejmuje masło z grzanki,

to Ames Everett, jeden z moich pracodawców, ale równie dobrze mógłby to być którykolwiek z wielu Amerykanów mieszkających w Paryżu, elegancki, niezależny i zdystansowany, choć jego twarz ocienia jakieś wspomnienie minionego wstydu albo porażki niczym nieogolony wczorajszy zarost. Kobieta obfitych kształtów to powszechnie szanowana amerykańska pisarka Ołivia Pace. Ludzie, którzy właśnie przylecieli na lotnisko, to mój brat Roger, jego żona Jane, inny prawnik z jego firmy i żona tego prawnika.

Nie można także zapomnieć o pewnych duchach: Hemingwaya i Gertrudy Stein, Janet Flanner, Fitzgeralda, Edith Wharton, Jamesa Baldwina, Jamesa Jonesa - wszyscy oni przenieśli się tu w poszukiwaniu czegoś, czego nie mogli znaleźć w ojczyźnie, opętani ideą kultury i swojego intelektualnego dziedzictwa, świadomi swoich związków z Europą. Skarbnicą czegoś, co pragnęli poznać, co, jak uważali, mają prawo poznać z racji pochodzenia swoich przodków.

Cechuje nas ta sama mieszanina uczuć, jaką widać tu na twarzach wszystkich Amerykanów: zdumienia pomieszanego z zadowoleniem z siebie, skoro udało nam się sprytnie uwolnić od niewygód i niebezpieczeństw codziennego życia w Ameryce, a jednocześnie śmiało wystawiamy się na ryzyko i niedogodności **związane** z poruszaniem się w świecie obcej waluty, innego języka i osobliwej kuchni, by wymienić choćby flaczki i **andouillette**.

Wszyscy są pełni szacunku dla stanu Roxy i dla jej żałoby. Może zresztą lepszym słowem byłoby tu „rozczarowanie”. Wszyscy są pełni szacunku wobec tego, jak dzielnie znosi swoje wielkie życiowe rozczarowanie, **chagrin d'amour**, które trwa bez końca.

ROZDZIAŁ 1

Jeśli nie potrafimy znaleźć czegoś przyjemnego, powinniśmy przynajmniej znaleźć coś nowego.

Wolter

Wyobrażam sobie życie jako film pod wpływem tego, czego nauczyłam się w szkole filmowej Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Poza tym wydaje mi się, że film, z jego nerwową zmiennością i arbitralnym pojmowaniem spójności, tak bardzo kontrastującymi ze statyczną powagą malarstwa, stanowiłby lepsze, bardziej adekwatne medium, za pomocą którego można by oddać przypuszczalny bieg wydarzeń, a jednocześnie bardziej odpowiadające różnicom naszych charakterów, mojego i Roxy, oraz natury obu społeczeństw: francuskiego i amerykańskiego. Jednak przeciwstawienie Starego i Nowego Świata jest zbyt powierzchowne i sama wcale nie wyciągam wniosków, od których zaczęłam. Jeśli w ogóle można zacząć od wniosków. Ale zdaje się, że wszyscy tak robimy.

Jak już powiedziałam, nazywam się Isabel Walker i jestem młodą kobietą, która w ciągu kilku miesięcy za granicą, w Paryżu, nauczyła się dość, by móc powiedzieć, że znacznie się zmieniła - a czy nie taki jest w istocie cel wyjazdu młodych Amerykanów za granicę? Sprawić, żeby zaczęli myśleć o sprawach, o których nigdy dotąd nie myśleli? Powinnam więc najpierw wyjaśnić, kim byłam.

Jechałam do Francji, zamierzając spędzić kilka miesięcy z moją ciężarną siostrą Roxeanne, pomóc jej w opiece nad trzyletnią córeczką Genevieve (Gennie) i przeczytać kilka książek po francusku, które pewnie nie będą mi się podobać (w szkole czytałam kawałek

Rabelais'go i wydawał mi się niesmaczny z tą całą gadaniną o pierdzeniu i cipach). Jednocześnie miałam nadzieję, że pod pozorem pomagania Roxy uda mi się wygładzić nieco moje kalifornijskie kanty, z czym Uniwersytet Południowej Kalifornii najwyraźniej nie zdołał sobie poradzić. Koniec nauki w college'u (nawiasem mówiąc, nie zrobiłam dyplomu) zwykle oznacza, że człowiek skupia się na swojej przyszłości, jednak wyjazd do Francji nie miał wiele wspólnego z moją przyszłością, stanowiąc jedynie sposób na przeczekanie i odsuwanie od siebie dnia, w którym będę musiała podjąć prawdziwe decyzje. Gdy rzuciłam college, zauważyłam, że kiedy moi bliscy, zwykle pełni zrozumienia i sympatii, zadają mi pytanie, co zamierzam robić, na ich twarzach pojawia się pewien surowy wyraz zatroskania, jakby oczekiwali poważnej i szczegółowej odpowiedzi. Moi przyjaciele zaś, czekający na wyniki testów MCAT albo LSAT, starają się nie patrzeć mi w oczy. Będę pisała scenariusze, mówiłam, będę pomagała Roxy opiekować się jej następnym dzieckiem, a poza tym zamierzam się przyjrzeć europejskiej scenie filmowej. Ale moje odpowiedzi sprawiały jedynie, że pytający przez chwilę przyglądali mi się w milczeniu, po czym zmieniali temat.

Przyleciałam do Paryża zgodnie z planem - minęło już sześć miesięcy od tego dnia - zbiegiem okoliczności nazajutrz po tym, jak francuski mąż Roxy, Charles-Henri, od niej odszedł. Z lotniska pojechałam taksówką. Roxy wyjaśniła mi, że we Francji nie prowadzi samochodu, ponieważ szkoda jej czasu na robienie prawa jazdy. Wydawało mi się to dziwne, zważywszy na to, że Roxy, jak przystało na prawdziwą Kalifornijkę, jeździła samochodem od szesnastego roku życia. Nie potrafiłam nawet sobie wyobrazić społeczeństwa, w którym pani domu nie ma prawa jazdy.

Nigdy wcześniej nie byłam za granicą, oczywiście jeśli nie liczyć Tijuany. I wysiadając z samolotu, byłam zbyt podekscytowana, by odczuwać zmęczenie po długim locie. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz obawy, gdy francuski urzędnik na lotnisku stemplował mój paszport. Miałam wrażenie, jakby poproszono mnie, żebym przeskoczyła przepaść między dwoma dachami. Czy uda mi się ta sztuka?

Wszyscy mówili po francusku. Oczywiście wiedziałam, że tak będzie, ale nie przewidziałam swojego przerażenia. „Nie staraj się być za bardzo francuska - powiedział mój ojciec, kiedy odprowadzał mnie na samolot. - Pamiętaj, odrobina prostego angielskiego wystarczy Amerykaninowi”. To była literacka aluzja do wersu z *Jak lampart dostał plam na skórze* Kiplinga. (Z tym słowem, które Margeeve starannie zamazała w naszym egzemplarzu jego opowiadań i którego naturalnie się w naszym domu nie wymawiało). Jeśli chodzi o mnie, nie ma szans na to, żebym miała stracić swoje cętki - nigdy nie nauczę się mówić po francusku, byłam więc teraz całkowicie odcięta od możliwości porozumiewania się z innymi ludźmi.

W głowie kręciło mi się z niepokoju, czy potrafię prawidłowo wymówić nazwę ulicy, przy której mieszka Roxy, Maitre Albert, czy taksówkarz nie wywiezie mnie w jakieś zupełnie inne miejsce, i z niepewności, czy będzie gburowaty i opryskliwy, jak o nich powszechnie mówiono, a także od pytań ogólniejszej natury, jak choćby to, czy przyjazd do Francji nie był błędem i ślepą uliczką moim życiu. Roxy chyba musiała wyglądać przez okno, kiedy zajechałam na miejsce, albo usłyszała hałas taksówki na ulicy, ponieważ zaraz wyszła mi na spotkanie z wielkich, drewnianych, zielonych drzwi. Zapłaciła za taksówkę i pocałowała mnie na powitanie. Taksówkarz uśmiechał się do nas obu przyjaźnie.

Muszę powiedzieć, że widok klatki schodowej w kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie Roxy, zrobił na mnie pewne wrażenie: farba odłaząca ze ścian, ponure, uginające się drewniane schody. Od tamtej pory nauczyłam się już doceniać piękno i wartość siedemnastowiecznych schodów i mebli z czasów Ludwika XY ale tego pierwszego dnia, po niekończącej się podróży, przyznaję, ogarnęło mnie podejrzenie, że Roxy, jeśli spojrzeć na to z perspektywy Kalifornii, znalazła się chyba w poważnych tarapatkach finansowych i przeżywa wyjątkowo ciężkie chwile. A raczej wyobrażałam sobie, że tak właśnie widzieliby to nasi rodzice, a zwłaszcza Margeeve. Poczulałam się dyskretnie wtajemniczona w sekret polegający na tym, że Roxy żyła teraz ubogo w tym obcym kraju i że mam nikomu o tym nie mówić.

Moja siostra Roxy - właściwie moja przyrodnia siostra - jest poetką. W jej wypadku to coś więcej niż powołanie, to również zawód, którego uczyła się na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine, a potem na Uniwersytecie w Iowa. Wydała tom poezji opublikowany przez Illinois Wesleyan i sporo wierszy w czasopismach. Prawdę mówiąc, zawsze miałam pewien żal do naszych rodziców o to, że tak otwarcie zachęcali ją do uprawiania tego niefrasobliwego i całkowicie niedochodowego zajęcia, podczas gdy mnie popychali w stronę rozmaitych zajęć w rodzaju księgowości albo zarządzania personelem - co znaczy tyle, że trzeba nauczyć się przeprowadzać rozmowy kwalifikacyjne z ludźmi i przydzielać im pracę - albo przedstawicielki firm komputerowych, by wymienić tylko trzy wyjątkowo odstręczające zawody, na które, kiedy tylko o nich usłyszeli, chcieli mnie pospiesznie skazać, bo tak rozpaczliwie pragnęli znaleźć coś, do czego mogłabym się nadawać.

Ale przyznaję, że podziwiam wiersze Roxy, co do tego nie ma dwóch zdań. Chciałabym tak umieć: znaleźć jakieś dwa niby przypadkowe słowa i tak je ze sobą połączyć, że pienia się i bomblują. Gdy czytam jej wiersze, zawsze jestem zaskoczona, ponieważ na co dzień Roxy zachowuje się i mówi jak każda normalna osoba i nikomu by nie przyszło do głowy, że może mieć tak dziwne i skomplikowane myśli.

Zycie niektórych ludzi przypomina wykres ilustrujący atak serca, z ostrymi szczytami i dolinami niczym zęby rekina, i właśnie moja siostra Roxeanne jest kimś takim. Kocham ją od chwili, kiedy spotkałyśmy się z okazji małżeństwa mojego ojca z jej matką; miałam wtedy dwanaście lat, a ona siedemnaście. Kiedy dorastałyśmy, podziwiałam, jak potrafiła przybiec do domu ze szkoły, trzasnąć drzwiami do pokoju i dramatycznie płakać. Później przyszły jej szkolne nagrody i wyróżnienia, przemówienie, jakie wygłosiła na uroczystości zakończenia nauki, jej szczytne idee, jej poezja i namiętne przekonania. Potem wspaniałe i zaskakujące romantyczne małżeństwo z uroczym Francuzem, a teraz zaskakujący dramat zerwania.

Jesteśmy z moją przyrodnią siostrą tak różne, że ludzie nawet nie próbują nas porównywać, dzięki czemu mogłyśmy pozostać przyjaciółkami. Stąd też wzięła się moja misja, bo chyba tak to można

określić, czyli przyjazd do Paryża, żeby pomóc Roxy w opiece nad dzieckiem, które wkrótce ma się urodzić, a teraz, jak się okazuje, najwyraźniej także wesprzeć ją w sytuacji małżeńskiego kryzysu. Sama z siebie nie bardzo nadawałabym się do opieki nad dziećmi. Ale zawsze byłam dobra w pomaganiu Roxy; to zazwyczaj ja zbierałam nasze ubrania i robiłam porządek w szafach.

Pomyślałam, że Roxy ładnie wygląda, jest może tylko trochę grubsza, niż gdy widziałam ją ostatnio ubiegłego lata, ciąży była jeszcze niezauważalna. Miała włosy równo do ramion jak na obrazach przedstawiających Joannę d'Arc - jej włosy i oczy mają ten sam jasnobrązowy odcień jak u ślicznego leśnego zwierzęcia - a jej skóra jaśniała od wewnątrz niczym abażur z różowego pergaminu. Nigdy nie wyglądała tak dobrze, ale w jej zachowaniu czuło się jakiś brak skupienia.

- Charles-Henri jest na wsi - powiedziała mi na powitanie i początkowo to było wszystko, czego dowiedziałam się od niej o jego nieobecności. Ale i tak byłam zbyt rozkojarzona z powodu różnicy czasu, by przyswajać więcej. Ogarniała mnie już ciężka, martwa senność. - Wyglądasz cudownie, Izzy. Czyż Paryż nie jest piękny? Wiem, że ci się spodoba. Daj mi tę torbę. To wszystko, co masz ze sobą? To dobrze, bo w twoim pokoju nie ma szafy. Zapomniałam ci powiedzieć, we Francji nie ma szaf w ścianach. Gennie jest w przedszkolu. - I tak dalej.

Jej małe mieszkanie było pomalowane na biało, stała w nim antyczna komoda z niekompletną drewnianą intarsją oraz skórzana kanapa, a na ścianach powieszono kilka dużych obrazów abstrakcyjnych Charles'a-Henriego. Nad kamiennym kominkiem wisiał nasz obraz przedstawiający świętą Urszulę. Miałam wrażenie, że powitał mnie jej senny uśmiech, znajoma twarz z mojej przeszłości, niczym z rodzinnej fotografii. Zawsze sądziłam, że kobieta na tym obrazie jest jakąś księżniczką przyjmującą bogate dary od zamożnego konkurenta do swojej ręki, ale Roxeanne twierdziła, że to święta Urszula, dziewica wojowniczką. Przypuszczam, że to dobrze ukazuje naturę Roxy jako osoby wymagającej, surowej i cnotliwej mimo ciąży i romantycznych okoliczności jej losu. Święta Urszula była dziewicą,

która żyła w czwartym wieku i została w końcu zamęczona, ale na tym obrazie siedzi w chwili zadumy z książką na kolanach w swojej komnacie, lekceważąc stertę darów od króla, który pragnie ją poślubić, ^ daje się, że dwie stojące za nią służące najwyraźniej popierają wybór swej pani. Pomieszczenie jest mroczne, jeśli nie liczyć płomienia świecy stojącej na stole blisko łokcia świętej, i właśnie blask tej świecy miękko oświetlającej jej twarz wydobywa z mroku fragmenty leżących z tyłu złotych przedmiotów i kosztowności, co przywodzi na myśl nazwisko Georges'a de La Toura.

Przypuszczam, że Roxy bardziej kochała ten obraz w czasach, gdy nie wiedzieliśmy jeszcze, że ta dziewczyna to święta Urszula, a malarzem, który ją namalował, był La Tour (jeśli to on) - czyli zanim okazało się, że obraz jest cenny, i zanim stał się przedmiotem i symbolem zajadłego sporu.

ROZDZIAŁ 2

Przyjęto mnie na dworze z ciekawością, jaką nieodzownie budzi każdy obcy rozrywający zakłęte koło monotonii i etykiety.

Beniamin Constant, *Adolf*

Miałam mieszkać w małym pokoju na poddaszu kamienicy Roxy niczym Sara Crewe. Roxy zaprowadziła mnie na górę, dwa piętra nad jej mieszkaniem. Na ostatnim piętrze schody zwężyły się, a ich drewniane stopnie były niepomałowane. Musiałyśmy przycisnąć się do ściany, żeby zrobić miejsce dla mężczyzny w białej szacie, który miał tak czarną skórę, że wydawała się niemal fioletowa. Roxy zapewne wyczuła mój odruchowy niepokój, ponieważ powiedziała, kiedy już nas minął: „Tutaj nie musisz się ich obawiać, wiesz, to mili Afrykańczycy”. W jej głosie usłyszałam cień szyderstwa skierowanego jednak nie przeciwko mnie, ale Ameryce, gdzie człowiek się ich boi.

Na poddaszu znajdowało się kilka pomieszczeń, w których niegdyś mieszkały pokojówki, i jedna toaleta na korytarzu, łazienki w ogóle nie było. Roxy zapewniła mnie, że pozostałe pokoje są wykorzystywane jako schowki albo pracownie i że poza mną i afrykańską rodziną nikt tu nie mieszka, więc będę się musiała tylko z nimi dzielić toaletą, a kąpać mogę się u niej na dole. Oczywiście byłam na nią wściekła, że wcześniej nie wspomniała słowem o tych okropnych warunkach, w jakich przyjdzie mi mieszkać, ale na pewno nie miała złych intencji, sam pokój zaś nie był taki zły, choć istotnie mały. Przez okno w spadzistym dachu mogłam patrzeć na malowniczą, krętą uliczkę. Ale, jak powiedziała wcześniej, szafy nie było.

Choć dochodziła dopiero dziesiąta rano, poleciła mi przespać się kilka godzin, żebym potem wytrzymała do wieczora. Ale nie mogłam zasnąć. Byłam nakręcona, jakbym wzięła dietetyczne tabletki albo no-doz. Czułam, jak wali mi serce, kiedy tak leżałam, patrząc na ostre słońce wpadające przez okno, z poczuciem, że popełniłam błąd, przyjeżdżając do Paryża, i że tak naprawdę mam ochotę zejść na dół i rozejrzeć się po okolicy. Roxy powiedziała, że nie powinnam wstawać do południa, więc usiłowałam jakoś dotrwać do dwunastej, leżąc w łóżku. W końcu jednak wstałam i po cichu zeszałam cztery piętra w dół, aż znalazłam się na ulicy z poczuciem, że to, co robię, jest nielegalne, jak zawsze, kiedy nie słuchałam poleceń Roxy. Tym razem nie posłuchałam jej już trzydzieści minut po przyjeździe.

Poszłam do końca Rue Maitre Albert i zobaczyłam katedrę Notre Dame, którą rozpoznałam dzięki kilku podstawkom z jej widokiem, jakie Margeeve od zawsze trzymała w kuchni. Usiadłam na małym murku nieopodal rzeki i podziwiając okoliczne budowle, pomyślałam, że nie powinnam iść dalej, aby się nie zgubić. Prawdę mówiąc, wcale nie zmartwiłabym się, gdyby tak się stało, wszystko wokół było magiczne, mijający mnie nieznajomi, ich dziwny język i mały sklep z pierzastymi nakryciami głowy z Amazonii, drugi ze starymi zabawkami, budynki z balkonami i Citroeny - ucieleśnienie moich wyobrażeń o Francji. Drzewa z dużymi liśćmi i stragany bukinistów wzdłuż Sekwany oraz faceci w beretach jeżdżący na skuterach, jak w starych filmach z Audrey Hepburn. Katedra Notre Dame stała na wyspie oddzielona niewielkim mostem od brzegu, po drugiej stronie, w oddali, widać było kolejne mosty oraz przepływające łodzie, z których przez megafony ogłaszano nazwę tego lub innego *pont*. Ludzie machali do mnie z pokładu, jakbym była paryżanką. Widać było różowe obrusy pokrywające stoliki ustawione wprost na ulicy, przy których ludzie pili kawę i czytali gazety o dziwnych tytułach: „Le Figaro”, „Liberation”, a psy siedzące u ich nóg łyptały na siebie groźnie. Wyzwolenie, pomyślałam. Wyzwolenie!

Zmieniłam czas w zegarku. Dziewięć godzin później niż w Kalifornii. Środek dnia. Straciłam dzień z życia. W południe wróciłam do mieszkania Roxy, żeby się wykapać i coś zjeść.

I rzeczywiście po jedzeniu poczułam się lepiej. Siadłyśmy w jej salonie. Znów mnie objęła.

- Och, Iz, jestem taka szczęśliwa, że tu jesteś. I co o tym myślisz?
- spytała. - Czy to nie piękne?

Miała chyba na myśli swoje dość mroczne małe mieszkanie.

- Podobają mi się te belki na suficie - odparłam uprzejmie. Prawdę mówiąc, to ciężkie, brązowe belkowanie przypominało domy w Santa Barbara.

- *Poutres apparantes* - powiedziała. - Nasze są prawdziwe, to belki nośne. Wiele mieszkań ma dziś jedynie fałszywe, na pokaz.

To była pierwsza z kulturowych tajemnic, z jakimi zetknęłam się w Paryżu. Czemu instalowali fałszywe belki w siedemnastowiecznych budynkach?

Po południu poszłyśmy na drugą stronę rzeki odebrać Gennie z ośrodka dziennej opieki. Nie pamiętała mnie, ale miała zaledwie roczek, kiedy Roxy przywiozła ją do Kalifornii. Teraz skończyła trzy lata i wyglądała na miłe dziecko, które tylko czasem robi się nieznośne. Odziedzyczyła kręcone włosy Charles'a-Henriego. Problem z nią polegał na tym, że albo gaworzyła po dziecięcemu, albo mówiła po francusku, więc było mi trudno z nią porozmawiać. Ale rozumiała, jak się mówiło po angielsku. Roxy zawsze mówiła do niej w tym języku. Nie wiem, dlaczego Gennie wolała mówić po francusku.

Wieczorem przysłała madame Lemomja, żona Afrykańczyka z poddasza, zaopiekować się Gennie, dzięki czemu razem z Roxy mogłyśmy iść na przyjęcie w domu Ołivii i Roberta Pace ow. OUvia Pace, pisarka, to najważniejsza amerykańska intelektualistka w Paryżu, zajmująca w tej hierarchii miejsce wyższe nawet niż Ames Everett, a Robert Pace należy do grona zamożnych rentierów z najwyższej półki, jeśli nie liczyć kilku superbogatych oficjeli obracających się w kręgach francuskich kreatorów mody, no i paru milionerów z Monako, których i tak nie mielibyśmy sposobności poznać. Potem przekonałam się, że pośród Amerykanów mieszkających w Paryżu istnieje pewne poczucie wspólnoty, a nawet nić sympatii. Ciężyliśmy ku sobie w obliczu innej kultury, którą wszyscy sami wybraliśmy, choćby na krótko, niemniej odczuwaliśmy ją jako coś obcego.

Kolacja okazała się brzemienne w skutki, jeśli chodzi o moje dalsze losy, ponieważ spotkałam na niej kilku z moich przyszych pracodawców - samą panią Pace, pana Pace'a (zawsze pozostającego w tle, rozdającego drinki), Amesa Everetta oraz historyka sztuki Stuarta Barbeego. Kiedy weszliśmy do salonu, zdałam sobie sprawę z tego, że wszyscy skrupulatnie mi się przyglądają i porównują z Roxy. Właśnie wtedy zaczęłam sobie uświadamiać, że moja siostra stała się kimś innym w Paryżu. Osobą popularną wśród tutejszych Amerykanów, kimś o niezależnym statusie - atrakcyjną, młodą, amerykańską poetką, miłą i towarzyską, której mąż jest francuskim malarzem i która spodziewa się drugiego dziecka. Chcę przez to powiedzieć, że była kimś bardziej wyrazistym w Paryżu niż w Santa Barbara, gdzie dorastała, bo nikt nie zwraca na ciebie uwagi tam, skąd pochodzisz.

Państwo Pace'owie zajmowali mieszkanie na ostatnim piętrze w jednej z tych wielkich, wspaniałych kamienic przy Rue Bonaparte. Wszyscy członkowie amerykańskiej społeczności w Paryżu mają nadzieję, że pewnego dnia zostaną tam zaproszeni. OUVia Pace skupia swoje zainteresowania na abstrakcyjnym pięknie jako takim i wystrój jej pokoi stanowi świadomy hołd temuż pięknu złożony. Mnóstwo uroczych obrazów i kwiatów, ale w angielskim albo amerykańskim stylu - nie ma francuskich mebli. Jedzenie jest zawsze wytworne, lecz kuchnia niezbyt francuska. Zdaniem pani Pace to dowód pretensjonalności, jeśli ktoś, nie będąc Francuzem, stara się być nazbyt francuski. (Tego wieczoru jedliśmy szparagi, łososia *hollandaise* oraz truskawki z gęstą, lekko kwaśną śmietaną). Jeśli nie liczyć kilku francuskich współmałżonków, jej goście są Anglikami albo Amerykanami, nie ma więc wątpliwości, w jakim języku powinna toczyć się rozmowa (choć kiedy przychodzi Nathalie Sarraute, wszyscy mówią po francusku). Zawsze pojawia się jakaś nowa para amerykańskich uczonych na rocznym urlopie albo nowy amerykański pisarz, którego osoba dostarcza odmiany i okazji do plotek. Tym razem był to wielki angielski antropolog ze swoim dwuczłonowym nazwiskiem i sławna angielska wdowa literacka w swetrze wyciągniętym na łokciach, co miało symbolizować straszliwe czasy, które zmusiły ją do

życia na obczyźnie, choć najwyraźniej wydawała się bardzo radosna. A nawet byłam ja.

Obecnie pomagam już gosposi "iblande roznosić przystawki i z racji mojej zażyłości z panią Pace mogę nawet odpowiadać na dyskretne pytania gości („tymi drzwiami do końca korytarza i w prawo”), ale tamtego wieczoru wszystko było dla mnie dziwne i obce, niewyraźne kształty świata rozmazane przez różnicę czasu i natłok nieznanych twarzy.

Wśród moich nowych znajomych znalazł się Ames Everett. Jego nazwisko jako tłumacza widnieje w wielu angielskich wydaniach dzieł francuskich uczonych i filozofów. Znałstwo, z jakim potrafi rozwikłać najbardziej zdumiewające zawiłości francuskiego trybu łączącego, a następnie przelać je w jasne angielskie zdania, zachowując przy tym - jak się zaklina - idealnie francuskie niuanse, zapewniła mu znaczny dochód, a także poważanie. Zasłużone, jak sądzę. Czasami po kryjomu zaglądałam do angielskiej wersji w jego przekładzie książki, którą miałam właśnie przeczytać po francusku z powodu pewnych okazji - więcej na ten temat później - i nikt mi nigdy nie powiedział, że coś zrozumiałam opacznie. Zmierzył mnie od stóp do głów dość śmiałym spojrzeniem (choć sam, co oczywiste, jest gejem), jakby oceniał siłę moich kończyn. Patrząc na niego, widziałam młodego, nieco pulchnego mężczyznę średniego wzrostu w marynarce a la Nehru, z monoklem zawieszonym na tasiemce na szyi. Wyobrażałam sobie, jak z uwagą przygląda mi się przez ten monokl niczym kolekcjoner motyli.

- Roxeanne mówiła o tobie. Młodsza siostrzyczka. Powiedziała, że mógłbym z tobą porozmawiać na temat jakiejś pracy. Będziesz szukała pracy?

- Jasne, dorywczco - odparłam ostrożnie.

- Spotkajmy się jutro o trzeciej we Floreę. Roxy ci wyjaśni, gdzie jest Floreę.

- Ale...

- Przepraszam! - wykrzyknął. - Jestem taki niecierpliwy i skupiony na swoich sprawach, a przecież powinienem przynajmniej powitać cię w Paryżu, ale zapewniam cię, że wszyscy przyjaciele Roxy cieszą się, że będzie miała pomoc ze strony siostry. Następnie dziec-

ko! To takie dziwne, ta cała reprodukcja. Człowiek niemal zapomina o rozmnażaniu się, tym wytworze jakiejś prostszej epoki.

Kolejną poznaną osobą była Janet Hollingsworth, amerykańska piękność w stanie ruiny, która powiedziała mi, że pisze książkę o francuskich kobietach. W jej głosie wyczuwało się ton pewnej rezygnacji i dezaprobaty wskazujący na to, że sporo przez nich ucierpiała.

- Muszę się dobrze przyjrzeć - oświadczyła - i podejrzeć ich sekrety, choć niektóre z nich są tak głęboko ukryte, że zwykła Amerykanka nie może ich wypatrzeć. Pewne niuanse przechodzące z matki na córkę, przeświadczenia dla nich tak naturalne, że może nawet nie umiałyby ich wyartykułować.

Pomyślałam, że chodzi jej o sprawy związane z erotyką, seksem, sztuką uwodzenia, ale nic takiego nie powiedziała, więc może miała na myśli sekrety kulinarne albo wszystkie te rzeczy naraz. W jej tonie wyczuwało się pewną nutę rywalizacji, jakby sama toczyła niegdyś z Francuzkami walkę o względy i fortunę jakiegoś właściciela domów towarowych albo ministra. Prawdę mówiąc, przykro było patrzeć na Amerykankę tak bardzo przekonaną o tym, że kobiety są niczym bez swoich sztuczek i podstępów oraz że mężczyźni są jedynym łupem wartym polowania. Doszłam do wniosku, że spędziła zbyt wiele czasu na kontynencie i dlatego straciła z oczu współczesną wizję kobiety samowystarczalnej i godnej tego, by ją kochać dla niej samej - albo i nie - a w każdym razie godnej życia bez obłudy. Niemniej sama sobą prezentowała pewną lekcję życia, niczym stara kurtyzana w *Gigi*, wspomnienie dawnych czasów, gdy amerykańskie dziewczęta przyjeżdżały do Europy wyposażone w stylowe maniery lub pieniądze, żeby upolować sobie europejskich mężów, hrabiów albo Rothschildów, jak w powieściach Henry'ego Jamesa. Miło było pomyśleć, że tamte czasy należą do przeszłości.

- Już choćby to, co noszą wokół szyi, stanowi osobny rozdział - powiedziała Janet. To prawda, że zawsze coś na sobie miały. - Węzeł z przodu, jeden koniec z tyłu drugi z przodu, zarzucony przez ramię, podwójna pęda, końce przerzucone przez ramiona na płaszcz jak szal, wiązane z tyłu. *Chdle, foulard, echarpe*. Pomyśl tylko, ile mają na to słów, i to w języku o ubogim słownictwie.

- Czy zdradzają swoje sekrety? - spytałam.
- Bulimia. - Przynęła się bliżej. - Bulimia jest jednym z nich. Och, możemy się od nich uczyć. Jeden, jaki poznałam dzięki mojemu przyjacielowi, polega na tym, że zwracają wielką uwagę na *les petits soins*. Ktoś powinien porozmawiać o tym z Roxy. Zawsze okropnie wygląda.

- Roxy jest piękna - sprzeciwiłam się.
- Oczywiście, ale jej paznokcie... i nie nosi szala. Chodzi wszędzie w dżinsach, jak Amerykanka w tych okropnych strojach dzieci kwiatów. - Uśmiechnęła się szeroko. Może żartowała.

Po kolacji pani Pace, podobnie jak inni, najwyraźniej postawiła sobie za punkt honoru, aby ze mną porozmawiać. W końcu pojęłam, że był to nie tyle hołd złożony mnie samej, ile temu, że stanowią coś w rodzaju świeżego dodatku w niewielkim amerykańskim bajorku. Kropla w wiadrze Amerykanów znaczy więcej niż kropla w morzu Francuzów.

- Te filiżanki to stara Miśnia, to znaczy szkoda, że spodki nie mają znaków identyfikacyjnych - powiedziała pani Pace, wręczając mi przerażająco kruchą filiżankę. - Długo zamierzasz zostać w Paryżu?

- Przynajmniej do narodzin dziecka Roxy - odrzekłam.
- Musisz wpaść do mnie kiedyś rano w przyszłym tygodniu, żebyśmy mogły porozmawiać o pewnym projekcie, nad którym właśnie pracuję, chodzi o uporządkowanie moich papierów i tak dalej. Roxy mówi, że mogłabyś być niezła w czymś takim.

- > Naprawdę? - Byłam bardzo zaskoczona. Niemniej to prawda, że znam alfabet. Umówiliśmy się, że przyjdę w poniedziałek.

Tego wieczoru, kiedy ludzie pytali, gdzie się podziewa Charles-Henri, Roxy za każdym razem bardzo radośnie mówiła, że jest na wsi, ale kiedy wracaliśmy do domu, wzdychała ciężko. Zrobiło na mnie wrażenie, że można wracać do domu o jedenastej wieczorem, nie obawiając się niczego złego. Mimo oszołomienia spowodowanego różnicą czasu miałam ochotę zatrzymać się w jednym z tych niezliczonych bistro i kawiarni, które mijaliśmy po drodze, pełnych ludzi, którzy jedli, palili i śmiali się. Ale widok ożywienia i radości in-

nych wprawiał Roxy w głębokie przygnębienie. Łzy stanęły jej w oczach. Nagle powiedziała: „Charles-Henri mnie porzucił”, tym dramatycznym głosem, który tak dobrze znam. Tak dobrze go znam, że przyjęłam jej słowa z lekkim niedowierzaniem.

Opowiedziała mi całą historię. Wszystko wydarzyło się kilka tygodni przed moim przyjazdem do Paryża. Była w *clinique* u swojego francuskiego doktora, czekając na *sage-femme*, swego rodzaju kobiecą doradczynię dla ciężarnych, jakie tu mają. Patrzyła na wykres ilustrujący rozwój płodu z myślą, że nie chce wiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Była w trzecim miesiącu i dopiero co powiedziała nam o swojej drugiej ciąży. Charles-Henri nie był zachwycony. Genie właśnie skończyła trzy lata.

Potem, wracając do domu autobusem linii 24 w niezwykle parną pogodę, poczuła lekki zawrót głowy. Dziwne. Czekwała na przystanku przy Place de la Concorde. Przed gmachem amerykańskiego konsulatu widziała zwykle kłębiący się tam tłumek młodych ludzi w ubraniach khaki, których wzięta za Amerykanów, bardziej krępych, przysadzistych, zapewne z Europy Wschodniej, mieszkańców Bliskiego Wschodu o pustych spojrzeniach i Afrykanów w dashiki. Kręcili się z transparentami w walce o różne sprawy, protestując przeciwko amerykańskim bombardowaniom Bagdadu, przeciwko decyzji FDA pozwalającej na poddanie testom w USA francuskiej pigułki aborcyjnej, repatriacji Haitańczyków, przeciwko podejmowaniu i przeciwko niepodejmowaniu działań w Bośni. Żołnierze stojący na straży konsulatu wykazywali ogólną czujność, nie zwracając jednak większej uwagi na tych ludzi, którzy stanowili po prostu element aury protestu i niezadowolenia otaczającej Amerykę. Roxy uważała, że ona już nie wygląda na Amerykankę.

Była szczęśliwa i zakłopotana, zgnębiona świadomością kruchości szczęścia, przeczuciem (jak mówi teraz), że coś wisi w powietrzu, coś, co może jej to szczęście odebrać. Czy chodziło o nowe dziecko, następnego zakładnika losu? W autobusie młody mężczyzna - chłopiec właściwie - w niebieskiej, roboczej bluzie podniósł się, żeby ustąpić jej miejsca. Zaskoczyło ją to, uznała, że wziął ją za starszą kobietę, bo jej ciąża nie była jeszcze wcale widoczna. Być może to

pole sił nadsięgających kłopotów. Pomyślała, że szczęście jest bardzo kruche ze swej natury, delikatne, zawsze zagrożone przez biologiczne determinanty niczym bakteria, która tylko przez pewien czas może przeżyć poza ciałem.

Po wystukaniu kodu weszła przez frontowe drzwi kamienicy numer 12 na Rue Maitre Albert, w holu wyciągnęła klucz i otworzyła szklane drzwi na schody, zaczekała, aż się zamkną, po czym powoli weszła na pierwsze piętro, rozmyślając, jak trudno będzie później wspinać się z wózkiem spacerowym i torbą pełną pampersów. Powinna tu być winda. Starła się skoncentrować na praktycznych sprawach, żeby rozproszyć niepokój, ale ogarniało ją poczucie, że dzieje się coś złego. Kiedy otworzyła drzwi, w progu natknęła się na Charles'a-Henriego. W rękach trzymał dwie walizki. Otaczała go jakaś atmosfera zamętu, gorąca aura namiętności i udręki, miał taką napiętą, zaczerwienioną twarz, z wyrazem winy i przerażenia, gdy ją zobaczył, że zrozumiała wszystko, a raczej nic nie zrozumiała. Powiedziała mi, że poczuła się, jakby odcięto jej mieczem głowę; wszystkie wcześniejsze odczucia, wszystko, co uprzednio wiedziała, wsiąknęło w ziemię. Spakowane walizki, zamierzał odejść.

Początkowo usiłowała przekonać samą siebie, że odejście Charles'a-Henriego to tylko jeden z jego okresowych napadów, tak istotnych w życiu artysty, a może chodziło o coś specyficznie francuskiego, jakieś impulsy wyższego rzędu, których nie musiała rozumieć. Może jakieś wydarzenia polityczne odebrały mu rozum, jakieś niegroźne spotkania sprawiły, że człowiek o zwykle ujmującym usposobieniu nagle stał się drażliwy i wybuchowy. Uwielbiała te tajemnice jego temperamentu.

Ale teraz wyczuła, że już nie wróci.

- Dokąd jedziesz? - spytała.

- Nie wiem, nie wiem, Roxeanne. Zadzwoń do ciebie. Tak mi przykro.

Po czym zabrał walizki i szedł ze schodów, nie oglądając się za siebie.

Następne kilka dni minęło, jakby nic się nie stało. Charles-Henri nie zadzwonił, więc gdziekolwiek by się znajdował, nie mogła do

niego oddzwonić. Częściowo mogłam zrozumieć jej szok, to kompletnie oszołomienie. Uważamy za rzecz oczywistą i pewną, że nasze życie będzie się toczyć normalnie. I nagle coś podważa to przekonanie, świat zaczyna przypominać jeden z tych katastroficznych filmów, w których kawałki dachów i okien beztrzesko szybują w powietrzu z ogromną prędkością.

Z drugiej strony mogła się przecież spodziewać, że skoro zrobiła coś tak dziwnego jak poślubienie cudzoziemca lub życie w kraju, który nie jest Ameryką, to ludzie przyjmą za rzecz pewną i oczywistą, że jej życie nie ułoży się normalnie. Ja nie byłam zdziwiona.

Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiałam, dlaczego była taka przygnębiona.

- Czy myślisz, że ma jakiś romans albo coś w tym rodzaju?
- spytałam. - Czy nie układało wam się razem? Mielście jakieś kłopoty?

- Raczej nie - odrzekła. - Wydawało mi się, że wszystko jest takie doskonałe. Och, wiem, nie jestem Francuzką, ale... to wszystko.

Co właściwie miała na myśli? Oczywiście, że nie jest Francuzką. Poczulałam, że muszę stanąć w obronie jej amerykańskich niedoskonałości, ponieważ dotyczyły także mnie samej. Pod wpływem Janet Hollingsworth zaczęłam o nich myśleć.

Oczywiście powinnam powiedzieć coś pocieszającego.

- Musisz z nim porozmawiać.
- Nigdy - odparła.

Słyszając tę (naprawdę bardzo nieamerykańską) odpowiedź, przyjąłam, że chyba jest nadmiernie przygnębiona, w tak złym nastroju, że jakieś zwykłe nieporozumienia traktuje jak oznakę końca ich małżeństwa. Uznałam, że w istocie nic takiego się nie stało, po prostu Charles-Henri pojechał na wieś i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić. Jego wyjazd stanowi jedynie początek małżeńskiego kryzysu - jeśli to w ogóle jest jakiś kryzys - a nie zakończenie związku. Wydało mi się typowe dla Roxy, że przesadnie reaguje na sytuację. Początkowo więc ostro ją skrytykowałam, mając nadzieję, że w ten sposób pobudzę ją do działania, ale na próżno.

Roxy nadal nie chciała nikomu powiedzieć, że Charles-Henri ją rzucił.

- Ale gdybym rzeczywiście wyznała mojej przyjaciółce Anne-Chantal Lartigue, że Charles-Henri ma romans albo że mnie porzucił, powiedziałaaby „oczywiście” - rzekła Roxy. - Ona jest Francuzką. Taka reakcja była typowa dla Francuzów, jak gdyby można się było spodziewać każdej perfidii, jakby została z góry wpisana w nasze życie. Czy jestem w jakimś sensie typową Amerykanką? Bo ja nigdy nie powiedziałabym „oczywiście”.

- Tu nie chodzi o ciebie, po prostu coś się z nim dzieje, powinnaś z nim porozmawiać - powtarzałam.

Usiadłyśmy przy ulicznym stoliku w Brasserie Espoir, trzyletnia Gennie wspinała się na niewielkie wiklinowe krzeselka, dręczyła kawiarnianego psa albo uśmiechała się do niedorozwiniętego chłopca, który zawsze się tam kręcił.

- Cała ty i ten twój głupawy amerykański optymizm - odparła Roxy. - Nie masz żadnych podstaw ani żadnych dowodów na to, by tak mówić, to tylko twoje nastawienie, amerykańskie nastawienie.

- Nie rozumiem cię. Przyszedł do domu i powiedział, że jedzie na wieś, a ty mówisz, och, w porządku, to znaczy, że to koniec mojego małżeństwa?

Oczywiście dopiero czekały ich sceny, łzy i wzajemne wyrzuty. Nie mogłam zrozumieć jej potulności, tego, jak podporządkowała się dziwnym zachowaniom Charles'a-Henriego, tej niemal natchnionej rezygnacji, jaka z niej emanowała, chociaż nie mieli za sobą nawet jednej kłótni! Po prostu spodziewałam się, że wszystko między nimi się jeszcze ułoży. To tak jak z łodzią, która chwyta równowagę na wzburzonym morzu, długo huśta się i buja, a potem albo idzie na dno, albo odzyskuje spokojny kurs.

ROZDZIAŁ 3

Serce ma swoje racje, których rozum nie zna.

Pascal, *Myśli*

Jeszcze słowo na temat naszych charakterów, mojego i Roxy. Ludzie mówią, zawsze mówili, że Roxy jest zbyt romantyczna i łatwo ją zranić. Ja z kolei jestem praktyczna i mam skłonność do analitycznego myślenia, więc to ja jestem ta silna, a przynajmniej tak się uważa. Takie stawianie sprawy wprawiało jednak często innych w zakłopotanie, ponieważ jednocześnie to ja jestem *ta* ładną w rodzinie, więc wszyscy zakładają, że nie mogę być zbyt mądra. Roxy zaś, choć teraz stała się pięknocią, w wieku dorastania niczym się nie wyróżniała, nie dbała o swój wygląd i wolała czytać i pisać niż zajmować się swoimi włosami, dzięki czemu dorobiła się reputacji tej inteligentnej. Przypuszczam, że w rzeczywistości obie jesteśmy inteligentne, ale tylko Roxy ma taką opinię.

Początkowo zastanawiałam się, czy w tym wypadku, z powodu małżeńskiego kryzysu, sentymentalizm Roxy, jakiś defekt charakteru polegający na nadmiernej łagodności i skłonności do ulegania iluzjom, będzie działał na jej niekorzyść. W tej samej sytuacji inni (ja) wyskoczyliby z szalupy ratunkowej i popłynęli do brzegu, podczas gdy ona dryfuje wprost na wzburzone morze. To prawda, że ufała Charles'owi-Henriemu, a on ją głęboko zranił i zrobił coś niepojętego. Nie tego się po nim spodziewała w chwili, gdy na świat miało przyjść ich drugie dziecko - czekał na nie pokój z niewielką komodą do przewijania, na blacie leżał już złożony kocyk, czekały dziwne ubranka zgodne z instrukcjami *clinique* (opaski na brzuszek?) i jasnokolorowa zabawka do zwieszenia nad kołyską.

Roxy całe życie chciała mieszkać we Francji. Nigdy nie rozumiałam dlaczego. Jakiś instykt, poczucie niedostosowania od najmłodszych lat kazały jej krytycznie odnosić się do miejsca i kraju, w którym się urodziła. Podobnie jak dzieci, które wierzą, że są podrzutkami, a nie dziećmi swoich rodziców, Roxy była przekonana, że jej miejsce jest gdzie indziej, że należy do innego rodzaju ludzi. Obok obrazu ze świętą Urszulą w jej sypialni wisiał fotograficzny plakat z jakiegoś filmu kostiumowego *Jules le Grand* przedstawiający Place de la Concorde w świetle latarni, z konnymi powozami na bruku mokrym po deszczu. Romantyczna, raczej banalna scena sfotografowana zapewne z górnych pięter hotelu Meurice. Miała też malutką metalową wieżę Eiffla, którą przyjaciółka przywiozła jej z letnich wakacji, symbol kulturalnego snobizmu, zupełnie niepojętego dla mnie, jej młodszej siostrzyczki.

Nie trzeba dodawać, że Roxy spędziła przedostatni rok szkoły średniej za granicą, ale nie w Paryżu, tylko w Aix-en-Provence. Była zachwycona, choć przebywała tam wśród tylu Amerykanów, że nie zrobiła wielkich postępów w nauce francuskiego. Niemniej wróciła do domu niezwykle zadowolona, z lekko tajemniczym wyrazem twarzy, jakby nie miała śmiałości podzielić się z nami swoimi nowymi doświadczeniami, jak francuska kuchnia, gęsie wątróbki i *escargots* oraz seks; jak sądziłam, temu ostatniemu zawdzięczała aurę osoby pewnej siebie i bywałej w świecie. Jednakże sekret nie polegał na seksie, ale na świeżo nabytej umiejętności odróżniania gotyku od stylu romańskiego oraz możliwości czytania „Paris Matcha”, i właśnie to sprawiało, że była taka zadowolona. Teraz w Santa Barbara nie mogła znaleźć do jedzenia nic, co by zaspokajało jej podniebienie.

Roxy spotkała Charles'a-Henriego, wędrując z przyjaciółmi po Pirenejach. Wydawał się ideałem Francuza: szczupły, z kręconymi włosami, pogodny, zawsze nosił sweter albo fular malowniczo związany na szyi i roztaczał wokół siebie aurę pewnej siebie niefrasobliwości, którą wszyscy tu emanują. Pisali do siebie przez dwa lata po jej powrocie do Kalifornii, po czym, gdy Roxy poszła na studia, przyjechał i podbił nas wszystkich swoim urokiem - był takim dobrym tenisistą, wyższy niż większość z nich (jak zauważyła Margeeve),

a do tego świetnie mówił po angielsku. Nigdy wcześniej nie spotka-
liśmy żadnego Francuza. W ten sposób nasze marzenia związane
z osobą Roxy zbiegły się z naszą ignorancją na temat Francji, spra-
wiając w rezultacie, że Charles-Henri wzbudził bezkrytyczny za-
chwył całej rodziny. Mimo to wcale się tak bardzo nie myliliśmy, jest
rzeczywiście niezwykle miły i całkiem niezły z niego malarz, a do te-
go zachowywał się, zważywszy na naturę jego przestępstwa, bardzo
dobrze, a jeśli nie dobrze, to przynajmniej z uprzejmą powściągliwo-
ścią. I właśnie ten dystans najtrudniej jest Roxy znieść. Tak, zacho-
wywał się całkiem dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że to on ją porzu-
cił dla zamężnej czeskiej socjolożki (tak zawsze o niej mówimy, choć
to pod wieloma względami niesprawiedliwe).

Skąd się wzięła ta kulturowa nielojalność Roxy? Nic złego nie
przytrafiło się jej w Ameryce. Czemu na przykład bardziej atrakcyj-
ne wydawało jej się święto *Toussaint* niż Halloween? Przecież są tym
samym? Nie podzielam jej bezkrytycznego podziwu dla wszystkie-
go, co europejskie. Widzę tu mnóstwo rzeczy niedobrych. Ale to już
przekleństwo mojej natury. Nawet jako mała dziewczynka nie prze-
jawiałam tej uroczej cechy, jaką jest kobieca łatwowierność.

ROZDZIAŁ 4

Mówię o przerażeniu, jakie ogarnia ją na myśl, że porzucił ją ten, który przysięgał ją chronić.

Adolf

O ile wiem, Roxy nie miała żadnych wiadomości od Charles'a-Henriego przez cały następny tydzień. W ciągu kolejnych kilku dni odmawiała wszelkich rozmów na temat sytuacji i przyjęła postawę nienaturalnej pogody i wyciszenia, odwiedzając przyjaciół i wprowadzając mnie w tajniki życia w Paryżu. Nie wspomniała rodzinie Charles'a-Henriego, że coś złego się stało w ich małżeństwie, musiała jednak coś powiedzieć na ten temat, gdy w pierwszą niedzielę po moim przyjeździe wybrałyśmy się do domu Persandów na niedzielny obiad, na którym, jak się należało spodziewać, jej męża być nie mogło.

Teściowa Roxy, madame de Persand - Suzanne - to pełna życia, dobiegająca siedemdziesiątki matriarchini, która oczekuje, że w każdą niedzielę, o ile to możliwe, pojawi się u niej każde z jej pięciorga dzieci, co dotyczyło także mnie podczas mojego pobytu w Paryżu. Suzanne jest niedużą, elegancką blondynką (większość Francuzek po czterdziestce farbuję włosy na blond). Jej dzieci są wysokie, wysportowane: Frederic, Antoine, Yvonne, Charlotte i najmłodszy Charles-Henri. Wszyscy są przystojni, dobrze ubrani i roztaczają wokół zapach papierosów. Monsieur de Persand kierował, zdaje się, jakąś fabryką, ale nie wiem, co tam wytwarzano. Po przejściu na emeryturę spędza czas w Polsce albo w Rumunii, zajmując się ratowaniem upadających fabryk i innych przedsiębiorstw, które da się jakoś naprawić. Nigdy go nie spotkałam. Nie przyjechał na ślub Char-

les'a-Henriego, jakby ta uroczystość, dotycząca tylko najmłodszego z jego dzieci, była zbyt błaha, żeby z jej powodu lecieć za Adantyk, a może nie lubił Amerykanów - nigdy się tego nie dowiemy.

W dni powszednie Suzanne mieszka w wielkim dziewiętnastowiecznym apartamencie przy Avenue Wagram, wśród ciemnych obrazów olejnych podobnych do tych, jakie można napotkać w Santa Barbara, pośród zakurzonych gobelinów i kolekcji porcelanowych talerzy na ścianach oraz naturalnie mebli z czasów Ludwika *XV*, obitych spłowiałym brokatem lub wystrzępioną koronką. Meble o zakrzywionych liniach i z odpryskującymi złoceniami bardzo przypominają podupadłą elegancję jakiegoś zaniedbanego motelu Westwooda i w oczach Amerykanina, który pierwszy raz przyjeżdża do Francji, wydają się dziwne i pretensjonalne aż do chwili, kiedy uświadomi sobie, że to ich normalne meble, a Ludwik był ich królem.

Suzanne ma także niewielkie *château* z kortem tenisowym, niedaleko Chartres, gdzie rodzina spotyka się w weekendy. Jak dotąd wszyscy Francuzi, których poznałam, mają co najmniej trzy nieruchomości - dwie na wsi (po jednej z każdej strony rodziny) oraz mieszkanie w Paryżu. Niemniej posiadłość niedaleko Chartres nie pochodzi od przodków z czasów Karola Wielkiego, ale została kupiona w latach pięćdziesiątych przez monsieur de Persanda dzięki dobrym posunięciom w biznesie. W niedzielę we trójkę, Roxy, Genevieve i ja, pojechałyśmy pociągiem do Chartres, Gennie ubrana jak należy, w króciutką granatową sukienkę i białe skarpetki, Roxy w odcieniach różu, ja z torbą tenisową, zgodnie z instrukcjami mojej siostry. Wciąż jeszcze pamiętam ten róż Roxy, zupełnie jakby czuła, że potrzebuje jakiegoś symbolu pogody ducha, zewnętrznego antidotum na blade przerażenie, w jakim żyła jej dusza.

Francuska rodzina Roxy nadal mówi na nią *l'Americaine*, co jak sądzę, wyraża ich przekonanie, że ma wszystkie typowe dla nas cechy charakteru. Każda z tych cech ma swój pozytywny i negatywny aspekt: otwartość / brak taktu, impulsywność / bezmyślność, świeżość / brak obycia, hojność / rozrzutność. Niewątpliwie zyskała wiele w ich oczach, przykładając się szczerze do nauki francuskiego, ze sporym sukcesem, i zdobyła ich serca postanowieniem przejścia na katolicyzm.

- Jesteś protestantką, jak przypuszczam - spytała ją madame de Persand przy pierwszym spotkaniu. - Ale, jak rozumiem, nie należysz do kwaków czy coś w tym rodzaju?

Roxy nie zamierzała tolerować kulturowych zniewag.

- Prezydent Herbert Hoover był kwakrem - powiedziała.

- Ach, oczywiście, jeden z waszych najbardziej znamienitych prezydentów - przyznała madame de Persand z pospieszną uprzejmością, jakby ten ważny fakt miał dla niej jakieś znaczenie. Niemniej pytanie nadal wisiało w powietrzu.

- Moi rodzice są kongregacjonalistami - powiedziała Roxy i madame de Persand nadal wyglądała na zaciekawioną, ale doszła chyba do wniosku, że jednak nie ma ochoty poznawać szczegółów kultu, o którym nigdy nie słyszała, i porzuciła temat.

Rodzina Persandów sądziła, że Roxy zmieniła wiarę pod wpływem lojalności, jaka przystoi żonie, co zważywszy na właściwe protestantom głębokie przywiązanie do swojej wiary, oznaczało poważne duchowe poświęcenie. Jednak w rzeczywistości katolicyzm po prostu pasował do Roxy, zwłaszcza szaty kapłanów i muzyka. Nie trzeba dodawać, że Chester i Margeeve byli przerażeni.

Ale my, czyli jej rodzeństwo, byliśmy dość zaskoczeni faktem, że sprawa katolicyzmu Charles'a-Henriego ma w ogóle jakieś znaczenie dla naszych liberalnych i niereligijnych rodziców, a zwłaszcza dla Chestera. Najwyraźniej odezwała się w nich jakaś głęboko zakorzeniona, choć niewyartykułowana protestancka awersja do katolicyzmu i wyobrażali sobie, że Roxy jest skazana na liczne ciążę i porody oraz codzienne msze. Prawie już ją widzieli, jak ubrana w spłowieale czernie, trzymając w ręku różaniec, mozolnie brnie na kolanach przez dziedziniec w Lourdes.

- Ale ja nie zamierzam zostać katoliczką - zaprotestowała Roxy.

- Poza tym wydaje mi się, że macie na myśli Irlandię, nie Francję. To w Irlandii roi się od księży, nie we Francji. We Francji wynaleźli pigułkę wczesnoporonną.

- Pamiętam katolickie dzieci, z którymi się wychowywałam - powiedziała Margeeve, wspierając Chestera. - W piątek pięć minut po północy wszyscy obżerali się hamburgerami.

Wszyscy słuchaliśmy jej ze zdumieniem, nie mogąc pojąć, o co jej chodzi. Starła się więc wyjaśnić.

- W piątek nie powinni jeść mięsa, toteż nie mogli się doczekać końca dnia. To takie obłudne. Czemu wyznawać religię, w którą się nie wierzy całym sercem?

- Charles-Henri nie jest religijny - zapewniała Roxy, co jak się okazało, było prawdą; było mu całkiem obojętne, gdzie się odbędzie ceremonia ślubna.

Pobrali się w kościele kongregacjonalistycznym, po czym nastąpiło przyjęcie w ogrodzie naszych rodziców, a następnie drugie eleganckie (według Roxy) przyjęcie we Franq'i, w wiejskim domu Persandów. Matka Charles'a-Henriego i jego siostra Yvonne przyjechały na ślub do Kalifornii, ale żadne z nas nie poleciało do Francji. Kiedy więc Roxy w końcu przeszła na katolicyzm, na pewno nie zrobiła tego pod wpływem nalegań Charles'a-Henriego. Chodziło o jej własne uwielbienie dla liturgii i formy.

W dniu naszej wyprawy do Chartres Roxeanne była prawie tak samo wzburzona tym, że ma powiedzieć Suzanne o tym, iż Charles-Henri ją porzucił, jak samym wydarzeniem. Wiedziała, że Charles-Henri nie powiedziała by w domu ani słowa, nie chcąc przynosić swojej matce niemiłych wiadomości ani zniszczyć nastroju niedzielnego obiadu i narażać się na jakiegokolwiek dyskusje. Oczywiście Suzanne natychmiast spostrzegła, że Charles-Henri z nami nie przyjechał, i z wyrazu twarzy Roxy wyczytała jej niepokój, wymieniając więc powitalne pocałunki, spytała:

- *Alors*, gdzie jest *mon en/ant*?

Na co Genevieve odparła:

- Tu jestem, *grand-merel*

Ale oczywiście Suzanne miała na myśli Charles'a-Henriego, swojego najmłodszego syna.

- Jesteśmy pierwsze? Chciałabym zamienić z tobą słowo na osobności - powiedziała Roxeanne.

- Nie, przyjechał już Antoine z dziećmi, Trudi została jeszcze na wsi. - Trudi to niemiecka żona Antoine'a. Antoine jest dość

przystojny, wysoki, lekko łysiejący. -I oczywiście jest tu twoja siostra Isabel - powiedziała, zwracając się ku mnie, żeby mnie uściskać, ponieważ Roxy najwyraźniej kompletnie o mnie zapomniała.

Przyjechała Charlotte ze swoją rodziną. Charlotte jest niecierpliwą piękną zblizającą się do czterdziestki; ma górną wargę nieco bardziej wypchniętą do przodu niż dolną (w porównaniu z Santa Barbara ortodontka wydaje się nie odgrywać tutaj aż tak wielkiej roli) i jasne włosy związane w kucyk, za który odruchowo pociąga, podrzucając głową jak koń. Jej dzieci są dość blade i w porównaniu z nią wyciszone. Wszystkie mają długie podwójne imiona: Paul-Louis, Jean-Fernand, Marie-Odile, o ile trafnie połączyłam ze sobą ich człony. Pozostałe rodzeństwo Charles'a-Henriego tym razem się nie zjawiało. W odległym końcu ogrodu, na leżaku siedział starszy mężczyzna w słomianym kapeluszu z szerokim rondem, jakie noszą do-jarki, który z oddali pomachał nam życzliwie. Jak mi wyjaśniono, to *L'oncle* Edgar, brat Suzanne.

Wszyscy traktowali mnie bardzo przyjaźnie i mówili powoli po angielsku z poważną intonacją angielskich komentatorów telewizyjnych, nie zapominając o żadnej samogłosce. Charlotte zaprowadziła mnie do domu i pokazała mi wielką księgę, która, jak powiedziała, pochodziła z czasów, które nazwała na moją cześć w swojej radosnej angielszczyźnie, Lewis the Fourteenth. „Absolutnie”, powiedział jej mąż Bob, przechodząc na język potoczny. Mimo swego imienia Bob jest Francuzem. Kiedy zwracali się do Roxy, mówili po francusku. Muszę przyznać, że z pewnym rozbawieniem słuchałam, jak mówi w tym języku różne niezrozumiałe dla mnie słowa, które brzmiały dość afektownie jak w tym dowcipie: „Afektowana? *Moi?*”.

Mimo czerwcowego upału postanowiono, że będziemy grali w tenisa. Najpierw Antoine grał z Bobem, mężem Charlotte; potem w parze z Bobem grałam z Antoine'em i Charlotte. Wszyscy grali dobrze, co trochę mnie zaskoczyło. Ale właściwie dlaczego? Przypuszczam, że ich także zaskoczyło, że ja gram dobrze. (Zawodowa tenisistka - to był kolejny pomysł rodziców na moją przyszłość, ale i on nie wypalił z powodu mojej szczerzej niechęci do treningów). *L'oncie* Edgar oklaskiwał naszą grę ze swojego punktu obserwacyj-

nego pod drzewami. Moje zwycięstwo wyraźnie ucieszyło Roxy. Sama w ogóle nie gra, nawet kiedy nie jest w ciąży. Siedziała przy małym stoliku na tarasie przed balkonowymi drzwiami prowadzącymi do jadalni i rozmawiała z Suzanne, z nieruchomym uśmiechem wyszukanej uprzejmości, który najwyraźniej, w jej przekonaniu, miał maskować kłębiącą się w niej panikę i rozpacz.

Mimo targających nią emocji Roxeanne musiała spokojnie i uprzejmie udawać, że nic się z nią nie dzieje, przy *kir vermouth*, jaki podano przed lunchem, następnie przy *soupe aux moules*, pieczeni z jagnięcego udźca z białą fasolą, sałatkę, serce i *tarte aux fraises*. Suzanne skinieniem głowy dała znać dziewczynie podającej do stołu, żeby zabrała talerz Charlesa-Henriego, i nikt nie wspomniał już o nim ani słowem. Ale czy mieli jakieś powody do niepokoju? W końcu mógł wyjechać w interesach albo coś go gdzieś zatrzymało.

Loncie Edgar, jak się okazało, nie był starcem, ale dobrze zbudowanym mężczyzną dobiegającym siedemdziesiątki, a może trochę ją przekroczył, wysokim, siwowłosym, o głęboko osadzonych oczach i nosie generała rządu Vichy. W pewnym sensie był bardzo przystojny. Kiedy zśliśmy na obiad, powoli pokuśtykał w stronę domu i zobaczyłam, że ma kostkę w gipsie, ale nikt mi nie powiedział, co mu się przytrafiło.

Czułam się zakłopotana faktem, że wszyscy przez uprzejmość starają się mówić po angielsku; tylko dlatego, że jedna osoba nie potrafi mówić w ich języku, wszyscy musieli mówić w języku dla siebie obcym. Starłam się więc wymawiać nosowo *out* i *non*, kiedy *l'oncle* Edgar, przy którym mnie posadzono, pytał, czy chcę jeszcze sera albo mięsa. Imitowałam francuski w nadziei, że przynajmniej pomyślą, że chociaż rozumiem, i że będą mogli z powrotem wróc do swojego języka.

- Too jest bardzo zabawne, z tym waszym senatorem - oświadczył *l'oncle* Edgar.

Początkowo nie zrozumiałam, co ma na myśli.

- Jegomość, który prowadził dziennik - wyjaśnił Antoine.

- A w nim dokładnie opisywał, jak głaszcze młode kobiety po kolanach, szczegółowo opowiadał, jak sądzę, o swoich erotycznych

nadziejach, a teraz musiał poddać te prywatne rozmyślania osądowi opinii publicznej - powiedział ***T'oncle*** Edgar.

Wszyscy się roześmiali.

- Nie, nie - zaprotestowała Charlotte - zdaje się, że pokazuje je innym senatorom.

Nie było jasne, czy spodziewają się po mnie albo Roxy jakiegoś komentarza.

- Tak, to niezwykle - przyznała Suzanne - w dodatku przypuszcza się, że będzie miał także coś do powiedzenia o swoich przyjaciółkach.

Wszyscy znowu się roześmiali i ta wesołość wydawała mi się wtedy nieco zagadkowa. Później przekonałam się, że miało to coś wspólnego z naszą reputacją narodu świętoszków oraz francuską tolerancją dla pewnych spraw tego świata, jak na przykład starzy senatorowie w towarzystwie młodych kobiet.

- ***Zut***, za nic nie chciałbym, żeby moi koledzy czytali, co o nich myślę - dodał ***T'oncle*** Edgar.

Persandowie byli tacy uroczy, śmiali się tak serdecznie, wszyscy tak dobrze się prezentowali w eleganckiej jadalni zdobionej boazerią, a jednak było mi wśród nich trochę nieswojo. Czułam się młoda. Miałam wrażenie, że zaraz pojawi się jakaś niańka przysłana przez panią domu i zabierze mnie z pokoju, gdy moje powiedzonka przestaną ich bawić. Ogarnęła mnie więc wielka ulga, gdy okazało się, że przy drugiej butelce czerwonego wina ich zapał do mówienia wyłącznie po angielsku zaczyna słabnąć. „Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, Eleanor z Angouleme nie była wcale siostrzenicą...”, powiedział w pewnej chwili ***T'oncle*** Edgar i była to ostatnia rzecz, jaką zrozumiałam, ponieważ wszyscy zaczęli żywo omawiać jakiś epizod z dziejów Francji, gwałtownie przy tym gestykułując.

Po obiedzie piliśmy kawę na tarasie. Charlotte paliła nieustannie. Wyglądało to dziwnie, zważywszy na to, z jakim zapałem grała w tenisa. Opowiadała mi o swoim pobycie w Anglii, gdy miała czternaście lat, i o tym, jak Anglicy oszukiwali przy tenisie. Nie chciało mi się w to wierzyć. „Za każdym razem, kiedy krzyczeli «linia», miałam wątpliwości”, oświadczyła bardzo poważnie. Teraz już wiem, że wszystko, co Francuzi mówią o Anglikach, bardzo przypomina to,

co mówią o Amerykanach, kiedy nie ma nas w pobliżu. Nasze „wychodzenie po francusku” u nich nazywa się *fler i l'anglaise*, a połączenie kuchni z salonem nazywają *cuisine americaine* - zupełnie nie wiem dlaczego. No i oczywiście jest *vice anglais*.

Antoine palił w ogrodzie, rzucając piłkę swojemu synkowi. Roxy najwyraźniej zamierzała zostać dłużej, pragnąc zamienić parę słów z Suzanne na osobności. Gdy ktoś zaproponował, żebyśmy poszli na targ staroci w sąsiednim miasteczku, wzięłam Genevieve i poszłam z nimi. Roxy powiedziała, że woli zostać w domu i pomóc przy sprzątaniu. W rodzinie Persandów taką pomoc przyjmuje się z wdzięcznością. Popołudnie pozornie niczym się nie różniło od innych, nie było widać oznak nadciągającej katastrofy, a nawet wydało się wszystkim wyjątkowo udane, gdy na targu staroci Antoine znalazł etażerkę, której właśnie szukał.

Ale gdy po powrocie weszliśmy na dziedziniec, powitał nas nie kto inny jak Charles-Henri we własnej osobie, błady i wzburzony, i w niczym nieprzypominający niefrasobliwego i nieco roztargnionego młodego człowieka, którego poznałam kilka lat wcześniej. Był wyraźnie zaskoczony naszym widokiem. Może miał nadzieję, że uda mu się spotkać z matką sam na sam, ale przecież powinien pamiętać, że nas tam zastanie. W pierwszej chwili pomyślałam, że przyjechał zobaczyć się z Roxy i powiedzieć jej, że to wszystko to było nieporozumienie. Miałam nadzieję, że tak będzie, ale moje nadzieje okazały się daremne. Pospieszenie pocałował matkę na powitanie, przywitał się z pozostałymi i natychmiast odjechał swoim ranżerem. Minęło wiele dni, zanim odezwał się do Roxy - jej męża, miłość jej życia.

W pociągu wiozącym nas z powrotem do Paryża Roxy niczym postać z jakiegoś filmu zalała się łzami i szlochała w swój szal. Wokół nas siedziały francuskie rodziny, dzieci, które, biegały w przejściu między siedzeniami, przyglądały jej się uważnie.

- Tak mi przykro - powiedziała. - To głupie, wiem. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że on może się tam dzisiaj pojawić. Byłam kompletnie zaskoczona, tak źle to rozegrałam.

- Co ci powiedział?

- Nic, nic, nic.

To było wszystko, co z siebie wydusiła. Miałam wrażenie, że coś jednak musiał mówić. Po czym dodała skupionym tonem pełnym goryczy:

- Powiedział mi coś, czego mu nigdy nie wybaczę. - Ale nie wyznała mi, co to było takiego.

ROZDZIAŁ 5

Sam jestem zbyt amerykański, brakuje mi żywotnych soków.

Henry Adams

Mimo problemów z Roxy Paryż sprawiał obiecujące wrażenie. Nie miałam jeszcze żadnych przeczuć co do przyszłości. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, wydaje się, że mniej więcej w tym samym momencie, gdy zaczęły się kłopoty Roxeanne i kiedy przyjechałam do Paryża, żeby jej pomóc, nasza matka Margeeve Walker dostała w Santa Barbara list od pewnej historyczki sztuki pracującej w Muzeum Getty'ego, niejkiej Julii Manchevering.

W oczach Francuzów Santa Barbara to miasto niemal mityczne z powodu opery mydlanej pod tytułem *Santa Barbara*, emitowanej, z francuskim dubbingiem, przez francuską telewizję, serialu pełnego burzliwych powikłań towarzysko-społecznych, jak to zwykle w operach mydlanych, i rozgrywającego się wśród jednolicie jasnowłosych, bogatych Kalifornijczyków na tle słonecznych fal Pacyfiku, palm Washingtonia i patio pełnych kwiatów bugenwilli. To miejsce nieprzypominające Los Angeles, nie tak północne, raczej quasi-hispańskie, stara Kalifornia, kompletnie nijaka. Prawdę mówiąc, większość dzieciństwa spędziłam na Środkowym Zachodzie, gdzie mój ojciec wykładał nauki polityczne w małym college'u, ale kiedy miałam dwanaście lat, przenieśliśmy się do Kalifornii ze względu na jego małżeństwo z Margeeve. Nasz nowy dom podobał mi się bardziej.

Mój ojciec, obecnie profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara, i moja macocha o dziwnym imieniu Margeeve mieszkają

w typowo kalifornijskim stylu, to znaczy w skromnym bungalowu z lat czterdziestych w dobrej okolicy przy Miramar Avenue, z widokiem na ocean i dostępem do plaży, w otoczeniu domów, które są warte o wiele więcej. Czy też raczej powinnam powiedzieć, że położenie znacznie podnosi wartość naszego domu. Margeeve i Chester mieli szczęście albo dość wyobraźni, by kupić ten dom podczas jednego z okresowych kryzysów na rynku nieruchomości w rejonie plaży, jakie następują zwykle po wyjątkowo niszczycielskim sztormie. Pomogła im to osiągnąć pożyczka od wuja mojego ojca, Williama Eshricka, znanego w Santa Barbara handlarza dzieł sztuki, specjalizującego się w przestarzałym europejskim malarstwie. Handlował obrazami na tyle mrocznymi, poczermałymi i nijakimi, by mogły uchodzić za odziedziczone po przodkach i robić stosowne wrażenie w pałacowych hacjendach Montecito (rejon Santa Barbara zamieszkały przez ludzi z branży filmowej, którzy uważają się za zbyt wyrafinowanych, by mieszkać w Los Angeles). Ulubiona tematyka tych dzieł to torturowani święci, zwłaszcza święty Sebastian, ten przesyty strzałami, oraz krajobrazy grubo pokryte werniksem. W latach trzydziestych, gdy bardziej przenikliwi kolekcjonerzy kupowali impresjonistów i ekspresjonistów, nieżyjący już wuj William zgromadził cały magazyn anonimowych hiszpańskich i włoskich okazów tego ponurego gatunku. Ale wuj znał swój rynek zainteresowany sztuką, która nie była ani zbyt ostentacyjnie religijna, ani zbyt sentymentalna, za to wystarczająco sfatygowana i popękana, by sprawiać wrażenie cennych dzieł sztuki. Jednym z tych malowideł był ulubiony obraz Roxy przedstawiający świętą Urszulę, dziewicę męczenniczkę.

Julia Manchevering pytała o jeden z obrazów pochodzących z kolekcji wuja Williama (większość z nich sprzedano po jego śmierci). Podczas pracy nad książką poświęconą ikonografii postaci świętej Urszuli natknęła się na ślad obrazu, przypuszczalnie przedstawiającego świętą Urszulę, który pewien paryski handlarz z Rue du Bac sprzedał w latach trzydziestych prawdopodobnie naszemu wujowi Williamowi Eshrickowi, i obraz najwyraźniej wchodził w skład jego majątku w chwili jego śmierci.

„Obraz o rozmiarach mniej więcej 100 cm na 140 cm przedstawiający młodą kobietę z uniesioną ręką, siedzącą przy stole. (Święta Urszula 889-891?) Święta(?) spogląda w prawo, w stronę zapalanej świecy, w głębi widać skarb nieznacznie tylko wydobywany z mroku przez światło świecy, obejmujący insygnia władzy królewskiej o nieznanym znaczeniu”.

Zbiegiem okoliczności w tym samym czasie podczas zajęć z historii sztuki, na które chodziła Margeeve, omawiano temat francuskiego malarstwa siedemnastego wieku. Pobieźnie, ponieważ nie jest uważane za zbyt interesujące, choć w ostatnich latach cieszy się większym zainteresowaniem z powodu Muzeum Getty'ego, które zaczęło kupować dzieła francuskich malarzy, czego, jak się wydaje, amerykańskie muzea dotąd nie robiły. Jak przypuszczam, posępna religijność włoskiego malarstwa lepiej pasowała do neogotyckich posiadłości dziewiętnastowiecznych amerykańskich milionerów, a może właściwe Francuzom upodobanie do nimf i rozbawionych ludzi na huśtawkach obrażało nasze ówczesne amerykańskie pojmowanie powagi. Ale teraz francuskie malarstwo stało się modne.

Margeeve uzbrojona w swoje świeżo nabyte zainteresowania tymże malarstwem odpisała doktor Julii Manchevering, że przedstawiony opis rzeczywiście przypomina obraz, który Roxeanne zabrała ze sobą do Paryża i który przypuszczalnie nadal znajduje się w jej posiadaniu. Przy okazji dodała, że oboje z mężem zawsze uważali, że jej córka Roxeanne przypomina kobietę z tego obrazu. Roxeanne podarowała go swojemu francuskiemu mężowi w prezencie ślubnym. Wywiązała się korespondencja (o czym przebywająca w Paryżu Roxy nie miała najmniejszego pojęcia), w której kuratorka z Muzeum Getty'ego wyraziła nadzieję, że uda im się wypożyczyć *Świętą Urszulę* lub przynajmniej będą mogli ją zobaczyć. Wspomniała, że autorem tego obrazu mógł być jeden z uczniów francuskiego malarza Georges'a de La Toura i że Muzeum Gettyego zamierza zorganizować wystawę prac tego ostatniego.

Obraz wisiał nad kominkiem w mieszkaniu Roxy przy Rue Maitre Albert, a wcześniej przez lata w jej pokoju w naszym domu w Santa

Barbara. Jednak teraz został zapakowany do skrzyni i wysłany do domu aukcyjnego Drouot na sprzedaż, co złamało Roxy serce, ponieważ kocha tę świętą i miała zwyczaj zwierzać się jej ze swoich sekretów. W oprawie złoconej ramy święta Urszula spogląda w mroczną przyszłość proponowanego jej małżeństwa. Woli raczej ponieść śmierć i dać się zmasakrować. Obraz wymieniono w katalogu jako „*Sainte Ursule(?)*, dzieło *un e'leve de La Tour*”.

Na zajęciach z fizyki (fizyki dla idiotów) dowiedziałam się, że ciągła zmiana położenia atomów oznacza, że istnienie każdej rzeczy wpływa na istnienie wszystkich pozostałych rzeczy w świecie i właśnie w taki sposób wyobrażam sobie, że obraz przedstawiający świętą Urszulę wpływa na położenie wszystkich innych rzeczy i wprawia w ruch fale od chwili, gdy jakiś nieznany siedemnastowieczny malarz po raz pierwszy dotknął pędzlem tego płótna.

ROZDZIAŁ 6

Tok życia społecznego nie da się wszakże naginać samowolnie do naszych pragnień. Ciężko mi niekiedy, iż wszystkie moje kroki były oznaczone z góry, wszystkie chwile niejako policzone.

Adolf

W powszechnej opinii młody Amerykanin (lub Amerykanka), jeśli jeszcze nie skończył studiów, na pewno potrzebuje jakiejś pracy i Amerykanie mieszkający w Paryżu ochoczo zasypali mnie mnóstwem propozycji drobnych zajęć za pieniądze.

Cafe Flore: przyszedłam na umówione spotkanie z Amesem Everrettem. To właśnie on zdejmował masło z grzanki w scenie opisanej w prologu, i teraz, zbliżając się do stolika, widzę go, jak znowu się do tego zabiera. Elegancki, bogaty, nieco pulchnawy gej, tak go sobie zaklasyfikowałam.

- Dobrze - powiada - co weźmiesz? *Menthe a l'eau*? Perrier? Drinka? Kawę?

Ponieważ nigdy tego nie piłam, wybrałam *menthe*, która okazała się zielonym płynem do płukania ust o smaku miętowym.

Ames wyjaśnił mi, że potrzebuje kogoś, kto każdego popołudnia wyprowadziliby na spacer jego psa o imieniu Nicpoń. Żaden z moich pracodawców nie powiedział mi, dlaczego po prostu nie zatrudni do takich zajęć jakiegoś Francuza, choć Stuart Barbee zdradził mi, ile Francuz chciałby za pomalowanie jego jadalni - sześć tysięcy franków, czyli ponad tysiąc dolarów. Rzeczywiście zdumiewające. Sama chciałam wziąć dwadzieścia pięć dolarów za godzinę i miało go to kosztować dwieście pięćdziesiąt dolarów. To zatem w pełni

racjonalny argument, że taniej jest zatrudnić Amerykanina; w dodatku miałam wrażenie, że język także odgrywa tu pewną rolę i to nawet wśród tych, którzy doskonale mówią po francusku. Oczywiście język miał istotne znaczenie, gdy szło o porządkowanie literackiego archiwum pani Pace, która skądinąd uskarża się, że jestem za młoda. Kiedy spytałam ją, co to znaczy, że ktoś był trockistą, przyjrzała mi się uważnie, przypuszczalnie zastanawiając się, czy ma mnie od razu wyrzucić, czy raczej edukować.

Ale język ma, jak się wydaje, znacznie większe znaczenie, gdy chodzi na przykład o wybór kogoś, komu możesz powierzyć swojego psa. Przypuszczam, że Ames Everett z większym zaufaniem powierzył mi swojego psa, niż uczyniłby to w wypadku kogoś, dla kogo Nicpoń byłby jedynie jakimś *chien*.

- Tutaj w Paryżu wewnątrz towarzyskich kręgów są jeszcze bardziej wewnętrzne kręgi - powiada Ames, gdy popijamy naszą *menthe*. - Amerykańskie kręgi, nawet nie wspominam o Francuzach. Są tu amerykańscy biznesmeni, którzy obracają się we własnym towarzystwie, chyba że mają jakieś francuskie koneksje rodzinne. Banki, EuroDisney. Amerykańscy prawnicy, którzy z konieczności muszą mieć styczność z Francuzami. Pary francusko-amerykańskie, w których jedno należy do jednego, a drugie do drugiego narodu, zwykle amerykańskie żony i francuscy mężowie. Te kobiety najczęściej mają irytującą otoczkę francuskości, rodzaj wewnętrznego nastawienia, które osobiście działa mi na nerwy. Dziennikarze i pisarze. To mój krąg oraz historycy sztuki i bogaci rentierzy prowadzący wytworne życie. Oczywiście Francuzi uwielbiają ich najbardziej.

- Musisz mi powiedzieć, przed czym uciekasz. Każdy Amerykanin w Paryżu przed czymś ucieka - oświadczył podczas tego naszego pierwszego spotkania, z odrobiną szyderstwa, które najwyraźniej nigdy go nie opuszcza, i pewnej wojowniczej lekkości. - Zwykle nie staram się dociekać, co to takiego. Przyczyny, kiedy już o nich usłyszysz, są zwykle strasznie banalne. Ale za tymi bezpośrednimi powodami kryje się drugie dno.

- Czyli co takiego? - spytałam.

- Sama to w końcu odkryjesz. Na tym polega cała zabawa. Czasami będziesz zaskoczona. - Uśmiechnął się do mnie.

Wszyscy oni, nawet Roxy, lubią traktować mnie jak naiwną prostackę, zadufanego w sobie przybysza z innego świata, na którego czekają wstrząsające odkrycia. Ale ja, jeśli już o to chodzi, na pewno przed niczym nie uciekam, nawet specjalnie mi nie zależało na tym, żeby się tu znaleźć. Powiedziałam mu o tym.

- Jaka jest więc twoja przyczyna, jeśli nie twoje drugie dno?
- spytałam.

A on odparł:

- Przyjechałem, żeby uciec przed AIDS. Nie masz pojęcia, jak wyglądało życie w Nowym Jorku na początku lat osiemdziesiątych. Co tydzień umierał któryś z twoich przyjaciół, trudno było wytrzymać sam odgłos dzwoniącego telefonu. Miałem nadzieję, że to tutaj nie dotrze. Oczywiście dotarło.

- Tak jak narkotyki - powiedziałam. - Możesz kupić crack na stacji metra Saint Michel.

- Nie jest łatwo być Amerykaninem - zauważył. - To jest drugie dno. Naprawdę niełatwo. Przyjeżdżamy tu, żeby uciec przed moralną powinnością. Jesteśmy zbyt wrażliwi - mówię o nas, ekspatriatach, chociaż nie znoszę używać tego słowa. A kiedy wracamy i widzimy to, co dzieje się w kraju, wtedy jest ciężko.
- Westchnął.

Cafe Florę leży przy Boulevard Saint-Germain, wokół nas siedziały tłumy turystów pijących espresso i stałych bywalców czytających „Liberation”, unosił się zapach kawy i farby drukarskiej. Chodnik był wciąż mokry od popołudniowego deszczu, niebo miało charakterystyczną barwę paryskiej szarości, w wilgotnym powietrzu wisi zapach spalin z lekkim dodatkiem woni psiego gówna. Potrafiłam dostrzec piękno tego miejsca, które może być wystarczającym powodem, żeby się tu znaleźć. Ale zastanawiałam się, jakie było drugie dno w wypadku Amesa, kryjące się pod podanym przez niego powodem przyjazdu, i dlaczego darzył Amerykę taką szczególną niechęcią, bo nie przepuścił żadnej okazji, żeby powiedzieć o niej coś złego, choć jest tam dość znany, a nawet szanowany w swoim kręgu.

- Jak się miewa Roxeanne? - spytał. - Wydawała mi się zmęczona. Muszę przedstawić cię Stuartowi Barbeemu, zdaje się, że potrzebuje kogoś do jakiejś pracy w swoim mieszkaniu. Czytasz po francusku? Widziałaś dzisiejsze „Liberation”?

Czy rzeczywiście uciekam przed czymś w Ameryce, jak sugeruje Ames? Nie sędzę. Wydawało mi się, że jestem typową Amerykanką, nie jestem kimś, kto nie trawi Ameryki, jak Ames czy Roxy. Ale muszę przyznać, że zaczynałam czuć się we Francji szczęśliwa mimo mojej nieufności do tego całego towarzystwa. Wkrótce poza wyprawianiem psa Amesa miałam jeszcze inne prace. Pomagałam OUVii Pace robić porządek w papierach, pilnowałam domu jakichś typów z CIA, kiedy byli w Prowansji, i załatwiałam wynajęcie mieszkania dla przyjaciół Roxeanne (zwykle Amerykanek po rozwodzie, które przyjeżdżały zapisać się do Cordon Bleu i odmienić swoje życie). Prowadziłam małą rubrykę porad w pisemku „Weekly Messenger” wydawanym przez amerykański kościół w Paryżu - gdzie co znaleźć - i od czasu do czasu uczyłam aerobiku w American Center, zastępując *innych* instruktorów.

Myślałam wtedy, że byłabym strasznie zawiedziona, gdyby Roxeanne po prostu spakowała się i wyjechała do domu, zanim sama byłabym do tego gotowa.

A teraz myślę, że spotkałam miłość swojego życia, ale to taka groteskowa sytuacja i taka beznadziejna. W ogóle nie przewidywałam, że coś takiego może mi się przydarzyć.

ROZDZIAŁ 7

Cnota nie idzie w parze z łatwością. Żąda stromej i kamienistej ścieżki.

Montaigne

Suzanne de Persand od razu w poniedziałek przyjechała zobaczyć się z Roxy. Weszła ubrana w poważną, granatową, lnianą garsonkę z ozdobami w klapie zakietu, jak gdyby wybierała się na jakąś bardzo oficjalną uroczystość, i ze względu na moją obecność mówiła po angielsku.

- Rozmawiałam z synem - powiedziała, sięgając po ziołową herbatę. - Jestem bardzo nieszczęśliwa z powodu jego zachowania. A do tego jeszcze ta historia z Charlotte. Zupełnie nie wiem, skąd im się to bierze. Pewnie mają to po rodzinie ojca.

- Co się dzieje z Charlotte? - Roxy nagle ocknęła się ze swojego letargicznego nastroju.

- Co? Ma romans. Naprawdę, to zbyt głupie. W dodatku z Anglikiem! Ale tobie chcę powiedzieć, Roxeanne, żebyś była rozsądna. Zdajesz sobie sprawę z tego, że kiedy żona jest w ciąży, mąż czasem... wydaje mu się, że dziewięć miesięcy to szmat czasu. Myśli, że to się nigdy nie skończy, i jakaś młoda, szczupła kobieta zaczyna przypominać mu szczęśliwsze dni. Wydaje mu się, że to są jakieś uczucia, ale w istocie to tylko biologia, jego męska potrzeba.

- Jeśli masz na myśli miłość seksualną, można to robić aż do ostatnich dwu tygodni - powiedziała Roxy z rozdrażnieniem.

- Naprawdę? *Tiens!* To z pewnością niemądre. W moich czasach lekarze by na to nie pozwolili. Tak czy inaczej chodzi o formę, wielki, brzydki brzuch. Tak, poproszę cukru. *Hein! Original!* Hortense, kuzynka Georges'a, także używa sypkiego cukru zamiast kostek.

- To nie zależy ode mnie, to sprawa Charles'a-Henriego - stwierdziła Roxy.

- To właśnie staram się powiedzieć. Nie oczekuj niczego do chwili narodzin dziecka, wtedy zobaczysz. Może to będzie chłopiec.

- Chłopiec? Następca? To nie do wiary, czy znalazłam się w jakiejś powieści Balzaka? - krzyknęła Roxy.

Suzanne z wdziękiem zaśmiała się przelotnie i dopiła swoją filiżankę.

- To się zdarzało wielu innym kobietom i w tej sytuacji, większość ci to powie, z pewnością najlepiej po prostu żyć dalej jak gdyby nigdy nic i brać, co życie przyniesie - powiedziała.

- Sama zadaję sobie pytanie, czy to rozsądne upierać się przy tym dziecku - rzekła nagle Roxy z dziką impulsywnością. - Jest jeszcze wcześniej. Może nie powinnam przez to wszystko przechodzić. To głupota sprowadzać na świat dziecko w rozbitej rodzinie.

Rozpoznałam gwałtowność kryjącą się w jej tonie, dobrze mi znana, prawdziwą Roxy, dramatyczną i histeryczną, ale w jej głosie pobrzmiewała także jakaś błyskawiczna kalkulacja, jakby starała się zorientować, w jaki sposób ta zawołowana groźba podziała na Suzanne.

Suzanne rzeczywiście wydawała się zaniepokojona, zaczęła mówić, zamilkła, widać było, że szuka najlepszego sposobu na to, jak poradzić sobie z tą nieszczęśliwą cudzoziemką.

- Zastanawiam się, czy w ogóle warto przez to wszystko przechodzić - powtórzyła Roxy.

- Na szczęście masz jeszcze kilka tygodni na podjęcie tak ważnej decyzji - powiedziała Suzanne powoli, obserwując Roxy, jakby patrzyła na nerwowe, niepokojone dzikie zwierzę. - Chyba nie chciałybyś podejmować takiej decyzji pochopnie.

Widziałam, jak zręcznie Suzanne to rozegrała, jak gdyby wyczuwając panikę Roxy i jej wrodzony upór, nie chciała pobudzić go jakimiś kazaniami albo argumentami. Ale rzeczywiście zbladła. Roxy ją wystraszyła. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały i widziałam, że chciałyby zadać mi pytanie, czy Roxy rzeczywiście mogłaby coś takiego zrobić. Ale oczywiście nie znała mnie i nie wiedziała, jak na to zareaguję. A jak ona się zachowała, jeśli już o to chodzi?

- Zadzwoń do ciebie jutro, *ma chérie* - powiedziała. - *Bon courage*. Takie sprawy z mężczyznami przychodzą, a potem mijają.

- Francuzi są rozpieszczeni przez swoje matki - zauważyła Roxy po jej wyjściu. - W jej opinii Charles-Henri po prostu nie może zrobić nic złego.

- On wróci - pokusiłam się o przepowiednię. - Będziesz tylko musiała zdecydować, czy chcesz mu wybaczyć. I oczywiście mu wybaczysz.

- Tu nie chodzi o wybaczenie - odrzekła. - On nie jest moją własnością. Ma swoje serce, a ja mam swoje i to z moim muszę się jakoś uporać. - Mówiąc to, wysypała cukier do zlewu.

- Co ty wyprawiasz?

- Nie słyszałaś, co powiedziała? *Hein*. Sypki cukier, jakie oryginalne. To znaczy: amerykańskie dziwactwo. To znaczy: dlaczego nie używasz kostek jak Francuzka?

Kiedy Roxy mówi, że pierwsze miesiące jej małżeństwa były ciężkie, nie chce przez to dać do zrozumienia, że spotkało ją coś złego od Francuzów czy Charles'a-Henriego. Uważała go za idealnego męża, uprzejmego, pomocnego i namiętnego.

„Styl anglosaskiego mężczyzny jest zupełnie inny. Te wszystkie obowiązkowe mecze piłkarskie i piwo, ten brak zainteresowania sprawami domu i przekonanie, że byłoby czymś w jakimś sensie niemieckim interesować się naczyniami kuchennymi lub nakryciem stołu - opowiadała. - Charles-Henri potrafi docenić piękną wagę do zupy. Jego wuj Edgar zbiera siedemnastowieczną porcelanę”.

Roxy ma rację, mówiąc, że francuscy mężczyźni roztaczają, jak się wydaje, przyjemną aurę współpracy z kobietami, aurę współdziałania w sprawach życia codziennego, tego, że są w nim razem z kobietami, w małżeństwie, w społeczeństwie. W niczym nie przypomina to atmosfery wymuszonej tolerancji albo aktywnej niechęci między płciami, jaką znamy z domu. Ale kiedy pewnego razu powiedziała o tym przyjaciółce Roxy, Anne-Chantal Lartigue, która mieszka niedaleko od nas, po drugiej stronie Place Maubert, ta tylko prychnęła.

- Nie daj się zwieść - powiedziała. - To łajdacy, podobnie jak inni mężczyźni, rozpuszczeni przez swoje matki, niewierni i niechętni do współpracy.

Oczywiście jako Francuzka wie lepiej, ale przypuszczalnie nie rozumie, jacy są inni mężczyźni, nie-Francuzi, jak choćby Amerykanie, czy powiedzmy, muzułmanie, o których opowiada się, że wydają się mili, dopóki nie zawiozą cię do swojej Turcji albo Algierii. Francuzi uwielbiają czytać o przerażających perypetiach młodych Francuzek, które poślubiając Algierczyka, popełniają błąd i wracają z nim do jego rodzinnej wioski, gdzie lądują w zamknięte w domu razem z kozami i muszą znosić zniewagi ze strony swoich teściowych, które zabierają im buty i paszporty.

Nie mam pojęcia, jak wyglądało intymne życie Roxy i Charles'a-Henriego. Roxy zachowywała na ten temat dyskrecję i powagę.

Roxy opowiada, że zaraz po ślubie rzuciła się wir francuskiego życia, prowadzenia francuskiego domu, skupiła się całkowicie na francuskiej kuchni, ślęcząc nad dosłownym przekładem przepisów - w jaki sposób obrać orzechy ze skórki albo sprawić, żeby cebula puściła sok. Odkrywała, że standardy, które uważała dotąd za afektowane popisy amerykańskich łakomczuchów, wielbicieli M. F. K Fisher albo ludzi, którzy pragną pójść w ślady Julii Child, stanowią w rzeczywistości codzienność w wielu francuskich domach, i to w dodatku, jak się wydawało, przychodzi to bez większego trudu. Lekarki wracające późnym wieczorem po pracy w szpitalu potrafiły wyczarować *potage aux moules, pigeon rôti, salade, fromage, dessert*. Czy rzeczywiście robiły wszystko po kolei zgodnie z przepisem, poczynając od *pflumer, vider, flamber les pigeons*?

Prawdę mówiąc, to nie łakomstwo czy chęć rywalizacji stały za jej obsesją kulinarną. Pociągało ją i napędzało istnienie pewnego wzorca. Nie było tu mowy o radosnej improwizacji, choć przepisy *a ma facon* sugerowały miejsce dla indywidualizmu - obok doświadczenia i znajomości rzeczy. Podobała jej się myśl, że czeka ją trudne zadanie wymagające długotrwałego wysiłku. Czasami, gdy kupiła, otworzyła i ugotowała *oursins*, które przecierała następnie przez sitko i dodawała do *pate de poissons*, czuła się rozczarowana, ale jedynie

tym, że nie potrafiła dostrzec ich wpływu na smak całości. To pani Pace zwróciła moją uwagę na urok zadań wymagających wysiłku i precyzji.

- Balet to jedyne zajęcie, które wymaga od kobiet dyscypliny - powiedziała - a w każdym razie tak było w moich czasach. Teraz można biegać w maratonie. Za moich czasów, jeśli zdobyłaś wyróżnienie w nauce łaciny, nie było się już w czym wykazać.

Roxy okazała się utalentowaną kucharką, ale takt i brak wiary we własne siły sprawiły, że nie uchodziła za zbyt utalentowaną, kiedy miała nakarmić Francuzów. (Pod tym względem naśladowała panią Pace. Sama odnoszę się do Francuzów z pewnym sceptycyzmem. Udają, że tak bardzo kochają jeść, więc dlaczego chodzą do McDonalda?). Roxy nigdy nie zdołała się dowiedzieć, co tak naprawdę jedzą w swoich domach, gdy nie są obserwowani przez Amerykanów takich jak ona. Podglądała ich w supermarketach i doszła do wniosku, że w tygodniu jedzą w domu wieczorami w swoim gronie to samo, co podają wtedy, gdy zapraszają ją z Charles'em-Henrim na kolację: **hors-d'oeuvre, entree, piatek, salade, fromage, dessert**. „Ale biorą mnóstwo mrożonek”, powiedziała z zadowoleniem.

Charles-Henri okazał się mężem wyjątkowo niewymagającym i nie żałował jej swoich zachęt, doceniając wszystkie jej wysiłki, a jednocześnie był równie szczęśliwy, jedząc kanapki i mrożoną pizzę, pomagając przy nakrywaniu do stołu i robieniu majonezu.

- Na Boga - zapewniał ją - nie ma znaczenia, co podajesz. Podawaj amerykańskie potrawy. Ludzie są ich ciekawi. Podaj pizzę. (Z dzisiejszej perspektywy ta jego radosna obojętność wydaje jej się mocno podejrzana).

- Nie ma amerykańskich potraw - odparła gniewnie Roxy. - PIZZA jest włoska.

- Szarlotka - powiedział. - **Trente-et-un** smaków. Ciasto z dynią.
- Nienawidzę ciasta z dynią. Wszyscy go nienawidzą.

Niczym szpieg starała się odkrywać inne sekrety francuskiej kultury. A jednak zawsze coś ją zaskakiwało. Kiedy pierwszy zaproszony gość pojawił się u niej na kolacji z bukietem kwiatów, uświadomiła sobie, że sama nigdy nie przynosi kwiatów francuskim paniom

domu. Kiedy pewien amerykański gość przyniósł im butelkę wina, Charles-Henri powiedział później urażony: „Chyba sądził, że nie dostanie nic do picia”.

(„Koniec *la cwilisation francaise?* - powiada *l'oncle* Edgar. - Przypuszczam, że wtedy, gdy *fromage ou dessert* wejdzie w miejsce *fromage et dessert*”).

Roxy nigdy nie zdołała zgłębić tajemnic wszystkich serów, których dziesiątki można *znaleźć* na rynku: okrągłych i cuchnących, ciekących i pęczniejących, posypanych pieprzem i zawiniętych w liście winorośli, serów zrobionych z mleka koziego, krowiego i owczego, gotowanych lub surowych, twardych i miękkich, a do tego każdy z nich nosił nazwę, która nie miała żadnego związku z nazwami występującymi w jej książkach kucharskich.

A jeszcze sposoby dzielenia mięsa. Czym u licha jest *gite-gite* albo *macreuse*?

Uważała, że Francuzki są niezwykle szykowne. Ja odniosłam wrażenie, że wszystkie chodzą w nijakich, beżowych płaszczach przeciwdeszczowych i noszą identyczne proste szaliki - angielskie, powiedziała Roxy, z Burberry's. Dość zabawna moda, biorąc pod uwagę, że wszyscy tu uważają Anglików za zdradzieckich hipokrytów, i do tego niedomytych - dokładnie tak samo Anglicy myślą o Francuzkach. Kobiety interesu, na przykład Charlotte, która pracuje w dziedzinie public relations, noszą zgrabne kostiumy z krótkimi spódnicami i żakietami, czerwone albo w kratkę, z mnóstwem złotej biżuterii. Niemniej kobiety w moim wieku są bardzo ładne, robią dyskretny makijaż i są niezwykle pewne siebie.

„Staniki są tu beznadziejne - napisała do mnie Roxy do Santa Barbara. - One mają takie małe piersi, to po prostu nieznośne, w ogóle są bez biustu. Błagam, przyślij mi cztery pary Olga "Vanity' rozmiar 34C, jeden ecru, dwa białe i jeden czarny”.

Zważywszy na te wszystkie postępy, jakie Roxy zrobiła w poznawaniu ichniej kultury, co właściwie poszło nie tak?

Jeśli nadal myślała o tym, żeby „nie upierać się” przy dziecku, jak to ujęła, nie zwierzała mi się z tego. Przypuszczalnie była to jedynie pu-

sta groźba wymierzona w Suzanne w nadziei, że kiedy ta przykładna katoliczka usłyszy tak straszną wiadomość, nakłoni Charles'a-Henriego do powrotu do domu. A skoro tak się nie stało, Roxy zaczęła z coraz większą goryczą wypowiadać się o swojej teściowej, choć miałam wrażenie, że Suzanne okazywała jej wyłącznie sympatię.

Telefonowała regularnie i zabierała nas na lunch do Recamier. Po kilku tygodniach pobytu we Francji potrafiłam już docenić francuskie poglądy na temat pocieszających zalet jedzenia. Podczas lunchów Suzanne nie złościła się na Charles'a-Henriego, ale na Charlotte, która, jak rozumiałam, odgrywała na użytek tych rozmów rolę awatara Charles'a-Henriego, jako inne kłopotliwe dziecko, cierpiące na niedostatek poczucia obowiązku. W odróżnieniu od Charles'a-Henriego, który niczego nie skrywał, Charlotte starała się trzymać w tajemnicy swoje poczynania przed mężem, biednym Bobem, który (jak się domyślałam) sam nie był niewiniątkiem, skoro Charlotte poczynała sobie tak śmiało.

Zaskoczyło mnie, że Charlotte zadała się z Anglikiem, zważywszy na jej przekonanie o tym, że Anglicy mają skłonność do łamania reguł.

- Nic nie mówię - oświadczyła Suzanne. - Charlotte zawsze była uparta. Krytykowanie jej donikąd nie prowadzi.

Ale nie mówiła, do czego krytyka mogłaby sprowokować Charlotte. Podziwiałam opanowanie Suzanne. Margeeve w tej samej sytuacji nie żałowałaby słów. Zastanawiałam się, kiedy Roxy zamierza powiedzieć Margeeve i Chesterowi o swoich kłopotach małżeńskich. Nie próbowałam podpowiadać, co powinna zrobić, żeby przypadkiem nie popchnąć jej w złym kierunku, cokolwiek by to znaczyło. Poza tym uważałam, że nie powinnam się wtrącać i że nie jestem dość kompetentna, żeby wypowiadać się na temat małżeństwa, czy nawet miłości, jeśli już o to chodzi.

Niemniej zdawałam sobie sprawę z istnienia finansowych następstw położenia Roxy. Nie byłam pewna, jak to może teraz wyglądać. Czy narodziny drugiego dziecka będą oznaczały, że Charles-Henri będzie dawał jej więcej pieniędzy, czy też mając kolejną osobę do wykarmienia, Roxy zacznie się bardziej ograniczać? Ponieważ

Chester nie ugania się za pieniędzmi, w naszej rodzinie można swobodnie o nich rozmawiać. Jako humanista korzysta z przywileju uprawiania bezinteresownej nauki i nie dotyczą go pokusy, przed którymi stają badacze w naukach przyrodniczych, toteż pieniądze stanowią dla nas*temat neutralny, podobnie jak polityka społeczna lub problem, co będzie na lunch. Jednak Roxy przyswoiła sobie pewną francuską powściągliwość w tych sprawach. Wydaje się, że każda wzmianka o pieniądzach jest dla nich szokująca i niemal tak nieprzyzwoita jak pytanie o czyjś wiek, a może nawet gorsza.

Nadal nie powiedziała mi, co naprawdę stało się między nią a jej mężem. Czy poszło o seks, czy jakieś osobliwe kulturowe niedopasowanie - jej amerykańskość, jej kuchnię - a może ją zdradzał albo poszło o hazard? Nie miałam pojęcia, ale kiedyś w nocy, gdy zesłam na dół, żeby znaleźć coś w lodówce, usłyszałam, jak Roxy kłóci się z kimś po francusku i płacze do słuchawki telefonu. Któż to mógł być, jeśli nie Charles-Henri?

ROZDZIAŁ 8

Cała nasza wiedza na temat obcych kultur - a te, które są nam najbliższe, bywają w pewnym sensie najbardziej niedostępne - dotyczy ich migotliwej powierzchni i pewnych mylących detali.

Regis Debray, *Charles de Gaulle*

Mijały dni, pracowicie dla mnie i, jak mi się zdaje, powoli dla Roxy. Nie było jeszcze widać, że jest w ciąży, mimo piątego miesiąca. Dla mnie nawet chodzenie po ulicach stanowiło swego rodzaju przygodę. Rozmowy z kierowcami autobusów i starszymi kobietami. Moje wyjaśnienia, że nie mówię po francusku, radosny śmiech, gesty wskazujące drogę, język znaków. Piękne, sławne atrakcje turystyczne, jak Notre Dame i Łuk Triumfalny. Wspaniałe psy. Spotykałam mnóstwo psów, wyprowadzając Nicponia, choć, szczerze mówiąc, w Paryżu istnieje ogromny problem psich góvien. Przede wszystkim starałam się zorientować, co sprawiło, że Roxy aż tak bardzo oszalała na punkcie tego miejsca, ale udało mi się jedynie połowicznie. Widziałam, że miasto jest piękne, a do tego ma mnóstwo kin i dobrych restauracji. Ale nie cierpiałam ruchu ulicznego, tego, że trzeba ciągle patrzeć pod nogi, obłąkanego zwyczaju palenia papierosów i deszczu padającego tutaj nawet latem, co wydawało mi się kompletnie niepojęte.

Nie wiem, czy początkowo stanowiłam dla Roxy jakąś pomoc. To nie takie łatwe znaleźć się w kraju, którego języka się nie zna i którego zwyczaje budzą w tobie nieufność albo obawy. Na przykład lekkałam się sławnego paryskiego chamstwa, choć nigdy się nie zmateriałizowało. Zajęło mi też trochę czasu, zanim zadomowiłam się

w niewygodnej, gorącej służbówce Roxy na poddaszu. W głębi serca czułam się trochę jak pokojówka. Każdego dnia pomagałam Roxy przygotować Gennie przed wyjściem do przedszkola, a kiedy już sobie poszły, zmywałam naczynia po śniadaniu; popołudniami odbierałam Gennie z przedszkola (zwanego *creche*) i bardzo sumiennie starałam się pomagać Roxy. Naprawdę nie miałam nic przeciwko temu - a może trochę tak.

Roxy z kolei sumiennie wprowadzała mnie w świat swoich przyjaciół i sąsiadów z kamienicy i z okolic Place Maubert, pragnąc, żebym poczuła się jak w domu. Za jej namową zapisałam się nawet na lekcje francuskiego odbywające się trzy razy w tygodniu, popołudniami, w gmachu ratusza piątej dzielnicy. Starała się być dla mnie miłą w sposób, jakiego się nie spodziewałam, i byłam jej za to bardzo wdzięczna, ponieważ szybkie frazy mówionego francuskiego okazywały się trudniejsze, niż się tego spodziewałam, a formularze, które musiałam wypełniać, sformułowano jakimś biurokratycznym żargonem niezrozumiałym w żadnym języku. Bałam się nawet chodzić na te zajęcia, gdzie - z czasem - miałam nauczyć się rozumieć, co do mnie mówią. Nigdy nie uważałam się za osobę nieśmiałą, ale kiedy miałam powiedzieć *bonjour*, coś ścisnęło mi gardło, jak gdyby inni mieli mnie zaraz przyłapać na tym, że tylko udaję, że mówię po francusku.

Wiem, że jestem beznadziejna, jeśli chodzi o mówioną francuzczyznę, ale Francuzi nie są wcale tacy świetni w angielskim. Nasze słowa nie mają dla nich żadnego znaczenia. Na przykład wszystkie przyzwoite francuskie damy w fitness klubie ćwiczą aerobik w rytm amerykańskiej muzyki, ale jej nie słyszą. W jednej z rapowych piosenek są słowa „To seksowny skurwysyn”, ale Francuzki ćwiczą i nie zwracają na to uwagi. Po prostu nie znają tych słów.

Jeśli już chodzi o ćwiczenia, Roxy uważa, że styl ćwiczeń mówi coś na temat narodowego charakteru: w Kalifornii mamy dynamiczny aerobik, innymi słowy, bezmyślne wymachiwanie w rytm głośnej rockowej muzyki, która sprawia, że popadasz w mechaniczne otępienie („Szczęśliwy naród / Żyjący w szczęśliwym narodzie”); we Francji to raczej narcystyczne doskonalenie *Fesses-Ab-Cuisses* albo *Bras-Buste-Epaules*, względnie jazzowy taniec bez żadnego związku z rytmem.

Doceniałam to, że Roxy jest dla mnie taka miła, podobało mi się, że po dziesięciu latach występowania w roli irytującej młodszej siostry stałam się nagle dla niej obiektem wdzięczności i troski (nie mogłaby sobie beze mnie poradzić). Dlatego też nie zwracałam większej uwagi na lekkie poczucie wyższości, z jakim rozprawiała teraz w obcym języku, którego nigdy nie zdołam opanować, lub nieco władczy ton, z jakim objaśniała mi, czym handluje się w poszczególne dni na targowisku na Place Maubert.

Roxy i Charles-Henri mieszkali - Roxy nadal mieszka - tuż obok Place Maubert w piątej dzielnicy. We wtorki, czwartki i soboty działa tam otwarte targowisko. Pod markizami stają długie stoły, za którymi pojawiają się otyli przekupnie sprzedający jedzenie i kwiaty, jakiś człowiek handluje *porcelaine blanche*, inny oferuje naprawę krzeseł. Po drugiej stronie Boulevard Saint-Germain znajduje się mała fontanna i kilka ławek oraz Brasserie Espoir, kręcą się kloszardzi (*clochards*). W dawnych czasach stał tam pomnik Etienne'a Doleta (nie wiem, kto to) przetopiony albo usunięty podczas rewolucji lub jakiejś wojny. Znalazłam starą rycinę z widokiem tego miejsca w książce Andre Bretona, ale okazała się jak dla mnie za trudna.

Przyjaciółki Roxy z Place Maubert to Francuzka Anne-Chantal Lartigue oraz Amerykanka Tammy de Bretteville, która wyszła za francuskiego prawnika. Kiedy przyjechałam do Paryża, obie, o ile mogłam się zorientować, były szczęśliwymi mężatkami. Starłam się spojrzeć na nie oczami Janet Hollingsworth i odkryć ich sztuczki i sekrety, dowiedzieć się, na czym polega ich nieuchwytna francuskość, ale nie było w nich nic niezwykłego, choć rzeczywiście w odróżnieniu od nas, Amerykanek, nie nosiły butów sportowych, tylko wspaniałe pantofle.

Pływały dni. W tym czasie Roxy, pozostając w stanie dziwnego zanegowania sytuacji, ani nie próbowała skontaktować się z Charles'em-Henrim, żeby mu zrobić awanturę albo namówić go do powrotu, ani nie podejmowała żadnych innych działań i w rozmowach z przyjaciółmi nawet nie wspominała o tym, co się wydarzyło. Myślę, że sprawiała na nich wrażenie osoby całkowicie spokojnej, która żyje jak dawniej, jak gdyby nic się nie stało. Jeśli zachowujesz spokój, gdy

dzieje się coś złego, ludzie myślą, że jesteś osobą zimną i nieczułą. Ale oczywiście Roxy płakała i czuła się okropnie, niezależnie od tego, jak pogodnie prezentowała się ze swoim koszykiem na zakupy i stopniowo zaokrągłym brzuchem, gdy przemierzała Place Maubert, żeby jak zwykle spotkać się z Anne-Chantal albo Tammy de Bretteville. W miarę jak Roxy powoli przestawała mieścić się w różne swoje ubrania, rozstanie z Charles'em-Henrim zaczęło nabierać w jej umyśle tej samej nieuchronności co ciąża i przeobraziło się w poczucie sytuacji, której wynik jest z góry przesądzony i której nie można uniknąć ani się z niej wycofać. Tam, gdzie większość kobiet walczyłaby o swoje małżeństwo, czegokolwiek by się po nim spodziewały, ona zachowywała się wciąż z pełną goryczy apatią.

- Po prostu nie jestem gotowa na to, żeby komukolwiek o tym powiedzieć - powtarzała z każdym kolejnym dniem. - Niby jak mam to zrobić? Te wszystkie „A nie mówiłam?”. Nie mogłabym tego znieść. Nasza siostra Judith, która zawsze mówiła o Charles'u-Henrim Żabi Księżę, z całą pewnością powiedziałyby: „A nie mówiłam?”).

Roxy do nikogo nie dzwoniła. Zaczynałam się o nią martwić. Czulałam, że powinna powiedzieć o tym swoim przyjacielom, choćby po to, żeby mogli jej poradzić, jak takie sprawy załatwia się we Francji.

Pewnego wieczoru, gdy razem z Roxy i Gennie jadłyśmy kolację w Brasserie Espoir, Roxy powiedziała:

- Iz, przepraszam, że wciągnęłam cię w swoje problemy małżeńskie. Wiem, że niezbyt dobrze się tutaj bawisz, ale jesteś taka kochana. A ja jestem po prostu okropną idiotką.

- Och, chciałabym, żebyś się przestała martwić, Roxy. Pieprzyć Charles'a-Henriego. Wróć do Kahfornii. Znajdź sobie kogoś.

- Jasne, w piątym miesiącu ciąży.

- Ciąża się skończy.

- Wiem. Wiem, że jakoś się pozbieram, ale na razie po prostu nie obchodzi mnie przyszłość i jestem chora od rozmyślania o tym, co będzie. Czy ty w ogóle masz tu jakieś przyjemności?

Tak, czasem udawało mi się zabawić. Niekiedy spotykałam się z mężczyznami. Najwyraźniej nie sposób uniknąć rozmów z męż-

czyznami, nawet jeśli masz na to ochotę. Mężczyźni zagadują do nas i nie potrafimy ich powstrzymać. Ale mogę przynajmniej do pewnego stopnia decydować o tym, kto do mnie zagada. Na przykład kiedy mam włosy - długie, czarne, kręcone - rozpuszczone do połowy pleców i maszeruję w dżinsach i sportowych butach na grubej podszwie, zaczepiają mnie mężczyźni określonego rodzaju - próbują mnie poderwać chłopcy z Afryki Północnej. Myślą sobie: łatwa amerykańska dziewczyna, może zechce. „Przygoda?” - szepczą w me-trze. Jeśli nie spróbujesz pewnych rzeczy, kiedy jesteś młoda, będziesz potem żałować przez całe życie”, wyjaśnił mi pewien samotny młody Marokańczyk.

„*Je ne regrette rien*”, mówię ze śmiechem, ponieważ to jest jedyne zdanie po francusku, którego jestem całkiem pewna, że starych piosenek Edith Piaf, których Roxy słuchała z taśm jeszcze w Kalifornii. Ale oni kompletnie nie rozumieją, do czego piję.

Jeśli upinam włosy do góry i wkładam okulary, zwracają na mnie uwagę mężczyźni nieco bardziej zamożni - gładcy biznesmeni, turyści z Niemiec. Jeśli owinę szalik wokół szyi, będą brali mnie za Francuzkę. Szalik albo bez szalika, włosy do góry albo na dół. W ten sposób, przesądając o moim przeznaczeniu, poznałam dwu atrakcyjnych mężczyzn, żylastego ekonomistę, niejakiego Michela Breaux (włosy upięte do góry) oraz studenta w bardzo czarnym golfie, Yves'a Dupaina, którego spotkałam w kolejce przed kinem (włosy rozpuszczone). Od czasu do czasu spędzałam wolne popołudnie, wybierając się do kina z Yves'em albo na kolację z Michele'm - a niekiedy, w obu wypadkach, w grę wchodziło coś więcej - po czym czułam się trochę winna wobec Roxy, jak gdybym ją zdradzała. Nie potrafiłam zdobyć się na to, żeby porozmawiać z nią o miłości albo o seksie. Być może wyobrażałam sobie, że takie tematy wytrąciłyby ją z równowagi. Oczywiście wyobraźni widziałam ją, jak stoi przede mną, ze łzami w oczach, coraz szersza w talii, żywa ilustracja niebezpieczeństw związanych z seksem i miłością.

Gdy po raz pierwszy kochałam się z Yves'em, zastanawiałam się, czy zauważę jakąś różnicę, coś, co wyróżnia Francuzów w łóżku. Przypomniało mi się, jak kiedyś, myślę, że to było po zaręczynach

Roxy z Charles'em-Henrim, Chester powiedział przy kolacji: „Zabawna rzecz z tymi Francuzami” i oboje z Margeeve zaczęli zaśmiać się do łez, aż w końcu zażądaliśmy wyjaśnień, o co im chodzi. Wreszcie Chester powiedział:

- Zabawna rzecz z tymi Francuzami / Walczą nogami, a pieprzą się nosami.

Pamiętam, że obie z Roxy byłyśmy trochę zażenowane i zdumione nie tyle samym wierszykiem, ile tym, że Chester powtórzył go w naszej obecności. Mimo całego naszego obycia obie z Roxy nie sądziłyśmy, że Chester może coś takiego zrobić.

- Wszystkie dziewczęta we Francji / Noszą bibułkowe majtki...
- dodała Margeeve.

- Widzę Londyn, widzę Francję.... - powiedziała Roxy.

Ale zarówno z Yves'em, jak i z Michelelem nie przydarzyło mi się nic szczególnie francuskiego, jeśli nie liczyć tego, że po wszystkim Yves spytał z troską: „*As-tu pris ton pied?*”, co przy mojej ograniczonej znajomości francuskiego zrozumiałam jako pytanie: „Czy wzięłaś swoją stopę?”.

Przypuszczam, że znaczy to tyle co: czy dobrze się bawiłaś? I tak zresztą było - i prawdę mówiąc, na ogół dość dobrze się bawiłam, od czasu do czasu randka z Yves'em albo Michelelem lub wyzwanie, jakie stanowiła samotna wyprawa do kina. Czasami rzeczywiście czułam się, jakbym była we Francji u siebie w domu. Na przykład pewnego wieczoru, gdy oglądając telewizję, skakałam po kanałach, szukając kogoś, kto powoli mówi po francusku (miałam nadzieję, że nauczę się francuskiego tak jak dziecko uczy się języka, nasiąkając nim, wchłaniając go, choć w głębi serca wiedziałam, że to nie zadziała i stanowi jedynie wymówkę, żeby nie chodzić na lekcje), zobaczyłam znajomą twarz postawnego, siwowłosego, starszego mężczyzny w garniturze, siedzącego z innymi mężczyznami wokół stołu, przy którym swego rodzaju moderator zwracał się do każdego z nich po kolei i właśnie mówił *JE,talors, M. Cosset?*”, po czym wysoki mężczyzna odezwał się znanym mi głosem. Jak się okazało, to był *l'oncle* Edgar, wuj Charles'a-Henriego! Zaczął z gniewnym obliczem namiętnie o czymś rozprawiać, z czego oczywiście nie rozumiałam ani słowa.

- Co on mówi?
- Wypowiada się na temat Bośni - wyjaśniła Roxy. - Bardzo interesuje się Bośnią.

Zaczęłam się przysłuchiwać. Nawet jeśli nie rozumiało się ani słowa, w jego wypowiedzi słychać było oburzenie i głębokie przekonanie.

- Czym on się zajmuje?
- Jest swego rodzaju podżegaczem wojennym. Kiedyś był inżynierem, potem zasiadał w Izbie Deputowanych - powiedziała, wychodząc z pokoju.
- Ale co mówi?
- Mówi, że Francja zdradziła rezolucje ONZ, własne obietnice i traktat helsiński - wyjaśniła Roxy.
- Czego się domaga?
- Wojny - odrzekła. - Gdyby to zależało od wuja Edgara, kazałby Francuzom zbombardować Belgrad.

Oczywiście obie z Roxy sprzeciwiałyśmy się wojnie. Jako dzieci kalifornijskiego profesora nigdy nie spotkałyśmy nikogo, kto pozytywnie odnosiłby się do wojny w Wietnamie. A jednak - choć trudno to wytłumaczyć - poczułam podniecenie na myśl, że ktoś w pewien sposób z nami związany znajdował się w gronie osób wypowiadających się publicznie na temat polityki swojego kraju, nawet jeśli namawiał do wojny. W Kalifornii nasza rodzina prowadziła prowincjonalne życie, z dala od instytucji rządowych, tymczasem dzięki znajomości z *l'oncle* Edgarem znalazłyśmy się o wiele bliżej francuskiej polityki zagranicznej, niż mogło to się nam kiedykolwiek przytrafić w kraju, toteż ogarnęło mnie swego rodzaju poczucie osobistego znaczenia i zaangażowania. (Kiedyś w college'u poszłam na spotkanie z kongresmenem z Santa Barbara, jak się okazało, łysiejącym młodym mężczyzną, który cały czas się uśmiechał i pocił obficie. Ale, ściśle biorąc, nie spotkałam go przecież osobiście).

Początkowo postawa Roxy wobec problemów małżeńskich wydawała mi się jedynie irytująca, ale myślę, że dopiero kiedy usłyszałam, jak mówi o pigułkach aborcyjnych, poważnie potraktowałam jej

przekonanie, że to koniec małżeństwa. Wcześniej łatwo było zauważyć wyraźny rozdziew między jej stanem emocjonalnym a faktami dotyczącymi tego związku. Po prostu między nią a jej mężem doszło do pewnych rozdrźwięków, wyolbrzymianych przez nadmiar hormonów towarzyszących ciąży albo rozdrażnienie zmęczonej i przepracowanej młodej matki. Znałam Roxy na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest impulsywna i w pewnym sensie rozpieszczona. (W naszej rodzinie utarło się przekonanie, że dziewczynki Margeeve są rozpieszczone, podczas gdy my z Rogerem jesteśmy małymi żołnierzami. Niewątpliwie było w tym żdźbło prawdy). Ale gwałtowne wybuchy Roxy naprawdę wynikały z jej natury, a nie z macierzyńskiej pobłażliwości Margeeve. Roxy żywiła nierealistyczne przekonania na temat ideałów, jakimi ludzie powinni kierować się w swoim postępowaniu, naprawdę wierzyła w istnienie rycerzy i księżniczek oraz w to, że Charles-Henri jest jednym z nich. A teraz dowiadywała się, że jest inaczej, i zachowywała tak, jak gdyby wszystko zostało już przesądzone - rozwód, koniec marzeń — i jak gdyby z pewną ulgą przyjęła fakt, że udało jej się tak lekko i szybko przejść przez największy kryzys w swoim życiu. Mimo to widziałam, że nie bardzo potrafi wypowiedzieć te prawdziwe i złowieszcze słowa: „Charles-Henri mnie rzucił”.

Próbowałam skłonić ją do jakiegoś działania i wyobrazić sobie, jak powiedzieć o tym wszystkim naszym rodzicom. Wreszcie, pewnego dnia, gdy Roxy wyszła do miasta, zadzwoniłam do Kalifornii. Nie byli zaskoczeni moją relacją na temat kłopotów Roxy, a Margeeve powiedziała nawet: „Wiedziałam, że coś takiego się zdarzy”, dokładnie tak, jak to przewidywała Roxy. Chyba rzeczywiście uważali, że coś takiego ją spotka. Ich własne życie, ich rozwody, życie i rozwody ich znajomych stanowiły nauczkę, że nie tylko należy się spodziewać małżeńskich kłopotów swoich dzieci, ale że należy traktować je jako coś nieuchronnego, a nawet jako pewne pozytywne dobro prowadzące w ostatecznym rachunku do szczęścia - do związku z tym właściwym partnerem przeznaczonym przez los, na którego spotkanie nie jest się jeszcze gotowym za pierwszym razem. Obojgu coś takiego podpowiadało ich własne doświadczenie.

Tak było z moim ojcem - moim i Rogera - i naszą konfliktową matką, i tak było z Margeeve i jej gwałtownym mężem alkoholikiem, ojcem Roxy i Judith, którego śmiało można by oskarżyć o maltretowanie. Te złe doświadczenia nauczyły oboje rozsądku i umiaru, toteż od dnia, w którym się spotkali, zachowywali się wobec siebie jak Bóg przykazał. Dzięki temu nasza czwórka, ich dzieci, stanowiła w znacznej mierze nie tyle produkt rozbitych rodzin, ile jednej szczęśliwej rodziny, i jeśli psychologowie się nie mylą, powinno to predestynować nas samych do tworzenia szczęśliwych związków. W ten sposób zdarzenie natury społecznej - rozwód - pozostawało w sprzeczności ze sprzyjającym życiu rodzinnemu charakterem naszego wychowania, sprzeczności, którą można było rozwiązać, jeśli człowiek zaakceptował fakt, że pierwszy rozwód stanowił w istocie wygraną. Jeśli w rozwodzie widzisz tylko katastrofę, staje się on katastrofą.

Usiłuję w ten sposób wyjaśnić, dlaczego Chester i Margeeve potraktowali los Roxy z całkowitym spokojem i, w odróżnieniu od niej, nie oburzali się. Poza tym jestem pewna, że świadomie albo nieświadomie pragnęli, żeby wróciła do domu, do Ameryki, gdzie zgodnie z wolą bożą Amerykanie powinni żyć i **gdzie zawsze** w końcu lądowali, by wspomnieć choćby F. Scotta Fitzgeralda, Hemingwaya, Geralda Murphy'ego i całą masę innych, którzy wyemigrowali do Francji, ale ostatecznie wrócili do domu.

Oczywiście, kiedy Roxy w końcu zadzwoniła do ojca i Margeeve, żeby im opowiedzieć o swoich „kłopotach” z Charles'em-Henrim, nasi rodzice nie kryli stosownego oburzenia i szczerze jej współczuli. Jednak Roxy z irytacją przyjęła fakt, że nie byli zaskoczeni, ponieważ nie uporała się jeszcze sama ze swoim zaskoczeniem! Nigdy nie zdołała się z nim uporać, z tym, że właśnie w chwili, gdy myślała, że wszystko toczy się idealnie, okazało się, że jest zupełnie inaczej.

Ponieważ Roxy nie wiedziała, do jakiego stopnia szczegółowo omawiałam z Chesterem i Margeeve jej sytuację, była zdziwiona, gdy pewnego dnia zadzwoniła do niej Margeeve i powiedziała:

- Roxy, nie pozwól, żeby Charles-Henri zabrał obraz.
- Obraz?

- *Świątą Urszulę*. Gdyby przyszedł do domu zabrać swoje rzeczy, nie powinien uważać, że należy do niego.

Roxy, która podarowała mu ją w prezencie ślubnym, była zdumiona i oniemiała.

- Nie mógłby tego zrobić, ona tutaj wisi, w mieszkaniu. Ale przecież nigdy jej nie lubiłaś.

ROZDZIAŁ 9

Istnieją dobre małżeństwa, nie istnieją rozkoszne.

La Rochefoucauld

Roxy niczym stara konserwatystka uczepiła się przekonania, że jej małżeństwo z Charles'em-Henrim było idealne, ale przez szczeliny w jej opowieściach zaczęłam dostrzegać pewne fakty, które wyjaśniały obecne kłopoty - z punktu widzenia osoby postronnej nic niezwykłego, po prostu sprawy stare jak świat. W jej relacjach z małżeńskiej przeszłości pojawiały się wzmianki o jakimś „weekendzie, który Charles-Henri spędził w Nicei”, i inne podobne uwagi, co skłoniło mnie do przypuszczeń, że Charles-Henri zbyt często bawił poza domem, malując albo odwiedzając członków rodziny. Odniosłam wrażenie, że Roxy spędzała mnóstwo czasu samotnie z Gennie, i znałam ją wystarczająco dobrze, by wyobrazić sobie, jak rozdrażnionym głosem witała męża po powrocie do domu. Raz wspomniała mimochodem, że Charles-Henri nie chciał mieć dzieci. Mieli również problemy finansowe, a Roxy, która poświęciła się bez reszty poezji, nie zamierzała nigdy zająć się czymś tak oczywistym i przyziemnym jak znalezienie sobie pracy. Posiadanie dzieci jest dobrą wymówką do tego, żeby nie pracować zarobkowo, potrafię to zrozumieć. To bardzo wygodne, zwłaszcza we Francji, przyrodzić się w kostium macierzyństwa - macierzyństwo jako kryjówka pozwalająca na pisanie, tak jak wtedy, gdy w domu pisała pod kołdrą przy ławeczce. Poza tym dwoje artystów przypuszczalnie zawsze rywalizuje ze sobą o czas niezbędny do pracy i o prawo do bycia tym, wokół którego wszystko się kręci. Dlatego związki między ludźmi nie mogą

obyć się bez tych biegunowych napięć, piękny-zwyczajny, inteligentny-głupi, dziecko-dorosły?

Z drugiej strony, Roxy miała prawo uważać, że Charles-Henri zachowywał się samolubnie, nie chcąc mieć dzieci. Jak sobie ludzie radzili, zanim zaczęli podejmować takie trudne decyzje, w czasach, gdy dzieci po prostu przychodziły na świat?

We wrześnie ogarnął ją spokojniejszy nastrój jeszcze głębszego przygnębienia, ale zamiast skupić się na własnych problemach, zaczęła się emocjonować sprawą wojny w Bośni. We francuskiej telewizji i na kanale Euronews codziennie można było oglądać migawki, na których słowiańskie kobiety w chustkach na głowach płakały na poboczach dróg i wśród ruin, widać było też ciała w przydrożnych rowach. Uwagę Roxy przykuła zwłaszcza jedna powracająca scena, traktowana przez ludzi telewizji jak swego rodzaju symbol tej głupiej wojny. Jej wyobraźnią zawładnęli bałkańscy Romeo i Julia, serbski chłopak i muzułmańska dziewczyna, albo na odwrót; kochankowie zastrzeleni przez jedną bądź drugą stronę na ziemi niczyjej, gdy usiłowali przekraść się między ruinami i zasiekami z drutu kolczastego. Wciąż na nowo rozpamiętywała obraz ich ciał leżących na ziemi (w dżinsach i tenisówkach) i opowieść o ich rodzinach, które za bardzo bały się ostrzału, by podejść i zabrać zwłoki.

- Co za hipokryzja ze strony Ameryki, która wyrusza na wojnę w obronie bandy Arabów okaleczających kobiety, a potem nie chce pomóc tym biednym Bośniakom - wściekała się Roxy. - Pozwalają Serbom gwałcić kobiety w najlepsze. Wuj Edgar ma rację, Francuzi dają dowód niebываłego tchórzostwa. Już zapomnieli o pierwszej wojnie światowej? Zapomnieli o Chamberlainie? Jak mogą na to wszystko pozwolić?

Oczywiście na jej sposób myślenia miały wpływ publiczne wypowiedzi *l'oncle* Edgara. Nieustannie w telewizji albo w komentarzach dla „Le Figaro” krytykował politykę swojego kraju. Suzanne zawsze dzwoniła do nas, kiedy miał pojawić się na ekranie. Nawet nie znając francuskiego, potrafiłam bez trudu wychwycić najważniejsze elementy jego wypowiedzi: *horreur, scandale, honneur, honte*.

Widziałam, że Roxy, która zwykle nie była osobą pretensjonalną, w pewnym sensie postrzegała własną sytuację przez pryzmat nieuchronnej katastrofy czekającej Bośnię, i widziałam, że ta jej skłonność do użalania się nad sobą była przemieszana z mściwą satysfakcją, jaką odczuwała, wyobrażając sobie martwe ciało Charles'a-Henriego porzucone na ziemi niczyjej.

Mimo to nadal nie starała się z nim porozmawiać ani nie chciała zwierzyć mi się ze swoich uczuć. Przypuszczałam, że na pewno po cichu planuje dalsze posunięcia albo że ogarnął ją jakiś letarg związany z ciążą. Raz wpadła w panikę, gdy okazało się, że zaczynają jej puchnąć kostki. Wciąż jeszcze widzę, jak łkając, siedzi na sofie (*canape*) i powtarza: „To nie są moje nogi, te słoniowe nogi od fortepianu, nawet ich nie czuję”. Lekarze niepokoiли się, że może to być zapowiedź dolegliwości znanej jako stan przedrzucawkowy, i kazali jej nie jeść soli i stawiać się co dwa tygodnie na badania. Poczowała się lepiej, kiedy włożyła elastyczne pończochy, ale nawet wtedy, gdy wydawało się, że jej stan może być poważny, nie pozwoliła nikomu zaawiadomić Charles'a-Henriego.

W końcu postanowiłam sama z nim porozmawiać. Dowiedziałam się, gdzie mieszka, dzięki temu, że przypadkowo wpadłam na Charlotte de Persand Saxe, jego siostrę. Za namową pani Pace poszłam na wystawę grupy malarzy, którzy nazywali samych siebie nabistami. Okazało się, że należeli do niej Vuillard i Bonnard oraz kilku innych, 0 których nigdy nie słyszałam. Najbardziej podobały mi się płótna niejakiego Vallottana, ponieważ w jego deszczowych krajobrazach i obrazach przedstawiających szare ulice znajdował się zawsze jakiś jasnoczerwony akcent w postaci szalika albo parasolki, symbolizujący dla mnie pojawianie się w życiu nieoczekiwanych i czasami szczęśliwych wydarzeń. I właśnie kiedy się nad tym zastanawiałam, szczęśliwym zbiegiem okoliczności na tej samej wystawie natknęłam się na Charlotte, która miała na sobie czerwoną sukienkę i wspaniale pachniała perfumami. Charlotte jest jedną z tych Francuzek, które wydają się przesiąknięte perfumami od stóp do głów. Postanowiłam, że przy okazji zapytam przyjaciółkę Roxy, Janet, tę, która pisze książkę o Francuzkach, jak one to robią.

Charlotte przyszła w towarzystwie Anglika, którego przedstawiła jako Gilesa Wheatinga; jego nazwisko wydało mi się skądś znajome. Brytyjski dziennikarz? „Kochanek”, o którym wspomniała jej matka? Ale w ich zachowaniu nie było widać cienia zakłopotania czy zaskoczenia typowego dla ludzi przyłapanych na gorącym uczynku. Po prostu spytałam ją, gdzie mieszka teraz Charles-Henri, a ona podała mi numer telefonu do wiejskiego domu niedaleko Illiers. Rodzina Persandów ma tam nieduży domek, do którego Charles-Henri jeździł malować i uprawiać ogródek. „Musimy kiedyś umówić się na kawę i porozmawiać o tym dłużej”, dodała.

Tego samego dnia wieczorem zadzwoniłam do Charles'a-Henriego, który przez telefon był niezwykle uprzejmy, miał jedynie odrobinę powściągliwości w głosie, i z radością przyjął pomysł spotkania się następnego dnia.

Chociaż Cafe Vues de Notre Dame leży niedaleko ich mieszkania, jest tak ogromna i pełna turystów, że można ją uznać za neutralny grunt, na którym można bezpiecznie się spotkać. W każdym razie na pewno nie był to ani teren Roxy, co byłoby niestosowne, ani miejsce budzące jakieś wspomnienia. Usiadłam w głębi tarasu od strony ulicy, nieco osłoniętego, ale wciąż narażonego na zapach papierosowego dymu, i zamówiłam kawę. Charles-Henri pojawił się dosłownie chwilę później. Na policzku miał nową bliznę, ale poza tym nic się nie zmienił od czasu, gdy poznałam go w Kalifornii jako atrakcyjnego młodego mężczyznę o dość bladej skórze z lekko błękitnym odcieniem, więc gdyby zapuścił brodę, musiałaby być czarna, co kłóciłoby się z jego jasnymi rzęsami. Jego niezmiennie ujmujący uśmiech natychmiast ustąpił wyrazowi szczerego zatroskania i jak przystało na członka rodziny, pocałował mnie trzy razy w oba policzki.

- *La petite habel! Ca va?* - Jestem wysoka, ale we Francji wszystko jest *petite*, jeśli człowiek chce zaznaczyć, że nie warto zwracać na to uwagi, jak *petit* problem albo *petit* rachunek. - Tak się cieszę, że cię widzę. Wiem, jak musisz być na mnie zła. Moja matka także jest zła i możesz sobie wyobrazić, jak się z tym wszystkim czuję.

- Prawdę mówiąc, chciałabym jakoś pomóc. Kompletnie się pogubiłam - powiedziałam. - Roxy nic mi nie mówi. Pomyślałam, że może coś mogłabym zrobić.

- Jak się czuje moja kochana Gennie? Mam nadzieję, że wkrótce ją zobaczę, po prostu nie wiedziałem, jak to wszystko ułożyć z Roxy, kiedy mógłbym ją odwiedzać i tak dalej. Strasznie za nią tęsknię.

- I ona za tobą tęskni - zaznaczyłam i od razu pożałowałam swojego oskarżycielskiego tonu. - Czuje się bardzo dobrze. Pyta o ciebie, ale potem zapomina. Ma tylko trzy lata.

Charles-Henri: - Och, *mon Dieu*. Chesz coś?

Ja (zdezorientowana): - E...?

Charles-Henri: - Mam ochotę na kanapkę, nie jadłem lunchu.

Po kilku tygodniach we Francji powinnam już pamiętać, że w trudnym momencie rozmowy Francuzi zawsze zaczynają mówić o jedzeniu. Przywołał gestem kelnera i zamówił.

- Kanapka *rillettes*.

- Twoja rodzina zachowuje się naprawdę bardzo dobrze, naprawdę starają się pomóc - powiedziałam. - Ale problem w tym, że najwyraźniej nikt nie wie, co się właściwie dzieje, to znaczy między tobą a Roxy. - Starałam się mówić możliwe jak najbardziej otwarcie.

- A... Między nami nie dzieje się nic złego - oznajmił. I widząc moje zdumienie, zaczął mnie zapewniać, jak bardzo kocha Roxy i Gennie.

- Może też wezmę kanapkę - rzekłam. - *jambon fromage*.

Pomachał w stronę kelnera. Zapadło milczenie Złożył zamówienie, wrócił kelner z kanapką. Jak zadawać bolesne pytania, nie zadając ich w sposób bolesny? Na przykład: jeśli kochasz je tak bardzo, to dlaczego jesteś takim dupkiem?

- To wszystko absolutnie moja wina. To ja jestem winny, co do tego nie ma dwóch zdań - oświadczył.

Dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią przyznawać się do winy, mówić, że zrobili źle? Nauczyli się, że kobiety uwielbiają wybaczać, a w każdym razie tak im się wydaje. W rzeczywistości nikt niczego nigdy nie wybacza, to dla mnie jasne.

- Czy nie moglibyście, no wiesz, poszukać porady psychologa? Nie macie tutaj we Francji poradni małżeńskich?

- Isabel, w tej sprawie nic nie da się zrobić. Nic na to nie poradzę, wiesz, spotkałem kobietę mojego życia, miłość mojego życia, to nieuchronne. Chcę być tylko z nią. Wiem, że to byłoby trudne dla każdej kobiety, żeby to zrozumieć, i wiem, że Roxy nie rozumie.

W tym momencie poczułam wielką ulgę. Było tak, jak przewidywała matka Charles'a-Henriego, po prostu się w kimś zakochała, chwilowy efekt ciąży Roxy i wszystko, co Roxy ma do zrobienia, jeśli potrafi mu wybaczyć, to urodzić dziecko i przeczekać tę historię.

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie opowiadać mi o swojej nowej miłości.

- Magda Tellman. Poprzednio wykładała socjologię w Nantes. Jest bardzo inteligentna. Wyszła za Amerykanina, czy to nie komiczne w pewnym sensie? Zbieg okoliczności. Każde z nas wzięło ślub z Amerykaninem. Tellmanowie żyją w separacji i my jesteśmy w separacji. Taka symetryczna sytuacja.

Mówił dalej, z napięciem, usiłując mnie do czegoś przekonać, ale nie bardzo wiedziałam do czego.

- Wiem, że to brzmi niedorzecznie, fantastycznie, romantycznie w najgorszym sensie, lecz to silniejsze ode mnie. Możesz mi wierzyć, ale to daje pewną ulgę. Odnaleźć wreszcie jakąś pewność w życiu. A może oczywistość?

Współczułam mu jego romantycznego serca, tak jak współczułam Roxeanne jej romantyzmu. W tym momencie byłam zadowolona, że nic takiego mi nie dolega.

Sprawa miała wrażenie człowieka, któremu naprawdę zależy na tym, żeby ze mną porozmawiać. Zaczął wypytywać o Roxy, ale jak sądzę, naprawdę chciał porozmawiać z kimś o Magdzie, o tym cudownym zjawisku, jakim (mimo komplikacji) jest miłość. O tym, jak wraz z nią zniknął wszelki element wyboru, i o tym, jak dobrze mu się teraz malowało. O tym, jak ze zła może wynikać coś dobrego. W końcu powiedzieliśmy sobie do widzenia. Ale moje pytania zostały. Czy Charles-Henri w równie afektowany sposób opowiedział Roxy o swojej namiętności? Czy poczuła się w związku z tym tak

głęboko upokorzona, że nie chciała nawet mnie się tego zwierzyć? Czy powinnam powiedzieć jej, że spotkałam się z nim i że wiem o Magdzie (co za imię!)?

Coś dziwnego przydarzyło mi się, kiedy szłam odebrać Gennie z *creche*. Przechodziłam właśnie przez esplanadę przed katedrą Notre Dame. Staralam się zawsze unikać tego miejsca smaganego przez wiatr i pełnego turystów, którzy gapią się w górę, ze wszystkich stron obwieszeni aparatami fotograficznymi. Po kilku tygodniach spędzonych w Paryżu nie czułam już nabożnego dreszczu, jaki przeszył mnie za pierwszym razem (choć nie jestem religijna), i zwykle szłam drugą stroną placu, żeby uniknąć tłumu, ale tego dnia poszłam bliższą stroną, tuż obok niewielkiego ogrodzenia, które oddziela katedrę od ulicy, i zatrzymałam się na chwilę, żeby spojrzeć w oczy kamiennym postaciom apostołów zdobiących jej fasadę.

Stoi tam zawsze jakiś żebrak i to jest niezmiennie ten sam żebrak (albo „bezdomna osoba”). Ma ciemną skórę niczym mieszkaniec Indii lub Pakistanu albo Cygan i jest niewidomy. Zawsze na posturunku, z wyciągniętym kubkiem, oparty na lasce, ubrany w luźną bluzę z kapturem, niczym jakaś postać z Biblii, patrzy przed siebie niewidzącymi oczami bez źrenic, białymi jak księżyc.

Zawsze zerkam na niego, ponieważ zważywszy na to, że stoi u wejścia do katedry Notre Dame, zastanawiam się, czy nie jest to najważniejsze, prawdziwie królewskie miejsce do żebrania w Paryżu, a może nawet na świecie? I czy nie ma jakiejś rywalizacji o ten lukratywny kawałek chodnika, o punkt, gdzie mijają go grzesznicy całego świata, gdy pełni skruchy zmierzają do katedry albo ppuszczają wewnątrz wielkiej budowli? Czy istnieje jakaś hierarchia żebraków, na mocy której ranga i starszeństwo zapewniają prawo do żebrania w takim miejscu? Czy raczej żebracy są jak gołębie, skazani na to, że wyrastają tam, gdzie się urodzili, i los z całą obojętnością przydziela im okruchy pustych, ponurych alei albo parki pełne ludzi? Tak czy inaczej, na mocy jakiego prawa albo zwyczaju ten żebrak miał dla siebie całą katedrę Notre Dame?

I właśnie w chwili, kiedy obok niego przechodziłam, spoglądając w górę, a potem, siłą rzeczy, niechętnie (ponieważ nienawidzę widoku

jego białych oczu) na niego, powiedziała: „Isabel”. Przeraziło mnie to tak bardzo, że przyspieszyłam kroku i poszłam w stronę Hotel de Ville, coraz bardziej zaniepokojona, a jednocześnie zafascynowana, gorączkowo szukając jakiegoś wyjaśnienia - zbieg okoliczności, głos jakiegoś innego człowieka? Do dziś nie udało mi się tego wydarzenia wytłumaczyć.

Weszłam cicho do mieszkania Roxy, zastanawiając się, co to właściwie mogło znaczyć. Roxy rozmawiała przez telefon. Mówiła po angielsku, więc pewnie z którąś z amerykańskich przyjaciółek albo, jak się okazało, z kimś z naszej rodziny, Chesterem lub Margeeve. Usłyszałam, jak wspomniała o Roscoe, ich kocie, i Ralphiem, ich psie. Nie przysłuchiwałam się zbyt uważnie, dopóki nie usłyszałam własnego imienia. Dźwięk twojego imienia zawsze przebija się do ciebie z siłą kuli przeszywającej chmurę.

- Teraz radzi sobie lepiej - opowiadała Roxy. - Umówiła się parę razy. Ma chyba z dziesięć różnych dorywczych prac, ale myślę, że stara się je wykorzystać jako sposób na wykręcanie się od opieki nad dzieckiem. I nadal nie mówi ani słowa po francusku.

To było niesprawiedliwe, ponieważ opiekowałam się Gennie za każdym razem, kiedy o to poprosiła, i niemal przesadnie często mówiłam *bonjour*. Przysłuchując się dalej tej rozmowie, uświadomiłam sobie, że cały czas spiskowali za moimi plecami, omawiając moje poczynania, postępy i stan ducha.

- Ołivia Pace wyraża się o niej bardzo dobrze, najwyraźniej naprawdę jej pomaga - mówiła dalej Roxy. - Wyprowadza psa mojego przyjaciela Amesę, takie rzeczy. Myślę, że jakoś sobie radzi.

Oczywiście, powinnam była się tego domyślić. Dla nich to ja stanowiłam problem, nie Roxy, to nade mną wspólnie łamali głowę. Nie wysłano mnie tutaj po to, żebym pomogła Roxy, to Roxy zgodziła się mną zaopiekować, młodszą siostrzyczką, która zawsze miała jakieś kłopoty, a teraz nie wiedziała, co zrobić ze swoją przyszłością. Na pewno mieli nadzieję, że spotkam jakiegoś miłego, europejskiego hrabiego albo że zainteresuję się pracą lektorki angielskiego dla obcokrajowców. W najgorszym razie nauczę się francuskiego. Byłam przerażona. Czułam, jak policzki oblał mi rumieniec gniewu i zakło-

potania, zupełnie jakbym znalazła plamę krwi z tyłu na sukience i uświadomiła sobie, że miałam ją tam całe popołudnie.

Kwestia mojego charakteru zawsze prowokowała gwałtowne spięcia między Chesterem a Margeeve, a raz doszło nawet do dramatycznej kłótni przy obiedzie, rzadki wypadek, muszę dodać, ponieważ Chester i Margeeve są spokojni i opanowani. Margeeve uważa jednak, że zaszczepiono mi nadmierne poczucie obojętności wobec własnego losu, co, jak mówi, zdradza ukryty seksizm Chestera. Mojego brata Rogera już od szkoły podstawowej kierowano w stronę studiów prawniczych, ale moja przyszłość miała jakoś wyklarować się sama. „Prawda jest taka, że nigdy nie traktowałeś Isabel poważnie, ponieważ jest dziewczyną”, wypaliła wtedy Margeeve. Na co mój ojciec odparł: „Zawsze traktowałem Isabel poważnie - tu lekko westchnął - ale nigdy jej nie rozumiałem”. Pamiętam, że dodałam wtedy: „To na pewno”.

Niemniej sama rozumiałam, podobnie jak oni, że Roxy ma prawdziwy talent literacki i kocha poezję, prawdopodobnie nie będzie równie dobra w niczym innym, a poza tym zajmowanie się poezją zostawia mnóstwo czasu na to, żeby wychowywać dzieci, uczyć czegoś albo (jak zauważyłam) po prostu *fl&ner* po ulicach Paryża, co oznacza tyle co kręcić się po okolicy bez poczucia winy, że człowiek nie zajmuje się czymś pożytecznym. Szczęśliwa Roxy. A teraz miała jeszcze w postaci ciąży powód do tego, by nie opuszczać żadnych posiłków. Z tego punktu widzenia jej życie było niemal idealne, jeśli nie liczyć problemów małżeńskich, które jednak nadal postrzegałam jako chwilowe zawirowania.

Udawałam więc, że niczego nie słyszałam.

- Spotkałam się z Charles'em-Henrim - powiedziała, kiedy odłożyła słuchawkę. - Rozmawiałam z nim. Pomyślałam, że powinnam sama z nim porozmawiać, może traktujecie to wszystko zbyt poważnie.

- Przyjechał do Paryża? Jak wygląda? - Nagle bardzo się ożywiła.

- Powiedział, że zakochał się w jakiejś kobiecie. Mówi ci o tym? Nie odpowiedziała.

- W każdym razie ja poczułam wielką ulgę, kiedy to usłyszałam - dodałam. - Pomyślałam sobie: Och, a więc to tylko to.

- Tylko to? Tylko to?! - W jej głosie zabrzmiał ton hysterii.
 - Mężczyznom to przechodzi. Wszystkim przechodzi. Mnie zawsze przechodzi.
 - O tak, przejdzie mu tak samo, jak przeszło mu do mnie, ale nie można udawać, że nic się nie stało, nie da się tego cofnąć. Tak, oświadczył mi, że spotkał miłość swojego życia. Co można powiedzieć na takie słowa?
- A więc wiedziała od początku. To była ta jedyna rzecz, której nie może mu wybaczyć.

ROZDZIAŁ 10

Jako młodszy, bardziej podległy wzruszeniom, przyzwyczaiałem się zamykać wszystko w sobie, tworzyć plany jedynie na własną rękę, liczyć wyłącznie na siebie.

Adolf

Nie powinnam się była dziwić, że moi rodzice niepokoiili się moimi planami na przyszłość. Przyznaję, że sama byłam nieco zdezorientowana. W szkole filmowej postanowiłam, że napiszę scenariusz. Będę reżyserować. Może moim przeznaczeniem było zostać aktorką, a może dziewczyną, która podaje kawę - ostatecznie tak właśnie skończyłam. Ale oczywiście Paryż nie był żadnym „końcem” (przypominałam sobie, leżąc w *chambre de bonne* Roxy), to był dopiero początek, czy też, ściśle biorąc, rodzaj przerwy, czas do namysłu. Nie miałam jednak pojęcia, że nasi rodzice się o mnie martwią, i trochę wściekałam się na myśl, że inni ludzie, patrząc na mnie, widzą różne rzeczy, które wzbudzają ich niepokój, ale nic mi o tym nie mówią, więc nie mogę rozwiązać ich obaw ani zapewnić, że będzie dobrze. Ja wiedziałam, że wszystko będzie w porządku, ale oni tego nie wiedzieli. Przypuszczam, że szaleńcy czują podobny rozdziew między sobą a innymi i tak zapewne czują się ludzie śmiertelnie chorzy. To straszne, kiedy inni muszą się o ciebie martwić; poza tym to jest jakoś obraźliwe. A może takie myśli naruszają zasady politycznej poprawności?

Roxy wcale nie była taka pewna, czy wszystko w jej życiu skończy się dobrze. Zaczęła co dzień powtarzać: „A może powinnam się rozwieść?”. Zachęcałam ją, żeby przynajmniej porozmawiała

z Charles'em-Henrim, zanim zdecyduje się na taki krok, i żeby porozmawiała z innymi. Nie wiedziałam, ile razy rzeczywiście rozmawiali ze sobą od chwili mojego przyjazdu - upłynęło już ponad trzy miesiące. Ale Roxy nadal była nieprzejednana.

- Co tu jeszcze omawiać? Nie ma sensu tego przeciągać. Po prostu znowu będzie niewierny. Wzorzec niewiernego francuskiego męża, znam to aż za dobrze z powieści Colette, Balzaka, Zoli. Wkrótce będzie jak nie ta kobieta, to inna, jakaś kochanka na stałe zainstalowana na innej ulicy, może nawet jakieś dziecko lub dzieci. Albo będzie się uganiał za dziewczętami przychodzącymi do opieki nad dziećmi, coraz młodszymi, coraz bardziej naiwnymi, łatwowiernymi, w miarę jak on będzie coraz starszy, albo za kelnerkami z McDonalda, albo dziewczętami handlującymi na targu. Niedobrze mi się robi na myśl, że miałabym przez to wszystko przechodzić. I za każdym razem będzie coraz bardziej mną pogardzał.

Chociaż nie chciała na ten temat z nim rozmawiać, zaczęła jednak omawiać kwestie rozwodu z innymi ludźmi, co stanowiło z mojego punktu widzenia ogromny krok naprzód. Przyjaciółki Roxy z okolic Place Maubert, *zwłaszcza* Tammy de Bretteville i Anne-Chantal de Lartigue, uważały, że ma rację. Zdrada, kiedy już raz do niej dojdzie, będzie się powtarzać. Ale nie zgadzały się z nią, że powinna się rozwieść. We Francji trzeba po prostu brać mężczyzn takimi, jakimi są.

W podobnym tonie wypowiadała się Suzanne de Persand.

- *Le divorce* zawsze jest błędem. Teraz czujesz się skrzywdzona, zraniona i *enciente*, to nie najlepszy moment na podejmowanie decyzji. - Jak wyjaśniła, francuscy mężowie - podobnie jak wszyscy mężczyźni - po prostu zawsze mają jakieś romanse. - Czemu tylko z tego powodu zniszczyć sobie życie i stracić pozycję społeczną?

Roxy odrzuciła tę postawę jako wiktoriańską obłudę, pozostałość epoki, w której kobiety były całkowicie bezsilne i brakowało im szacunku dla samych siebie.

- To takie amerykańskie - westchnęła Suzanne zniecierpliwiona. - Pomyśl o dzieciach, one potrzebują ojca. Pomyśl o niedogodności samotnego macierzyństwa.

Suzanne uważała, że Roxy zachowuje się impulsywnie i rozczuła nad sobą, ale wiedziałam, że w rzeczywistości chodziło o jej zranione uczucia. Roxy była śmiertelnie zraniona.

Pani Pace także doradzała cierpliwość. Pewnego dnia, kiedy właśnie u niej pracowałam, Roxy przyszła na lunch i we trójkę omówiłyśmy tę sprawę.

- Sama się kiedyś rozwiodłam - oświadczyła pani Pace - i nie jestem pewna, czy to naprawdę jest jakieś rozwiązanie. Choć możesz potem wyjść za kogoś innego. Na podstawie własnych doświadczeń mogę powiedzieć, że najlepiej mieć tego kogoś innego zawczasu na oku.

Jako jedyna z grona powierników mojej siostry wcale nie byłam taka pewna, czy Roxy się myli. Bo co z miłością? Jak można pozostać żoną kogoś, kto kocha inną bardziej niż ciebie? A co z przyszłością, być może z innym partnerem? Roxy miała przed sobą, jak to się mówi, całe życie. Próbowałam skłonić ją do zastanowienia, wszyscy staraliśmy się ostudzić jej reakcje, ale coś mówiło mi, że Roxy powinna po prostu dać sobie spokój z tym małżeństwem i zająć się własnym życiem.

Pracowałam dla OHvii Pace trzy razy w tygodniu. Pani Pace bardzo wcześnie, już w latach czterdziestych, została sławną pisarką i od tamtych czasów przeżyła wiele ważnych postaci literackich, które kiedyś znała i z którymi sypiała. Jeśli sądzić na podstawie liczby listów, jakie miała w swoich zbiorach, świat niecierpliwie czekał na jej wspomnienia, powoli zaczynała więc zbierać materiały, żeby zabrać się do pisania. Moje zadanie polegało na porządkowaniu papierów i faktów w teczkach opatrzonych datą, rok po roku. W teczce mogły znaleźć się listy, jakie gazetowe wycinki, które udało jej się zachować, kopie utworów, jakie napisała w tym okresie, oraz lista rzeczy, jakie sobie wtedy kupiła, jeśli je pamiętała. Na przykład „jedwabny niebieski kostium Cardina 1972” albo „pierwszy Dior 1959”, albo „kredens Sheraton, Bristol 1948”, albo recenzja z jednego z kilku niewielkich czasopism, do których pisała.

W tej pracy najbardziej podobało mi się to, że miałyśmy coś w rodzaju roboczego lunchu, podczas którego rozszyfrowywała dla mnie

rozmaite przedmioty i nazwiska osób, których nie potrafiłam sama zidentyfikować. To właśnie wtedy snuła swoje historie. Myślę, że polubiła mnie dlatego, że znałam imię pewnej postaci z powieści Conrada *Zwycięstwo*. Znałam je, a ona nie, zaczęła więc darzyć mnie niejakim respektem i od tamtej pory postrzegała mnie w nowym świetle jako kogoś bardziej obiecującego, niż jej się początkowo wydawało. Uznała, że warto zainwestować w moją edukację. W rzeczywistości przerabialiśmy *Zwycięstwo* Conrada w szkole filmowej na zajęciach z adaptacji dzieła literackiego, ale tak naprawdę nigdy go nie czytałam.

Jeśli chodzi o mnie, jej zachęty zrobiły na mnie ogromne wrażenie, ponieważ była kobietą, która uniknęła pułapek, jakie w moim przekonaniu stały się udziałem innych znanych mi kobiet, na przykład Margeeve, która w istocie nigdy nie zrobiła jakiegoś widocznego użytku ze swojego umysłu i dlatego przejawia coś w rodzaju niepokojnego poczucia niezadowolenia, mimo że, jak sądzę, jest osobą szczęśliwą. Nawet Roxy ze swoim ufnym, romantycznym obrazem mężczyzn właściwie nie wykorzystywała w pełni swoich możliwości, jeśli nie liczyć od czasu do czasu jakiegoś wiersza, ale wiersze są krótkie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że marzycielskie wyobrażenia Roxy na temat mężczyzn przypuszczalnie wzięły się stąd, że mój ojciec niczym dzielny rycerz wyratował jej matkę Margeeve od smutnego losu maltretowanej żony i perspektywy surowych ograniczeń samotnego macierzyństwa.

Wyglądało na to, że pani Pace korzystała z wszystkich przywilejów kobiecego życia - miała bogatych mężów, dzieci, suknie od Givenchy'ego i mnóstwo porcelany Haviland. A jednocześnie nie rezygnowała z przywilejów właściwych mężczyznom - przyjemności seksualnych występków (może lepiej „przygód”, jak to się mówi w wypadku mężczyzn) oraz intelektualnych rozkoszy pisania, wyrażania własnych opinii, których inni słuchają z uwagą - z męskich przyjemności intelektualnej niezależności opinii i sądu na tematy ogólne niezwiązane z losem kobiet, który nie wzbudzał jej zainteresowania. Na jej przykładzie zrozumiałam, czego przypuszczalnie szukałam w szkole filmowej - autonomii, choć nie było to miejsce,

w którym mogłabym ją znaleźć. Za daleko już zaszłam na drodze konwencjonalnej kobiecej socjalizacji, by zadowalać się technicznymi aspektami pracy nad filmem - problemami oświetlenia, steadicamem czy zdjęciami z ręki, dubbingiem, montażem, miksowaniem.

Właśnie dlatego, ściśle biorąc, wylądowałam w swego rodzaju próżni, jeśli chodzi o to, co zrobić ze swoim życiem. Pani Pace nie martwiła się o mnie, ponieważ wierzyła w moje zdolności, i dzięki temu stała się moją idolką, albowiem, jak przypuszczam, to jest właściwe słowo, nawet jeśli bywa nadużywane, na określenie kogoś, kto sprawia, że pragniesz sprawić mu przyjemność i zasłużyć na jego sympatię, i na czyjej uwadze ci zależy. Uczucia, jakie żywiłam wobec pani Pace, nie przypominały tych, jakie czułam wobec Chestera czy Margeeve ani mojego rodzeństwa; kochałam ich, w różnym stopniu, nie dbając wiele o to, co o mnie pomyśla.

Tymczasem pani Pace była postacią ważną i znaczącą. Nie kryła swoich opinii o ludziach. I jeśli twierdziła, że ktoś jest głupcem, to niekoniecznie oznaczało, że ma mu to za złe; wszystko zależało od tego, jakiego rodzaju był głupcem. To pierwsza spotkana przez mnie osoba, która mówiła całą prawdę, nawet jeśli była politycznie niepoprawna, i zwykle miałam wrażenie, że sama czułam coś takiego w głębi duszy już wcześniej. Nie bała się powiedzieć, że w rzeczywistości wcale nam się nie podoba, że, dajmy na to, osoby niepełnosprawne zajmują wszystkie miejsca parkingowe. Ale miała także zdecydowane poglądy moralne, a jednocześnie mówiła, że nie powinniśmy działać pod wpływem emocji. Nauczyła mnie, że ostre albo nieliberalne reakcje na różne sprawy nie są wcale czymś nienormalnym, choć jest czymś złym działanie pod ich wpływem, i że ludzie nie zasługują na moralne uznanie z powodu hipokryzji, z jaką ukrywają takie rzeczy jak rasizm nawet przed samymi sobą. Jak mawiała, dopiero gdy skonfrontujesz się z własnym rasizmem, możesz go wykorzenieć.

- Nie mówię, że prawda cię wyzwoli - przekonywała - ale jest lepsza niż obłuda, ponieważ przynajmniej wiesz wtedy, na czym stoisz.

Dzięki pani Pace dostałam wiele innych zajęć. Jednym z nich było pilnowanie domu państwa Randolphów, Cleve'a i Peg, pary po

sześćdziesiątce, którzy, jak sądziłam, pasują do kategorii osób określanych przez Amesa mianem bogatych rentierów, ale pani Pace powiedziała o nich:

- Szpiedzy, prawdę mówiąc.

Widząc moje przerażenie, dodała:

- Oczywiście są bardzo mili.

I rzeczywiście, Randolphowie byli mili. Emerytowani ludzie CIA - ale czy naprawdę można kiedykolwiek się z tego wycofać? - a do tego jakiś fundusz powierniczy, sądząc po ich wytwornym mieszkaniu przy Place des Vosges. Pani Pace dosyć ich lubiła.

- Wszyscy byliśmy w CIA - oświadczyła. - CIA przyjechało do Wellesley, kiedy rozdawano dyplomy, i zaoferowało każdej dziewczynie pracę i aparat fotograficzny oraz poczucie spełniania patriotycznego obowiązku. Zgodziłam się oczywiście, ale okazało się, że mam pojechać do stolicy Gwatemali, więc się wycofałam.

Jak na kogoś tak blisko związanego w latach młodości z lewicą (dowiadywałam się o Trockim, Stalinie, Wobblies itp.) utrzymywała teraz kontakty z ludźmi o bardzo różnorodnych poglądach politycznych. (Mam ochotę dodać: pod warunkiem, że byli bogaci, ale w pewnym sensie wszyscy Amerykanie, jakich znałam w Paryżu, byli bogaci. Nawet turyści z plecakami, w sandałach i bez grosza stali w kolejce do American Express, żeby wyciągnąć parę dolarów z jakiegoś zasobnego źródła po drugiej stronie oceanu. Wkrótce się przekonałam, że tak naprawdę wcale nie rozumiem, na czym polega bogactwo. Symbole zamożności czytelne w Santa Barbara, na przykład samochody, okazywały się mylące w Paryżu, albo w ogóle ich nie było, wszystkie zaś mieszkania wydawały mi się małe. Początkowo przyjmowałam, że spotykani przeze mnie ludzie mają kłopoty finansowe, a wtedy Roxy mówiła ze śmiechem „Chyba żartujesz?”).

Jednak najbardziej zaskoczyli mnie nie Randolphowie z CIA, ale następny klient, czy może pracodawca, nie wiem, jak mam ich nazywać, Stuart Barbee. Przypuszczałam, że wszyscy Amerykanie mieszkający w Paryżu znaleźli się tutaj, ponieważ bardziej im się tu podobało i tak ułożyli sobie życie, żeby móc się tu znaleźć. Ale spotkałam pewną grupę osób, które najwyraźniej nienawidziły Francji i tęsknie

spoglądały w stronę Ameryki, jak gdyby znalazły się na jakimś okrutnym wygnaniu. Należał do nich Stuart Barbee, historyk sztuki, u którego miałam pomalować jadalnię. Szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce, z lekko południowym akcentem. Myślę, że kiedyś był partnerem Amesa Everetta, ale teraz żyje z angielskim fryzjerem o imieniu Conrad albo Con, co stanowi wielki powód do żartów, ponieważ po francusku *con* to bardzo wulgarnie słowo. Miałam wrażenie, że Stuart cały czas poddaje próbie moje przeświadczenia.

- W taką deszczową pogodę pod koniec lata na pewno bardzo tęsknisz do Kalifornii, Isabel. Wrzesień jest tam taki piękny. Spędziłem raz miesiąc w Muzeum Getty'ego. Tak tam pięknie i ocean - mam bżika na punkcie oceanu. A ty? Mogę sobie wyobrazić, jak surfujesz w bikini. (Nieprzekonujący uśmiech).

Albo:

- Mój Boże, ci ludzie i ta ich parodia marnego hamburgera.

Albo:

- To niełatwe siedzieć spokojnie, gdy twój kraj wpada w ręce prostaka, który wykręcił się od służby. Prawie mam ochotę wrócić i zaangażować się w działalność polityczną albo pracować dla Rossa Perota.

Powtórzyłam tę ostatnią rozmowę pani Pace podczas naszego lunchu. Prychnęła:

- Wykręcił się od służby? Naprawdę zdumiewa mnie ta rewizjonistyczna świętoszkowatość w sprawie Wietnamu. Nie wiem, czemu się to wyciąga właśnie teraz. I to wyrażenie „wykręcił się od służby” wzięte nie wiadomo skąd, jak pamiętam, nie używano go nawet w czasach wojny wietnamskiej. To z okresu drugiej wojny światowej, może nawet pierwszej wojny. Zajrzyj do Oxford English Dictionary. Myślę, że posługują się nim teraz ludzie, który stracili już swoją urodę i chcą się odegrać na młodszym prezydencie. Czy pozwoliłabym na to, żeby mój syn Drew pojechał do Wietnamu? Oczywiście, że nie. Na szczęście wylosował bezpieczny numer.

Ożywiła się, poruszając te kwestie, odłożyła serwetkę obok talerza, dotykała teraz swoich pereł.

- Nie możesz tego pamiętać, Isabel, byłaś za mała, ale każdy, kto miał oczy, widział, że te małe wietnamskie dzieci nie były żadnym

zagrożeniem dla wolnego świata. Mimo to głusi prezydenci nie chcieli o niczym słyszeć. Ameryka stawiała opór swoim przywódcom, czego niestety nie zrobili swego czasu młodzi Niemcy. Postrzegaliśmy naszych przywódców jako okrutnych mężczyzn opętanych przez podniecający impuls żądzy krwi. To była jedna z niewielu wojen w dziejach, w której kobiety odegrały naprawdę pokojową rolę.

Musiła dostrzec zdumienie na mojej twarzy, ponieważ zaczęła wyjaśniać:

- Zwykle nie uważam kobiet za istoty jakoś szczególnie moralne. Wydają się nie lepsze od innych. Prawdę mówiąc, na ogół nie uważa się ich za istoty niezależne pod względem moralnym, to znaczy osoby, które dokonują wyborów etycznych, jeśli nie liczyć sytuacji transgresji seksualnych. Ale może nawet i to ich nie dotyczy - „kobieta, która uległa cudzołóstwu”. Hm. Większość z nich, trzeba to przyznać, nie jest zbyt odpowiedzialna. Choć i tak muszą ponieść konsekwencje.

Powiedziałam, że czasami odnoszę wrażenie, iż pani Pace nie ma zbyt wiele szacunku dla kobiet.

- No cóż - westchnęła - współczuję im, ale to nie to samo co szacunek. Rozumiem historyczne uwarunkowania wpływające na ich życie. Stulecia ucisku wywołują w mózgu pewien rodzaj mgły. Przyjrzyj się innym grupom. Nikt nie każe kobietom ulegać swoim mężom i bezrefleksyjnie patrzeć na to, co dzieje się na świecie, tak jak nikt nie każe ludziom z marginesu brać narkotyków.

- Ale byłoby błędem nie doceniać siły opozycji kobiet wobec tamtej wojny. Tym razem to nie były kobiety chlipiące cicho, gdy chłopcy maszerowali na front, kobiety na serio sprzeciwiały się tej wojnie. Pamiętasz hasło: „Dziewczyny mówią tak chłopcom, którzy mówią nie”? Cóż, oczywiście nie możesz tego pamiętać. Wszyscy starali się jakoś pomóc poborowym, żeby nie szli do wojska. Nie chodziło tylko o to, że nie chcieliśmy, żeby zabito tych chłopców, ale zależało nam też na tym, żeby nasz kraj wycofał się z czegoś tak obłąkanego jak tamta wojna. Ludzie zapomnieli, że opór był wtedy nie tylko czymś rozsądnym, ale także godnym moralnej pochwały.

*

**

Wkrótce po tej rozmowie Cleve Randolph poprosił mnie, żebym usiadła na chwilę, po czym wygłosił następujące małe przemówienie:

- Nie możesz tego pamiętać, jesteś za młoda, Isabel, ale w latach trzydziestych zagrożenie komunistyczne było bardzo realne. Wiele osób sądziło, że możemy pójść w tę stronę. Chcieli tego. Nie robotnicy, nie prawdziwi Amerykanie, farmerzy i uczciwi ludzie, ale tak zwani intelektualiści. To im się podobało, te fałszywe związki z proletariatem, pełne samozadowolenia poczucie braterstwa, ten - możesz mi wierzyć - idealizm i wreszcie ich degrengolada moralna. Coraz bardziej nienawidzili naszych amerykańskich wartości i ideałów, z coraz większą zjadłością byli gotowi nas zdradzić, Amerykę, niemal dla samej przyjemności tego faktu. Nawet kiedy było już jasne, że Stalin jest potworem, nawet wtedy, gdy niektórzy z nich sami to przyznali i poszli za Trockim - jesteś za młoda, żeby to wszystko pamiętać - nawet teraz życzą Ameryce jak najgorzej.

- Matka mojego ojca była komunistką - powiedziałam z naciskiem. - W Minnesocie. Zmarła przed moim urodzeniem, ale nasłuchiłam się opowieści. Nie życzyła Ameryce źle, chciała pomóc zorganizować się farmerom w Minnesocie.

Przez chwilę łypał na mnie podejrzliwie, ustalając w myślach chronologię, po czym się uśmiechnął.

- Droga Isabel - zaczął - to jest historia i mówię o historii własnie. Trzeba to wszystko wyczyścić, wyjaśnić, zmyć plamę zdrady, niepewności kto, gdzie, dlaczego. Trzeba wyciągnąć różne sprawy na światło dzienne, żeby rany mogły się zabliznić, rozumiesz?

Brzmiało to dość w stylu New Age jak na człowieka w jego wieku, ale to były powszechne idee, sama pani Pace mówiła coś podobnego.

- Tak wiele by się wyjaśniło, gdybyśmy wiedzieli na przykład, na czym polegała prawdziwa rola Olivii Pace. Jeśli sama nie była szpiegiem, to z pewnością kochanką szpiegów - ciągnął.

- Pani Pace? - zdziwiłam się, zaczynając powoli rozumieć, w jakim kierunku zmierza i jaki jest sens nieprzekonującej łagodności, z jaką się do mnie odnosił.

- Jej rola od końca lat trzydziestych do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

- To nie do pomyślenia, żeby mogła zrobić coś złego - oświadczyłam.

- Nie do pomyślenia. Wcale tego nie sugeruję. Tak czy inaczej, dziś nie pociągałoby to za sobą żadnych konsekwencji. Nikt nie myśli o publicznych oskarżeniach lub krokach prawnych, choć sądzę, że w wypadku zdrady stanu nie ma żadnego ustawowego przedawnienia.

Przy słowach „zdrada stanu” w jego głosie pojawiła się pewna nienaturalna namiętność, zdradzająca kryjące się pod maską pozorowanej lekkości tonu i swobodnej kulturalnej rozmowy obsesyjne zaabsorbowanie tym tematem.

- Zawsze wydawało mi się niesprawiedliwe, że ludzie unikają kary za zbrodnie, które mogły kosztować innych życie i doprowadzić do zniszczenia całej cywilizacji, a teraz siedzą spokojnie, czasem tuż przed naszym nosem, i wiodą wygodne życie. Ci wszyscy Anglicy i...
- urwał na chwilę. - W interesie historii. To nie do pomyślenia, że Olivia mogłaby zrobić coś takiego świadomie. Nieświadomie? Można by się zastanawiać. Gdybyś natknęła się... w jej archiwach...

Co miałam odpowiedzieć? Oczywiście, że nie zniżę się do tego, żeby grzebać w papierach pani Pace, a potem mu donosić. Niemniej zrobił na mnie pewne wrażenie melodramatyzm tej historii niczym z powieści płaszczka i szpady. Wydawało mu się niemożliwe, żebym mogła jakoś wczuwać się w te dawne namiętności. Ale propozycja, żebym została szpiegiem, była nawet dość zabawna. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma racji, kiedy mówi, że powinniśmy dążyć do zabliznienia się starych ran. Raczej miałam w tym momencie na myśli Roxy i Charles'a-Henriego, ale to, co stosuje się do ludzi, musi chyba stosować się także do narodów?

ROZDZIAŁ 11

Dręczony tą nieokreśloną tęsknotą powtarzałem sobie: „chcę być kochany”. (...) radziłem się serca, skłonności: nie czułem w sobie żadnego sympatycznego odruchu.

Adolf

Choć zapewniałam Roxy, że dobrze się bawię we Francji, najczęściej pracowałam albo opiekowałam się Gennie. Niemniej od czasu do czasu umawiałam się z jednym z moich Francuzów, Yves'em lub Michelem, albo z którymś z dwójki znajomych Amerykanów - jednego, nazywał się Mark Lopez, znałam jeszcze z Santa Barbara, drugi, Jeff, był bratem przyjaciółki Roxy. Obaj byli dla mnie bardziej jak bracia, ponieważ z powodu naszej wspólnej amerykańskości nie byliśmy dla siebie pociągający i nasze spotkania pochłaniała głównie wymiana spostrzeżeń na temat różnic kulturowych i rozmaitych strategii przetrwania. Najczęściej chodziliśmy do kina. Paryż to idealne miejsce dla kinomanów, ponieważ grają w nim wszystko, co chciałbyś zobaczyć. Czasami szliśmy na kolację.

Scena: Yves i Isabel w restauracji przesiąkniętej dymem papierosów i cygar; nie sposób zgadnąć, czy Francuzi w ogóle czują smak jedzenia. Yves pali jak cała reszta.

Ja: - Palenie to kompletna głupota. To najczęstsza przyczyna zgonów. Naprawdę musisz?

Yves: - **Bah ouieeagh.** (Nie potrafię zapisać fonetycznie tych dziwnych sylab, które znaczą mniej więcej: Tak, palę, niepalenie jest **con.** Wy, Amerykanie, jesteście stuknięci).

Ja (sztywno): - Zamówię zdrową solę bez duszczu i do tego wazywa gotowane na parze.

Yves: - **Pave au powre saignant** (gruby stek, półsurowy, ociekający masłem i śmietaną).

Ja: - Hm (wzruszenie ramionami).

Yves: - Robią tu świetne **bevette**, ale jeszcze lepsze jest w Balzar, używają tam wołowiny z Normandii, hodowanej w specjalny sposób na amerykańskiej kukurydzy. Możesz to znaleźć także w L'Ami Louis. Oczywiście nie sprowadzają tu angielskiej wołowiny z powodu choroby **vache folie**, żeby to paskudztwo nie przeniosło się do Francji, co popieram, ale prawdę mówiąc, angielska wołowina, przykro to przyznać, była bardzo dobra. Duńczycy także, choć człowiek by się tego po nich nie spodziewał, mają doskonały **boeuf**...

I zaczyna omawiać jakieś ezoteryczne aspekty mięsa wołowego, a może chodzi o grzyby czy coś innego.

Poza tym czytają komiksy, w każdym razie Yves i jego przyjaciele, choć studiują na uniwersytecie. O tych aspektach kultury francuskiej nie mówi się na zajęciach, na które chodzę do **mairie**. Uświadamiam sobie, że muszę się jeszcze sporo nauczyć na temat Francji, ale oni muszą się trochę dowiedzieć na temat Ameryki, choć jedyna rzecz, jaką chcieliby zobaczyć w Stanach, to **Lazvegaz**.

Pewnego wieczoru razem z Roxy jadłyśmy kolację u Charlotte i Boba. W towarzystwie była także trójka ich przyjaciół. A tak wygląda kolejna, jak sądzę, typowa francuska rozmowa przy kolacji:

Marie-Laure: - To jest dobre. Gdzie to kupiłaś?

Charlotte: - Rue Monge.

Marie-Laure: - Caveau du Fromage?

Charlotte: - Nie, Kramer, po drugiej stronie.

Jean: - To jest oryginalny epoisse. (Zwracając się do mnie po angielsku) Spróbuj tego. Moim zdaniem epoisse to król serów. Najlepsze sery we Francji.

Pozostali: - **Non! Out!** Amis du chambertin! Livarot! Vacherin!

Marie-Laure: - Jean myśli, że jest oryginalny, ale Brillat-Savarin też mówił, że epoisses to najlepsze sery, i powiedział to pierwszy.

Bertram: - Więc chodzisz na Rue Monge?

Charlotte: - W soboty.

Jean: - Ważna jest pomarańczowa skórka...

Charlotte (do nas): - Tak. Czy wiecie, że camembert ma białą skórkę, ponieważ kolor biały uważano za bardziej wyrafinowany dla kobiet? Choć w pewnym okresie historii twierdzono, że kobiety w ogóle nie powinny jeść serów. Sądzone, że fermentacja może być szkodliwa dla ich możliwości rozrodczych. No i wywołuje pewien *odeur...*

Roxy: - Kiedy to było?

Charlotte: - Och, w średniowieczu. A może w szesnastym wieku. Zdaje się, że księżna de Cleves nie przepadała za serami.

Roxy (zawsze zamyślona): - To pewnie stąd wzięło się przekonanie, że przyzwoite kobiety powinny kosztować tylko jednego gatunku sera. Gdyby jadły za dużo sera, zamieniłyby się w nimfomanki. Czy mężczyznom wolno próbować więcej niż jednego sera?

(Sporządzałam na swój talerz, na którym położyłam kawałki pięciu różnych serów, po jednym z każdego rodzaju, jakie wyłożono na półmisku, i jeszcze wzięłam dokładkę epaisse. Uważałam, że będzie uprzejmie z mojej strony, jeśli spróbuję każdego z nich. Ale ciągle robię jakieś błędy w sprawach uprzejmości).

Jean: - Pomarańczowa skórka pochodzi od pewnej naturalnej, ale dość dziwnej bakterii. Jeśli chodzi o mikroorganizmy w amis du chambertin, nie udało się wyhodować ich nigdzie poza tym konkretnym rejonem Burgundii. Kiedy ser odniósł sukces, producent usiłował przenieść fabrykę i zbudował piękny, nowy zakład, ale w nowym miejscu pomarańczowa skórka nie chciała rosnąć. Musiał rozbudować starą fabryczkę i każda nowa piwnica, jaką wykopali, musiała mieć połączenie ze starą i przez pewien czas musiała stać pusta, dopóki *moisissure* nie zdążyła się wytworzyć.

Bertram: - A ja jednak wolę *cheure*.

Wszyscy: - *Out! Non! Sec! Frais!*

Stosunki między Roxy a Persandami wyglądały tak jak poprzednio, niedzielne obiady, przyjazne rozmowy telefoniczne, a we wtorki po odebraniu Gennie z *creche* zabierałam ją na spotkanie z babcią.

Suzanne martwi się, że Gennie za mało mówi po francusku, gdyż mieszka z anglofońską ciotką i matką, a Charles-Henri kompletnie zaniedbuje swoje obowiązki.

Zaczęliśmy zbierać bardziej szczegółowe informacje na temat Magdy Tellman, nowej miłości Charles'a-Henriego. Wiemy, że Charles-Henri poznał tę pochodzącą z Czechosłowacji socjolożkę, żonę Amerykanina pracującego w EuroDisney, w ubiegłym roku, kiedy malował w Dordogne, gdzie Tellmanowie wynajmowali dom na lato. Można sobie tylko wyobrazić wybuch ich namiętności. Nie miałyśmy pojęcia, jak ta kobieta wygląda. Z dochodzących do nas wieści wynikało, że Suzanne nadal nie zamierzała się jej poznać.

Mniej więcej w tym samym okresie przydarzyły mi się dwa dziwne spotkania. Do pierwszego z nich, z Mr Tellmanem, mężem Magdy, doszło, gdy pewnego dnia wracałam do domu.

Żeby wejść do kamienicy, w której mieszka Roxy, trzeba najpierw wystukać kod na numerowanych guzikach umieszczonych na ścianie od ulicy, po czym słysząc trzask i wtedy należy popchnąć ciężkie drzwi prowadzące do środka. Drzwi zamykają się za tobą, a niewielkie podświetlone przyciski pokazują, gdzie trzeba nacisnąć, żeby włączyć światło w korytarzu i na schodach. Potem idzie się do końca korytarza, do szklanych drzwi oddzielających hol od schodów. Irzeba je otworzyć. Dochodząc do szklanych drzwi, mija się znajdujące się po lewej stronie skrzynki pocztowe, a po drugiej stronie szklanych drzwi, też po lewej, jest pomieszczenie gospodarcze, w którym stoją pojemniki na śmieci. W dawnych czasach, a w niektórych budynkach nawet i dziś, rolę szklanych drzwi spełniała konsjerżka, która przyjmowała przesyłki i pytała gości, dokąd idą.

Tego dnia weszłam do środka i zatrzasnęłam za sobą drzwi od ulicy, szukając po omacku kontaktu, żeby zapalić światło, ponieważ nawet w najjaśniejszy dzień wśród tych kamiennych murów i starych drewnianych elementów konstrukcyjnych - nieco przesadnie wyeksponowanych, żeby przypomnieć wszystkim, że znajdują się tam od 1680 roku - jest dość ciemno. Kiedy podeszłam do skrzynek pocztowych i moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczyłam jakiegoś mężczyznę w garniturze, który siedział na kamiennym stop-

niu koło skrzynek. Podniósł się powoli, jakby coś mu dolegało albo miał już swoje lata, choć przypuszczalnie był po czterdziestce.

- Jesteś Roxeanne? - spytał z amerykańskim akcentem. Nie powiedziałam ani słowa, ale kiedy się do mnie zbliżył, szybko rzuciłam:

- Nie, Isabel.

Uważam dzisiaj, że mogłam sobie darować to tchórzostwo i zamiast zaprzeczać i narażać Roxy na nieokreślone niebezpieczeństwo, po prostu skłamać. Powinnam była powiedzieć, że jestem Roxy, ponieważ było w tym człowieku coś przerażającego. Ale chyba nie dostrzegłam jeszcze wtedy tej groźby, płonącego w jego oczach błysku jakiejś dziwnej kipieli emocji. Po prostu byłam zaskoczona, że w ogóle ktoś się do mnie zwraca, i odebrało mi mowę.

- O co chodzi? - spytałam po chwili. Zastanawiałam się, czy powinnam wrócić na ulicę. **Wyglądał** niepokojąco, w jakimś sensie groźnie. Żeby znaleźć się na zewnątrz, trzeba nacisnąć elektryczny guzik znajdujący się na ścianie, a potem rzucając się ku drzwiom, otworzyć zamek, gdy tylko usłyszysz kliknięcie. Nigdy nie mogłam pojąć sensu tego urządzenia spotykanego we wszystkich drzwiach wejściowych francuskich kamienic. Zawahałam się. **Wystraszył** mnie. **Wydawało** mi się, że mężczyzna jest pijany. Wionął zapachem alkoholu i wyczuwało się jego gniew, no i był Amerykaninem.

Uśmiechnął się.

- A, czyli siostra.

- Jest pan znajomym Roxy?

- Można tak powiedzieć. Można powiedzieć, że mamy ze sobą coś wspólnego. Pomyślałem, że warto byłoby się z nią spotkać.

- To nie spotkaliście się jeszcze?

- Nie.

- Chyba nie ma jej w domu...

- Jestem mężem.

- Słucham? - Nie chwytałam. Pomyślałam, że po prostu odwrócić się i wyjść. Chciałam się uwolnić od tego faceta i na pewno nie zamierzałam dopuścić do tego, żeby spotkał się z Roxy.

- Jestem mężem Magdy Tellman. Mężem.

Magda Tellman. W pierwszej chwili te słowa nic dla mnie nie znaczyły, ale już w następnym ułamku sekundy uświadomiłam sobie, że Magda to kobieta, w której zakochał się Charles-Henri.

- Może zostawi jej pan karteczkę - powiedziałam. - Muszę teraz wyjść. Proszę po prostu napisać jej kartkę ze swoim numerem telefonu i adresem i wsunąć do skrzynki.

- Tak, zostawię jej liścik. - Uśmiechnął się na mój błyskotliwy pomysł.

Dlaczego byłam taka niespokojna? Kiedy odwróciłam się do niego plecami, żeby otworzyć drzwi na ulicę, przeszył mnie lęk, że zaraz poczuję uderzenie w tył głowy. Później, kiedy już sobie poszedł, wróciłam i zajrzałam do skrzynki, by sprawdzić, czy rzeczywiście coś napisał. Znalazłam kartkę, niezłożoną, na papierze z nadrukiem jakiegoś biura. Przeczytałam: „Pani Persand, proszę mieć świadomość, że nigdy nie dam Magdzie rozwodu, na wypadek gdyby zamierzała pani podjąć podobne kroki”. Roxy nigdy nie powiedziała mi, co o tym myśli.

Kiedy Roxy zaczęła bardziej otwarcie mówić o tym, że chce się rozwieść, poszłam razem z nią na spotkanie grupy Amerykanek mieszkających w Paryżu, ponieważ Roxy miała nadzieję, że usłyszy od nich kilka porad. Od początku było jasne, że prawdziwy powód ich spotkania to pragnienie odreagowania i użalania się na Francuzki, zwłaszcza na francuskie teściowe upierające się przy niedzielnych obiadach, na ich wtrącanie się pod pozorem pomocy, na ich wrogość wobec Amerykanek, i w ogóle wobec wszystkich synowych. Mimo nerwowej atmosfery w jakimś sensie kojące było towarzystwo amerykańskich kobiet. Niezależnie od tego, co człowiek myśli o swoich rodaczkach, istnieje między nami pewne zasadnicze porozumienie, którego nie sposób wyjaśnić. Gdy spotykasz drugą Amerykankę, wymieniacie porozumiewawcze spojrzenie. Wiadomo, kim jesteście, jakie są wasze podstawowe kulturowe korzenie. Gdybyście mówiły po francusku, nazywałoby się to *tufoyer*. Nie trzeba koniecznie lubić innych Amerykanek, ale nawet jeśli się ich nie lubi, zawsze lubi się je we Francji bardziej, niż gdyby się je spotkało po powrocie do kraju.

Jednocześnie Amerykanki nie szczędzą sobie nawzajem krytyki. Snobistycznie zwracają uwagę na swoją francuszczyznę i potrafią być złośliwsze niż rodowita Francuzka. Wyśmiewają własną wymowę przypominającą głos w automatycznej sekretarce. Najgorsze są byłe nauczycielki francuskiego. (Roxy godzinami wertuje w tej kwestii *Bon usage* Grevisse'a. „Może powinnam po prostu powiedzieć *Laissez un message*” - postanawia wreszcie).

Amerykanki organizowały spotkania poświęcone takim sprawom, jak francuskie podatki i francuskie prawo rozwodowe, i nawet wymieniały się nazwiskami pomocnych *avocats*. Przysłuchując się ich rozmowom, odniosłam wrażenie, że wszystkie mieszkające tutaj Amerykanki mają jakieś problemy prawne i że wszystkie jesteśmy więźniami dziwnych i podejrzanych praw oraz jeszcze dziwniejszych zwyczajów, z których pierwszym jest samo małżeństwo.

- Cokolwiek byś zrobiła - mówiły - nie opuszczaj domu. Inaczej staniesz się automatycznie stroną winną. Mogą cię wtedy oskarżyć o porzucenie rodziny - mają na to jakiś swój termin. To właśnie przytrafiło się Tammy de Bretteville i została kompletnie bez grosza tylko dlatego, że pojechała na weekend do Nicei. Mimo że sama zapłaciła za to mieszkanie!

- Czy gdybyś rzeczywiście się rozwiodła, wróciłabyś do Ameryki? - spytałam Roxy w drodze do domu.

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała zdecydowanie. - Tutaj wszystko sprawia, że czuję się szczęśliwa, poza, no wiesz, sytuacją. Ale budowlę. Autobusy. Uwielbiam nawet gołębie z tymi ich małymi, czerwonymi łapkami. Rozczulam się, zwłaszcza patrząc na te chude. Niektórym gołębiom nie wiedzie się tak dobrze jak innym. Czasami rzucam im kawałek swojego croissanta. Próbuje go dać tym chudym, zanim zobaczą go te duste. Ale ludzie spoglądają na ciebie z takim oburzeniem. Czy wiesz, że mają tutaj nawet kluby sportowe, w których po prostu łapia gołębie? Mówiła mi o tym Tammy de Bretteville. Potem je wypuszczają i kiedy te stare, duste, uliczne gołębie letargicznie usiłują poderwać się do lotu, Francuzi strzelają do nich jak do celu. Tak sobie wyobrażają sport. Osłupiałam, kiedy o tym usłyszałam. I nawet nie chodzi im o zmniejszenie

populacji gołębi, co można by jakoś zrozumieć. To jakiś niedowład wrażliwości.

Pomyślałam, że musi być naprawdę przygnębiona, jeśli w ten sposób rozprawia o gołębiach.

- Ale to i tak lepsze niż strzelanie do ludzi, jak to się dzieje u nas w kraju - zauważyłam.

Roxy mówiła o rozwodzie, lecz kiedy Charles-Henri przysłał jej oficjalny list, w którym oświadczył, że to on chciałby dostać rozwód, Roxy odparła: „Ale ja nie mogę się rozwieść. Jestem katoliczką”. I nie miało sensu jej przekonywać, mówiąc: Roxy, nie zachowuj się w ten sposób, ponieważ Roxy właśnie w ten sposób się zachowywała. Nie próbowałam z nią dyskutować. Roxy z równie głębokim przekonaniem twierdziła teraz, że nie będzie żadnego rozwodu, jak dzień wcześniej głosiła, że musi się rozwieść. Suzanne, która nadal uważała, że wszystko wróci do normy po narodzinach dziecka, z ulgą przyjęła nowe stanowisko Roxy, że rozwód jest wykluczony.

Margeeve i Chester w Kalifornii nie byli jednak tego tacy pewni.

Dziwne zdarzenie sprzed paru tygodni, gdy usłyszałam, jak żebrak przed Notre Dame wymawia moje imię, sprawiło, że zaczęłam uważnie i nieufnie przysłuchiwać się otaczającym mnie głosom, kiedy przechodziłam przed frontem wielkiej katedry, czując na sobie spojrzenia rzeźbionych świętych oraz żebraka, który stojąc z kubkiem w wyciągniętej ręce, zwracał ku mnie swoje niewidzące oczy. Ale już nigdy się nie odezwał. Jednak pewnego dnia, gdy odprowadzałam Gennie do domu, powoli, ponieważ z jakiegoś powodu nie wzięłam wózka i mała dreptała mozolnie, co trochę mnie irytowało, znowu usłyszałam, jak ktoś mówi „Isabel”. Nieomal z lękiem rozejrzałam się wokół i zobaczyłam, jak tuż obok żebraka z katedry Notre Dame z tłumu turystów wyłania się *T'oncle* Edgar, wuj Persandów, i zmierza w moją stronę, nadal nieco utykając, ale żywszym krokiem niż wtedy, kiedy go poznałam. Ucałował Gennie i podał mi rękę. Miała na sobie dość wytworny, lekki garnitur z kwiatem w butonierce, jednym z tych sprzedawanych na bulwarach nad rzeką w celach dobroczynnych.

- *La petite Genevieve. Bonjour, mademoiselle.*

- *Bonjour, monsieur Cosset* - powiedziałałam zaskoczona.

- Mówi się po prostu *bonjour, monsieur* - powiedział. - Widziałem cię niedawno, jak tędy przechodziłaś - dodał.

Zmieszana zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, że to on, a nie ślepiec, odezwał się do mnie poprzednim razem? A może ka-zał ślepcowi wymówić moje imię? A może to żaden z nich? I dlaczego mam nie wypowiadać jego nazwiska?

- Jeśli się nie spieszysz, możemy zaprosić Genevieve na lody.

Podniósł Gennie i niósł ją na rękach całą drogę do kawiarni. Ogarnął mnie nieoczekiwany atak nieśmiałości, może dlatego, że widziałam go w telewizji, i nie potrafiłam nic z siebie wydusić w odpowiedzi na jego pytania, zupełnie jak dziecko: tak, jestem zadowolona z pobytu w Paryżu, tak, Roxy miewa się dobrze. Usiedliśmy w Vues de Notre Dame, w kawiarni, w której spotkałam się z Charles'em-Henrim.

- *Aperitif? Cafe?*

Oboje zamówiliśmy kawę. Zamilkł na chwilę; przypuszczalnie dotarło do niego, że najbliższe pół godziny spędzi w towarzystwie wierzącej się trzylatki oraz jej opiekunki, która przyjechała z Kalifornii i nie mówi ani słowa po francusku.

- Moim zdaniem to wspaniałe, że tak zdecydowanie opowiada się pan po stronie Bośniaków - usłyszałam swój głos w najbardziej przeraźliwej wersji *Dziewczyny z doliny*, który rozbrzmiewał w moich uszach jak jakaś parodia w *Saturday Night Live*. Moja uwaga najwyraźniej najpierw go zaskoczyła, a potem rozbawiła.

- Naprawdę? Dziękuję. A dlaczego tak uważasz?

Ten sokratyczny manewr znowu odebrał mi mowę. Dlaczego tak uważam? Bo jestem dobrą studentką i wiem, jak sprzedawać profesorowi to, co sama od niego usłyszałam.

- Można by pomyśleć, że ludzie nie zapomną lekcji historii - odparłam. - W ten sposób zaczęła się pierwsza wojna światowa, od konfliktów na Bałkanach.

Nie powiedział ani słowa.

- A do tego kwestie moralne. Jak możemy siedzieć beczynn timer i godzić się na gwałty i terror? - To był argument, w który naprawdę wierzyłam.

- Masz rację. - Uśmiechnął się, przypuszczalnie bez ironii. Tak właśnie uważał. - Gennie, *mange ta glace comme ca*. Sądziś, że sami Europejczycy powinni walczyć z Serbami, czy może Amerykanie także powinni się przyłączyć?

- Amerykanie też - przyznałam. - Ale Europejczycy muszą zacząć albo ONZ, inaczej Amerykanie nie przyjadą, tak jak to było podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. - Dobra uczennica pani Pace.

- Choć może cię to zaskoczy, ale nie było mnie na świecie podczas pierwszej wojny - rzekł ze śmiechem. - Urodziłem się w 1925, więc zdążyłem jeszcze służyć w wojsku podczas drugiej wojny. A potem służyłem w Indochinach.

Indochiny! Było w tym coś ekscytującego. Chociaż normalnie nie jestem skrepowana w towarzystwie mężczyzn (*au contraire*, powiedziałaaby Roxy), zawstydziłam się na myśl, jak niemądrze brzmiały moje wypowiedzi i jaką beczelnością było rozmawianie o wojnie i europejskiej polityce z człowiekiem, który niedawno stał u boku prezydenta Francji (widziałam go w telewizji podczas jakiejś uroczystości w Lyonie).

Na to wspomnienie - *l'oncle* Edgar z prezydentem Francji - ogarnęło mnie coraz większe zażenowanie i dłonie mi się spociły. Czulałam się taka młoda, a w sercu pojawił się przykry niepokój, jak zawsze, kiedy miałam nadzieję, że jakiś facet do mnie zagada albo zaproponuje spotkanie. Zdawałam sobie sprawę z władzy, jaką mają nade mną mężczyźni, władzy, która zawsze przyprawiała mnie o irytację. Ten starszy Francuz, taki imponujący, doświadczony, z moralnymi racjami i politycznymi namiętnościami, działał na mnie jak mężczyzna. To strasznie dziwne, pomyślałam, odprowadzając Gennie do domu, a do tego kłopotliwie irytujące. Ale oczywiście nie mógł domyślić się moich niestosownych emocji.

ROZDZIAŁ 12

Dwie nieszczęśliwe istoty, które jedne znały się na ziemi, które jedne mogły się wzajem ocenić, zrozumieć i pocieszyć, stały się dwójgiem nieprzejednanych wrogów, rozszalałych w szarpaniu się wzajem.

Adolf

Kiedy Charles-Henri zawiadomił Roxy, że chce się rozwieść, początkowo nie zareagowała, nie podjęła żadnych kroków, w ogóle nie próbowała uporać się z tym problemem. Pomyślałam, że być może wynikało to ze swoistej niemocy pojawiającej się pod wpływem hormonów w czasie ciąży. Jeśli nie liczyć dziwnych wybuchów w sprawie gołębi albo strajku metra, na ogół wydawała się całkiem pogodna. Chodziła do swojego gabinetu z notatnikiem, w czwartkowe wieczory brała udział w swoim seminarium i nie opuszczała żadnego niedzielnego obiadu na łonie rodziny Charlesa-Henriego, ponieważ to ona (czyli my), a nie Charles-Henri, uczestniczyła w tych rodzinnych uroczystościach.

- Wiem, że Suzanne wolałaby, żeby Charles-Henri zabrał kiedyś Gennie i sam do niej przyjechał, ale nawet tego nie zaproponował - powiedziała Roxy.

Obiady przebiegały w kulturalnej atmosferze i nikt ani słowem nie wspominał o rozwodzie lub postępowaniu Charles'a-Henriego. O ile mogłyśmy się zorientować, Suzanne nie spotkała się jeszcze z tamtą kobietą, Magdą Tellman.

Następne tygodnie, jakie upłynęły, odkąd Charles-Henri oświadczył, że pragnie się rozwieść, minęły pod znakiem niepewności i dyskusji inicjowanych przez niego albo jego matkę. Suzanne zachodziła

do Roxy, żeby porozmawiać z nią na osobności, nieodmiennie wyrażając jej swoje poparcie, a Charles-Henri telefonował, zasypując ją prośbami albo groźbami, i po tych rozmowach Roxy była zawsze zapłakana i wściekła. „To są twoje dzieci, Charles”, mówiła, albo „Po moim trupie!”. W końcu, ulegając namowom Suzanne, która twierdziła, że lepiej będzie, gdy jednak zorientuje się, jakie są jej prawa, Roxy zgodziła się pójść z Charlesem-Henrim na spotkanie z prawnikiem zaproponowanym przez monsieur de Persanda, niejakim maitre Doisneau. Myślę, że zgodziła się pójść od adwokata, ponieważ dzięki temu miała wreszcie okazję zobaczyć się z mężem. Długo roztrząsała, co na siebie włożyć. Chciała się podobać Charles'owi-Henriemu. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że kobieca próżność nie ginie wraz ze zmianą kobiecych kształtów podczas ciąży. Jeśli sama kiedykolwiek zajdę w ciążę, na pewno nie będę się przejmować wyglądem.

Maitre Doisneau był szczupłym mężczyzną o nerwowych ruchach i siedząc za wielkim biurkiem, wyjaśniał im, co ich teraz czeka.

- Ogólnie rzecz biorąc, gdy chodzi o rozwód, w interesie wszystkich zainteresowanych leży zawarcie porozumienia - powiedział. - Jeśli zdecydują się państwo na złożenie wspólnego wniosku, mogę go przygotować i wszystko będzie bardzo proste. Sąd postępuje zgodnie z waszym życzeniem w sprawie podziału majątku, czekacie kilka miesięcy, składamy drugi wniosek, by potwierdzić, że nadal obstaracie przy swoim zamiarze, sąd udziela wam rozwodu i jesteście wolni.

- Kiedy... kiedy można się ponownie ożenić? - spytał Charles-Henri z niefortunną intensywnością w głosie.

- Może pan ponownie zawrzeć związek małżeński w ciągu tygodnia albo coś koło tego. Madame de Persand oczywiście może ponownie wyjść za mąż dopiero po narodzinach dziecka.

Roxy była zaszokowana. Ten jawny dowód europejskiego seksizmu oraz niesprawiedliwej doli kobiet i jej osobistego losu ugodził ją w samo serce.

- To niesłychane! - zawołała gwałtownie. - Chce pan powiedzieć, że prawo jest inne dla kobiet i dla mężczyzn?

- Z oczywistych powodów - oświadczył maitre Doisneau, wskazując najwyraźniej na jej widoczną ciążę.

- Dla mnie to wcale nie jest takie oczywiste! W Kalifornii mogłabym wyjść za mąż tak szybko, jak tylko bym chciała, i Francja nie mogłaby mnie przed tym powstrzymać! - krzyknęła, pragnąc, żeby w tej samej chwili pojawił się przed nią jakiś kalifornijski kandydat do jej ręki, dzięki czemu mogłaby natychmiast wyjechać z Francji, poślubić go i dać dziecku Charles'a-Henriego nazwisko innego mężczyzny.

Charles-Henri i maitre Doisneau wymienili porozumiewawcze spojrzenia pełne męskiego współczucia.

- Nie ma żadnego majątku, o którym warto byłoby wspominać - powiedział Charles-Henri, zręcznie zmieniając temat. - Zwróć wszystkie prezenty, jakie otrzymałem, i oczywiście nie chcę niczego z mieszkania. No, może rzeczy, które należały niegdyś do mojej rodziny. Decyzję w tej sprawie zostawię rodzicom, czy jest tam coś, co powinno pozostać w naszej rodzinie.

- Twoje dzieci są twoją rodziną - odpada Roxy krótko. - Rzeczy, które przypadną twoim dzieciom, pozostaną w twojej rodzinie.

- Miałem na myśli rzeczy, które pojechałyby do Stanów - wyjaśnił przeprasząc.

Roxy nagle zaczęła się mieć na baczności. Wyczuwała ryzyko związane z porozumiewaniem się w obcym języku, w obcym kraju. Wyczuwała pewien sojusz między maitre Doisneau a Charles'em-Henrim, naturalną sympatię łączącą dwu rodaków, albo dwóch mężczyzn, wynikającą z podobnych przekonań na temat krawatów i czarnych skarpetek, ze znajomości trzystu sześćdziesięciu gatunków sera, ze wspólnego przeświadczenia, że kobiety mają dziwny zapach, oraz z głębokiej niechęci do kobiecej skłonności do płaczu.

- Nie wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych - oświadczyła Roxy. - Zostaję tutaj. I oczekuję od ciebie, że będziesz utrzymywał mnie i swoje dzieci.

- Mówiliśmy o rozwodzie za porozumieniem stron. Ale istnieje także... - powiedział maitre Doisneau, wyczuwając kłopoty - istnieje także rozwód „z powodu”. W takim wypadku jedno z was jest niewinnym, pokrzywdzonym małżonkiem i musi udowodnić winę drugiego.

Domyślając się z ich milczenia, że nie zamierzali posuwać się tym tropem, szybko skorygował.

- Proszę mi wybaczyć, że posłużyłem się takim terminem jak „niewinny”, mam na myśli jedynie niewinność w sensie prawnym. Jeśli rozwodziecie się za porozumieniem stron, naturalnie nie muszą znać żadnych szczegółów wydarzeń, które przywiodły was do sądu. W takim wypadku nikt nie jest winny ani niewinny. Ale gdy...

- Myślę, że ja jestem - oświadczyła Roxy - *Innocentę*. Nie w tym sensie, że ktokolwiek w ogóle może być niewinny, to bardzo nieprecyzyjny termin.

Starła się zachować spokój, ale nie potrafiła dłużej powstrzymać poczucia głębokiej niepodważalnej racji, jakie zaczęło pobrzmiwać w jej głosie. W końcu wybuchła. Charles-Henri, który siedział z kamienną twarzą, zagryzł wargi.

- Nie mieszkam już w domu - powiedział.

- Aha - westchnął maitre Doisneau tonem wskazującym na ulgę, z jaką przyjął do wiadomości fakt, że chodzi jedynie o tak stosunkowo bezbolesne naruszenie obowiązujących małżonków zasad. - Jak pani wie, madame, to wystarczający powód, by złożyć pozew o orzeczenie rozwodu z winy małżonka. Istota takiego pozwu polega na tym, że jedno z partnerów pragnie uzyskać od drugiego rekompensatę finansową.

- Ale ja nie zamierzam składać żadnego pozwu - oznajmiła Roxy. - To pomysł mojego męża.

Charles-Henri wydał z siebie słyszalne westchnienie irytacji. Maitre Doisneau, najwyraźniej nie chwytając, o co chodzi, zaproponował inne rozwiązanie.

- Gdyby monsieur de Persand miał złożyć pozew, musiałyby wskazać jakiś powód - przemoc, okrucieństwo, cudzołóstwo albo obłąd - który stosowałyby się do madame.

- Nie sędzę, by mógł powołać się na którąkolwiek z tych rzeczy - zaprotestowała Roxy.

- Nie, oczywiście, że nie - przyznał Charles-Henri. - Nie, nie, wina leży całkowicie po mojej stronie.

- Monsieur de Persand pragnie rozwodu i wyprowadził się z domu. To nierozsądne. Proszę mi wybaczyć, ale nie może być pan jed-

nocześnie stroną winną i stroną pragnącą rozvodu, skoro strona niewinna jest temu przeciwna, choć może pan złożyć wniosek, wobec którego druga strona nie będzie zgłaszać sprzeciwu. Nie zgadza się, ale i nie sprzeciwia. Czy to jest pani stanowisko, madame de Persand?

- Nie pragnę rozvodu - rzekła Roxy. - Sprzeciwiam się rozwodowi.

W chwili gdy Roxy wypowiadała te słowa, Charles-Henri mógł na własne oczy zobaczyć, jak powoli docierają do niej wszystkie konsekwencje tego, że zachowałaby swój dotychczasowy status małżeński. Tak, prawna separacja byłaby dla niej znacznie lepsza niż rozwód. Przynajmniej mogłaby wtedy zachować korzyści płynące z formalnie potwierdzonego i bezpiecznego statusu żony. Niech sobie Charles-Henri idzie swoją drogą. Ona pozostanie panią de Persand z Place Maubert i będzie wozić swoje dzieci w ich *poussettes* do *ecole materielle*, a w soboty kupować *pain* i *legumes* na targu. Nie ma tu żadnego znaczenia, jak będzie wyglądało jej przyszłe życie uczuciowe. Zresztą na co mogła jeszcze liczyć w sferze romantycznych przygód jako kobieta z dwójką dzieci? Ten tok rozumowania widać było w jej zaciśniętych wargach, co ją nagle postarzyło i połączyło z odwieczną procesją pokrzywdzonych kobiet, które kurczowo uczepliły się tego, co mają. Wątpię, czy sama postąpiłabym w ten sposób, ale może człowiek staje się mniej wojowniczy, gdy ma dzieci, i musi bardziej troszczyć się o bezpieczeństwo swojego gniazda, mniej ufając temu, że życie przyniesie jakieś lepsze rozwiązania.

- Strona, która dała powód do rozvodu, nie może być jednocześnie stroną wnoszącą pozew. To osoba skrzywdzona musi wnosić o rozwód - powtórzył maitre Doisneau.

W tym momencie Roxy nagle zalała się łzami, podniosła z fotela i zaczęła wychodzić. Obaj mężczyźni natychmiast poderwali się z swoich miejsc jak dwie marionetki.

- Madame de Persand, dokąd pani idzie?

- Muszę to wszystko przemyśleć. Teraz nie mogę nic postanowić.

Ruszyła w stronę drzwi. Charles-Henri zwiesił głowę, jak gdyby uznał, że to maitre Doisneau powinien teraz zatrzymać ją albo pójść

za nią, ale maitre Doisneau, nie patrząc na nich, zaczął nagle porządkować papiery na swoim biurku. Starał się uniknąć wymiany spojrzeń między dwojgiem rozstających się, wzburzonych osób, które niegdyś namiętnie trzymały się w ramionach.

Scenes, evenements, rencontres. Dni ciągną się powoli jak cięża, przynosząc drobne zdarzenia, spotkania oraz cudowny dla mnie widok spadających liści, którego nie widziałam od czasu wczesnego dzieciństwa w Ohio.

Niewielka sypialnia w mieszkaniu Suzanne de Persand przy Avenue Wagram. Mały Jean-Claude, dziesięcioletni syn Antoine'a, mieszka u babci, gdy jego rodzice, Antoine i Trudi, spędzają wakacje w Miami. Odrabia lekcje z francuskiej ortografii, z geografii, literatury, matematyki, historii i angielskiego; wszystkie podręczniki do tych przedmiotów, kiedy wyjmuje je ze swojego plecaka, ważą z pięć kilo. Pisze w małych zeszytach w kratkę. W innym zeszyciku, w którym każda strona jest podzielona na **devoirs** i **legom**, zapisuje, co ma zrobić. Obowiązki i lekcje. Ktoś mógłby mu powiedzieć w tym momencie, że całe życie będzie podzielone na obowiązki i lekcje. Oprócz nauki Jean-Claude ma jeszcze obowiązki domowe, takie jak pomoc Marie, portugalskiej dziewczynie, w składaniu ogromnych obrusów i prześcieradeł, a do tego skauci, piłka nożna, katechizm i lekcje gry na fortepianie.

Wygląda na to, że dowcip, jaki zrobił rodzicom, obrócił się w końcu przeciwko niemu. Powiedział im, że podniósł raz słuchawkę telefonu i usłyszał, jak Lorraine, znienawidzona przez niego opiekunka do dzieci, mówi o nich **pauvres cons**. Oburzeni wyrzucili ją z pracy, tak jak się tego spodziewał, ale teraz wylądował w domu dziadków, gdzie podlega jeszcze surowszej kontroli. Zabieram jego i Gennie na spacer i razem kopimy suche, jesienne liście.

Tego popołudnia, kiedy Roxy spotkała się z maitre Doisneau, pracowałam u pani Pace, pokręciłam się trochę po Place des Victoires, oglądając ubrania na wystawie u Kenzo, i odrobinę spóźniłam się po

Gennie do *creche*. Kiedy przyszłyśmy do domu, Roxy wróciła już od adwokata i trzęsła się z oburzenia. Nie dość, że Charles-Henri oczekuje od niej, że porzuci swoje (świeżo nabyte) zasady religijne i wzgardzi skłonnościami swego serca, godząc się na rozwód, to jeszcze najwyraźniej nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wyjechała z Francji, podobnie jak nie przejmuje się losem biednej Gennie oraz nienarodzonego dziecka i mógłby spokojnie narazić je na wszystkie niebezpieczeństwa oraz kulturowy prowincjonalizm czekający je w Ameryce. Jest gotów w ogóle poświęcić francuskość swoich dzieci - najcenniejszą rzecz, jaką mógł je obdarzyć - tylko po to, żeby zaspokoić swoją namiętność do czeskiej dziwki. I jak mógł w ten sposób się od niej odwrócić, tak nagle, bez ostrzeżenia, gdy niczego się nie spodziewała, co dowodzi, że ona sama zupełnie nie rozumie poruszeń ludzkiego serca i do końca swoich dni będzie błąkać się bez celu, i już nigdy nie napisze dobrego wiersza. „Nawet się nie domyśliłam, nawet mi do głowy nie przyszło, że coś jest nie tak...” I tak dalej.

- Niech się ze mną rozwodzi, nie mogę go powstrzymać. Ale ja nigdy się z nim nie rozwiodę - powtarzała w kółko.

Wkrótce Tammy de Bretteville wyjaśniła jej bardziej szczegółowo słowa adwokata o tym, jak może nie dopuścić do tego, żeby Charles-Henri się z nią rozwiódł. Jeśli Roxy nie przystanie na jego prośbę o rozwód, a sama nie dopuściła się czegoś, co może być do tego podstawą, uniemożliwi mu uzyskanie rozwodu co najmniej przez następne sześć lat i dopiero pod koniec tego okresu Charles-Henri może złożyć pozew, powołując się na fakt, że nie mieszkali ze sobą. W tym wypadku będzie musiał utrzymywać Roxy i ponieść wszystkie koszty.

- Świetnie - powiedziała. - Świetnie, bardzo dobrze, sześć lat, to mi się podoba.

Oświadczyła, że jest gotowa poczekać do końca świata, byleby udaremnić chorobliwe, niedopuszczalne i niewybaczalne erotyczne pragnienia Charles'a-Henriego.

Pewnego dnia znowu wpadłam na *l'oncle* Edgara niedaleko Notre Dame. Wyglądał imponująco i niezwykle godnie w granatowym garniturze

z niewielkimi baretkami odznaczeń w klapie i białą chusteczką w butonierce, zupełnie jak dyplomata. Kiedy powiedziałam *bonjour*, odparł:

- Powiedz *bonjour, monsieur*, a nie tylko *bonjour*.

Kolejna zagadka.

Na moją uwagę, że znowu spotykam go w tym miejscu, rzekł:

- W soboty często umawiam się na lunch albo szklaneczkę sherry z abbe Montlaurem.

Chyba zobaczył zdumienie w moich oczach, bo rzeczywiście z trudem mogłam sobie wyobrazić, że światowy i wojowniczy *l'oncle* Edgar konferuje z jakimś księdzem, ponieważ zaczął wyjaśniać, że Montlaur jest jego starym przyjacielem, jeszcze z dzieciństwa, co mi przypomniało, że wszyscy kapłani byli kiedyś chłopcami. To dość oczywiste, wiem, ale w Kalifornii nie znałam żadnego chłopca, który przypominałby kandydata na księdza. Przypuszczam, że o wiele łatwiej spotkać pobożnych chłopców we Francji, gdzie pewnie statystycznie jest więcej księży niż w Ameryce. Wyobraziłam sobie dwu wyrostków, Mondaura i Edgara, religijnych, ale psotnych, jak pływają w Sekwanie (nigdy nie widziałam, żeby ktoś tam pływał, musi być niebezpieczna albo brudna) lub wspinają się na drzewa - jeden z nich przeznaczony do służby Bogu, drugi do walki w Indochinach.

- I jak ci się podoba we Francji - spytał *l'oncle* Edgar. - Jak tutaj żyjesz?

Ponieważ wydawało mi się, że pyta na serio, usiłowałam zastanowić się i udzielić mu poważnej odpowiedzi. Powiedziałam, że nierozumienie większości tego, co się wokół mnie dzieje, ma swoje dobre strony.

- Człowiek staje się bardzo uważny. W rezultacie jestem tutaj na wszystko niezwykle wyczulona, podczas gdy w Kalifornii czasami ogarnia mnie znudzenie.

- Czy żeglowałaś po Pacyfiku? Interesujesz się łodziami?

- Nie - odparłam. - A pan?

- Tak - powiedział. - Trochę żeglowałem.

- Tam, gdzie mieszkamy, w oceanie jest pełno szybów naftowych. Trzeba pojechać bardziej na południe - wyjaśniłam, nie chcąc

sprawić wrażenia osoby, która lekceważy żeglarstwo, mimo że tak naprawdę wydaje mi się strasznie nudne; może byłoby inaczej, gdybym sama miała jakiś jacht.

- Pewnego dnia zabiorę cię na lunch, Isabel. Powiedzmy, w następny czwartek? Jesteś zajęta tego dnia?

Rozpoznawałam te podchody, te próby spiskowania ze strony członków rodziny Persandów szukających różnych okazji do tego, żeby za plecami Roxy omawiać problem. Czułam się wtedy nieswojo, ponieważ stawiali mnie w fałszywym położeniu kogoś, kto wypowiada się w imieniu Roxy, ale rozumiałam, że łatwiej było im rozmawiać ze mną niż bezpośrednio z Roxy. Mogę tak zaplanować sobie dzień, jak mi wygodnie, dlatego powiedziałam, że nie jestem zajęta.

Niedawno w podobny sposób potajemnie spotkałam się z Charlotte de Persand Saxe. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie i zaproponowała, żebyśmy się umówiły na kawę, tak jak swego czasu wspominała. Po spędzeniu popołudnia u Randolphów poszłam zobaczyć się z nią w kawiarni położonej naprzeciwko Bon Marche. Jeszcze nie zdążyła usiąść na dobre, a już sięgnęła po papierosa, po czym zaczęła mówić, tyle że nie o Charles'u-Henrim i Roxy, ale o Gilesie Wheatingu, Angliku, którego poznałam na wystawie. Była w nim dziko zakochana.

- To wszystko nieprawda, co o nich mówią - wyznała, paląc nerwowo. - Anglicy są równie... troskliwi... jak Francuzi.

Odnoszę wrażenie, że Francuzi chętnie mówią Amerykanom różne rzeczy, których nie powiedzieliby sobie nawzajem. Kiedy są ze sobą, obowiązuje ich coś w rodzaju zbioru konwencji, rywalizacyjnego braku zaufania, realistycznej powściągliwości, z których jednak my jesteśmy wyłączeni jako radośni barbarzyńcy. Z drugiej strony są we Francji pewne sprawy - jak niewłaściwe zachowanie, niektóre grzechy i przykłady łamania zasad, związane z seksem albo pieniędzmi - o których nigdy nam nie powiedzą, ale chętnie rozmawiają o nich w swoim gronie, gdyż wolą, żebyśmy zachowali lepszą opinię o Francuzach. Czasami dotyczy to spraw, które i tak by nas nie interesowały. Na przykład podczas niedzielnego obiadu w wiejskim domu Suzanne niedaleko Chartres zapchała się kanalizacja i poproszono

jednego z francuskich gości, żeby poszedł zobaczyć, co się stało, i coś doradził, ale nam z Roxy zabroniono nawet zbliżyć się do miejsca katastrofy.

- Nigdy nie słyszałam niczego... nieprzychylnego na temat Anglików - powiedziałam do Charlotte.

- Często słyszy się, że są dość... egoistyczni... w łóżku, ale to nieprawda.

- Choć pewnie niektórzy z nich są - orzekłam w przekonaniu, że na pewno nie można generalizować.

- W pewnym sensie są lepsi niż Francuzi - mówiła dalej, konfidencjonalnie zniżając głos.

Mimo że miałam ochotę spytać: „Naprawdę? Pod jakim względem?”, wydawało mi się to zanadto wścibskie nawet jak na Amerykankę. Janet Hollingsworth niewątpliwie spytałaby o to.

- To znaczy ci, którzy w ogóle interesują się kobietami - dodała.

Interesujący temat, francuscy mężczyźni, angielscy mężczyźni. Prawdę mówiąc, zważywszy na reputację Charles'a Boyera itd., sądziłam, że Francuzi znają się na pewnych niezwykłych sztuczkach, i oczekiwałam czegoś niezwykłego i ekstra, co miałyby coś wspólnego z rymowanką Chestera: „Dziwna rzecz z tymi Francuzami”. Ale moje doświadczenia skłaniały mnie raczej do przypuszczeń, że istnieje jedna, francusko-amerykańska norma, czy raczej uniwersalna zachodnia norma w sprawach seksu. Nie wiem nic na temat Orientu lub wysp Pacyfiku, choć czytałam interesujący artykuł, z którego wynikało, że mężczyźni na Samoa nie dorastają do tego poziomu. Dowiedziałam się z niego, że na Samoa, w tym rzekomym rajku seksualnego wyzwolenia, nikt nie słyszał o kobiecym orgazmie i że Margaret Mead w ogóle tego nie zauważyła albo nie uważała tego za rzecz istotną.

Dlaczego rozmyślałam na temat mężczyzn z Samoa podczas rozmowy z Charlotte? Mówiła chyba coś ważnego.

- Myślę, że Roxeanne powinna wystąpić o orzeczenie rozwodu z Charles'em-Henrim z jego winy - wyznała, dochodząc przypuszczalnie do prawdziwego powodu naszego spotkania. - Jeśli tego nie zrobi, wyląduje z pustymi rękoma. Tutejsze prawo jest bardzo suro-

we. Nie tylko ja ci to powiem. Trochę się tym interesowałam. Powin-
na oskarżyć go o cudzołóstwo i zmusić do tego, żeby zapłacił jej, co
jej się należy.

Zrozumiałam, że Charlotte, przypuszczalnie w imieniu całej
rodziny Persandów, mówiła mi coś, co powinnam powtórzyć Roxy
- to, iż uznają, że Roxy została skrzywdzona i że nie będą sprzeci-
wiali się odpowiednim finansowym zabezpieczeniom dla niej i dla
dzieci w umowie rozwodowej. Uznałam to za miłe ze strony Char-
lotte, że podrzuca mi tę wskazówkę i patrzy na sprawę w ten spo-
sób. Zastanawiałam się, jakie o tym wszystkim będzie miał zdanie
l'oncle Edgar, kiedy przyjdzie co do czego.

- Co sądzi na ten temat twoja matka? - spytałam Charlotte.

Zauważyłam, że Suzanne starała się wspierać Roxy i okazywała
jej swoje współczucie, ale jednocześnie zachowywała się lojalnie wo-
bec syna i starannie dobierała słowa, kiedy rozmawiała z Roxy na te-
mat warunków rozwodu.

- No cóż, oczywiście nadal uważa, że Roxeanne powinna po-
 prostu uzbroid się w cierpliwość, a wszystko dobrze się skończy.
Matka spodziewa się, że Charles-Henri w końcu oprzytomnieje.

ROZDZIAŁ 13

W wypadku rozwodu najważniejsze jest to, co następuje potem.

Hervé Bazin, *Madame Ex*

Sumiennie przekazałam to wszystko Roxy. Kiedy otrząsnęła się z szoku, jakim było dla niej pierwsze spotkanie z adwokatem, powoli zaczęło do niej docierać, że powinna przynajmniej omówić sprawę rozwodu z własnym prawnikiem. Zaczęłyśmy szukać kogoś, kto znałby się na francuskim prawie, a jednocześnie byłby życzliwie nastawiony do Amerykanów. Po wielu konsultacjach w kręgach amerykańskiej społeczności wybór padł na maitre Bertrama, Francuza pracującego dla kalifornijskiej firmy Biggs, Rigby, Denby, Fox, która miała biura w pięknym *hotel particulier* w ósmej dzielnicy. Roxy umówiła się z nim na spotkanie. Maitre Bertram wysłuchał jej z powagą. Nie potrafiła tak do końca wyjaśnić, co właściwie się stało z jej małżeństwem.

- Zadaję pani to pytanie, ponieważ ma pani wybór, czy oskarżyć swojego męża o cudzołóstwo albo znęcanie się, czy też pragnie pani rozwodu za porozumieniem stron. Bez orzekania o winie, jak sądzę, tak nazywają to w Stanach. Nikogo nie osądzam. To oczywiście nie jest moja rola.

- Wiem, że nie chcę kłótni ani zajadłych sporów - powiedziała Roxy, czując kolejny przypływ gniewu, uczucia, które sprawiało, że łzy zaczęły napływać jej do oczu. - Ja nawet nie chcę tego rozwodu. Chcę zapobiec rozwodowi.

- Kto więc pragnie się rozwieść?

- Rozwód to jego pomysł, on chce się ponownie ożenić - odparła Roxy.

- Proszę zaczekać, dopóki nie uświadomi sobie wszystkich finansowych następstw takiego posunięcia - poradził jej maitre Bertram. - Wiele razy widziałem, jak ludzie zmieniają zdanie. Jednak w wypadku rozwodu musiałyby pani wnieść przeciw niemu pozew, jeśli chciałyby pani doprowadzić do zawarcia porozumienia w sprawach materialnych, które będzie miało moc prawną. Musiałyby pani dowieść jego winy i on musiałby się do niej przyznać, a przynajmniej tego nie kwestionować. Zawarła pani tradycyjne małżeństwo, przewidujące wspólnotę majątkową, więc tak czy inaczej powstanie kwestia podziału majątku.

- Och, ale my niczego nie mamy - zapewniła go Roxy. - Mieszkanie, jakieś talerze i garnki.

- Zwykle sprzedaje się wszystko, czego nie można rozdzielić między małżonków. Czy spodziewa się pani, że mąż będzie się sprzeciwiał rozwodowi? Czy zamierza pani wnieść o zachowanie swojego nazwiska?

- Mojego panieńskiego nazwiska?

- Nie, pani obecnego nazwiska Persand, madame de Persand. Zwykle po rozwodzie kobieta musi wrócić do swojego *nom de jeune filie*. Takie jest prawo.

- Ale moje dzieci... ?

- Persand, oczywiście.

- Muszę mieć to samo nazwisko co moje dzieci - powiedziała Roxy namiętnie. Maitre Bertram był pod wrażeniem jej urody, jej kobiecej rozpaczki i zdecydowania, z jakim broniła interesów swoich dzieci. Pomyślał, że Charles-Henri jest chyba jakimś łajdakiem, po prostu szaleńcem.

Rodziny, rodzinna lojalność. Mój brat Roger - mój rodzony brat - jest partnerem (w tak młodym wieku!) w firmie Barney, Gehegan, Bryer & Walker, kancelarii prawniczej z San Francisco specjalizującej się w nieruchomościach i podatkach. Jego żona Jane jest jungowską psychoterapeutką i mają jedno dziecko, synka o imieniu Fritz, który, wbrew prawom rządzącym życiem dzieci psychologów, jest miłym sześciolatkiem.

Poza pracą i obsesyjnym joggingiem Roger aktywnie działa na rzecz ograniczenia dostępu do broni palnej, odkąd pewien szalony rewolwerowiec wkroczył do budynku, w którym mieści się jego firma, przy 101 California w San Francisco, i zastrzelił czternastu prawników oraz ich klientów, zaledwie dwa piętra poniżej jego biura. Jednak najbardziej zaskoczył go fakt, że, jak powiedział, kiedy ludzie usłyszeli o tej masakrze, najpierw byli przerażeni, po czym bardzo szybko w poszukiwaniu jakichś naturalnych przyczyn tak monstrualnej tragedii zaczęli objaśniać ją sobie z uśmiechem towarzyszącym nagłemu olśnieniu: „A, ale to byli prawnicy!”.

- Zupełnie takim tonem, jakby mówili: „W końcu to były tylko psy” - opowiadał Roger. Nigdy nie uważał siebie za członka jakiejś niepożądanego grupy społecznej i był zszokowany. - Zdawałem sobie sprawę, że nienawidzą prawników, ale nie wiedziałem jak bardzo - oświadczył z nutą rozżalenia w głosie.

Pomyślałam wtedy, że oprócz działań na rzecz ograniczenia dostępu do broni palnej mógłby spróbować, choćby za pośrednictwem stowarzyszenia prawników, zrobić coś na rzecz poprawy wizerunku, a może nawet zawodowej etyki swojego środowiska. Ale jakoś nie przyszło mu to do głowy.

Co kilka miesięcy Jane i Roger przylatują do Santa Barbara na weekend z Margee i Chesterem. Jane i Roger zwykle zatrzymują się w sąsiednim hotelu Miramar, Fritz nocuje u dziadków. Wyobraźcie sobie ulice wysadzone palmami, rzędy domów z cegły wypalanej na słońcu pokrytych dachówką w rdzawym kolorze, a do tego odgłos oceanu dobiegający spoza ulicznych hałasów i gwałtowne okrzyki mew oraz unoszący się w powietrzu zapach kwiatów, soli i oliwy do smażenia torti. Santa Barbara jest piękniejsze niż Miami w stanie Ohio i ma w sobie 0 wiele więcej elegancji niż zadymione sąsiednie Los Angeles. Tutejsi mieszkańcy lubią myśleć o swoim mieście jako o miejscu będącym uosobieniem dyskrecji i starych fortun, pełnym domów w stylu hiszpańskim, czasem bardzo pięknych, ukrytych za grubymi ceglanyymi murami i wymyślnymi ozdobnymi bramami z kutego żelaza. Mieszka tu także spora grupa Meksykanów, którzy w ogóle nie mówią po angielsku i których rzadko można zobaczyć na planie serialu ***Santa Barbara***.

Kiedy razem z ojcem i Rogerem przenieśliśmy się do Santa Barbara z powodu jego małżeństwa z Margeeve, którą poznał na wycieczce górskiej członków Sierra Club (ponownie jak Roxy poznała później Charles'a-Henriego we Francji), uważałam, że znalazłam się w raj, w miejscu będącym symbolem ludzkich osiągnięć i uprzywilejowanej pozycji. Tropikalny urok lekko kołyszących się palm, historyczne konotacje tutejszej architektury w stylu meksykańskim (wskazującej elegancją na związki z historią ludzkości, zdecydowanie potwierdzającej, że ludzkość w ogóle ma jakąś przeszłość), kultura (muzeum sztuki, komitet ochrony zabytków, miejska orkiestra symfoniczna i Dorothy Chandler Pavilion w Los Angeles, zaledwie dwie godziny jazdy autostradą, w którym można zobaczyć spektakle teatralne oraz przedstawienia operowe gościnnie występujących zespołów). Nawet widoczne z brzegu platformy wiertnicze mają nocami pewien urok niczym odległe wyspy grzechu. Uwielbiałam wilgotny, słony wiatr. Konwencjonalność Santa Barbara przynosiła ukojenie mojemu sercu mieszkanki Środkowego Zachodu. A jednocześnie intrygowały mnie ciemnoskóre pokojówki i ogrodnicy wyczekujący na przystankach autobusowych, no i chłopcy oraz narkotyki w szkole średniej. Podobały mi się nawet aparaty ortodontyczne, stosunkowo rzadko widywane w Ohio i absolutnie obowiązkowe w Kalifornii. To paradoksalne, że ja byłam nieco zwariowana, a moja nowa przyrodna siostra Roxy, która spędziła całe życie w Santa Barbara, stanowiła wzorcowy okaz dziewczyny ze Środkowego Zachodu: rozsądnej i pracowitej, trzeźwo myślącej i kierującej się w życiu niewzruszonymi zasadami.

Mogę sobie łatwo wyobrazić przebieg rodzinnego obiadu w Kalifornii. Rozmowa będzie się kręciła wokół pracy Rogera, pracy Chestera i wokół Roxy.

Mój ojciec, Chester ze Środkowego Zachodu, trzyma się swoich wyobrażeń o kalifornijskim stylu życia i nadal praktykuje barbecue, choć prawdziwi Kalifornijczycy dawno zarzucili ten obyczaj z obawy przed rakiem żołądka przesładującym kultury przywiązane do pieczenia mięsa na ruszcie. Prawdę mówiąc, Kalifornijczycy w znacznym

stopniu w ogóle przestali jeść mięso. Kiedy przyjechałam do Francji, byłam zaskoczona mięsożernością Francuzów.

- To okropne, co się przytrafiło Roxy - mówi Jane, ale jej troska o emocjonalne problemy członków naszej rodziny jest zawsze nieco podejrzana, zabarwiona odrobiną poczucia wyższości/ - Czy oni mają tam jakąś pomoc?

- On mówi, że jest nieuleczalnie zakochany w kimś innym - odpowiada Margeeve. - Chce rozwodu. - Jej ton ociera się o szyderstwo, jak gdyby mówiła: „On wierzy w Boga” albo „chodzi do kościoła”.

- Myślałem, że we Francji nie można się rozwieść - powiada Roger.

- To w Irlandii - wyjaśnia Chester.

- Aha. A jak długo to trwa we Francji?

- Nie mam pojęcia - mówi Chester. - Rok? Kiedy urodzi się dziecko?

- Dopiero w grudniu - odpowiada Margeeve.

- A do tego wszystkiego ma jeszcze na głowie Isabel. Roxy naprawdę ma ciężko - mówi Roger, który zawsze wykazuje wiele zrozumienia i współczucia dla swojej przyrodniej siostry Roxy i kompletnie mnie nie rozumie.

- Myślę, że w pewnym sensie to szczęście, że Isabel tam jest. Będzie musiała trochę wesprzeć Roxy - mówi Margeeve. (Tutaj wyobrażam sobie, jak wszyscy ciężko wzdychają i wywracają oczami).

- Roxy potrzebuje porady. Powinna mieć amerykańskiego prawnika. Jest we Francji paru dobrych gości. Znajdę jej kogoś.

- Czy spotyka się z kimś? - pyta Jane.

- Nie sędzę, w końcu jest w szóstym miesiącu - mówi Margeeve.

- Mam na myśli terapeutę. Kogoś, kto pomógłby jej przez to przejść. - Jane z racji swojego zawodu oczywiście wierzy w ludzką możliwość doskonalenia się.

Chester wychodzi na dwór przynieść filety z kurczaka.

- Tak czy inaczej, musimy podjąć jakąś decyzję w sprawie naszej polityki czy strategii - mówi dalej Margeeve. - Czy raczej decyzję natury filozoficznej: jakie jest właściwie nasze stanowisko w tej sprawie?

- Co to w ogóle jest za pytanie? Co to ma z nami wspólnego? - mówi Roger obłudnie.

- Czy w głębi serca mamy nadzieję, że ona zostanie z Charles'em-Henrim?

Widać było, że Margeeve czuje się rozdarta, inaczej nie pytałaby innych o zdanie. Chester wchodzi z ogrodu, słyszy ją i marszczy brwi.

- Nie mam nic przeciwko Charles'owi-Henriemu. Poza tym nie rozumiem, jakie znaczenie miałyby tu nasza opinia. Roxy powinna mieć takiego męża, jakiego pragnie. Po prostu chciałybyś, żeby mieszkała w Kalifornii.

- Och, to prawda. Jakaś część mnie myśli sobie: to wspaniale, że Roxy wróci do domu. Z Gennie. Z niemowlęciem. A jakaś inna część mnie myśli sobie, że to cudownie mieć wnuki, które żyją tysiące kilometrów stąd i nawet nie mówią po angielsku.

- Czemu więc nie pojedziesz tam na jakiś czas? Mnóstwo ludzi z rozkoszą skorzystałoby z pretekstu w postaci wnuków we Francji. Poza tym Gennie zna angielski. Roxy mówi do niej po angielsku.

- Szkoda, że nie widzimy Gennie częściej i nie będziemy widywać małego X-a, kiedy się pojawi - ciągnęła Margeeve.

- To jednak nie najsolidniejsza podstawa do nadziei, że Roxy zerwie z ich ojcem - powiada Chester. - Poza tym prawdopodobnie musielibyśmy je utrzymywać.

Margeeve rzuca Chesterowi surowe spojrzenie, żeby sprawdzić, czy nie żartuje. Nie żartuje.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy zaproponować, że sfinansujemy jej pomoc psychologa - mówi. - Przypuszczam, że mają we Francji wykwalifikowanych specjalistów. Znasz kogoś, Jane?

- To sami lacaniści - mówi Jane z powątpiewaniem.

- Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że *Święta Urszula* Roxy może być dość wartościowa? - pyta Margeeve, żeby zmienić temat.

- W każdym razie w kontekście wystawy, jaką organizuje Muzeum Getty'ego pod tytułem *Źródło światła. Szkoła La Toura*. Chodzi o obrazy z tego okresu, w których źródłem światła w przedstawianej scenie jest raczej świeca niż - by wspomnieć choćby o Vermeerze - okno albo jakieś inne źródło światła poza ramami obrazu.

- Muzeum Getty'ego jest zainteresowane *Święta Urszulą* - pyta Roger.

- Chcą ją wypożyczyć. Isabel mogłaby przywieźć ją do Kalifornii, wracając do domu.
- Muzeum z pewnością mogłoby zapłacić za spakowanie i przewóz - mówi Chester. - No i za ubezpieczenie.
- Dlaczego nazywasz *Świątą Urszulę* obrazem Roxy? - pyta Roger. Jak się okazało, pytanie wypowiedziane w złą godzinę.

Po obiedzie Chester wychodzi na patio wyczyścić grilla, rytuał, który sprawia mu jakąś osobliwą przyjemność. Ponieważ na co dzień w pracy nie ma kontaktu z narzędziami, lubi zajmować się długim osmalonym widelcem, ciężkimi roboczymi rękawicami o skórzanych spodach i metalową szczotką, której używa do zeskrobywania kawałków kureczaka i ryby (poprzednio steków) z prętów grilla. Lubi zapach węgla drzewnego, podpałki i tłuszczu. Jego myśli wędrują w stronę Roxy, pasierbicy, która wydaje mu się bliższa niż jego własne dzieci, Isabel i Roger. Między nim a Roxy istniała zawsze jakaś nić sympatii. Jej wycinanki z dzieciństwa przypominały mu jego własne, jej reakcje, głęboka powaga, także wydawały mu się znajome, podczas gdy Isabel, taka bezmyślna i niespokojna, wprawiała go w zakłopotanie. Zdumiewał go nawet jej talent do sportu. A Roger? Przypominał postać ulepioną z jego najgorszych cech, niewrażliwy i agresywny. Dotyczyło to zresztą obojga jego dzieci; to zabawne, chyba musieli odziedziczyć to po Andrei, swojej koszmarnej matce, ponieważ on sam był troskliwy, uważny i spokojny.

Teraz czuł jakiś niepokój, myśląc o przyszłości Roxy. Nie chciał, żeby odebrała rozwód jako klęskę. Każdy może się rozwieść, większość ludzi przez to przeszła, ale przeważnie ludzie, którzy się rozwodzili, z całej duszy pragnęli uwolnić się od tej drugiej osoby, która wydawała im się już tak obca, że nie mogli sobie wyobrazić, jak mogli ją kiedyś kochać i sypiać z nią, a jej odpychające cechy wywoływały jedynie zakłopotanie jako widomy dowód własnej niedojrzałości i nieznamości ludzi albo żałosnej roli ofiary losu. Tymczasem Roxy, sądząc po jej tonie, była rozdarta, dezorientowana, zraniona i urażona do głębi przez jednostronną śmierć miłości. Może nigdy się z tego nie podźwignąć. Nie wiedział, co może dla niej zrobić poza tym, że mógłby udusić Żabiego Księcia.

ROZDZIAŁ 14

Posiadałem w sercu zasób czułości, której sam nie byłem dobrze świadom, ale która, nie znajdując pokarmu, odrywała mnie raz po raz od wszystkiego, co mnie mogło zainteresować.

Adolf

We wszystkich dyskusjach paryskiej rodziny postać Magdy Tellman, nowej miłości Charles'a-Henriego, zaczęła nabierać coraz większego znaczenia. Rozmawiałam o niej z Charlotte Saxe. Magda miała trzydzieści siedem lat> czyli była o rok starsza od Charles'a-Henriego. Wyobraziłam sobie ciemnowłosą postać o intensywnym spojrzeniu niczym Maria Callas, obdarzoną jakimś niesłychanym zwierzęcym magnetyzmem i niezłomną wolą, biegłą znawczynią sekretnych tajników seksu. Ale jaka jest naprawdę, nikt z nas na razie nie wiedział, ani jeśli chodzi o osobowość, ani jej zamiary. Czy popychała Charles'a-Henriego do rozwodu, żeby go następnie poślubić? Czy właśnie ta zdesperowana kobieta szukająca w nim wybawienia i oparcia stała za jego nagłym dążeniem do tego, żeby porzucić Roxy? Co takiego w niej zobaczył, czego nie mógł znaleźć w pięknej Roxy, matce swoich dzieci? Usiłowałam wyobrazić sobie pragnienia serca Charles'a-Henriego, usiłowałam znaleźć jakieś wskazówki, które mogłabym podrzucić swojej siostrze. Ale tak naprawdę czułam, że i tak nie mogłaby przyjąć go z powrotem, bo niby jak? Wiedziałam, że muszę się jeszcze sporo nauczyć na temat cierpliwości i wybaczenia, lecz jeszcze nie teraz, jak mówił święty Augustyn, mając na myśli swoje pragnienie, by rozpocząć cnotliwe życie.

Słyszałyśmy, że Suzanne początkowo nie chciała się spotkać z Magdą oraz że potem, kierując się macierzyńskim pragmatyzmem, jednak się z nią spotkała. Poprosiła Charles'a-Henriego, żeby przyprował Magdę na lunch w Dôme, jak gdyby oboje byli odległymi krewnymi spotykającymi się z nią w obcym mieście albo przyjaciółmi jej dzieci. Charles-Henri zjawił się w restauracji pierwszy i troskliwie podsunął matce krzesło, poprawiał jej serwetkę. Magda przyjechała prosto z Gare du Nord. Grubokoścista, wylewna Słowianka z długimi jasnymi włosami, zbliżająca się do czterdziestki. Pobożna, macierzyńska, pod każdym względem raczej dziwna jako wersja *femme fatale*; jedyne, co łączyło ją z manierami kobiet tego rodzaju, to nałogowe palenie i *zwyczaj* picia wódki jako aperitif podczas lunchu.

Informując Roxy o tym spotkaniu, Suzanne dała jej jasno do zrozumienia, że zawsze będzie ją kochała i że Roxy nie powinna się o nic martwić.

- Nie pozostawiłam żadnych wątpliwości co do mojego stanowiska - powiedziała Suzanne. - Mój syn wie, co sędzę o tym, jakie ma obowiązki wobec własnych dzieci. Ale nie mogę powiedzieć, żeby ona wzbudziła moją niechęć. Solidne mieszczaństwo. Słowianie z lepszych rodzin wciąż robią bardzo dobre wrażenie. Zwykle dobrze mówią po francusku. Kiedy spytałam dość otwarcie o ich plany małżeńskie, powiedziała, że nie może za niego wyjść, ponieważ jest *croyste*, musieliby oboje postarać się o anulowanie małżeństwa. Czy to nie zdumiewające?

Roxy omal się nie rozchorowała, do tego stopnia była wzburzona faktem, że Suzanne w ogóle mogła wspominać o ewentualnym małżeństwie Magdy i Charles'a-Henriego, jak gdyby obecność Magdy w świecie Persandów już uznano za coś oczywistego.

Jesień zapanowała tymczasem w całej rozciągłości. W pierwszych tygodniach października byłam świadkiem kilku dziwnych wydarzeń. W Ogrodzie Luksemburskim liście, przez kilka dni czerwone i żółte, nagle opadły w przenikliwym jesiennym wietrze, po czym zbrązowały i szeleściły teraz na ścieżkach, wydając dźwięk przypomina-

jacy odgłos grabienia liści na cmentarzu. Z nieba zniknął cały błękit, jak gdyby świat odwrócił spojrzenie w inną stronę; miało teraz barwę światła w piwnicy. Można by pomyśleć, że wraz z tą zmianą scenarii Roxy pograży się w jeszcze głębszym smutku, ale początkowo wydawało się, że sprawia jej jakąś perwersyjną przyjemność. Zaczynałam rozumieć, dlaczego ludzie, którzy niedawno zamieszkali w Kalifornii, narzekają, że brakuje im pór roku, ponieważ tutaj człowiek miał wrażenie, że jesienna aura pasuje do nastroju chwili i że wszystkie udręki zostaną w końcu zrekompensowane przez nadejście wiosny.

Gniew i opór to, jak sądzę, zdrowe emocje, ale Roxy nie potrafiła długo przy nich wytrwać. Zabierała Gennie do Ogrodu Luksemburskiego i siedziała jak skamieniała, nie tyle rozmyślając o swoich problemach, ile po prostu trwając w bezruchu. Przygnieciona przez bezwład i depresję zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. W języku francuskim o kimś, kto jest przygnębiony, mówi się *deprime*. Suzanne zauważyła, że Roxy jest *deprimee*, i sama wspominałam o tym w rozmowach z Chesterem i Margeeve. Jednak żadne z nas nie zdawało sobie sprawy z tego, jak głęboko była przygnębiona, rozdzierana przez nakazy wiary, pragnienie zemsty, urażoną dumę, niepokój i tajemnicze toksyny towarzyszące ciąży.

Niedzielne popołudnie. W Radio France katolicka msza ustąpiła Frequencie Protestante i miejsce dostojnych intonacji łacińskiego nabożeństwa zajęła głupkowato radosna muzyka oraz wywiady z ludźmi opowiadającymi o swoim samopoczuciu. Czy jakieś amerykańskie cechy - brak umiaru i optymizm to dwie, jakie zaraz przychodzą mi na myśl - są w jakiś sposób związane z protestantyzmem?

Zjadłam lunch z *l'oncle* Edgarem w Drouant, restauracji (w odróżnieniu od kawiarni). Kiedy mimochodem wspominam o tym pani Pace, informuje mnie, że restauracja ma dwie gwiazdki w przewodniku Michelina. Pani Pace bardzo interesuje się restauracjami. Podczas lunchu z *l'oncle* Edgarem zauważył nas jeden z jego znajomych, co bardzo go rozbawiło.

„Myśli, że zacząłem gustować we *fruit vert*”, powiedział. Uwaga, której nie rozumiem. (Później spytałam Roxy - chodzi o niepełnoletnie dziewczęta. Powinnam potraktować to jako komplement?). Nie przedstawił mnie swojemu znajomemu.

Początkowo sądziłam, że za tym zaproszeniem, niezależnie od jego konspiracyjnego zadania, kryje się, być może, jakaś nostalgia za towarzystwem młodych kobiet albo pragnienie, żeby ktoś go zobaczył u boku jednej z nich, zainteresowanie młodymi ludźmi oraz ich intensywnym życiem, choć miałam nieodparte wrażenie, że jego życie było znacznie bogatsze i ciekawsze niż życie większości młodych ludzi. To samo mogłabym powiedzieć o pani Pace. Niesłusznie wydaje nam się, że starzy ludzie są od nas uzależnieni. Ostatecznie miałam się przekonać, że najlepsze są zawsze najprostsze wyjaśnienia.

W odpowiedzi na jego pytania opowiedziałam mu o swoim życiu. To było dość dziwne zwierzać się mężczyźnie, ponieważ zwykle to mężczyźni zwierzają się kobietom. Opowiedziałam mu o pani Pace, o której słyszał i którą, jak powiedział, chętnie by kiedyś poznał. Opowiedziałam o Stuarcie Barbeem i Randolphach. Nie o wspominałam o swoim życiu w Kalifornii, o chłopakach z kabrioletów i o motocyklistach, ani o tym, jak dwukrotnie „miałam problem” w szkole średniej, co nie wynikało z jakiegoś niedorozwoju umysłowego czy debilizmu, ale po prostu pecha z antykoncepcją. Nie wyznałam, że porzuciłam szkołę filmową. Ludzie często mówią, że wiedzą, kim są; może wiem, kim jestem, a może dopiero staram się tego dowiedzieć, ale na pewno nie chciałam, żeby *l'oncle* Edgar się tego dowiedział. Niemniej nie udawałam niewiniątka, tak jak nie próbowałam dostosować się do jego ewentualnych wyobrażeń na temat czarujących, młodych kobiet, wyobrażeń pochodzących zapewne z jakichś zamierzonych czasów.

Jedliśmy: *pie de cochon en salade, salade de crabe, roñ d'agneau* (on zamówił kodet *cielęcy*), *fromage* (pomiął ser), *gateau awc trois chocolats*. Nie wiem, ile to kosztowało, bo w moim menu nie było wydrukowanych cen.

Oczywiście, tak jak się spodziewałam, poruszył sprawę problemów między Roxy a Charles'em-Henrim i opowiedział mi o Magdzie (ponieważ zaproszono go na lunch z jej udziałem). Wydawała

mu się zaskakująco przygnębiona i miała grube kostki „jak angielskie dziewczęta”, a do tego piła wódkę przed lunchem jak Rosjanie. Wyjaśnił - przypuszczalnie taką właśnie otrzymał misję od swojej rodziny - że Suzanne, gdyby okoliczności nie dały jej innego wyboru, będzie musiała, choć z wielkim żalem, stanąć po stronie syna. Naturalnie był przekonany, że nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji. Chodziło jedynie o to, że Suzanne nie byłaby w stanie znieść, że Charles-Henri rujnuje sobie życie. Powiedziałam, że wyjaśnię to wszystko Roxy.

Tak jak przypuszczałam, nieuchronnie czekała mnie rola pośrednika, ponieważ rzeczywiście poruszałam się pomiędzy różnymi paryskimi światami - światem francuskiej rodziny Persandów a światami moich dwóch kochanków, Yves'a i Michela; światem amerykańskich kręgów literackich Amesa Everetta i pani Pace, międzynarodowym światem historyków sztuki, do którego należał Stuart Barbee, oraz światem bogatych rentierów i dyplomatów jak Randolphowie. Mój dostęp do tych światów był ograniczony - przenosiłam książki od Amesa Everetta do pani Pace i z powrotem; przynosiłam wiadomości dla Roxy od Charlotte na temat sytuacji; robiłam nawet dla Stuarda Barbeego zdjęcia w mieszkaniu pani Pace, ponieważ Barbee obiecał ponoć jej biografowi, jakiemuś swojemu znajomemu, że poprosi ją o zgodę na kilka fotografii. Początkowo nie miała na to ochoty, ale w końcu przeważyła przyjemna i niepozbawiona odrobiny próżności myśl, że także inni zobaczą jej piękne meble i porcelanę, lub raczej że ją samą zobaczą na ich de. Nie znaczy to, że mam jakieś fotograficzne talenty, ale posłużyłam się aparatem dla idiotów pożyczonym od Amesa, z automatycznym fleszem.

- Jasne, nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Roxy w odpowiedzi na prośbę Muzeum Getty'ego, które pragnęło, żeby jeden z ich ekspertów sfotografował jej obraz przedstawiający świętą Urszulę w związku z planowaną wystawą pod tytułem *Źródło światła*. - To miło pomyśleć, że wreszcie ktoś ją doceni po tych wszystkich latach, jakie spędziła w całkowitym zapomnieniu w naszym domu.

Okazało się, że osobą, którą przyszła obejrzyć i sfotografować obraz oraz określić wysokość ubezpieczenia, niezbędnego w wypadku

wysłania go do Kalifornii, był Stuart Barbee. Powiedział Roxy, że należy ubezpieczyć obraz na czterdzieści tysięcy dolarów, co wprawiło ją w wielkie podniecenie. Natychmiast zadzwoniła do Margeeve i Chestera z radością, jaka ogarnia człowieka na myśl, że jakaś rzecz znajdująca się w jego posiadaniu ma wartość, jakiej nigdy się nie spodziewał.

Stuart Barbee podziwiał także zastawę stołową Roxy stary fajans pochodzący z rodzinnych zbiorów Persandów. Trochę pożałowałam, że tak namiętnie ją podziwia, ponieważ teraz będzie Roxy o wiele bardziej przykro, jeśli będzie musiała ją zwrócić. Chyba i jej coś takiego przemknęło przez myśl.

- Persandowie mają mnóstwo starych naczyń stołowych - stwierdziła. - Suzanne pozwoliła mi zachować je dla Gennie. A ich meble - mają tyle wspaniałych mebli, wiem, że nigdy nie będzie im brakowało rzeczy, które mam u siebie.

- Podziwiam u Francuzów to radosne pragnienie gromadzenia przedmiotów, ich szacunek dla wytworów ludzkich rąk - powiedział Ames Everett, kiedy przyszedł do nas na herbatę.

- Tak, Francuzi kochają rzeczy bardziej z powodu ich piękna albo totemicznego znaczenia niż z powodu ich wartości - przyznała Roxy.

- Tymczasem Amerykanie wykazują lekceważenie dla przedmiotów materialnych, jak gdyby zbieranie ich albo posiadanie było czymś niezbyt przyzwoitym - dodał Ames. - A przecież są opętani ideą konsumpcji. Francuzi to też konsumenci, a jednocześnie nie są materialistami. To budzi mój szacunek.

Adwokat Roxy, maitre Bertram, powiedział, że powinna zacząć gromadzić dossier złożone z listów i relacji dających świadectwo jej własnej niepodważalnej niewinności oraz krzyczącej niewierności Charles'a-Henriego. Roxy myślała o tym z największą niechęcią, tym bardziej że polecił jej zgromadzić listy nie tylko od Amerykanów, ale także od Francuzów. Okazało się to dla niej zadaniem przykrym i krępującym, ponieważ zwracając się do znajomych o taką przysługę, czuła się, jak gdyby prosiła ich, żeby zdradzili swoją ojczyznę. Jedna czy dwie osoby rzeczywiście odmówiły, twierdząc, że nie chcą

stawać po niczyjej stronie. Anne-Chantal Lartigue lojalnie zgodziła się napisać list, w którym stwierdzała, że Charles-Henri zaniedbywał swoje obowiązki i wyprowadził się od żony i dziecka oraz że Roxy jest bardzo oddaną matką. „Powiem, że jesteś świętą”, obiecała. Również pani Pace zgodziła się napisać stosowne oświadczenie, co przyjęliśmy z Roxy z niejakim niepokojem, ponieważ znając zdecydowanie, z jakim pani Pace stara się zawsze mówić prawdę, obawiliśmy się, że powie coś obciążającego na temat Roxy, na przykład o jej sztuce kulinarnej, która choć nie jest najgorsza, na pewno nie może uchodzić za kuchnię francuską, albo wspomni, że Gennie chodzi do *creche*. Jednak martwiłyśmy się niepotrzebnie, albowiem pani Pace jest także powieściopisarką i ostatecznie odmalowała w swoim liście portret Charles'a-Henriego jako potwora obojętności i chciwości, choć nie dopuściła się żadnego kłamstwa.

Inne dziwne zdarzenie. Roxy także spotkała męża Magdy Tellman, a w każdym razie przypuszczam, że to był on, ten sam mężczyzna, na którego natknęłam się w holu naszej kamienicy.

- Zdarzyło się coś dziwnego - powiedziała pewnego dnia wyraźnie wzburzona. - Wychodziłam właśnie z Closerie des Lilas, gdy podszedł do mnie jakiś człowiek i spytał, czy jestem Roxeanne de Persand. Słychać było, że to Amerykanin, do tego najwyraźniej pijany, więc nieco odsunęłam się od niego, na co on zaczął na mnie wrzeszczeć na środku chodnika.

- Tellman - wtrąciłam - mąż Magdy.

- Tak się przedstawił. Krzyczał na mnie na ulicy przed wejściem do Closerie des *Lilas*, twierdząc, że powinnam go wysłuchać i zastanowić się, co byłoby dobre dla mnie. Ale niczego nie wyjaśnił, po prostu na mnie wrzeszczał, że powinnam go posłuchać i że jestem jeszcze jedną głupią pizdą. Niemał czułam, że czymś mi grozi, jak gdybym to ja go skrzywdziła. Przestraszyłam się, ale przechodzący Francuzi nie rozumieli, o co mu chodzi, więc nikt nie zaproponował mi pomocy.

A potem wydarzyło się coś jeszcze bardziej nieoczekiwanego. Zadzwoiła Suzanne.

- Mam pewną sprawę, to raczej dość delikatna kwestia - zaczęła głosem ociekającym obłudnym taktem i fałszywym żalem (jak ujęła to później Roxy). - Antoine bardzo nas wszystkich zaskoczył, mówiąc, że jego zdaniem byłoby niewłaściwe, gdyby *Świętą Urszulę* wysłano teraz do Muzeum Getty'ego. Prawnicy jeszcze nie zdecydowali, do kogo ona należy.

- Co takiego? - spytała Roxy.

- Przypuszczam, że nie mam innego wyjścia, jak się z tym zgodzić, ponieważ Antoine lepiej zna się na kwestiach prawnych niż ja. Ale obiecałam, że ci o tym powiem - mówiła dalej Suzanne.

Roxy, który już wcześniej żyła w takim napięciu, że najdrobniejsza rzecz mogła wytrącić ją z równowagi, zacisnęła zęby i z zaciętą miną rozmawiała z Suzanne. „To niesłychane!” - usłyszałam jedynie słowa wypowiedziane nieskończenie potulnym tonem. Ale gdy odłożyła słuchawkę, oczy jej błyszczały jak u kota w świetle reflektorów.

- Po prostu nie do wiary - powiedziała. - To niesłychane, ten obraz należy do naszej rodziny i nie ma nic wspólnego z Persandami. Jak oni śmia mi mówić, gdzie mogę go posłać.

Myślę o tej opowieści jako o historii Roxy, ale moje życie właśnie w tym momencie przyspieszyło, począwszy od pewnego zdarzenia, a zdarzenia skłaniają nas do tego, by dawać im świadectwo, czy chcemy tego, czy nie. Być może więc to nie tyle historia Roxy, ile opowieść o przecinaniu się linii życia nas wszystkich - Roxy, mojego i pani Pace, i innych, co prowadzi do pojawiania się różnych namietności i poczucia winy. Na przykład co by było, gdybym nie powiedziała Stuartowi Barbeemu, że Suzanne ma piękne meble? Albo gdybyśmy posłuchały Tellmana, naprawdę go posłuchały. Najmniejszy moment nieuwagi okazuje się katastrofalny w skutkach - czy to uniwersalna prawda? Ale tak trudno przez cały czas zwracać na wszystko uwagę.

Jakiś tydzień po tym wydarzeniu poszłam z *l'oncle* Edgarem na wystawę sztuki i poczułam, że zaczynam się w nim durzyć. Sama myśl o niewielkim romansie z Edgarem Cossetem zaczęła tak osobliwie pochłaniać moją uwagę, że zainteresowanie codziennymi sprawami niemal zastężyło w aurze rozmarzonego niepokoju, zupełnie

jakbym była dziewcziną na progu miesiąca miodowego. Myślałam o jego masywnych ramionach i krótko ostrzyżonych siwych włosach, elegancko przyciętych jak u jakiegoś sławnego biznesmena; myślałam o tym, jak ludzie na niego patrzą, rozpoznają go, i o tym, jak francuskie prezenterki programów telewizyjnych uśmiechają się do niego. Rozmyślając o *l'oncle* Edgarze, zrezygnowałam nawet z randki z Yves'em, wykorzystując Roxy jako pretekst. (Prawdę mówiąc, było mi coraz trudniej gdzieś wyjść wieczorem. Ciągłe zajmowałam się Gennie). Wcale nie było tak, że nieustannie biegałam po mieście, dobrze się bawiąc, podczas gdy biedna Roxy w żałobie siedziała w domu. Wprost przeciwnie. Roxy miała wielu przyjaciół - Amerykanki, z którymi chodziła do kina i na różne imprezy kulturalne, Francuzki, różnych mężczyzn ze świata poezji. Czasami, kiedy obie dostawałyśmy zaproszenie, na przykład do pani Pace albo Amesa Everetta, z góry przychodziła do Gennie żona Afrykańczyka albo z dołu Gina, córka konsjerżki. Ale akurat tego wieczoru prawda była taka, że chciałam zostać w domu i oglądać *l'oncle* Edgara w programie *Sept sur Sept*.

Czułam się teraz trochę nie w porządku wobec Roxy, ponieważ marzyłam o pójściu od łóżka z członkiem wrogiego klanu niczym Julia, ściągając na nas jakieś trudne do przewidzenia kłopoty, konflikty i pokusę zdrady. Poza tym pewnie uznałaby to za bardzo dziwne, że podoba mi się mężczyzna koło siedemdziesiątki (bo tyle chyba miał według moich obliczeń). Pokusa nieco biblijna w swojej dziwaczności. A ja użalałam się nad Roxy, ponieważ w chwili, gdy jej życie rozsypywało się na kawałki, moje zaczynało się splecać w coraz bogatszy wzór.

Nawet jeśli podobało mi się we Francji, trochę tęskniłam za Kalifornią. Chętnie na przykład po prostu usiadłabym i posłuchała jakiejś muzyki. Nie ma co ukrywać, ich muzyka w niczym nie przypomina naszej. Brakowało mi też odgłosów oceanu, a nawet tęskniłam za mewami i kalifornijskim światłem, jazdą samochodem i meksykańskim jedzeniem - może w odwrotnej kolejności. We Francji, choć wydaje im się, że mają meksykańskie restauracje, w ogóle nie wiedzą, jak powinna wyglądać meksykańska kuchnia, a ta prawdziwa

na pewno nie przypadłaby im do gustu. Nienawidzą ostrych przypraw. W dniach, kiedy szczególnie cknęło mi się za domem (PMS), wpatrywałam się po obudzeniu w paskudne małe okienko mojego *chambre de bonne* i czułam się jak bohaterka jednej z moich ulubionych książek z dzieciństwa, umieszczona po śmierci ojca w małym pokoiku na poddaszu drogiej szkoły, ponieważ nie miała z czego opłacać chesnego. A potem przypominałam sobie, że w tym samym czasie giną tysiące mieszkańców Ruandy, siekanych i mordowanych, choć gazety nie podały nam ani jednego imienia biednego Ruandyjczyka, a pociski z moździerzy rozrywają małe bośniackie dzieci (których imiona czasami podawano, ponieważ mieszkają w Europie). Przypominałam sobie, że te miejsca leżą całkiem blisko. Mogłabym znaleźć się w Bośni za dwie godziny, a w Ruandzie jutro rano, gdy tymczasem Kalifornia była odległą wyspą otoczoną przez piaski i morze.

Listy z Kalifornii przychodziły zwykle całymi paczkami, jak gdyby ktoś przewoził je łądem albo na statku zapakowane do jednego kufra. Naraz dowiadywałam się, co słyhać u kilkorga moich przyjaciół, mojego byłego chłopaka Hanka, a ostatnio pojawił się nawet list od Margeeve, co było trochę zaskakujące, ponieważ zwykle to Chester pisuje do mnie, a Margeeve do Roxy. Tym razem jednak to ona do mnie napisała w sprawie Roxy.

Iz, kochanie,

To tylko kilka dodatkowych słów, niezależnie od listu do Roxy, z prośbą, żebyś informowała nas na bieżąco, co się dzieje. Roxy przez telefon brzmi, jakby była trochę rozkojarzona - czy ona robi wszystko, co powinna w sprawie porady prawnej itd., czy raczej odpływa gdzieś myślami, co, jak dobrze wiemy, potrafi? Jeśli to sprawa pieniędzy, możemy jej pomóc w pewnym zakresie, co zresztą jej powiedziałam, może potrzebuje pożyczki z banku itd., ale nie możemy niczego zrobić, dopóki nie dowiemy się, czego potrzebuje. Czy nie byłoby lepiej, gdybyś wzięła Gennie i wróciła do domu? Może wtedy bardziej skupiłaby się na tym, co powinna zrobić? Mówi coś o jakimś

dossier? Informuj nas na bieżąco, Iz, i mam nadzieję, że mimo wszystko masz trochę czasu na przyjemności.

xx

Marg.

PS Nie pozwól jej, żeby po prostu się zgodziła na wszystko, co jej proponują, choćby po to, żeby nie miała potem tego sobie za złe. Jane mówi to samo. xx

Nie trzeba dodawać, że pokazałam Roxy ten list, ponieważ pomyślałam, że to ją ucieszy.

- Chyba rzeczywiście mogę się wydawać rozkojarzona - przyznała. - Nie mówiłam im jeszcze o tym, że Persandowie sprzeciwiają się wysłaniu *Świętej Urszuli* do Stanów. Wiem, że Margeeve bardzo na to liczyła, jest taka podekscytowana, że jeden z naszych obrazów będzie na wystawie w Muzeum Getty'ego. Znalazłam się między młotem a kowadłem.

Po czym dodała:

- Zupełnie nie mogę pracować. Słowa zamieniają mi się w błoto. Nic mi nie wychodzi. Myślę, że to ciąża, ale nie miałam takich kłopotów, kiedy byłam w ciąży z Gennie. Hormony? Zupełnie jakby nie dało się być twórczym na dwa sposoby jednocześnie.

Powiedziałam, że naprawdę ma aż nadto problemów.

Pewnego dnia, gdy wróciliśmy z Gennie do domu, Roxy odezwała się z miną, jaką zawsze robi, kiedy kłamie:

- Jest jakaś paczka dla ciebie. - Wielkie pomarańczowe pudełko przewiązane brązową wstążką leżało kusząco na biurku niczym tort na ołtarzu. - Posłaniec to przyniósł - dodała, przyglądając mi się z uwagą.

Przyjemnie jest dostawać prezenty, więc pospiesznie zaczęłam rozpakowywać pakunek. Roxy kręciła się koło wejścia do kuchni, starając się nie sprawiać wrażenia osoby zbyt zaciekawionej, kiedy wyciągnęłam z pudełka skórzaną torebkę karmelowego koloru, dość ładną, może trochę paniuńciową, i parę czarnych rękawiczek na

futerku. Do prezentu dołączona była kartka, na którą pospiesznie rzuciłam okiem, i szybko wepchnęłam ją do kieszeni niczym trefne pieniądze.

- Kazałam to przywieźć sobie do domu - powiedziałam. - Pudełko było takie wielkie, a musiałam jeszcze pójść do *creche* po Genie - skłamałam, jak gdybym miała wielką wprawę w mówieniu kłamstw, co nie jest prawdą, ponieważ zwykle nie przejmuję się tym, co o mnie pomyśla.

- Hermes - stwierdziła Roxy. - Musiała sporo kosztować.

- Tak, strasznie droga - przyznałam - ale sprzedawca mówił, że to model z zeszłego sezonu, czy coś takiego - brnęłam.

- Niemniej droga - powiedziała Roxy z wyrzutem.

Przypuszczalnie sądziła, że dostałam ją od jakiegoś mężczyzny, bo tak rzeczywiście było - od *l'oncle* Edgara. Zauważyliśmy ją na wystawie. Na karteczce były słowa „*Bonjour, mademoiselle*” i coś na temat *exposition* w przyszłym tygodniu, zdaje się o charakterze edukacyjnym, poświęconej Andre Bretonowi. Być może dostałam prezent jako *bonne eleve*, ponieważ nauczyłam się, że na dzień dobry trzeba mówić *bonjour, monsieur*, a nie jedynie *bonjour*, czy *bonjour, monsieur Cosset*. (Ale nikt, nawet apodyktyczny *l'oncle* Edgar, nie potrafił mi wyjaśnić logiki *rzadzące*) tą regułą). Po drugiej stronie kartki, jak później zauważyłam, dopisał jeszcze: „na wypadek ataku zimy”, co jak zrozumiałam, odnosiło się do rękawiczek, oraz *bon anniversaire*. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział, że wkrótce będą moje urodziny. Ale wiedziałam teraz, że wrażenie pewnego szczególnego zainteresowania, jakie przepływało między nami, nie było jedynie wytworem mojej wyobraźni. Byłam szalenie podekscytowana, a mimo to musiałam robić zblazowaną minę niczym Marlena Dietrich.

ROZDZIAŁ 15

Czy zmienisz moje przeznaczenie

I przyniesiesz dobrą pogodę moim późnym ziomom?

Francois Mainard

Uważam dziś, że było coś osobliwego w fakcie, że Edgar zabrał mnie wtedy na nudną, edukacyjną wystawę dzieł sztuki - odrobinę starannie serwowanej kultury przed głównym wydarzeniem - nie mniej zdaję sobie sprawę z tego, że prowokuję innych do dydaktycznych zachowań i być może sprawiam nieodparte wrażenie nieuforowanej gliny. W dodatku Edgar, jak wielu Francuzów, ma w sobie coś z purytanina, choć to nas oskarżają o purytanizm. Jednak, prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego dziwi ich nasz purytanizm, skoro jesteśmy dziećmi narodu założonego przez purytanów. Wydaje się o wiele bardziej zaskakujące, gdy to oni, powszechnie znani hedoniści, zaczynają przejawiać dydaktyczne zapędy i nagle chcą tracić czas na doskonalenie siebie bądź innych.

Poszliśmy na kolację do Pierre Traiteur *ifoié gras* oraz *raie aux cdpres*) i przy deserze powiedział:

- Już dawno przestałem zwabiać do siebie młode kobiety pod jakimś innym pretekstem w nadziei, że sprawy same potoczą się w pożądanym kierunku. Musimy się zdecydować, czy chcesz zostać moją kochanką.

Przypuszczam, że słowo „kochanka” trochę mnie zaskoczyło, wywołując skojarzenia z seksem i zniewoleniem, kolacjami u Maxima i drogimi prezentami - poczynając zapewne od torebki - oraz złożonym kodeksem reguł towarzyskich, o czym można było dowiedzieć

się z opery *Traviata*, którą oglądałam na wideo, z Marią Callas w roli głównej. Los zdecydowanie nie do pozazdroszczenia: heroina traci majątek, doznaje zniewagi, ma złamane serce i w końcu umiera. Poza tym jestem przyzwyczajona do bardziej spontanicznych propozycji natury erotycznej, więc byłam zaskoczona i chwilę' zawahałam się, mamrocząc:

- Jak mam to rozumieć?

- Tak, że zostaniemy kochankami i będziemy spędzali ze sobą trochę czasu jak dzisiejszego wieczoru, zabawiając siebie nawzajem. To chyba wasz pisarz Addison, a może Sheridan, ubolewał nad odejściem w niepamięć starych dobrych dni, gdy wystarczyło kobietę rozbawić, by zdobyć jej względy. Dziś to przypuszczalnie nie wystarcza, ale, jak sądzę, nadal chodzi o to, żeby się dobrze bawić. Wiem, że potrafisz mnie rozbawić i myślę, że ja potrafię rozbawić ciebie. A poza tym pożądam cię. Jesteś piękną, młodą kobietą.

Pomyślałam, że słowo „zabawić” brzmi trochę lekceważąco, jak w wyrażeniu „zabawny drobiazg”, ale odkryłam już, że słowa w języku francuskim mają, w mniejszym lub większym stopniu, odwrotne natężenie emocjonalne. Kiedy Francuzi mówią *je le deteste*, chodzi im o to, że umiarkowanie czegoś nie lubią; *je l'adore* oznacza, że coś jest w porządku. Jeśli coś jest naprawdę wspaniałe, trzeba powiedzieć, że jest nie najgorsze, *pas mai*. Poza tym należy używać słów odpowiednich do swojej pozycji społecznej. W przeciwnym razie człowiek naraża się na ostentacyjne westchnienia i śmiechy.

Zabawić zatem - co to miało znaczyć? Wiele mówi się o pożądaniu, niezależnie od jego źródła, o tym dziwnym odczuciu w udach i szybkim pulsie krwi. Zdarzało mi się je odczuwać i rozumiałam je. Ale na podstawie swoich doświadczeń mogę powiedzieć, że nie dość mówi się o ciekawości. Znowu uświadomiłam sobie, że zastanawiam się - pragnę się dowiedzieć - jak by to było pójść do łóżka z *l'oncle* Edgarem. Często ogarnia mnie taka ciekawość na widok różnych mężczyzn i cieszę się, że urodziłam się w czasach, gdy mogę ją zaspokoić, nie narażając się zbyt na utratę reputacji, zajście w ciążę albo dramat złamanego serca.

W ciągu tych wszystkich miesięcy, bolesnych przejść Roxy i własnych przygód w obcym kraju, nigdy nie przyszło mi do głowy, że to ja mogę mieć złamane serce.

Ale w tym momencie to było już coś więcej niż ciekawość, miałam świadomość postawnego, męskiego ciała Edgara i jego związków z odległą wojną w Indochinach, świadomość jego wiedzy na temat erotycznych pomruków w innych językach i jego znajomości z mężczyznami stanu. Myślę, że to wszystko składało się na jego niezwykłą atrakcyjność, co z kolei wyjaśniało, jak sądzę, ogarniający mnie stan niespokojnego oczekiwania, czy jakkolwiek to nazwać, kiedy wiesz już, że kogoś pragniesz, nawet jeśli ku twemu zaskoczeniu jest to dżentelmen w starszym wieku.

- Ale właśnie mam okres - powiedziałam. - To nie jest najlepszy moment jak na początek.

Roześmiał się. Słyszając swoje słowa, pomyślałam, że istotnie zabrzmiały dość obcesowo i najwyraźniej zabrakło w nich odrobiny kobiecej wstydlivosti.

Jak sobie życzę, kiedykolwiek zapragnę, powiedział.

Kiedy weszła Cyganka sprzedająca kwiaty, kupił czerwone różyczki.

- To oczywiście powinny być kamelie - dodał. - Dumas.

Sądzę, że dopóki nie zaproponował, żebym poszła z nim do łóżka, wcale nie byłam taka pewna, czy rzeczywiście o to mu chodzi, choć pamiętam, że przemknęło mi to przez myśl, nie mówiąc już o tej sprawie z torebką. Wyczuwałam jego zainteresowanie, ale uważałam, że to byłoby zbyt niedorzeczne. Na poziomie świadomości byłam zaskoczona samą sobą i całą sytuacją. Pomyślałam o filmach z Maurice'em Chevalierem, o **Gigi**.

A teraz w ogóle nie wydaje mi się to dziwaczne. Kiedy mówię, że kocham go i pożądam, wiem, że chodzi tu także o inne sprawy oprócz seksu. Podziwiam na przykład jego siłę i doświadczenie. Walczył z chińskimi bandytami na wzgórzach Tajwanu i z Rosjanami w Afganistanie. Seks ma z tym więcej wspólnego, niż sobie wyobrażałam, ale być może istnieje także coś, co można by nazwać seksualną sugestią, w której romantyczne wyobrażenie chińskich bandytów

działa bezpośrednio na twoje zakończenia nerwowe za pośrednictwem mechanizmu penisa. A może to działa jeszcze bardziej bezpośrednio. Istnieją wrażenia, o których nie sposób niczego powiedzieć i których nie sposób opisać, obszary wyobraźni, których znaczenie, choć niejasno je odczuwamy, wymyka się naszemu pojmowaniu.

Podczas tej konkretnej kolacji nie padło ani jedno słowo o narastających napięciach między naszymi rodzinami, ale zgodziliśmy się, że należy zachować ostrożność. I że nie powiemy naszym rodzinom o tym, co się ma wydarzyć - to była moja propozycja. Roześmiał się wesoło.

- Nawet mi nie przyszło do głowy, żeby wspominać o tym naszym rodzinom, moja droga. *Au contraire*.

Rano jechał do Awinionu, mieliśmy się spotkać za kilka dni. Wydaje się, że mieszka w Awinionie i ma *piéd-a-terre* w Paryżu. Nie pytałam i nikt mi nigdy nic na ten temat nie mówił, czy istnieje jakaś madame Cosset w Awinionie. Nie chodzi o to, że chciał coś przede mną ukryć, ale o to, że sama bałam się o różne rzeczy zapytać. Kiedy pocałował mnie w taksówce, spodobało mi się. Poczułam wielką ulgę, ponieważ postanowiłam już, że pójdę z nim do łóżka. To był poważny pocałunek, nie jakiś pocałunek wujka. Ale i nie francuski pocałunek.

Roxy zrobiła jak na nią coś dość niezwykłego, biorąc pod uwagę, że zwykle nie interesuje się dobrami materialnymi.

- Poszłam do Hermesa - powiedziała. - To znaczy byłam akurat w pobliżu. Przysięgam, Iz, że naprawdę nie próbowałam węszyć, ale wiesz, ona nazywa się Kelly. Od Grace Kelly, jak się domyślam. Twoja torebka...

- Jest trochę damulkowata, Grace Kelly była damą, to prawdopodobnie ta - zgodziłam się z nią.

- Iz, czy wiesz, ile kosztuje ta torebka?

- Nie chcę nawet tego słyszeć - odrzekłam. Lepiej nie wiedzieć, ile ktoś gotów jest na ciebie wydać. Może okazać się, że to za mało albo za dużo.

- Wiem, że sama jej sobie nie kupiłaś - mówiła dalej.

Jak powiedziałam, zwykle nie kłamie. Wzruszyłam tylko ramionami.

- Nie, ktoś mi ją podarował. Zrobiłam komuś pewną uprzejmość. Wiedziała, że nie zamierzam wyznać jej prawdy, więc zrezygnowała, jak się wydaje, bez żalu. Byłam pewna, że ma swoje teorie, i nie wątpiłam, że są błędne.

- Czy nikt nie powiedział ci, że nie powinnaś przyjmować drogich prezentów od mężczyzn? - spytała po chwili.

Roześmiałam się.

- Szczerze mówiąc, nie. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że mogłabym dostać jakiś drogi prezent od mężczyzny.

- Tak czy inaczej, powinnaś ją zwrócić.

- Akurat. Zresztą i tak nie przyjąłby jej z powrotem. Poza tym dlaczego nie miałabym przyjmować drogiego prezentu od mężczyzny, jeśli pragnie mi go ofiarować?

- To stawia cię w niezręcznym położeniu, musisz teraz zrobić to, czego on pragnie.

- A jeśli sama tego pragnę?

Na chwilę ją zatkało.

- Jeśli oboje chcecie tego samego, nie musi dawać ci drogich prezentów - powiedziała wreszcie.

- Ale ma na to ochotę. To nie jest zapłata lub łapówka. I tak poszłam z nim do łóżka. Rzecz w tym, że to jest prezent.

- W takim razie, jak sądzę, możesz go przyjąć. - W jej głosie nagle pojawiła się nuta rozżalenia, jak gdyby pomyślała sobie, że ze swoim okazałym brzuchem i wypiekami na policzkach nie ma najmniejszych szans na to, żeby dostać kosztowny prezent od kogoś, kto po prostu pragnie jej coś ofiarować.

Niemniej wiedziałam, że gdyby Edgar był młodszy, nie miałby zwyczaju wręczania drogich prezentów, i że taki gest był reliktem minionej epoki. Prawdę mówiąc, to pani Pace zwróciła na to moją uwagę.

- Jaka piękna - powiedziała na widok Kelly. Nie znaczy to, że wszędzie z nią chodziłam; nawet jeśli miała trochę paniuńciowaty wygląd, była niebrzydka i dość pakowna. - Musisz mieć jakiegoś wielbiciela. Niech się jej przyjrzą. Tak, to musi być Francuz w pewnym wieku. Urocze zwyczaje minionych dni.

Przypomniałam sobie, że sama ma całą szafę kosztownych, ale starych torebek ze strusia, aligatora, jaszczurki i wszelkich innych stworzeń zagrożonych wymarciem.

- Przypomina mi dawne czasy. - Uśmiechnęła się. Ale kiedy zorientowała się, że nie zamierzam opowiadać o Kelly, podobnie jak Roxy najwyraźniej straciła zainteresowanie dla tematu.'

Nawet jeśli mężczyźni nie starają się już przekupywać kobiet za pomocą takich prezentów z seksualnym podtekstem, przetrwało przynajmniej przekonanie, że tak robią. Kiedy więc uświadomiłam sobie ten aspekt całej sprawy, byłam trochę zakłopotana. Próbowałam raz porozmawiać o tym z samym Edgarem. Czy to był rodzaj łapówki za seks? W końcu i tak zrobiłabym to za darmo, gdybym miała na to ochotę, albo i nie, i gdyby ktoś sądził, że mogłoby być inaczej, byłaby to dość degradująca wizja kobiecej autonomii.

Edgar roześmiał się tylko. Powiedział, że jestem potomkinią przyziemnych, materialistycznie nastawionych amerykańskich kalwinistów, którzy rozumują w kategoriach zapłaty i przekupstwa. Pewne rzeczy są podarunkiem i uszlachetniają ofiarodawcę, a poza tym stanowią nieodłączny element tego, jak mężczyźni pojmują swoją rolę w świecie.

Wkrótce po tej rozmowie wydarzyło się coś niepokojącego. Któregoś popołudnia zastępowałam instruktorkę aerobiku w American Center, więc Roxy sama odebrała Gennie i była już w domu, kiedy wróciłam koło siódmej wieczorem. Usłyszałam, że są w kuchni, Gennie płakała głośno, niemal zawodziła, a Roxy mówiła coś gniewnie podniesionym głosem, jak gdyby Gennie przeraziła ją, robiąc sobie jakąś krzywdę. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam ogień albo poparzenie i szybko wbiegłam do środka. Gennie była niemal purpurowa na buzi, na twarzy Roxy malował się grymas niekontrolowanej wściekłości. Zrozumiałam, że przypuszczalnie uderzyła Gennie i właśnie uniosła rękę, żeby zrobić to jeszcze raz. Biedne dziecko przybiegło do mnie, a Roxy zaczęła łkać: nienawidziła Gennie, Charles'a-Henriego, którego ten straszny bachor tak bardzo przypomina, swojego życia, mnie i całego świata. Patrzyłam na nią z pewnym zdumieniem, słuchając tego potoku wściekłych obelg i uzalania się nad sobą. Mia-

lam jej za złe nie to, że czuje się w ten sposób - każdy może mieć w pewnym momencie wszystkiego dość - ale to, że wyżywa się na Gennie. Nie sądziłam, że jest do tego zdolna.

Zabrałam Gennie do salonu. Z niechęcią przypominałam sobie, że Roxy w przeszłości nieraz ulegała egoistycznej skłonności do uzalania się nad sobą. Taka już była i nigdy tego nie rozumiałam. Wiedziałam, że jest wrażliwsza ode mnie, zawsze bardziej zagrożona przez otaczającą rzeczywistość, a ja nie zostałam po prostu obdarzona odpowiednio przez naturę, by to rozumieć albo odczuwać podobnie. Mniej subtelna materia. Roxy płakała w kuchni coraz ciszej, hałasując różnymi przedmiotami. Pocięzałam Gennie, szepcząc „ciiiii”, i czekałam, aż burza minie. Kiedy Roxy była nastolatką, zwykle przeproszała po takich wybuchach, ale tym razem nie powiedziała ani słowa. Na pulchnym, zalanym łzami, małym policzku Gennie widać było ślad jej ręki.

ROZDZIAŁ 16

Albowiem miody mężczyzno jest przystojny, ale to stary mężczyzna jest wielki.

Wiktor Hugo

Przez te kilka dni poprzedzających moje spotkanie z Edgarem niepokoiła mnie zwłaszcza jedna rzecz dotycząca mojego życia. Ponieważ lubię patrzeć na przystojnych młodych mężczyzn (patrzeć i nie tylko), martwiła mnie kwestia ciała starego mężczyzny, jak będzie wyglądał bez ubrania. Jaki to będzie widok - przyjemny? Odstępujący? Miałam wielką nadzieję, że tak się nie stanie, pragnęłam pozostawać w stanie bezwarunkowego pożądania. Pewną zgrozą napawał mnie wygląd ciał starszych mieszkańców Santa Barbara, których widywałam na plaży, ich białej skóry, czarnych skarpetek, grubych brzuchów, czerwonych ramion, pleców pokrytych białymi włoskami.

Teraz wiem już co nieco na temat próżności francuskich mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy lubią kobiety, i wiem, że starają się utrzymywać w formie. (Choć raczej niewiele farbują włosy). A może to nie jest próżność, lecz uprzejmość, która sprawia, że dbają o siebie. Roxy mówi, że to dowód wyższości francuskiej diety, ale dla niej wszystko, co francuskie, jest najlepsze. (Choć być może wyłączyła już z tego francuskich mężów). Myślę, że może ma to coś wspólnego z duchem współpracy między płciami panującym we Francji, tak odmiennym od stanu wojny, jaką mamy u siebie, gdy wszyscy niepohamowanie tyją z rozpacz i wrogości po to, żeby erotycznie pognębić osobę, którą niegdyś kochali.

Krucha emocjonalna równowaga Roxy została wystawiona na kolejną próbę. Odwiedziła maitre Bertrama, swojego adwokata, w sprawie *Świętej Urszuli*. Czy może wysłać obraz do Muzeum Getty'ego, czy nie? Maitre Bertram podzielał opinię Antoine'a de Persanda, że byłoby nierozsądne wysyłać tam *Świątą Urszulę*.

- To mogłoby zostać zrozumiane jako podstęp zmierzający do tego, żeby wywieźć ją z Francji, i wystawiłoby na szwank resztę spraw rozwodowych. Wyglądałoby to na akt złej woli, niezależnie od uczciwości pani intencji. Mogłoby nawet pociągnąć za sobą pozew sądowy i uwięzienie - powiedział.

Ostrzegł ją też, żeby tak bardzo nie krytykowała Charles'a-Henriego. We Francji było możliwe, że za zdanie w rodzaju „Charles-Henri jest łajdakiem i usiłuje ukraść mój obraz” znalazłaby się w więzieniu skazana za zniesławienie.

W końcu Charles-Henri, co trzeba mu przyznać, zadzwonił do Roxy, żeby jej powiedzieć, że jest mu całkowicie obojętne, co zrobi ze *Świątą Urszulą*, i że on sam nie ma nic wspólnego z tym nowym źródłem jej kłopotów, to tylko Antoine dba o przestrzenie reguł i adwokaci, którzy muszą pilnować wszystkich szczegółów.

- Powiedz im więc. Możesz im powiedzieć, że ci na nim nie zależy - odpada.

Nie wiem, jak brzmiała jego odpowiedź. Sama święta Urszula zaczęła prezentować się jakby w nowym świecie, z wyrazem wojowniczego samozadowolenia na twarzy. Ale ten pełen ukontentowania uśmiech, z którym modliła się o zachowanie swego dziewictwa, i jej obojętność wobec skarbów zgromadzonych w komnacie stanowiły coś naturalnego dla ascetki, którą takie wyrzeczenie w istocie nic nie kosztowało. Ogarnęło mnie nieodparte poczucie, że moją względnie pragmatyczną reakcją na prezent w postaci Kelly potraktowałaby ze wzgardą.

Pozostawiłam Roxy kwestię rozmowy z Margeeve i Chesterem, w której musiała powiedzieć im, że nie może wysłać obrazu do Muzeum Getty'ego. Wiedziała, że to wywoła ich wściekłość i rozczarowanie. Jednak nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo Margeeve zależało na obrazie. Wcześniej nie przepadała ani za *Świątą Urszulą*, ani za muzeum; obraz w rzeczywistości należał do Chestera, który

odziedziczył go po swojej rodzinie, i Margeeve nie mogła w żadnej mierze uważać, że w jakimś sensie należy do niej. Poza tym dopiero od niedawna zaczęła interesować się historią sztuki, choć jak mogłam się domyślać, nie chciałyby stracić twarzy wobec ludzi z muzeum, jeśli wcześniej prowadziła z nimi długą korespondencję. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam o tym, a w każdym razie nie doceniałam tego, do jakiego stopnia rozkoszowała się cudownym poczuciem społecznego znaczenia i prestiżu, jakie towarzyszy posiadaniu własnego obrazu na wystawie w wielkim czy nawet małym muzeum. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że Margeeve mogłaby przejmować się w ogóle takimi sprawami jak wyznaczniki społecznego prestiżu.

Na chwilę akcja przenosi się do Kalifornii: Margeeve rozmawia z Roxy przez telefon i łatwo mogę wyobrazić sobie przebieg ich rozmowy.

- Oczywiście, Rox, jeśli miałyby to pociągnąć jakieś problemy prawne, nie powinniśmy tego robić - mówi Margeeve łagodnie. - Mam tylko nadzieję, że nie wydrukowali jeszcze katalogu. Ale przecież zdarzają im się tego typu kłopoty prawne przy każdej wystawie - kwestie ubezpieczenia i tak dalej. Może powiem tej kobiecie z Muzeum Getty'ego, że powinni bezpośrednio zwrócić się do francuskich prawników albo francuskiego rządu, czy coś takiego, z gwarancjami, że obraz wróci do Francji. Jestem pewna, że są różne prawne sposoby postępowania.

Słowa Margeeve uspokoiły Roxy, która podziękowała jej, że poszła do tego z takim spokojem. Oczywiście Margeeve dopiero później, przy robieniu sałatki, dała upust swoim prawdziwym emocjom, za to na cały gwizdek. Dotarła do niej niesprawiedliwość postępowania Francuzów oraz ich wścibska arogancja. Obraz należy do nich, do niej, do Roxy, do rodziny Walkerów i Walkerowie pragną wypożyczyć go amerykańskiemu muzeum. Kropka. A tu jacyś obcy Francuzi się wtrącają. A nawet nie jacyś obcy Francuzi z dobrymi intencjami lub prawem po swojej stronie, ale krewni wroga, ludzie, których nigdy nie widziała na oczy, ludzie, którzy rujną życie jej córce, a teraz jej samej.

Chester całkowicie podzielał oburzenie żony. Zawsze łatwo irytował się w imieniu Roxy, ponieważ w jego przekonaniu nie mogła nigdy

zrobić nic złego; w odróżnieniu ode mnie. Ale teraz poruszyła go także świadomość, jak wiele wystawa w muzeum znaczyła dla Margeeve.

- Zadzwonimy do Rogera. Jestem pewien, że nam coś poradzi.

Margeeve zastanawia się: Właściwie dlaczego jestem taka wścicka? To nie do wiary, że tak to przeżywam. Na pewno jest coś, co Roger może zrobić, jakieś kroki prawne, na pewno zna kogoś we Francji, kto zaproponuje jakieś gwarancje, możemy przecież wysłać oficjalne oświadczenie. Muzeum Getty'ego może zwrócić się z prośbą za pośrednictwem Luwru. Poczła bolesne ukłucie rozczarowania z powodu czegoś, czego pragnęła, nawet o tym nie wiedząc, jak wtedy, gdy zaczęła się coś jeść, a potem gdzieś to odstawia. Oczyma wyobraźni widziała już *Świątą Urszulę* na białej ścianie galerii z podpisem: „Ze zbiorów prywatnych”, może nawet: „Z kolekcji profesora Chestera Walkera i jego żony, Santa Barbara” albo w najgorszym razie: „Z kolekcji państwa Charles-Henri de Persand, Paryż”. Wcale nie chodziło o to, żeby się głośno przechwalać, to miała być prywatna, osobista przyjemność, dająca poczucie, że robi się coś dla dobra ogółu. Czy była jedynie wulgarną prostaczką, która pożąda jakichś oznak społecznego prestiżu? Czy stojąc przed obrazem, obok jakichś obcych ludzi, powiedziałyby mimochodem: „To obraz mojej córki Roxeanne”? Gadatliwe stare kobiety zawsze opowiadają coś o swoich dzieciach. Zawstydziała się, widząc, jak wielka może być taka pokusa. Tak czy inaczej, liczyła na to, że jej obraz zawiśnie na wystawie w Muzeum Getty'ego, a teraz musiała się pogodzić z rozczarowaniem, a nawet upokorzeniem, ponieważ obiecała, że go wypożyczy, jak gdyby rzeczywiście miała prawo cokolwiek obiecywać.

Tak bardzo pragnęła poczuć, że nie ma się czego wstydzić, że jest pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. Nigdy nie miała w pełni tego poczucia od czasu swojego rozwodu, odkąd dała popis złego smaku, dodając dodatkowe „e” w imieniu Roxeanne, od czasu wypadku samochodowego z 1956 roku, do którego doszło z jej winy, choć potem skutecznie się tego wypada, odkąd nie dość często chodziła na spotkania szkolnego komitetu rodzicielskiego, odkąd nie potrafiła być prawdziwie kochającą albo prawdziwie wspaniałomyślną. Powstrzymała się przed brnięciem w te nawykowe motywy wyrzutów sumienia.

ROZDZIAŁ 17

Wszystkie zwierzęta mają nieufność do człowieka, i słusznie.

Rousseau, *Wyznania*

W niedzielne poranki śpię dłużej i budzę się około dziesiątej. Ze snu wyrrywają mnie dźwięki dzwonów dobiegające z kościoła Saint Nicolas du Chardonnet, skupiającego, jak mi się wydaje, ekskomunikowanych katolickich fundamentalistów. Podobno mają okropne, faszystowskie poglądy, ale ich dzwony brzmią niebiańsko. Słyszę także odgłosy samochodów i autobusów, czyjąś grę na flecie, głosy na ulicy. Później nadpływają zapachy z kuchni, woń ślimaków przyrządzanych z czosnkiem i pietruszką oraz pieczonego kurczaka z pobliskiej restauracji. Po drugiej stronie ulicy jakaś dziewczyna na poddaszu vis-a-vis otwiera wysokie okna. Ponieważ słońce wpada do jej pokoju rano, a do mojego po południu, leżę teraz w cieniu, a ona przeciąga swoje krzesło w krąg białego światła i robi sobie paznokcie. Ciekawa jestem, o czym myśli i jak by to było żyć w jej bladym francuskim ciele zamiast w moim, które wciąż nosi ślady kalifornijskiej opalenizny.

Później razem z Roxy i Gennie jedziemy do Chartres na obiad do Persandów. Ta nieustająca więź między Roxy a Persandami i wszystkie zapewnienia, jakich jej nie szczędzą, że pozostaje dla nich matką ich wnuczki i że w ich stosunkach nic się nie zmieniło, wydają mi się szalenie cywilizowane. Nawet Antoine zachowuje się wobec niej przyjaźnie, choć nie próbuje usprędwelić swojego wtrącania się w sprawę *Świętej Urszuli*. Roxy takie traktuje ich bardzo przyjaźnie. Potrzebuje poczucia, że pewne więzi są nierozzerwalne. Jeździmy

więc na niedzielne obiady do Persandów, do Chartres albo do mieszkania przy Avenue Wagram, choć często staram się od nich wykręcić, ponieważ (prawdę mówiąc) ze względu na moją rolę opiekunki Gennie, zbyt często musiałam bawić się w różne gry także z dziećmi Charlotte i Antoine'a, jakbym była jakąś supernianią albo dziewczyną do dzieci. W rezultacie byłam wściekła na Roxy, że nie kiwnęła palcem, by sprostować ich błędne mniemanie, że uwielbiam dzieci i że w głębi serca sama jestem tylko dużą małą dziewczynką. W rzeczywistości wcale tak bardzo nie przepadam za dziećmi, choć oczywiście lubię Gennie. W takich momentach spoglądałam na całą rodzinę Persandów i zaczynałam się zastanawiać, co też by sobie pomyśleli, gdyby wiedzieli, co zamierzam zrobić razem z ich wujem Edgarem. Ten rozkoszny sekret dodawał nieco przyprawy do nudnego obowiązku zajmowania się dziećmi.

Tej niedzieli byliśmy akurat w ich wiejskim domu koło Chartres, gdzie zastałyśmy Suzanne, Antoine'a i Trudi oraz najmłodszą córkę Persandów Yvonne. Wszyscy byli czymś poruszeni i skonsternowani rozmawiali z jakimś nieznanym z notesem w ręku, który, jak się okazało, był policjantem. Suzanne, nadal w swoim praktycznym tweedowym kostiumie podróżnym, zaaferowana wyjaśniła nam, że „ktoś ich odwiedził”. Początkowo zrozumiałam, że coś ich „nawiedziło”, może jakaś siła nadprzyrodzona, ale wkrótce okazało się, że słowo „odwiedziny” to delikatny eufemizm skrywający fakt, że ktoś włamał się do ich domu, choć nic nie zginęło.

- Ktoś tu był - zawołała Suzanne - mimo *blindage* na *porte*, mimo systemu alarmowego!

- Jak tylko weszłam do holu, wiedziałam, że coś jest nie tak - opowiadała inspektorowi. - Powiedziałam sobie: a jeśli nieproszony gość jeszcze tu jest?

Nikogo nie było, ale ktoś poprzestawiał rzeczy, ktoś je ruszał i miało się wrażenie, jak powtarzała ciągle, czyjejs obecności, dobrze znane wrażenie - rzeczywiście w domu czuło się coś takiego - naruszenia prywatnej przestrzeni.

- A do tego jeszcze obraźliwa świadomość, że nie znaleźli niczego cennego, co warto by ukraść.

Roześmiała się i wracając do swojej roli rezolutnej, wesołej Francuzki wzięła policjanta pod rękę i zaprowadziła do salonu.

Niemniej wkrótce rozpoczęły się normalne przygotowania do obiadu. Ponieważ zrobił się już październik i dzień był zbyt deszczowy na tenisa, poszłam z dziećmi i Antoineem do lasu, podczas gdy Roxy, Suzanne, Trudi i Yvonne zajęły się gotowaniem. Moim zdaniem była to sprawiedliwa wymiana. Wyrwałam się z kuchni do pięknego, deszczowego lasu i nie miałam nic przeciwko temu, żeby przypilnować dzieci, które rozbiegły się po ścieżkach i zewsząd dobiegał ich śmiech niczym ścieżka dźwiękowa z dzieciństwa. Początkowo francuskie lasy wydawały mi się są dość rachityczne, zwłaszcza o tej porze roku, kiedy liście opadły z drzew, pozostawiając jedynie delikatny wzór nagich gałęzi, na których od czasu do czasu widać było samotny żółty liść. W Kalifornii mamy sekwoje, sosny i świerki Douglasa, potężne puszcze, w których ogromne pnie zwalonych drzew próchnieją w miękkiej warstwie igieł i chrząszczy. Tutejsze przypominają bardziej lasy z obrazów Corota (jak można się spodziewać). Zaczynałam jednak dostrzegać, że jest w nich coś bardziej przyjaznego ludziom. W naszych lasach, kiedy natykasz się na puszkę po piwie podziurawioną jak sito od kul, ogarnia cię lekki niepokój. Zaczynasz przypominać sobie szaleńców czających się z bronią albo, kiedy natkniesz się na połać wyciętych drzew, musisz myśleć o dewastacji naszej planety.

„Ich Alpy są o wiele bardziej strome niż nasze Góry Skaliste”, powiedziała raz Roxy ze swoim odruchowym eurofilstwem.

Kiedy szliśmy gęsiego za Antoine'em, Gennie ścisnęła mnie mocno za rękę, niewątpliwie pod wpływem niedawno poznanej bajki o Czerwonym Kapturku, a zapewne także przemocy, jakiej doświadczyła ze strony Roxy. W rozmowie z Antoine'em nie wspominałam o sprawie *Świętej Urszuli*. Miałam wielką ochotę zrobić mu wymówki, że się wtrącił. Chciałam mu powiedzieć: „Roxy na pewno zwróciłaby obraz, który zresztą i tak należy do niej. Co za problem? Czy nie wiesz, jak wiele znaczy dla Margeeve? Czy nie wiesz, że tak naprawdę należy do Chestera, nie do Roxy, i że powinniście się od niego odczepić? Czy nie wiesz, że Charles'owi-Henriemu i tak na nim

nie zależy?". Ale podczas obiadów u Persandów panowała zasada, że kłopotliwe sprawy między Roxy a Charles'em-Henrim należą do zupełnie innej sfery życia i nie należy o nich wspominać. Poza tym traktowałam Antoine'a jako osobę znacznie ode mnie starszą, mężczyznę zbliżającego się do pięćdziesiątki, a nie rówieśnika, którego można by objechać. To znaczy chcę przez to powiedzieć, że go nie znałam, i teraz zaczęłam postrzegać go jako jakąś postać z powieści Balzaka, podstępnego człowieka opętanego przez chciwość. Ale nic nie powiedziałam. Czy miało to coś wspólnego z moim planowanym romansem z wujem Antoine'a?

Wściekając się na własną powściągliwość, posłusznie maszerowałam za nim, mając oko na Paula-Louisa, Jeana-Fernanda, Marie-Odile, Jeana-Claude'a, Cyrille, Irenę i Gennie. Sam Antoine, jak zauważyłam, najwyraźniej nie interesował się dziećmi, które i tak były dobrze widoczne w swoich kurteczkach w szkocką kratę i sukienkach w jasnych kolorach, za to intensywnie wpatrywał się w leśnie poszycie, a od czasu do czasu w korony drzew, z uwagą przypatrując się rozmaitym naroślom, jakby oczekiwał, że nagle się poruszą. Przypuszczałam, że zajmuje się obserwowaniem ptaków, i spytałam, czy udało mu się coś dostrzec.

- Nic - powiedział jedynie. Później usiadł na kamieniu na środku polany i niczym zwiadowca wypatrujący Indian zaczął przyglądać się każdej przerwie w roślinności w zasięgu wzroku. Dopiero w tym momencie zauważyłam, że miał posępny i surowy wyraz twarzy.

- Szukam kota Charlotte - powiedział.

- Jej kot zaginał? - Nie rozumiałam, ponieważ Charlotte mieszka w NeuUy, daleko od lasów wokół Chartres.

- Matka i tak ma dość zmartwień, zwłaszcza teraz, po tej wizycie nieproszonych gości. Naprawdę trudno jej nie podziwiać, tak bardzo się stara, żeby to wszystko jakoś działało. A tu jeszcze ta historia z kotem.

Jeden z niekorzystnych aspektów tego, że nie mówię ich językiem, polega na tym, że nie chwytam na bieżąco wielu rzeczy, które się dzieją wokół. Człowiek znajduje się w położeniu dziecka przysłuchującego się rozmowie dorosłych, z której rozumie połowę i wiele

rzeczy mu umyka. Pomyślałam, że to musi być jedna z tych sytuacji, ponieważ nie słyszałam nic o żadnym kocie.

- Aha, a jakiego koloru kot? - spytałam.

- To mała kotka syjamska.

Zaczęłam wyobrażać sobie różne możliwe scenariusze, na przykład że kot wyskoczył z koszyka, w którym go przewożono, i pognał do lasu. Nagle usłyszałam, że dzieci zaczęły wołać „miaau, miaau”.

Antoine poderwał się na nogi i ruszył ścieżką przed siebie.

- Co może jeść kot w takim *foret*? Mogłaby złapać ptaka - zastanawiał się.

- Małe myszy, jak sądzę. Leśne stworzenia.

- Co roku wypuszcza się na wolność tysiące kotów, to przestępstwo. Wcale sobie dobrze nie radzą, głodują. Co roku w sierpniu Francuzi porzucają swoje zwierzęta w lasach na pastwę losu. Głodujące psy przywiązane do drzew. To straszne, straszne.

- Straszne - powtórzyłam jak echo, niezbyt rozumiejąc.

- Tak, wydaje im się, że taki zwierzak jest na jeden sezon, a potem można się go pozbyć jak pary butów. Ale Charlotte powinna być mądrzejsza.

- W Ameryce ludzie także często są okrutni wobec kotów - zapewniłam go, choć wiedziałam już, że mówienie Francuzom, iż mają podobne problemy społeczne jak inni, to nie najlepszy sposób na zdobycie ich sympatii. Albo są przekonani, że ich problemy są gorsze, albo uważają, że amerykańskie problemy są tak okropne, że samo porównanie jest obraźliwe.

- Trudi należy do grupy, która stara się je ratować - powiedział Antoine.

Nadal nie rozumiałam, co miałyby tutaj robić kot Charlotte, ale nie mogłam o to zapytać. Niemniej uznałam, że ktoś musiał go tu zostawić, co wydawało mi się dość dziwne.

- Oczywiście kotka zna Paula-Louisa, może wyjdzie, jak go usłyszysz. Pozostałe dzieci powinny przestać ją nawoływać. - Powiedział coś do dzieci, najwyraźniej rozkazując im, żeby się zamknęły.

- Minou, Minou! - wołał Paul-Louis.

- Musimy wracać. Przyjdziemy jeszcze raz po obiedzie - oświadczył Antoine. Dostrzegłam teraz, że jest naprawdę wzburzony albo wściekły, jak gdyby zaginęło jakieś dziecko.

Po powrocie z lasu umyłam Gennie ręce i zaprowadziłam ją do kuchni. Usłyszałam, jak Roxy mówi:

- To cała Isabel. Lubi rywalizować. W dzieciństwie chodziłyśmy na zajęcia z gimnastyki, a potem ona szła na inne zajęcia z gimnastyki następnego dnia, żeby mogła być najlepsza w naszej grupie.

To nie całkiem odpowiadało prawdzie. Chciałam pobiec do nich, żeby im to wyjaśnić. Ale najzabawniejsze było to, że dopiero później uświadomiłam sobie, że Roxy musiała powiedzieć to wszystko po francusku. Zapewne kiedy mówią coś o tobie, słowa przenikają barierę obcego języka i wżerają ci się bezpośrednio w mózg. Ale dlaczego rozmawiały o mnie?

Suzanne podała *ragout d'homard* w pięknej wazie. Przyszło mi do głowy, że tak jak podziwiałam panią Pace za jej błyskotliwość i intelektualną pewność siebie, tak samo podziwiałam Suzanne za jej odrochę serdeczną gościnność. Zaskoczyło mnie, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że przed przyjazdem do Francji nigdy nie podziwiałam żadnej konkretnej kobiety, albowiem, choć kochałam Margeeve, często uważałam, że jest niemądra. Jeśli chodzi o moją rodzoną matkę, to lepiej o niej zapomnieć. Może podziwiałam nauczycielki ze szkoły podstawowej, to wszystko, i od tamtej pory nikogo.

Suzanne, idealna Francuzka wydająca rodzinne obiady na wiele osób, na bieżąco kontrolująca stan swoich inwestycji i zwracająca uwagę na *petits soins*, te tajemnicze sekrety życia zadbanej kobiety, których nawet Janet Hollingsworth nie potrafiła przeniknąć, i przez całe życie flirtująca z każdym mężczyzną, ponieważ tego wymaga elementarna uprzejmość. Zaczynałam dostrzegać, że z jej punktu widzenia Roxy mogła wydawać się trochę niedbała i zaniedbana. Powinna być bardziej uwodzicielska, a nie taka poważna i bezpośrednia. Mogła na przykład rozjaśnić sobie włosy albo polakierować paznokcie.

Sama miałam teraz pomalowane paznokcie, nie wiem dlaczego. To znaczy wiem. Gdybym opowiadała jakąś amerykańską historię,

wspominanie o lakierze do paznokci oznaczałoby, że to nie jest poważna opowieść, ale coś do czytania pod suszarką u fryzjera. Tymczasem w opowieści toczącej się we Francji to wiele mówiący szczegół o duchowym znaczeniu. Poza tym Francuzi uważają, że Amerykanki są zbyt powściągliwe i że powinny być bardziej zalotne. Myślą, że się nie staramy, ale nie wiedzą, że jeśli w Ameryce ubierasz się zalotnie, dowiadujesz się potem, że sama jesteś sobie winna, jeśli przytrafi ci się coś złego.

Szczerze powiedziawszy, Roxy często potajemnie obgryzała paznokcie, chociaż teraz, będąc w ciąży, wyglądała pięknie jak nigdy dotąd i mimo nieszczęść, jakie na nią spadły, jej paznokcie zdążyły trochę odrosnąć.

Francuzi dość dziwnie zachowują się przy stole. Zwykle zwracają wielką uwagę na sposób, w jaki serwowane są kolejne dania, przy czym mężczyzna, zanim sobie nałoży, podaje najpierw półmisek kobiecie siedzącej obok i w rezultacie półmisek dwukrotnie wędruje wokół stołu, docierając najpierw do wszystkich kobiet, a dopiero potem do mężczyzn. Przypuszczam, że żadnemu mężczyźnie nie udało się nigdy zjeść gorącego dania. Mimo to mężczyźni, pewni swoich przywilejów społecznych, podchodzą do tych zasad uprzejmości z całą powagą, jak gdyby chcieli w ten sposób podkreślić, że stać ich na to, żeby jeść zimne potrawy.

Poza tym nakładanie potraw zaczyna się od najstarszej kobiety, która jest gościem. Wyobrażam sobie, że niektóre kobiety, na przykład pani Pace, w najmniejszym stopniu nie przepadają za tym zwyczajem. W dodatku czasami ogarnia Francuzów przy stole napad szalonej wesołości. Nigdy nie jestem pewna, co było tego przyczyną, ale nagle wszyscy zaczynają rzucać w siebie kawałkami chleba - dobrze wychowani ludzie, którzy przebrali się do obiadu, rzucają w siebie kulkami chleba, jakby byli dziećmi w internacie.

Podczas niedzielnych obiadów u Suzanne zawsze pojawiali się jaćś krewni - chłopcy w wieku szkolnym, wnuki, bratankowie czy bratanice - wszyscy dobrze wychowani i potrafiący powiedzieć parę słów po angielsku. (Ale kiedy odwiedził ich raz teść Frederica, jakiś

hrabia, żeby zwrócić książkę, nie zostałam mu przedstawiona). Choć od pierwszej wizyty nigdy nie spotkałam Edgara na obiadach u Persandów, tego dnia przyjechał do nich jakiś kuzyn Pierre - i chyba padło nazwisko Cosset - dwudziestokilkuletni młody człowiek o gładkich, różowych policzkach i wyglądzie ucznia, krótkich, ładnie ostrzyżonych włosach i dobrych manierach. Dopiero w połowie obiadu, który przekształcił się w jedno z tych szaleństw rzucania kawałkami chleba, uświadomiłam sobie, że to może być syn Edgara. Przyglądając mu się, pomyślałam, że dostrzegam pewne podobieństwo. Ale nie było żadnego fatalnego zauroczenia, żadnych operowych komplikacji uczuciowych. Nadal pragnęłam ojca, nie syna. Przyszło mi do głowy, że jeśli ten Pierre ma dwadzieścia kilka lat, a jego ojciec, powiedzmy, siedemdziesiąt, to madame Cosset musi być znacznie młodsza niż Edgar. Widać było, że ów Pierre jest bardzo zżyty z Persandami i na pewno od czasów dzieciństwa spędził z kuzynami wiele radosnych chwil tutaj w Chartres albo gdzieś nad morzem. Jego obecność dodała pikanterii mojemu życiu erotycznemu, wzbogacając je o poczucie rozkosznego sekretu.

Przy stole czekało jedno wolne miejsce, najwyraźniej spodziewano się jeszcze kogoś, kto nie przyjechał. Miałam nadzieję, że to będzie *l'oncle* Edgar, ale w połowie zupy zjawił się Bob, mąż Charlotte. Szybko dołączył do pozostałych wśród serdecznych, a nawet wylewnych powitań, w każdym razie towarzyszące temu miękkie dźwięki miały w sobie raczej pewną wylewność niż prostą serdeczność, a jednocześnie czuło się w nich napięcie i oczekiwanie. Bob najwyraźniej opowiedział im o czymś, co się właśnie wydarzyło, co chwila kręcąc głową, jak gdyby sam nie mógł w to uwierzyć, a jego smętny śmiech kłócił się z oznakami irytacji widocznymi na jego policzkach. Blondyn ze skłonnością do rumieńców. Z tego, co mówił, oczywiście nie rozumiałam ani słowa poza jednym zdaniem.

- *Avez-vous trowez le chat?*

W drodze powrotnej Roxy wyjaśniła mi, z pewną złośliwością, przyczyny rozpaczy Boba i powody poszukiwania Minou. Charlotte przyjęła posadę w Londynie, w angielskim wydawnictwie, co zdaniem

Boba stanowiło jedynie pretekst do tego, by uciec ze swoim Anglikiem, i wyjechała, zostawiając dzieci, przy czym najpierw, w akcie najwyższego uczuciowego sadyzmu, wypuściła na wolność ukochanego kota Boba.

- Co miało symbolizować, że sama jest kolejną nieszczęsną istotą pragnącą wolności. On przede wszystkim zająłby się kotem. Bob uważa, że zrobiła to, ponieważ wie, że on kocha tego kota. W jej przekonaniu on kocha kota bardziej niż dzieci. Co za rodzina!

Pomyślałam sobie: a może Roxy mogłaby wyjść za Boba? Krążyłam myślami wokół Charlotte i jej Anglika, kaprysów upartego ludzkiego serca i dziwnego spektaklu czyjejś miłosnej udręki. Oczyma wyobraźni widziałam Charlotte przed lustrem, jak pali papierosa za papierosem, studiując rozkład lotów. Roxy, Charlotte, Bob - zastanawiałam się, na czym polegał problem z Bobem, co miała mu do zarzucenia, i jak mogła być taka okrutna wobec kota.

Według Roxy wszyscy widzieli, że to się zbliża. Ale zdarzenia, które inni ludzie dostrzegali bez trudu, na mnie spadały niczym grom z jasnego nieba. Mogłam sobie jedynie wyobrażać rozmaite rodzinne zaszczości między Charlotte a Bobem, Charlotte a Anglikiem, Charlotte a jej rodzicami, choć dla innych to były wydarzenia rozgrywające się na ich oczach. Nie znając francuskiego, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wokół mnie toczy się jakiś proces, i nie widziałam jego kolejnych etapów, objawiających się w rzucanych mimochodem uwagach albo dyskusjach podczas niedzielnych obiadów u Suzanne, jego kolejnych faz, które doprowadziły Charlotte i Boba - albo Roxy i Charles'a-Henriego - do miejsca, w którym się dzisiaj znaleźli.

Zwłaszcza Suzanne miała teraz męczeński wyraz twarzy matki rodu przydoczzonej przez kolejne nieszczęścia, ale mimo to starającej się zachować pogodę ducha. Postanowiłam, że muszę koniecznie spytać Janet Hollingsworth, o co chodzi z tym fetyszem wesołości.

- Nie mogę winić wyłącznie siebie - westchnęła Suzanne, gdy w środę wpadła do nas na herbatę. - To pewnie moja wina, że oboje, Charles-Henri i Charlotte, są egoistami. Ale dzisiejsze czasy sprzyjają zepsuciu. To niemal jakaś moda na rozwody. Winię za to amerykańskie filmy. I pracę zawodową kobiet. Charlotte wyobraża

sobie, że w każdej sytuacji potrafi na siebie zarobić, ale w końcu będzie musiała zmierzyć się z rzeczywistością.

- Ale na tym nie koniec - mówiła dalej. - Stało się coś znacznie gorszego. W „Le Figaro” jest artykuł, w którym wspomina się brata Georges'a. - Georges to monsieur de Persand.

- I co w tym złego? - spytała Roxy.

- Wymieniają Persanda i Petaina w tym samym zdaniu. Zadzwoniłam do Edgara. Będzie wiedział, co z tym zrobić.

Spytałam później Edgara, dlaczego artykuł tak bardzo wzburzył Suzanne.

- Nie wymienia się jednym tchem Petaina i twoich krewnych - wyjaśnił. - Gdyby to było w dziewiętnastym wieku - albo nawet w latach dwudziestych - musiałbym walczyć w pojedynku, jeśli Georges sam by tego nie zrobił.

Roxy była wzburzona losem kota.

- One giną, wiesz, domowy kot nie potrafi poradzić sobie na wolności - powtarzała w nieskończoność. - Ale jak długo potrafi przeżyć? Powinniśmy go poszukać. Antoine i pozostali pracują, ale my mogłybyśmy pojechać tam jutro.

ROZDZIAŁ 18

**Biada mężczyźnie, który w pierwszych chwilach miłosnego związku nie wie-
rzy, by ten związek miał być wieczny! Biada temu, kto w ramionach świe-
żo zdobytej kochanki zachowuje nieszczęsną świadomość i przewiduje, iż
zdoła się z nią rozstać!**

Adolf

W następny wtorek Edgar zaprosił mnie na kolację do Le Bellecour. *{Ravioli de courgettes, kotlet cielęcy, gratin de fruits rouges}*. Nic nie potrafi odebrać mi apetytu, ale tym razem myślni byłem gdzie in-
dziej, po prostu chciałem mieć już za sobą sprawę seksu, chciałem,
żebyśmy oboje mieli to za sobą, żeby wiedzieć to, co najgorsze, al-
bo co najlepsze.

Za pierwszym razem, choć często porywa nas namiętność, nigdy
nie jest najlepiej. Ale zawsze musi być ten pierwszy raz. Nadal drę-
czyły mnie pewne obawy - czy będę czuła obrzydzenie do białych
włosków na ciele starego mężczyzny? Zapach starości? Ale Edgar
nie pachniał starością, miał rześki zapach rumu albo mydła do gole-
nia. Impotencja? Ale gdyby istniała taka groźba, przypuszczalnie do
niczego by nie doszło. Jego postawa, idealnie wyprostowane ciało
wysokiego żołnierza, głęboko osadzone oczy - działały na mnie
uspokajająco.

Podczas kolacji Edgar sprawiał wrażenie, jakby się niczym nie
przejmował, i spokojnie pochłaniał swój sos aż do ostatniej kropel-
ki (*lotte a la creme de safran*) za pomocą tego dziwnego narzędzia, ja-
kie tu mają, połączenia łyżki z widelcem. (Powinnam wyjaśnić, że od
czasu naszego pierwszego lunchu miałam zwyczaj zapisywać sobie

francuskie nazwy różnych potraw, które jedliśmy. Nie umiałabym wyjaśnić dlaczego).

W końcu wszystko okazało się naturalne i łatwe. Chociaż wieczór był chłodny, poszliśmy pieszo do jego *pied-a-terre* przy Rue de Bourgogne. Pokazał mi swoją kuchnię i gdzie jest łazienka. Nie wiedziałam, czy oczekuje, że się sama rozbiorę, byłam raczej przyzwyczajona do tego, że mężczyzna mnie rozbiera, by tak rzec. Kiedy wyszłam z łazienki, zdjął marynarkę i nalał nam po kieliszku koniaku. Usiadłam obok niego na sofie. Tak. Niezbyt mu szło z guzikami mojej bluzki, więc poczekał, aż sama je rozepnę. Wówczas ogarnęła mnie już tak szaleńcza ciekawość i niecierpliwość, że pocałowałam go i sięgnęłam ręką do jego rozporoka.

- *Attends, attends* - powiedział, chwytając mnie za nadgarstek.

Wiedział, czego pragnęłam, ale także czego sam potrzebuje, ponieważ w pewnym momencie najwyraźniej skupił się na własnej przyjemności i wyraz jego oczu się zmienił - ale dopiero wtedy, gdy miał jasność co do mnie. Myślę, że tak naprawdę nie wiedział - przyznał się do tego jakiś czas później - czy ma do czynienia z obytą w świecie kochanką, czy niewinną panną. Pytanie mogło wynikać z jego nieobycia z Amerykankami, a zwłaszcza mieszkankami Kalifornii w moim wieku, ale szybko znalazła się odpowiedź. Moja przyjemność, nie licząc rozkoszy natury fizjologicznej, brała się właśnie z dzielącej nas różnicy wieku i życiowej sytuacji. To, co wcześniej budziło mój niepokój, teraz wzmagało jedynie wszechogarniającą namiętność. Gdy zniknęły moje obawy, poczułam, że kochać się z postawnym, przystojnym, siwowłosym mężczyzną obdarzonym pokaznym instrumentem (czy też jakiegokolwiek innego słowa użyłby Milton w *Raju utraconym*, z którego musiałam kiedyś przeczytać jakiś okropny kawałek) i który to mężczyzna mógł równie dobrze mówić językami jak jakiś prorok - to było jak kochać się z Bogiem. Byłam wniebowzięta, moje ciało zamieniło się w miód.

Czasami prowadziliśmy rozmowy, jakie zwykle prowadzą kochankowie: Co mu się najpierw we mnie spodobało? Jak zdecydował się złożyć mi swoją propozycję? („W moim wieku człowiek zdążył już być zakochany kilka razy i wie, że lepiej nie czekać, aż

wszystko potoczy się swoim tajemniczym i fatalnym torem - trzeba pomagać miłości").

Kiedy wyznałam, że jestem zauroczona jego dokonaniem woj-skowymi i politycznymi, roześmiał się i powiedział, że to były wyczy-ny typowe dla wojowniczych i dominujących samców, którzy podob-no nie budzą już zainteresowania nowoczesnych kobiet.

I tym, że nie jest Amerykaninem, dodałam.

- Cecha, którą może się pochwalić z miliard ludzi - powiedział.
- Ja z kolei jestem pod wielkim urokiem twojej amerykańskości.
- To znaczy mojej otwartości, świeżości i naiwności.
- Nic podobnego. To nie są cechy, które szczególnie podziwiam.

Początkowo byłam mu bardzo wdzięczna za to, że nie zamierzał opowiadać mi o swoich problemach, ze swoją żoną lub jakichkolwiek innych, a on doceniał to, że nie pragnę niczego takiego słuchać. Być może nie miał żadnych problemów. (Z czasem zapragnęłam o nich usłyszeć). Powiedział mi, że nigdy nie pozwolił sobie na to, by zgodzić się na seks oralny. To był rodzaj samodyscypliny. *Pas de soixante-neuf*. Pomyślałam, że mógłby z łatwością zmienić zdanie w tej sprawie.

Jeszcze zanim doszło do oficjalnej inauguracji naszego romansu, zaczęłam przedzierać się przez gazetowe artykuły, w których wspomiano nazwisko Edgara. Wypisałam sobie odmiany czasowników *avoir* i *etre* we wszystkich czasach i udało mi się osiągnąć pewien po-stęp w tej materii. Ale jeśli spotykaliśmy kogoś z jego znajomych i szliśmy na drinka, powiedzmy, po teatrze, nie rozumiałam ani słó-wa z ich rozmowy. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Zawsze by-łam osobą, która znajdowała się w centrum wydarzeń, była na bieżą-co i wiedziała, o co chodzi, a nawet podejmowała decyzje, a teraz stałam się osobą wykluczoną i przypuszczalnie wzbudzającą podej-rzenia, że jest niezbyt rozgarnięta. *Bonjour, monsieur, bonjour, madame*. Potrafiłam wypowiadać te zwroty z wielką pewnością siebie i szybko dodałam *au revoir (monsieur, madame)* do swego repertuaru. Ale nie-wiele więcej potrafiłam z siebie wydusić, jeśli nie liczyć Edgara, któ-remu potrafiłam przekornym tonem powiedzieć *je t'aime*.

Widząc, jaką trudność sprawia mi nauka obcego języka, zaczę-łam doceniać Roxy, która najwyraźniej bez trudu potrafiła zmieniać

kraje, języki i religie. Ale kiedy jej o tym powiedziałam, z goryczą odpada, że to oznaka słabego charakteru, człowiek powinien trzymać się tego, kim jest.

Zauważyłam, że zaczęła posługiwać się francuskimi słowami jak „rest”, kiedy mówi po angielsku. My powiedzielibyśmy „zostać” albo „pozostawać”: ludzie powinni (pozostawać / zostać) takimi, jakimi są. Ale czy naprawdę w to wierzymy? Ja nie wierzę.

Chyba gdzieś właśnie w tym okresie Stuart Barbee powiedział do swojego przyjaciela, historyka sztuki i eksperta Luwru Alaina Desmonda, że widział w mieszkaniu Roxy interesujący obraz - miał oszacować jego wartość dla Muzeum Getty'ego - przedstawiający modlącą się kobietę i że sposób potraktowania światła w tym obrazie przypomina szkołę La Toura. Może miałby ochotę go zobaczyć?

- W żadnym wypadku, *mon cher* - oświadczył Desmond. - Wtedy musiałbym powiedzieć, czy to autentyk, czy nie. W razie niepewnego autorstwa nie leży w interesie naszej instytucji opowiadanie się po jednej albo drugiej stronie. Na wszelki wypadek.

- Na wszelki wypadek?

- Na wypadek, gdyby pojawił się na rynku - powiedział Desmond z przekornym uśmiechem. - Na wypadek, gdyby okazało się, że jest *vrai* - wyjaśnił. - Jeśli obraz jest *vrai*, zawsze lepiej zapłacić jak za *eleve, ecole* albo *d'apres*.

- No tak, rozumiem - powiedział Stuart.

- Niemniej mógłbyś podrzucić mi odbitkę fotografii - dodał Desmond.

Okazało się, że obraz rzeczywiście miał zostać wystawiony na sprzedaż. To była najnowsza wiadomość w sprawie rozwodu Roxy. Ale po kolei:

1. Ulegając namowom Charlotte, przyjaciół i swojego prawnika twierdzących zgodnie, że uzyska lepsze warunki rozwodu, jeśli wystąpi o rozwód z orzeczeniem o winie, Roxy pogodziła się z tym, co nieuchronne, i postanowiła tak zrobić.

2. W obliczu groźby, że zostanie rozwód jako strona winna, Charles-Henri porzucił wcześniejszą, całkowicie pojednawczą postawę i jeszcze raz odwiedził pierwszego prawnika, maitre Doisneau, który z kolei poinformował adwokata Roxy, maitre Bertrama, że albo Roxy zgodzi się na normalny, nowoczesny rozwód za porozumieniem stron i podział majątku, albo Charles-Henri nie pozwoli jej zachować swojego nazwiska i wystąpi o opiekę nad dziećmi. Wszyscy doskonale się orientowali, że jeśli sprawa o opiekę nad dziećmi będzie rozpatrywana we francuskim sądzie, Charles-Henri znajdzie się w znacznie korzystniejszym położeniu z powodu powszechnego wśród Francuzów przekonania, że dzieci powinny pozostać przy francuskim rodzicu, toteż Roxy zgodziła się na rozwód za porozumieniem stron. Czuła się teraz głęboko rozżalona, zdradzona i wymanewrowana - dokładnie tak, jak to przewidywały jej francuskie przyjaciółki z Place Maubert i amerykańskie żony na spotkaniach grupy amerykańskich żon.

- Zawsze tak jest - skonstatował maitre Bertram z ponurą satysfakcją. - Początkowo obie strony są zgodne. A potem się usztywniają.

liendurchsement. Usztywnienie. Być może to jedynie inne słowo na oznaczenie procesu dorastania albo wyciągania wniosków z własnych doświadczeń. Pewna Angielka powiedziała mi na herbacie u pani Pace: „Francuzki są bystre, ale są twarde. Tak wyglądają”. Widziałam, skąd to się bierze. Angielki są o wiele bardziej miękkie i zaokrąglone niż szczupłe, nieduże Francuzki z ich nienagannym makijażem. Można by pomyśleć, że pragnienie, aby za każdym razem mieć na sobie modny szal, zmienia Francuzki w jakieś potwory wyrachowania. Ale tutejsze twarde prawa nie dają im innego wyboru; muszą nauczyć się kalkulować.

Rozwód za porozumieniem stron oznaczał, że Roxy powinna spłacić Charles'owi-Henriemu połowę wartości obrazu albo w jakiś inny sposób zrekompensować mu połowę jego wartości, kiedy dojdzie do podziału majątku.

Szalała na myśl o takim rozwiązaniu i z przerażeniem myślała o tym, że będzie musiała o tym powiedzieć Chesterowi i Margeeve. Rozpaczliwie poszukiwała jakiejś zbawczej intrygi - pozorne włama-

nie, podczas którego obraz zostanie skradziony - albo sposobu na to, żeby potajemnie wysłać płótno z powrotem do Kalifornii zwinięte w rulon. Zastanawiała się, czy nie poprosić Tammy de Bretteville, żeby zabrała go ze sobą, kiedy będzie jechała na święta do swojego rodzinnego domu w Portland, w Oregonie.

Albo żebym ja go ze sobą zabrała, twierdząc, że zawsze był mój. Roxy powiedziałyby potem, że nic nie mogła na to poradzić (uparta Isabel), a ja po prostu włożyłabym go do walizki i wyjechała nocą. Roxy poszła nawet do Bon Marche poszukać walizki odpowiednich rozmiarów. Ale ja oświadczyłam, że nie zamierzam wracać do Kalifornii. Nie powiedziałam jej dlaczego. Strasznie teraz żałuję, że tak zrobiłam. Ale czy to cokolwiek by zmieniło?

Na co dzień nie chodziłam po mieście z torebką Kelly, rezerwując ją na bardziej oficjalne okazje albo spotkania z Edgarem. Po pierwsze bałam się, że mogłabym ją zgubić albo że ktoś mógłby mi ją ukraść. Po drugie Roxy. Kiedy przed wyjściem do miasta wrzucałam do niej portfel i inne drobiazgi, widziałam, jak Roxy się w nią wpatruje albo odwraca wzrok. Irytowała ją, była przyczyną udreki. Dlatego starałam się w miarę możliwości ukrywać Kelly przed jej spojrzeniem. Wiedziałam, że stała się dla niej symbolem niewierności, w tym wypadku mojej wobec Roxy, ponieważ nie powiedziałam jej, skąd ją mam. Stanowiła dla niej źródło dręczącej pokusy jak puszka dla Pandory i raniła ją, ponieważ w przeszłości zawsze opowiadałam jej o swoich wszystkich, nawet najbardziej ponurych, przerażających i upokarzających przygodach. W dodatku przypuszczalnie stała się dla niej symbolem niewierności wszystkich mężczyzn, a zwłaszcza Francuzów. Wiedziała, że mój darczyńca musi być Francuzem, ponieważ tylko Francuz znałby odpowiednie marki - Baccarat, Cartier, Hermes. (Może jeszcze Japończyk). A poza tym stanowiła najwyraźniej podarunek jakiegoś mężczyzny dla kobiety niebędącej jego żoną i prawdopodobnie Roxy zastanawiała się teraz, jakie prezenty Charles-Henri dawał Magdzie (jeśli jako nowoczesny mężczyzna w ogóle cokolwiek jej dawał).

Podarunki dla kobiet - jeden z tych tradycyjnych rytuałów, które skurczyły się do wymiaru eleganckich gestów, wielkości pierścionka albo biletu do teatru.

Wiedziałam, że Kelly była reliktem czasów, w których życie kobiet wyglądało inaczej, i że w opinii Roxy, ukształtowanej przez powieści - bo ja wiem? Nie wiem, Zoli? Anity Loos? - to było życie lepsze niż dziś. Postrzegając samą siebie jako ofiarę nowych form społecznego upośledzenia kobiet (choć byłabym gotową spierać się, że była ofiarą starej formy upośledzenia kobiet, będąc taką samą zakładniczką męskich erotycznych kaprysów jak pani Juliuszowa Cezarowa czy pani Markowa Antoniuszowa - albo madame Edgar Cosset). Oczywiście była madame Cosset i dwóch synów niedaleko Awinionu.

Roxy z odrazą myślała o tym, że ktoś miałby oczekiwać od niej, że sama zarobi na utrzymanie siebie i swoich dzieci. Wydawało się, że podchodziła do swojej sytuacji z coraz większym resentymentem, w miarę jak powiększał się jej brzuch i pęczniało dossier, które pracownicy zbierała, dokumentując własną doskonałość oraz wady i niepowodzenia Charles'a-Henriego.

Nasze spotkania z Edgarem przybrały pewną ustaloną postać. We wtorkowe wieczory, czasami w piątek, jeśli nie jechał do siebie na południe, spotykaliśmy się późnym popołudniem, żeby się kochać, po czym szliśmy gdzieś na kolację albo do teatru. W Ameryce najpierw idzie się do teatru, a potem się kocha (kalwinizm?), ale w ten sposób jest lepiej, gdy twoje zmysły są pobudzone i nie jesteś pijana albo śpiąca. Postawiłam jednak jeden warunek: nie zgadzam się na spektakle po francusku, ponieważ nie rozumiałam ani słowa, jedynie same końcówki zdań, coś w rodzaju bla-bla-bla *dejal* bla-bla-bla *n'est-cepas?* - jak gdyby przejeżdżające obok pociągi zagłuszały i zabierały większość sensu.

Widząc, z jaką powagą i troskliwością pomagał mi usiąść do stołu albo podawał mi płaszcz, ktoś mógłby wziąć nas za wnuczkę i dziadka. W jego gestach nie było żadnych erotycznych podtekstów, nic prócz niezwykle kulturalnej zażyłości. Oczywiście wszyscy wiedzą, o co chodzi, ale nie ma żadnych porozumiewawczych mrugnięć czy uśmieszków, wpasowujemy się w pewien ustalony wzorzec stosunków między ludźmi - młoda kobieta i starszy mężczyzna obda-

rzony władzą. Wyobrażam sobie, że nie mógł nie zauważać pewnych spojrzeń, pełnych uznania, ze strony innych mężczyzn. Jednak czasami wydaje mi się, że dostrzegam w jego oczach błysk jakiegoś znużenia, jakby naprawdę był moim dziadkiem, i żołądek kurczy mi się w nagłym pragnieniu, żeby sprawić mu jakąś przyjemność. A może po prostu wyobrażam sobie te momenty rozproszenia. Już po chwili z uśmiechem jest skupiony na mnie. Żołądek mi się kurczy, ponieważ właśnie tam lokują mi się różne emocje. Jako dziecko miewałam bóle żołądka nazwane przez rodzinę „bólami żołądka Isabel”. Nadal je miewam.

W takich momentach staram się powiedzieć coś zabawnego, jeśli coś takiego przychodzi mi do głowy. Albo zadaję pytania na temat Francji. Jak się wydaje, to zawsze sprawia mu przyjemność, lubi odpowiadać i wyjaśniać znaczenia słów i opowiadać o życiu we Francji.

Pomyślałam, że powinnam mu kupić jakiś prezent, żeby się odwzajemnić. Zaczęłam także intensywniej czytać po francusku albo czasami francuskie książki przełożone przez Amesę.

To nie moja świeżość i młodość (*cliche*) pobudzały jego uwagę. Po pierwsze wcale nie byłam taka niewinna i niedoświadczona, a po drugie on wcale nie był starcem, nie wkroczył w ten psychologiczny obszar starości, w którym największy urok miałyby dla niego dzielące nas różnice, niedopasowanie i odmładzający potencjał naszego związku albo zaskakiwałoby go, że ładna, młoda kobieta może być nim zainteresowana. Nie zaczął jeszcze doświadczać czegoś, co zdaniem pani Pace dotyka wszystkich starych ludzi, niewidzialności dla płci przeciwnej. Kobiety nadal na niego patrzą. Jest imponującym mężczyzną, człowiekiem znanym i wpływowym, a także, jak się wydaje, zamożnym, choć co do tego nie mam całkowitej pewności. Nigdy nie przestał być atrakcyjny dla kobiet, nie widział więc niczego zaskakującego - czy też niczego zbyt zaskakującego - w moim wyborze. W pewnym sensie najbardziej zauroczyło mnie w naszym romansie i najbardziej rozpałiło moją wyobraźnię coś, co dla niego było najmniej interesujące. Piorunujące wrażenie zrobiła na mnie jego biografia, tak nieuchronnie związana z jego atrakcyjnym wyglądem i nieco staroświeckim wdziękiem. Nie było po nim znać żadnych

fizycznych niedomagań, chyba że jakieś stopniowe i niemal niedostrzegalne, ale nic, co by się rzucało w oczy. Powolny chód zniknął wraz z wyleczeniem kostki (choć w jego krokach widać było pewną ostrożność). Jakies drobne problemy z prostatą, cokolwiek to jest. To zabawne - jeśli pamiętamy, co wiadomo na temat szkodliwych następstw działania promieni słonecznych, prowadzących do powstawania piegów, plamek i zmarszczek - kiedy się widzi, że to, co skrywa się najgłębiej w spodenkach, wykazuje najmniej oznak starzenia się i wygląda w wieku lat siedemdziesięciu dokładnie tak samo, jak musiało wyglądać w wieku lat dwudziestu.

Wymyśliłam sobie jakieś stałe zajęcie, żeby wyjaśnić Roxy, dlaczego nie mogę pilnować małej we wtorkowe wieczory. Moje myśli > przez cały weekend i poniedziałek dziwnie zbaczały w stronę wtorku. Można by powiedzieć, że przerywane szczęście w pewnym sensie zatruwa pozostałe chwile, choć powinno się na nie rozlewać, rozpalając je w feerię radości.

ROZDZIAŁ 19

Przywołaliśmy historię i oto ona (...) maszerujemy teraz zgięci pod jej ciężarem (...) Przeszłość zabija przyszłość.

Michelet

Zycie literackie anglojęzycznego Paryża skupia się wokół niewielkiej, dobrej księgarni prowadzonej przez pewną Francuzkę Lilliane, która studiowała w Berkeley, zna się na amerykańskiej literaturze i podziwia panią Pace. Kiedy jakiś amerykański pisarz opublikuje książkę we Francji (co raczej przytrafia się niewielu i to z reguły takim, o których nigdy się nie słyszało), zwykle ma w księgarni Lilliane Town Crier spotkanie z czytelnikami, podczas którego czyta fragmenty swoich utworów. Raz czy dwa byłam tam z Roxy, by posłuchać jej znajomych poetów. Znani powieściopisarze przyciągają do księgarni tłumy publiczności, zarówno Amerykanów, jak i Francuzów, która, tłocząc się między regałami z książkami i przepychając na schodach, nadaje tym spotkaniom aurę intelektualnego niepokoju i literacko-histerycznego znaczenia, jak gdyby sam James Joyce miał czytać na głos swoje utwory. Toteż gdy ukazał się tom esejów pani Pace, Lilliane zorganizowała jej wieczór autorski w Town Crier, choć tuż przed spotkaniem pisarka postanowiła, że zamiast esejów przeczyta niepublikowane fragmenty wspomnień, nad którymi właśnie pracowała. „Robert uważa, że powinnam je wypróbować przed wymagającą publicznością”, wyjaśniła. Niemniej pan Pace nie zjawił się posłuchać rezultatu tego eksperymentu, wyjechał gdzieś w interesach.

Przyszłyśmy wcześniej, żeby Roxy zdążyła sobie znaleźć jakieś wygodne miejsce, poza tym miałam pomóc pani Pace, przenosząc

książki, oraz Lilliane, rozstawiając plastikowe kubki. Zresztą zawsze lepiej przyjść wcześniej do Town Crier, jeśli człowiek pragnie usiąść na jednym z niewielu krzeseł rozstawionych na antresoli, tuż przed drewnianym stołem, za którym siedzi bohater wieczoru. Reszta publiczności tłoczy się na stojąco z tyłu antresoli albo siedzi na metalowych schodach prowadzących w dół, do głównej sali księgarni. Kiedy zjawia się jakiś sławny autor, słuchacze stoją nawet tam i czasami jest taki ścisk, że nie można się poruszyć, a pisarz czyta do mikrofonu, żeby wszyscy mogli go usłyszeć.

Wiedziałam, że pani Pace jest sławną pisarką (zdażyłam już przeczytać kilka jej utworów), ale byłam nieprzygotowana na tak liczny tłum wielbicieli, złożony nie tylko z osób, które zwykle przychodzą na spotkania autorskie w Town Crier. Najwyraźniej byli wśród nich jej starzy przyjaciele - zarówno Amerykanie, jak Francuzi - i spotkanie nie mogło rozpocząć się o zaplanowanej porze, ponieważ musiała z każdym zamienić kilka słów, przechodząc przez dolne pomieszczenie i wspinając się na schody. Myślałam, że spotkałam już wielu Amerykanów mieszkających w Paryżu, i rzeczywiście byli tam wszyscy, których zdażyłam poznać wcześniej - Randolphowie, Stuart Barbee, Ames, Tammy de Bretteville, wyglądająca bardziej po francusku niż francuska dama w kostiumie Ines de la Fressange, oraz ważna postać świata kultury David Crosswell (bogaty filantrop) i wielbny Dragon stojący na czele amerykańskiego kościoła w Paryżu. Ale widziałam także nieznanych mi, imponująco prezentujących się w drogich płaszczach biznesmenów i prawników pachnących dobrymi perfumami oraz dość zaniedbanych mężczyzn koło siedemdziesiątki - wśród jednych i drugich byli znajomi pani Pace. Przyszły kobiety w wieczorowych strojach i kobiety w dzinsach. Elegancka czarnoskóra kobieta w czymś od Armaniego (jak objaśniła mi później pani Pace), afro związanym w kok i kosztownej złotej biżuterii była kiedyś członkinią gangu ulicznego w Los Angeles, który chodził z bronią i bił ludzi w autobusach. Teraz mieszka w Paryżu i czyta Celine'a, a pani Pace zaprasza ją na kolacje.

Dowiedziałam się wówczas, że w Paryżu mieszka około trzydziestu tysięcy Amerykanów, którzy tu żyją na stałe albo zatrzymali się

na jakiś czas, uciekinierzy z Ameryki jak Roxy, ludzie pracujący dla różnych korporacji albo ludzie, którzy po prostu tu się przyplątali jak ja.

Lilliane kwieciście przedstawiła panią Pace: „Wielka amerykańska pisarka, uhonorowana przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, Bibliotekę Kongresu, Uniwersytet Yale, bla-bla-bla...”. Pani Pace wysłuchiwała tego panegiryku z niezmiennym uśmiechem pewnej czujności na twarzy. Po czym pochyliła się nieco do przodu i zaczęła czytać fragment wspomnień, nad którymi pracowała, bezpieczny, mały fragment o swojej wizycie w Paryżu w latach czterdziestych i spotkaniu z Louisem Aragonem.

Podczas dyskusji, która się rozpoczęła, kiedy skończyła czytać, padły pytania, jak to później ujęła, jakie zwykle padają w tych okolicznościach, w rodzaju „Skąd czerpie pani pomysły do pisania?”.

- Czy używa pani komputera?

- Nie.

- Co sądzi pani o utracie wiary i masowej alienacji? Joseph Campbell powiedział, że musimy wynaleźć nowe mity. Zgadza się pani z tym? - zapytał ktoś z lekko nowojorskim akcentem.

- Ucieszyłabym się, gdyby ludzie nauczyli się radzić sobie bez religii oraz innych mitów i trzymali się rzeczywistości - odparła.

- Czy pamięta pani wszystko, czy robi notatki?

To pytanie ją zainteresowało, wychyliła się ku rozmówcy.

- Nigdy nie rozumiałam właściwej roli pamięci w życiu. Wydaje mi się, że spędziłam chyba za dużo czasu, zbierając materiały do moich wspomnień, i nie dość uwagi poświęciłam samemu pisaniu, ale bałam się, że przeszłość za bardzo mnie pochłonie... te wszystkie szczegóły codziennego życia, bo przecież nie można żyć w dwóch miejscach naraz. Zasadniczo pamięć służy kształtowaniu terażniejszości dzięki temu, że pozwala uczyć się na własnych błędach. Cemu wracać do przeszłości? Nie mam temperamentu historyka. Wolę raczej myśleć o terażniejszości.

Jakiś młody Francuz w skórzanej kurtce spytał ją, co w takim razie sądzi o obecnym stanowisku Francji w sprawie Bośni. Nie mogłam się powstrzymać, aby nie spojrzeć w dół na Edgara, który nie

miał szans, żeby przedrzeć się na górę przez gęsty tłum wielbicieli pi-sarki, i stał w płaszczu od deszczu u podnóża schodów, z twarzą zwróconą w stronę głosów rozlegających się z antresoli. Przypomnia-łam sobie, jak zaledwie dwa wieczory temu, podczas debaty z udziałem dwu innych mężczyzn odbywającej *ňaytmairie* czternastej dziel-nicy mówił: *„J'at honte de cette lachete, cette indifferrence, double langage, cesttouf.* Obojętność, nadmierna pobłażliwość, obłuda.

- Cóż, uważam, że się mylą, utrzymując embargo przeciwko bo-śniackim muzulmanom - powiedziała - którzy są wyrzynani i nie mają szansy na to, by skutecznie się bronić.

- Nie czytała pani *Black Latnb and Gray Falcon?* - spytał Ames Everett z tyłu antresoli. - Oni są na Bałkanach od siedmiuset lat.

- To nie znaczy, że nie należy im pozwolić żyć tam dalej - odpar-ła pani Pace.

Słyszałam, jak Edgar mówił to samo.

- A co ty byś zrobiła, OUvio? - spytał tonem zarzutu Rex Rhett-Valy swoim piszczącym, brytyjskim głosem.

Pani Pace nie powiedziała ani słowa, ponieważ jeśli nie miała zdania w jakiejś sprawie lub niewiele o czymś wiedziała, nie mówiła byle czego.

W tym momencie wtrąciła się Roxy, z rumieńcem na twarzy i uniesioną dłonią, jak gdyby była uczennicą, która chce zostać we-zwana do odpowiedzi.

- Odizolowałabym wszystkich serbskich mężczyzn i starszych chłopców, a potem przeniosłabym młodszych chłopców do innych krajów, gdzie mogliby dorastać, poznając godziwe wartości i zapo-minając o swoich odrażających etnicznych obsesjach.

Słyszac te słowa, inni także zaczęli wygłaszać swoje opinie, mó-wili wszyscy naraz, nie słuchając siebie nawzajem. Z gwaru starałam się wyłapać znajome głosy.

- Powinniśmy po prostu zbudować mur wokół całego regionu i powiedzieć: „Odezwijcie się do nas, jak skończycie” - oznajmił Rhett-Valy.

- Robią tak już od stuleci, podobnie jak północni i południowi Koreańczycy - dorzucił Stuart Barbee.

- A jednak są gorsze rzeczy niż zginąć **za** ojczyznę, **za** swój kraj - stwierdził Cleve Randolph.

- Na przykład umrzeć **za** nic - powiedziała Roxy.

- Jak nasi ludzie w **Wietnamie** - dodała pani Pace. - Ludzie, którzy zginęli **za** nic.

Na **tę** prowokacyjną wypowiedź cała sala ponownie wybuchnęła gwarem wściekłych protestów, potwierdzeń i oskarżeń. Roxy spojrzała **na** mnie przerażona, jak gdyby wykopała skądś granat ręczny.

- To właśnie przez takich ludzi jak **ty** umierali **na** darmo - wrzeszczał Cleve Randolph **na** panią Pace. - Ci wszyscy protestujący, szydzący jak **ty**.

- Coś jesteśmy winni naszemu krajowi - przyznał Stuart Barbee.

- Naszym obowiązkiem wobec naszego kraju było powstrzymanie **go od** uczestnictwa w tej niemoralnej wojnie - oświadczyła pani Pace.

- To przez takich ludzi jak **ty** nasz kraj wpadł teraz w ręce prostaka, który uchylał się **od** służby - krzyczał Cleve Randolph.

- Czy ktokolwiek z tych ludzi służył w **Wietnamie?** - zastanawiał się stojący obok mnie Rhett-Valy, mówiąc przed siebie.

Pani Pace odzyskała kontrolę nad publicznością.

- Kobiety, ponad połowa populacji Ameryki, nie wierzyły w **tę** wojnę - powiedziała niezwykle ostrym tonem. - Rewizjoniści, którzy teraz biadolą nad „uchylaniem się **od** służby”, zapomnieli, **że** młodzi mężczyźni w latach sześćdziesiątych mieli matki i siostry, które mówiły **im, że to** niemoralna wojna. Niezależnie **od** tego, **co** mówią **im** senatorowie i komisje poborowe, mężczyźni zwykle nie sprzeciwiają się życzeniom kobiet.

- Tak, właśnie tak. Kobiety także mają poczucie obowiązku! - rzuciła Roxy w stronę publiczności.

- Nigdy nie pozwoliłabym, żeby Drew i Choco służyli w **Wietnamie** - mówiła pani Pace przekonana o swojej słuszności. - Przeciwstawianie się tej obłudnej polityce uważałam **za** swój obowiązek **wobec** mojego kraju.

Pani Pace spojrzała **na** mnie, **aż** się wzdrygnęłam. Myślami byłam zupełnie gdzie indziej, zastanawiając się nad tym, **że** mężczyźni **za**-wsze przeciwstawiają się pragnieniom kobiet.

- Jak ludzkość może tolerować ludzi, którzy są gotowi zbombardować szpital? - krzyczała Roxy, przypuszczalnie znowu mając na myśli Bośnię.

- Jak twój ukochany Stalin - dad się Cleve Randolph do pani Pace.

- Byłam trockistką - odpada pani Pace, prezentując swój sławny uśmiech.

Nie sposób opisać tego, co zdarzyło się w następnej chwili, wydarzenia potoczyły się w tempie głazu staczającego się górskim zboczem. Wśród okrzyków „Lenin!”, „Trocki!”, „Wietnam!”, „Dekownik!”, „Serbowie!”, „Chorwaci!”, „Muzułmanie!” spokojni Amerykanie zaczęli podrywać się z miejsc, wrzeszczeć i przepychać się na schodach. Nagromadzone urazy, niezależnie od przyczyn - najwyraźniej miały swoje korzenie w historii - wybuchnęły niczym płomień. Ludzie oskarżali się nawzajem i łomotali krzesłami. Widziałam, że Stuart Barbee usiłował zejść po schodach, popychając innych, którzy z irytacją odpowiadali tym samym, Anglik Rhett-Valy powtarzał w kółko „No nie!” w odpowiedzi na groźby młodej kobiety uzbrojonej w parasolkę, a Cleve Randolph wymachiwał pięściami, kontynuując swoją diatrybę przeciw pani Pace.

- Mogliśmy załatwić sprawę i się wynieść. To wszystko przez takich ludzi jak ty - powtarzał jak nakręcony. Ktoś go szturchnął. Z tłumy wyłowiłam spojrzenie Peg - pani Randolph - ale chyba przestała mnie rozpoznawać, najwyraźniej dała się ponieść ogólnej wojowniczości. Lilliane zeszła na dół, wołając *Mesdames! Messieurs!* z wyrazem rosnącego zdumienia i paniki na twarzy. Donald Jose Minikan, dziedzic fortuny sprzedawców sprzętu sportowego, którego zauważyłam w jednym z rogów sali, najwyraźniej chciał uratować panią Pace, wyciągając ku niej rękę ponad tłumem, jak gdyby siłą swojego przedramienia mógł ją unieść i bezpiecznie wynieść z powszechnego zamętu.

- Tak, właśnie o to chodzi, Dien Bien Phu - powiedział do mnie młody Francuz. - Nikt nie wyciągnął wniosków z lekcji Dien Bien Phu.

Słyszając te niepohamowane wrzaski Amerykanów, niektórzy Francuzi (wielu z nich, jak powiedziała mi Lilliane, nie przyszło tu z po-

wocłu zainteresowania amerykańską literaturą, ale po to, by poprawić swój angielski, tak jak chodzili na spotkania AA i do amerykańskiego kościoła) oraz co ostrożniejsi osobnicy wszelkich nacji zaczęli coraz intensywniej szukać drogi ucieczki. Ktoś potrącił rudowłosą kobietę, która potknęła się i noga wpadła jej między przypominające szczeble drabiny stopnie schodów - zwiślała teraz w grubej pończosze barwy lodenowej zieleni w stronę sali poniżej niczym porośnięta mchem gałąź, a jej właścicielka wrzeszczała rozpaczliwie. Byłam przywożdzona wraz z panią Pace za dębowym stołem, ponieważ w zamęcie tłum przycisnął go mocno do ściany. Dudniły metalowe schody. Poniżej widać było jedynie tłum głów i wywijających pięści. Edgar w zamieszaniu zniknął mi z oczu, ale teraz zjawił się koło nas na antresoli, wziął Roxę za ramię i pomógł jej zejść ze schodów, torując sobie drogę drugim ramieniem z łokciem wystawionym do przodu.

Z dołu dobiegły wrzaski przypominające ryki bydła w płonącej stodole, gdy nagle ktoś przewrócił regał z książkami, grzebiąc kilka osób pod spodem. Sterta książek i wystających rąk i nóg przypominała czarownicę w czerwonych butach, a ponad wszystkim szybowało histerycznie operowe *Mesdames! Messieurs!* Lilliane.

W obliczu tej przerażającej katastrofy co bardziej dżentelmeńsko nastawieni widzowie zaczęli pomagać ofiarom, a co rozsądniejsi pospiesznie rzucili się do drzwi. Razem z panią Pace ostrożnie odepchnęłyśmy od siebie stół, który w tym momencie miażdżył nam uda, i wstałyśmy. Pani Pace uśmiechała się z wielkim zadowoleniem.

- Kto by pomyślał, że te namiętności są ciągle takie żywe? - powiedziała. - Cóż, jestem trochę rozczarowana takim zakończeniem wieczoru. Chciałam jeszcze przeczytać kilka stron. Spodziewałam się oburzenia raczej po swojej charakterystyce Jeana-Paula Sartre'a. Miałam przeczytać fragment, w którym opowiadam, jak musiałam udzielić komentarza w dniu jego śmierci. „Czy był gigantem?” - pytali mnie w nagraniu dla francuskiej telewizji, ale kiedy powiedziałam, że w rzeczywistości był bardzo niski, nie puścili tego. Nigdy nie potrafia znieść prawdy.

- Francuzi? - spytałam.

- Mimo swojego osławionego racjonalizmu. Ale jak widzieliśmy, Amerykanie nie są wcale lepsi - przyznała.

Zdezorientowani uczestnicy spotkania zebrali się na ulicy przed księgarnią ciekawi, czy pojawi się policja albo *pompiets*, względnie zastawiając się, gdzie pójść na kolację.

- Zupełnie jak podczas wieczoru poparcia dla Salmana Rushdiego - ktoś powiedział.

- Ale wtedy wszyscy bali się wejść do środka - przypomniał ktoś inny.

- Chciałabym przedstawić ci brata mojej teściowej, monsieur Cosseta - powiedziała Roxy do pani Pace.

- Ależ oczywiście znam pana Cosseta - odpada pani Pace, wyciągając rękę, którą on, ku memu zdumieniu, ujął tak, jak gdyby zamierzała ją pocałować, czego nigdy nie robił, choć widziałam to w wykonaniu innych: pociągnięcie dłoni ku górze i lekki skłon głowy ponad nią. Muszę przyznać, że za pierwszym razem kompletnie mnie zamurowało, kiedy uświadomiłam sobie, że to nie jest jedynie gest zniewieściałych arystokratów z filmów kostiumowych, wymyślony przez amerykańskich filmowców jako symbol europejskich form podporządkowania i uległości, przed którymi uciekli za ocean, ale relikwiny prawdziwego zwyczajów. Jakże to dziwne!

- I pomyśleć, Edgarze, że w ogóle nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jesteś spokrewniony z Roxeanne - powiedziała pani Pace.

- *Merci de m'avoir sauve*. - Roxy uśmiechnęła się do *l'oncle* Edgara, celowo (zapewne) przechodząc na francuski, co wykluczało mnie z rozmowy.

Zrozumiałam jednak, że idziemy teraz wszyscy do pani Pace, włączając w to Edgara, który sprawiał wrażenie, jakby postawił sobie za punkt honoru, że musi bezpiecznie odprowadzić Roxy do domu. Oczywiście nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby po drodze nie zastanawiać się, w jakich okolicznościach Edgar poznał Oliwię Pace. Czy był na przykład jednym z miliona jej kochanków? Czy znajduję jakąś informację na ten temat w archiwach OHvii? Wyglądało jednak, że łączący ich przede wszystkim namiętność do polityki, ponieważ za

sprawą Edgara rozmowa ponownie zeszła na sprawy Bośni i toczyła się po angielsku.

- Swego czasu całkowicie popieraliśmy bombardowania Kambodży - mówił. - Wam się wydaje, że można wszystko zburzyć i zacząć od nowa. My wiemy, że można budować jedynie na ruinach tego, co było poprzednio. Wznoszenie nowego gmachu nie może się obyć bez starych cegieł, starych kamieni, pozostałości dawnych budowli - oświadczył w pewnym momencie, kiedy rozmowa zeszła na rozmaite błędy i mylne rachuby w dziejach oraz szczególną niezdolność Amerykanów (zdaniem Edgara) do tego, by sobie z nimi radzić.

- Inna metafora to bagaż - powiedziała Roxy. - Zawsze słyszymy, że powinniśmy się pozbyć starego bagażu.

- Na tym właśnie polega problem z wami, Amerykanie. W swoim bagażu mieliście parę ładnych starych rzeczy. Na przykład jakieś rodzinne przepisy. Czemu zakładać, że stary bagaż składał się jedynie z niepotrzebnych pamiątek i brudnych skarpetek? Francuzi nie mają takich iluzji. Wiedzą, że jeśli wyrzucisz swój bagaż, zostaniesz z gołymi rękami.

- Mimo to optymizm i złudzenia mają swoją wartość - rzekła Roxy.

- Nie całkiem się zgadzam - zaprotestowała pani Pace. - Jest w nich coś bezmyślnego.

- Słusznie - dodał Edgar. - Amerykanin, kiedy spotka go rozczarowanie, zaczyna się wściekać. Jak choćby w Somalii. Efekt dziecięcej bezradności. Ale kiedy kierujesz się racjonalizmem, czyli spodziewasz się tego, co prawdopodobne, nigdy nie jesteś rozczarowany.

Pomyślałam, że to prawda. Tak właśnie uważam. Może dlatego zaczęłam czuć się we Francji jak w domu. Roxy w końcu jest jednak Amerykanką. Niemniej poczułam, że muszę zaprotestować: obojętnie nie miałam nic wspólnego z Somalią, czemu wrzucać wszystkich Amerykanów do jednego worka? Europejczycy zawsze tak robią.

- To jest piękne, OHvio, co to? - spytał Edgar. Patrzył na jej wirtuozną wagę do zupy, która króluje na górnej półce jej kredensu w jadalni.

- Stare Nevers. Sądząc po powłoce, można by pomyśleć, że to Rouen.

- Nie, nie sądziłem, **że** to Rouen, z powodu malunku - powiedział. - Ale **to** musi **być** Rouen - dodał, wskazując na parę salaterek.

- *Levasseur, Rouen. „Aux Oiseaux”* - oświadczyła pani Pace radośnie.

Tego wieczoru ogarnął mnie nagły przypływ negatywnych emocji, niegodne, cierpiętnicze poczucie nieszczęścia, **do** którego za nic nie chciałam się przyznać. Częściowo rozumiałam, dlaczego Edgar zajął się ratowaniem Roxy będącej w zaawansowanej ciąży, ale jednocześnie czułam się urażona, **że** nawet nie popatrzył w moją stronę. Wiem, **że** nie należę **do** osób, które się ratuje, ponieważ innym wydaje się, **że** nie można mnie zranić. Jedynie w moim umyśle pojawia się taka możliwość z coraz większą, muszę przyznać, częstotliwością - **że** ktoś może mnie zranić.

Czułam się więc zazdrosna o **to**, **że** Edgar zaopiekował się Roxy, a na mnie nawet nie spojrzął, i o jego przeszłość, w której, **jak** sobie wyobrażałam, pani Pace odegrała jakąś rolę, choćby minimalną, dzięki czemu mogli teraz o niej mówić; zazdrosna o ich wiedzę na temat minionych wydarzeń politycznych i o pewność siebie, z jaką wypowiadają swoje opinie, **a** także o ich prawo **do** posiadania **wła**-snych opinii. Moją zazdrość budził nawet ich wiek i znajomość różnych faktów z przeszłości - przeszłości, **o** której nigdy wcześniej nie myślałam - **Wietnam**, Bałkany, druga wojna światowa **i to** wszystko, **o co** ludzie kłócili się w Town Crier. Dlaczego w ogóle nie myślałam **o** takich sprawach w Kalifornii? Gdzie jest Kalifornia? Dlaczego byłam tak bardzo na zewnątrz wszystkiego, czym żyje świat?

Znacznie później spytałam Cleve'a Randolpha **o** ten wieczór. Pomagałam właśnie Randolphom kroić chleb w małe kwadraciki na kanapki **i** nakładać **na** nie kawałki bekonu oraz kurzej wątróbki przed ich koktajl party.

- Dlaczego trzeba było koniecznie pojechać **do Wietnamu**, ale powstrzymanie sił zła w Bośni nie jest już takie ważne?

- Komuniści chcieli opanować Wietnam - odparł.

- **A co** takiego złego było w komunizmie? - spytałam. Tak naprawdę nikt **mi** tego nigdy nie wyjaśnił. W głowie miałam kompletny mętlik. Tak jak nikt **mi** nigdy nie wyjaśnił, **co** Europejczycy mieli

przeciwko Życiom. Komuniści wcale nie wydawali mi się tacy źli jak Serbowie. - To znaczy, chodzi mi o to, że nie mieli obozów, w których gwałcili kobiety.

Nadal uważam, że odpowiedzi na te pytania wcale nie są takie oczywiste.

- Komuniści zabili o wiele więcej ludzi niż Hitler - powiedział wreszcie krótko. - Stalin zabił miliony.

- Ale wtedy od lat już nie żył - zauważyłam.

Prawdę mówiąc, dopiero Edgar w końcu odpowiedział na moje pytanie podczas jednego ze swoich radiowych występów. Chodzi o to, żeby sprzeciwiać się despotyzmowi we wszystkich jego formach; wszystkie despotyzmy są podobne albo stają się podobne, a ich trucizna się rozprzestrzenia. Co dziś oznaczało Serbów. Zrozumiałam, że jeszcze muszę się wiele nauczyć na temat historii, a zwłaszcza tego, czemu budzi ona takie ogromne namiętności.

ROZDZIAŁ 20

Czarze miłości! Któż zdołałby cię odmalować? To przekonanie, iż znaleźliśmy istotę, którą natura przeznaczyła dla nas, ta światłość, nagle rozlana w życiu i zdająca się tłumaczyć jego tajemnicę, to zolbrzymienie wartości najdrobniejszych wydarzeń, te szybkie godziny, których szczegóły umykają wspomnieniu przez samą ich słodycz i zostawiają w duszy jedynie smugę szczęścia...

Adolf

Zmieniałam się, krew inaczej krążyła w moich żyłach i miałam inną energię, a wszystko to miało coś wspólnego z Edgarem, choć nie umiałabym powiedzieć w jaki sposób. Po części stało za tym podniecenie budzącej się świadomości politycznej. Być może w innych okolicznościach fascynowałoby mnie coś zupełnie innego. Może gdyby Edgar był maklerem giełdowym, czułabym się podekscytowana na dźwięk taśmy dalekopisu i nauczyłabym się odczytywać wskazania Dow Jonesa.

Chciałam podarować Edgarowi kosztowny prezent, ponieważ chciałam, żeby uważał mnie za osobę seksowną i hojną, a do tego obdarzoną nienagannym smakiem. Kogoś, za kim się tęskni, kogo się żałuje i kogo się nigdy nie zapomni. Wiele rozmyślałam na ten temat, zasięgałam informacji i wreszcie postanowiłam, że podaruję mu coś ze starej porcelany, stare Nevers albo Rouen, czy coś takiego. Słyszałam, jak Edgar i pani Pace rozmawiali o swoich zbiorach, i słyszałam, z jakim podziwem Stuart Barbee mówił o naczyniach Roxy, gdy przyszedł ocenić wartość jej obrazu. Spytałam więc Sturta, czy zna jakiegoś handlarza i tak dalej i gdzie mogłabym znaleźć

coś nieprzesadnie drogiego. Oczywiście znał pewnego handlarza na Marche aux Puces, specjalizującego się właśnie w tego rodzaju rzeczach, o jakie mi chodziło.

Z adresem w ręku znalazłam stoisko H. Martin, które sprawiało solidne wrażenie i z pewnością było jednym ze stałych stoisk na pchlim targu zajmujących się przedmiotami o znacznej cenie. Na wystawie stały piękne półmiski i wazy do zupy. Miałam skopiowane znaki znajdujące się na dnie wazy pani Pace i pokazałam je sprzedawcy - łysiący, pulchny typ po czterdziestce - mówiąc „*Je voudrais, je cherche un cadeau*” i tak dalej, na co on natychmiast przeszedł na angielski, jak zwykle robią Francuzi. Mówił z angielskim akcentem i mógł nawet być Anglikiem, z tym wymizerowanym wyglądem człowieka zmęczonego, jaki często mają Anglicy, kogoś, kto za dużo pali oraz je za dużo cukru i mięsa.

- To ma być prezent dla przyjaciela, który jest kolekcjonerem - powiedziałam. - Chciałabym dać mu coś ładnego.

Mężczyzna spojrział na mnie z politowaniem, domyślając się, jak sądzę, że przeżyję szok, kiedy zacznie wymieniać ceny.

- To są drogie rzeczy - rzekł. - Nie da się ich tanio kupić.

- Wiem - odpadam. Domyślałam się tego, sądząc po tym, z jaką rewerencją wszyscy o nich mówią.

Przyjrzał się znakom narysowanym na mojej kartce.

- Nie mam wiele rzeczy tego rodzaju. Ale mój przyjaciel... Są pewni handlarze, którzy się tym zajmują. Mojemu przyjacielowi czasami wpada coś takiego w ręce, zna różnych kolekcjonerów. Zapiszę pani nazwisko. Jest pani Amerykanką?

- Tak, Amerykanką. Potrzebuję tego... na święta, chciałabym to szybko dostać.

- A może spojrzysz pani na te małe *assiettes*. To Quimper, mniej więcej sprzed stu lat. Na pewno każdemu się spodobają takie cacka.

Zaprowadził mnie do wystawy i pokazał komplet małych talerzyków ułożonych jak na jakimś uroczym obrazie. Rozumiem, dlatego ludzie lubią takie cacka, wprost zachęcające, żeby je dotknąć. Na talerzykach widniały uśmiechnięte ptaki siedzące na oliwnych gałązkach przewiązanych wstążką.

- Dzbanek? A może mały wazon? - spytałam, myśląc o czymś większym, bardziej okrągłym.

- Skąd w Stanach?

- Santa Barbara.

- Zazdroszczę. Czy pani przyjaciel lubi Delft? Mam także uroczą, małą krowę. Proszę spojrzeć na to - powiedział, stawiając przede mną półmisek. - Koniec siedemnastego wieku, jedna z najwcześniejszych rzeczy, jakie mam. Tylko tutaj wymaga małej naprawy.

- Sama nie wiem - zawahałam się. - Wiem tylko, że był zachwycony starym Rouen.

- Może uda mi się coś zdobyć - odparł. - Z pomocą przyjaciela. Mam kilka fotografii, może zechciałaby pani na nie spojrzeć. Proszę pamiętać, że to kosztowne przedmioty... i duże pieniądze. Czy wie pani, ile chciałaby pani wydać?

- Nie całkiem - powiedziałam.

Po raz pierwszy przemknęło mi przez myśl, że jeśli obraz Roxy dobrze się sprzeda, część z tych pieniędzy powinna być moja. Wtedy mogłabym kupić wszystko, co zechcę. Wiem, że obłudnie jest mówić, że się nie myślało o pieniądzach, ale rzeczywiście tak było aż do tej chwili, ponieważ zawsze uważałam, że obraz należy do Roxy. Poza tym trudno myśleć o sprzedaniu czegoś, co zawsze wisiało na ścianie w twoim domu - to zupełnie tak, jakby się chciało sprzedać klamki. Jednak teraz zniemacka poznałam uczucie chciwości i moja dusza zapłonęła na myśl, że powinnam dostać trochę pieniędzy ze sprzedaży obrazu. Zaczęłam rozkoszować się myślą, że mogę kupić Edgarowi coś szalenie drogiego, zwłaszcza coś, co kosztowałoby tyle co Kelly.

- Czasami kolekcjonerzy decydują się na sprzedaż wysyłkową, tutaj jest kilka fotografii - powiedział, wyciągając grubą kopertę ze zdjęciami. - Z tyłu są wszystkie dane, daty i tak dalej.

Ponieważ nie miałam pojęcia, czego właściwie szukam, nie miało większego sensu przeglądanie fotografii, ale z czystej uprzejmości zaczęłam je przerzucać - wazy, półmiski, wazon, małe porcelanowe figurki, wszystkie na *pierwszy rzut* oka mniej lub bardziej kosztowne, duże, bogato zdobione i bez wątpienia poza moim zasięgiem fi-

nansowym. Moją uwagę zwrócił jednak fakt, że wszystkie te przedmioty sfotografowano w różnych pokojach, na stołach czy w kredensach w taki sposób, żeby wyeksponować ich zalety.

Właśnie dzięki temu rozpoznałam wazę pani Pace, ponieważ na zdjęciu stała w dobrze mi znanym kredensie z jej jadalni. Nie do wiary. Odwróciłam fotografię. Stare Rouen i te same oznaczenia. Wszystko, co mogłam zrobić w tym momencie, to udać, że nic nie zauważyłam, i przejść do następnej fotografii. Po czym wróciłam do niej, jak gdyby zastanawiając się, czy się nie mylę. Jak to możliwe?

- Ta? Podobna do tej? - spytał mężczyzna.
- Tak, taka jak ta - oświadczyłam. - To jest to, czego chcę.
- Cenna rzecz.

Wziął fotografię i przyjrzał się jej uważnie. Oddał mi ją. W tym momencie uświadomiłam sobie, że być może jest mojego autorstwa; zrobiłam właśnie takie zdjęcia w jej pokoju i dałam film Stuartowi Barbeemu. Zwłaszcza jedno z nich było dokładnie takie jak ta fotografia ze świecznikiem odsuniętym na bok i przedstawiało jej cenną wazę.

- Coś w tym rodzaju - powiedziałam.

Pewne sprawy nie dają się wyjaśnić, są zbyt dziwne, zbyt niepokojące, żeby myśleć o nich bezpośrednio. Podziękowałam sprzedawcy, wstałam i powiedziałam, że się zastanowię, ile dokładnie mogę zapłacić, czego chcę, i wtedy przyjdę z powrotem. Wybiegłam tak szybko, że przypuszczalnie musiało mu się to wydać nieco podejrzane. Oczywiście było mnóstwo wyjaśnień, z których najbardziej oczywiste polegało na tym, że pani Pace postanowiła sprzedać swoją wazę. Jednak coś bym przecież o tym wiedziała.

„Teza, antyteza, synteza - powiada pani Pace. - To typowo francuski sposób myślenia w każdej dziedzinie”. Moja teza wyglądała tak, że waza pani Pace stała się przedmiotem jakiejś podejrzanej intrygi. Antyteza głosiła, że zamierzała ją sprzedać i umieścić na świątowej liście przedmiotów do sprzedaży, skąd dowiedział się o niej ten facet. Czegoś mi tu brakowało, ale nigdy tego nie złapałam. Pewnej nocy przyśniła mi się synteza, lecz była tak skomplikowana, że rano niczego nie pamiętałam.

Postanowiłam, że na razie nie powiem o tym pani Pace ani słowa. Niemniej kilka dni później zadzwoniłam do tego gościa z wiadomością, że chcę wazę, którą widziałam na fotografii, albo taką samą. Powiedział, że to może zająć kilka tygodni.

W sprawie Bośni dzieliła nas z Roxy wyraźna różnica zdań, przy czym jeśli ona przejawiała głównie pełne oburzenia współczucie krwawiącego serca, moje reakcje wypływały z przebudzonego umysłu, czy też, jeśli wolicie, fascynacji wielką planszową grą realpolitik i moją rolą, nawet jeśli była tak skromna jak ustawienie krzesel. Czy nie przejmowałam się losami drużyny futbolowej Uniwersytetu Południowej Kalifornii? Czy nie byłam podekscytowana słuzowatymi stworzeniami, jakie badaliśmy na pierwszym roku biologii morskiej? Może. Pamiętałam także swoje inne ekscytacje, ale w porównaniu z tą były zupełnie blade.

Częściowo chodziło o seks. Jeśli pożądanie jest elektryczną energią przenikającą twoje komórki, a właśnie tak to odczuwam, to brak seksu prowadziłyby do powstawania w tobie jakiejś żrącej substancji przypominającej to, co wycieka ze starych baterii. Toteż jeśli w moim i Edgara romansie początkowo, przynajmniej dla mnie, najważniejsza była polityka, namiętności politycznej moralności, z czasem zaczęło chodzić także o seks. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, rzekł Rabelais. Bardzo doświadczony człowiek wie różne rzeczy, o których mi się nie śniło.

Pewnego razu, ulegając moim naleganiom, Edgar powiedział: „Mój Boże, pomyśl, jak wszyscy musieli śmiać się z losu waszego Nelsona Rockefellera”. Nelson Rockefeller, który był gubernatorem Nowego Jorku, zmarł w domu swojej młodej kochanki i wszyscy mówili, że stało się to podczas aktu miłosnego.

Być może w moim wieku ma się po prostu wyjątkowo gorącą krew albo ogarnęło mnie wzmożone zainteresowanie seksem towarzyszące zaangażowaniu politycznemu. Niemniej miało także coś wspólnego z resztą mojego życia, które było trochę nudne, ponieważ spacerować z Gennie albo z Nicponiem, albo z nimi razem, wydawały mi się nudne, pomaganie Stuartowi Barbeemu i Conowi w opróżnianiu ich *cave* - nudne, malowanie ich jadalni - też nudne.

Ogarniało mnie poczucie, że marnuję się w tej pracy, gdy tymczasem romans z wyrafinowanym mężem stanu stanowił poważne wyzwanie. Podobnie jak pani Pace, która też stanowiła wyzwanie.

Jednak zasadniczo pochłaniały mnie zagadki serbskich ciężkich dzieł oraz tajniki *la fougoune* i *la bite* ~ cipki i kutasa - i kolacja, jaka następowała po tych tajemnicach, z jej wyszukаныmi rytuałami i wyszukаныmi wspaniałościami, dziełami geniuszu oddanymi w kapuście (*Saint Jacques aux chow a l'orange, chou farci*). A teraz, moja mała kapustko...

La fougoune, słowo, którego nauczyłam się od Yves'a. Gdy po raz pierwszy użyłam go w towarzystwie Edgara, bardzo go rozśmieszyło, choć chwilę później zapytał z pewnym rozdrażnieniem, gdzie się nauczyłam takich wyrażen. Widziałam, że bardzo chciałby wyciągnąć ode mnie jakieś wyjaśnienia, ale potrafił się opanować.

Umówiliśmy się, że będziemy dyskretni, więc zaskakiwało mnie, że pokazywaliśmy się wszędzie publicznie - chodziliśmy do kina, na spotkania, do restauracji. Być może istniała jakaś konwencja, zgodnie z którą, jeśli nie mieszkasz w Paryżu, nikt nie zwraca uwagi na to, co robisz w Paryżu.

Kiedy się z kimś kochasz, w pewnym momencie przestajesz o nim myśleć i skupiasz się wyłącznie na sobie czy też na tym, co czujesz - mówię o doznaniach, nie emocjach - i pragniesz w nie-skończoność czuć te dłonie, wargi, kutasa. Takie pragnienie ogarniało mnie zaraz po przebudzeniu się, ale oczywiście nie było przy mnie Edgara. Byłam jak kotka w rui. Przespałam się nawet raz czy dwa z Ives'em, co wydawało się łatwiejsze niż zrywanie z nim. Poczułam się po tym lepiej, co było dość dziwne, ponieważ można by pomyśleć, że kiedy jesteś zakochana - a ja byłam zakochana w Edgarze Cossecie - jesteś raczej mniej niż bardziej skłonna do takich przelotnych akcji na boku.

Wiedziałam, że się zmieniam. Zrobiłam się także wrażliwsza uczuciowo jako kobieta i zaczynałam rozumieć Roxy z jej wybuchami dotyczącymi szczęścia i przeznaczenia. Dawniej nigdy nie starałam się popisywać przy mężczyznach, być zabawna czy choćby miła; wystarczało mi, że jestem ładna i to z nimi robię. Ale teraz naprawdę

się starałam. Ze słownikiem przedzierałam się przez relacje z wojny w „Le Monde Diplomatique” oraz przez porady miłosne w magazynie „Frou-Frou”.

„Le sexe n'est pas l'unique zone erogene de l'homme. Le plaisir erotique, c'est aussi une question de technique... Prenez l'initiative \ On peut prendre son pied en s'empalant sur la partie de son anatomie que.... Goutez chaque centimetre de peau... Ufaut l'etonner...”

Dowiedziałam się na przykład, że jeśli wypijesz ziołową herbatkę z pomarańczy i wody różanej albo mięty, twoje soki będą miały piękny zapach. Myślę, że nigdy nie dowiedziałabym się tego w Santa Barbara. Poznałam ten francuski erotyczny sekret od Janet Hollingsworth, z którą razem z Roxy umówiliśmy się pewnego popołudnia na kawę.

- Znalazłam coś dobrego - powiedziała. - Czy wiecie, że... ?
- Ale oczywiście trzeba wypić dużo tej herbatki - dodała. - Najlepiej cały dzbanek.

ROZDZIAŁ 21

Paryż, miasto rozrywki, przyjemności etc, w którym cztery piąte mieszkańców umiera z nieszczęścia.

Nicolas de Chamfort

W odróżnieniu od pani Pace Edgar nie wierzył w sens zniesienia nałożonego na Bośniaków embarga na broń i spierał się w tej sprawie z tymi spośród francuskich intelektualistów, którzy, podobnie jak Amerykanie, uważali, że należy pozwolić bośniackim muzułmanom walczyć we własnej obronie. Edgar wierzył w interwencję Francji za pośrednictwem NATO, choć zaczynał dochodzić do wniosku, że nawet to jest już spóźnione.

Dowiedzieliśmy się, że bośniaccy Serbowie, zgodziwszy się na wycofanie swoich dział z okolic Sarajewa, po kryjomu przemycają je z powrotem, żeby ostrzeliwać inne wioski i miasta. Ten akt zdrady poruszył Roxy tak głęboko, jak gdyby działa serbskich renegatów były wymierzone teraz w Rue Maitre Albert. Jej policzki, i tak już mocno zaczerwienione pod wpływem ciąży, przybrały barwę niebezpiecznie purpurową, a jej oczy ciskały gromy, gdy próbowała wdawać się w rozmowy na targu albo z Tammy lub Anne-Chantal w Brasserie Espoir.

Wyglądało na to, że małżeńskie problemy Roxy zapoczątkowały jakąś serię rodzinnych katastrof w okolicach Place Maubert, poczynąwszy od dramatycznej ucieczki Jérôme'a Lartigue'a, scenografa teatralnego, z amerykańską redaktorką - przejaw kryzysu wieku średniego, który zrobił ogromne wrażenie na wszystkich sąsiadach jako coś w najlepszym razie niefrancuskiego. Anne-Chantal, jego

żona od trzydziestu lat, była tak zdruzgotana, że nie odzywała się do nikogo przez kilka tygodni. Jako następne rozpadło się małżeństwo Tammy de Bretteville (Amerykanka, tak jak my) i jej męża Hugues'a, a ostatnio Djuny i Serge'a, serbsko-chorwackiej pary, którą zawsze uważaliśmy za wyjątkowo silnie złączoną przez polityczną solidarność w obliczu szaleństw ich kraju (Serge był niegdyś serbskim ambasadorem). Są tak ubodzy, że nadal mieszkają razem w tym samym mieszkaniu i każde chodzi w innych godzinach na zakupy, ponurzy, z osobnymi koszykami na rzepę i jarmuż.

Tammy i Anne-Chantal napisały na prośbę Roxy długie listy do jej rozwodowego dossier, ale żadna z nich nie interesowała się polityką.

- Takie barbarzyństwo, jak ludzie mogą zachowywać się w ten sposób? - jęczała Roxy na wiadomość o kolejnym ataku Serbów, obracając w umyśle wszelkie przejawy ludzkiej perfidii. W tym okresie chyba nieustannie skupiała się na ludzkiej perfidii.

- *Mais* Serbowie mają rację - oświadczyła Anne-Chantal. - Byli strasznie prześladowani podczas wojny, *hein?* Chorwaci wymordowali miliony Serbów, nic dziwnego, że chcą zemsty.

- Każdemu ktoś zamordował jakichś przodków! - zawołała Roxy. - Co się stanie ze światem, jeśli ludzie nie potrafią zapomnieć przeszłości?

- Do tego ci muzułmanie, którzy chcą zdobyć przyczółek dla islamu w Europie, chyba warto o tym pomyśleć? - mówiła dalej Anne-Chantal.

- To nieprawda! - zaprotestowała Roxy. - Bośniaccy muzułmanie są całkowicie świeccy.

- *Alors*, mam nadzieję, że jesteś przygotowana na noszenie czarczafu? - powiedziała Anne-Chantal.

Nie układało mi się najlepiej z Roxy. Stała się bardzo drażliwa, jeśli chodzi o to, co powinnam robić, czy też co jej zdaniem powinnam robić, żeby jej pomóc. Tymczasem ja dość małostkowo uważałam, że powinna być mi wdzięczna, zamiast mnie krytykować, ponieważ w końcu to nie ja kazałam jej wyjść za Francuza, a potem wpuścić się w rozwód, ciężę, problemy finansowe i tak dalej. Uważałam, że

jestem dla niej miła. Prawdę mówiąc, byłam zdania, że traktuję ją po królewsku. Ze jestem jedynym stabilnym rodzicem, jakiego miała biedna, mała Gennie i że dziecko nie powinno codziennie spędzać tyle czasu w *creche*, tym bardziej że nie było takiej potrzeby, skoro Roxy nie chodziła do pracy (czasami rezygnowała z pracy w swoim gabinecie i objała się po domu).

- Więc się nią zajmuj przez cały dzień - warknęła Roxy.

Oczywiście była przygnębiona, sprawy z rozwodem nie układały się najlepiej. Uważała teraz, że gdyby nie wspominała nikomu o tym, że zamierza wystać obraz do domu, nikt by nie zwrócił na to uwagi. A tak prawnicy uznali, że jest on jedyną rzeczą z ich majątku, oprócz jednej czy dwóch starych komód i stołu Persandów, która może mieć jakąś wartość, więc musi podlegać podziałowi. A to oznacza, że trzeba go będzie sprzedać.

Roxy wszem wobec dawała upust swojemu wzburzeniu.

- To niesłychane - zgadzali się z nią członkowie amerykańskiej społeczności. - Nawet w prymitywnych społeczeństwach rodzina męża oddaje posag, jeśli odsyła kobietę z powrotem do jej plemienia.

- Nie zawsze - wtrącił się antropolog Rex Rhett-Valy swoim piskliwym głosem z Bloomsbury. - W Indiach niektórzy wieśniacy zatrzymują krowy, a w dodatku palą odrzuconą narzeczoną.

W tym czasie w Paryżu nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z emocjonalnego zamętu, jaki w Kalifornii wywołały osobliwości francuskiego prawa. Stuart Barbee ocenił wcześniej wartość obrazu Roxy na czterdzieści tysięcy dolarów, ale Antoine, brat Charles'a-Henriego, zaproponował, by jeszcze raz oszacować *Świętą Urszulę*.

- Normalna rzecz, wszyscy wiemy, że eksperci mogą znacznie różnić się w swoich opiniach. Chodzi o to, żeby się upewnić, jak jest naprawdę.

To rozwścieczyło Roxy, ponieważ oznaczało, że według Persandów obraz jest wart więcej i są przekonani, że nie można ufać amerykańskim specjalistom lub że zostali oni przekupieni przez nas. Możliwe też, że Persandowie uznali, iż Roxy chce zaniżyć wartość obrazu,

by łatwiej spłacić część należną Charles'owi-Henriemu. Ale nawet przy cenie czterdziestu tysięcy Roxy nie miała skąd wziąć dwudziestu tysięcy dolarów, żeby zapłacić Charlesowi-Henriemu jego połowę, a oboje nie mieli dość wspólnego majątku, który zrekompensowałby wartość obrazu. Zadzwoiła do Chestera i Margeeve z prośbą o pomoc, choć z góry wiedziała, co powiedzą: nie mają dwudziestu tysięcy dolarów do wydania na przygnębiający obraz o treści religijnej, który skądinąd i tak jest ich własnością.

Roger na wieść o tych pomysłach po prostu dostał szału. Mimo że wątpię, czy kiedykolwiek choć przez chwilę przyjrzał się obrazowi, był bardzo głęboko przywiązany do myśli, że należy on do naszej rodziny i że w pewnym sensie w ogóle nie jest własnością Roxy. Wiem to od Margeeve, ale i tak mogę sobie wyobrazić wyjątkowo arogancki, wulgarny sposób, w jaki się wściekał, nakręcany jeszcze przez Jane: „Obraz jest mój i Isabel, co mnie, cholera, obchodzi francuskie pieprzone prawo. Jest mój, i tyle”.

Margeeve żywiła cichą nadzieję, że Chester w przypływie rycerskości po prostu kupi obraz, i to jeszcze przed wystawą w Muzeum Getty'ego, choć doskonale wiedziała, że ich na to nie stać i że nawet gdyby mieli te pieniądze, wydaliby je na coś bardziej sensownego.

- Biedna Rox - powiedziała po jednej z wielu rozmów telefonicznych. - Ma nadzieję, że święta Urszula sprawi jakiś cud.

- Jednego nie rozumiem - oświadczył Chester tonem wskazującym na prawdziwe wzburzenie. - Dlaczego Charles-Henri w ogóle ma cokolwiek dostać, mimo że to on jest stroną winną i nawet nie udaje, że jest inaczej?

- Ja też tego nie rozumiem - przyznała Margeeve.

- Może powinnaś po prostu przywieźć obraz do domu - zaproponował mi Roger w rozmowie telefonicznej. - Przecież nie mogłoby cię zatrzymać?

Czy to coś by zmieniło, gdybym tak zrobiła? W tym momencie byłoby to dość proste. Czy zapobiegłoby tragedii? Byłam zbyt samolubna i zbyt obojętna wobec całej sytuacji, by w ogóle myśleć o zrezygnowaniu z własnych przyjemności, z mojego miłego życia we Francji.

- Nie mogę w tej chwili przyjechać do domu, pomagam pani Pace w czymś, obiecałam, mam zobowiązania, pracę... - jąkałam się przerażona na myśl o powrocie do Kalifornii. - Czemu sam nie przyjedziesz, żeby go zabrać?

- Może tak zrobię - powiedział Roger.

Oczywiście nie wściekał się na mnie, ale w jego rykach słyszałam podteksty, które przypomniały mi o naszych kłótniach z dzieciństwa, naszych, Roxy z Judith, oraz różne sytuacje, gdy nasi rodzice wbrew sprawiedliwości stawali po stronie własnych dzieci, choć zwykle bardzo starali się nie wpaść w tę pułapkę.

W swojej firmie Roger zaczął analizować różne aspekty prawa międzynarodowego w zakresie własności dzieł sztuki. Szczerze mówiąc, obie z Roxy praktycznie nie wiedziałyśmy, jak nasz drogi brat Roger zachowuje się w towarzystwie innych prawników, podczas rozmów, których głównym motywem były pieniądze. Roger uważał *Świątą Urszulę* za cenny przedmiot należący do naszej rodziny, ale wobec swoich kolegów traktował sprawę obrazu także jako pewien konkretny przypadek, sprawdzian jego sprytu i prawniczych kompetencji oraz patriotyczny obowiązek i osobiste wyzwanie.

- Powiem jedno, przede wszystkim nie tak szybko - radził Roxy. - W tym wypadku wykładnia prawa nie jest taka oczywista. Po pierwsze darowizna albo prezent nie wchodzi w obręb wspólnej własności. Brałaś ślub w Kalifornii, gdzie obowiązuje wspólnota majątkowa, więc zasadniczo nic by nie dało, gdybyś chciała się rozwieść tutaj, ale kalifornijski sąd z dużym prawdopodobieństwem dostrzegłby moralny aspekt sprawy. Podobno francuskie sądy, gdy chodzi o majątek, są całkowicie obojętne na niepisane porozumienia i tego typu rzeczy. Myślę, że powinniśmy rozważyć kwestię powrotu Roxy do domu i ostatecznie wnieść o rozwód w Kalifornii. Co czyniłoby poza tym całkowicie nieistotną kwestię tego, czy może przywieźć ze sobą obraz. Wyjaśniłaby się też sprawa opieki nad dziećmi, ponieważ sąd kalifornijski prawdopodobnie przyznałby je Amerykance.

- Jedyne problem polega na tym, że ona chce zostać we Francji - zauważył Chester.

- Niech Roger z nią porozmawia. W tej chwili wydaje jej się, że tego pragnie - odparła Margeeve, która ani na moment nie wątpiła w to, że Roxy jak każda normalna osoba ostatecznie wróci do Ameryki.

Inna krótka scena rozgrywająca się mniej więcej w tym samym czasie, o której także nie mogliśmy mieć wtedy najmniejszego pojęcia, a dotycząca naszego obrazu, dzieła jakiegoś *eleve de La Tour*:

Szesnasta dzielnica. Bardzo duży pokój pełen książek, kilka odziedziczonych mebli z czasów dyrektoriatu i wspaniała *terre cuite* Clodiona przedstawiająca trzy muzy w kręgu, choć jednej z nich brakuje ramienia.

- Widziałeś La Toura? - pyta Stuart Barbee Phila Jacoba. Znajdują się w mieszkaniu Stuarta. Jacob, starszy amerykański historyk sztuki, od dawna mieszkający w Paryżu, słynie z tego, że był przyjacielem Soutine'a.

- Absolutnie nie - mówi Jacob. - O wiele lepiej, żebym go nie oglądał.

- Dlaczego?

- Rodzina Persandów już wcześniej poprosiła mnie o ocenę jego wartości, ale powiedziałem, że jestem zbyt zajęty. Sam fakt, że na niego spojrzę, podniósłby cenę. Jestem pewien, że zdawali sobie z tego sprawę. Wystarczyłoby, że rzucę okiem na ten obraz, by pojawiła się możliwość, że to autentyczny La Tour.

- I na czym prośbę, jeśli mogę spytać, im odmówiłeś? - śmieje się Stuart.

- Lepiej nie pytaj - odpowiada Jacob, również się śmiejąc. - Poza tym wiesz bardzo dobrze. A propos, czy widziałeś ostatnio naszego przyjaciela Desmond'a?

Nadal niezbyt układało mi się z Roxy. W pewnym sensie ciągle dzieliła nas elegancka, skórzana Kelly symbolizująca dla niej moją nielojalność.

Ale Roxy w ogóle zachowywała się jakoś dziwnie. W przeddzień pierwszego strasznego wydarzenia przyszła do domu podniecona,

zarumieniona, jakaś dziwna, mamrocząc coś, zupełnie jakby wzięła narkotyki.

- Pojechałam do Chartres - oświadczyła. - Poszłam do Ecole des Beaux-Arts zobaczyć rysunki Della Belli, ale było zamknięte, więc pomyślałam sobie, **bon**, pojedę w takim razie do Chartres, może uda mi się ją **znaleźć**. Poza tym dopiero za tydzień ktokolwiek będzie mógł jej poszukać. Nie jestem nawet pewna, kiedy Charlotte ją wypuściła. Nie miałyby najmniejszego pojęcia, jak znaleźć dom Suzanne, zawsze mieszkała w Neuilly. Po prostu wędrowałaby po lasach, goniąc za ptakami albo ukrywając się przed lisem.

Dopiero w tym momencie zrozumiałam, że mówi o kotce Charlotte.

- Wątpię, żeby lisy polowały na koty - zapewniłam ją.

- Kot może wejść na drzewo, wiem. Och, Iz, wiem, że nie umrę, kobiety nie umierają już przy porodzie, ale mam poczucie, że ze mną tak będzie. Jak długo kot może przeżyć na wolności?

- No cóż, jak długo będzie chciał. Sprytny kot - odrzekłam.

- Tak czy inaczej, nie znalazłam jej. To znaczy znalazłam kota. Był martwy, chyba przejechał go samochód. Miał obrozę i takie wytrzeszczone oczy. Ale to był rudy kot, nie syjamski.

Niespodziewanie powiedziała:

- Powinam porozmawiać z tym facetem, mężem Magdy. Powinam spróbować go uspokoić, posłuchać, co ma do powiedzenia. Może on coś wie, może coś wymyślił. Przeszłam wszystkie ścieżki w okolicy, gdzie parkowaliśmy, Charlotte też by tam zaparkowała. Ale popatrz na moje kostki. Chyba powinam iść do lekarza. Puchnięcie kostek może oznaczać mnóstwo rzeczy. Czyjś piękny, rudy kot z obrozą na szyi, jakaś rodzina za nim tęskni.

- To niedobrze, gdy kobieta w ciąży widzi śmierć - mówiła dalej.

- Czuję to. To nie może być jedynie stary przesąd, że pewne rzeczy mają wpływ na dziecko, ponieważ czuję, że przekazałam mu coś strasznego. Jeśli to jest zbyt straszne albo ono jest za słabe, nie będzie chciało się urodzić. Czuję, jakby mnie tutaj coś wierciło, borowało.

Dotknęła swojego boku w miejscu, gdzie zaczynała się wypukłość brzucha.

- Tylko spójrz na moje kostki, to jakiś rodzaj trucizny, która może mnie zabić i dziecko też, wiem o tym.

- Może powinnyśmy wezwać doktora - powiedziałam - albo Suzanne.

Jakie to dziwne, pomyślałam, że musimy szukać u Suzanne matczyńskiej opieki, chociaż stara się właśnie odebrać Roxy jej rzeczy i karmi jej rywalkę. Obie potrzebowałyśmy matki, ale dotyczyło to zwłaszcza Roxy. Ja miałam panią Pace.

ROZDZIAŁ 22

Apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Rabelais

Roxy była przybita, ale ja byłam szczęśliwa. Uświadomiłam to sobie w chwili dorocznego rachunku sumienia, który dla mnie nie przypada w dzień Nowego Roku, ale zajmuje około pięciu minut dwudziestego trzeciego października, w dniu moich urodzin. Wróciłam do domu późno z publicznej dyskusji z udziałem Edgara w czternastej dzielnicy. Nie było bardzo zimno, chwycił lekki mróz, księżyc posrebrzał wszystko mgiełką szronu, oblewając świat połyskliwą, intrygującą poświatą, a na ulicach było równie docznie jak w południe; poczułam się szczęśliwa.

Jeśli w ogóle można rzec, że jest się szczęśliwym. Nie chodziło o to, że powiedziałam sobie: tak, to jest szczęście, ale raczej o to, że spoglądając na minione miesiące, widziałam wyraźnie, że się zmieniłam w sposób świadczący o tym, że jestem szczęśliwa, a moje myśli pochłaniały teraz wydarzenia i sprawy inne niż ja sama. Analizując swój charakter, byłam bardzo zadowolona z siebie, że nie zrezygnowałam z prac u Ames, Everetta, Randolphów i innych, prac, których właściwie już nie potrzebowałam i chciałam się pozbyć, ponieważ zajmowały mi popołudnia. Chciałam zwłaszcza zrezygnować z wyprowadzania Nicponia. Choć polubiłam Nicponia i Gennie go polubiła - czasami szłam z nim po nią do *creche*, spełniając dwa codzienne obowiązki za jednym zamachem - czułam, że mogłabym robić o wiele ważniejsze rzeczy. Wyprowadzałam Nicponia tylko dlatego, że tak się umówiłam i jak podejrzewałam, dzięki temu Ames

mógł spotykać się po południu z tym swoim facetem, instruktorem z siłowni, żeby uprawiać seks.

Byłam szczęśliwa. W moim życiu nie brakowało seksu, zagadek, romansu i spraw, z których wiele mogłam się nauczyć. Uważałam, że nieuchronnie nieszczęśliwy koniec tego pochłaniającego mnie romansu - bo jak mógł inaczej się skończyć? - miałam wciąż daleko przed sobą. Czekały mnie różne wyzwania: język francuski, nowe lektury, drobne kuksańce, jakich nie szczędziła pani Pace, zmuszając mnie do rozwoju kulturalnego, a nawet świeżo odkryte uczucie do małej Gennie. Otaczało mnie piękno (Paryż) i sztuka, a jednocześnie pierwszy raz w życiu zaczęłam w sposób świadomy doświadczać przyjemności życia umysłowego. Nawet jeśli moje życie intelektualne było skromne, i tak rozwinęło się bardziej niż to, do którego mnie zachęcano (a raczej delikatnie zniechęcano) w szkole średniej w Santa Barbara i na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, a przynajmniej w szkole filmowej, zwłaszcza jeśli chodziło o studentki.

Zawsze słyszałam: możesz być, kimkolwiek tylko zechcesz, Isabel. Wszyscy to powtarzali - Chester, Margeeve, nauczyciele. Zawsze tak mówili i zawsze wiedziałam, że to nieprawda. Spisek w sprawie pewnego złudzenia. Jesteś zdrową, ładną, amerykańską dziewczyną - możesz być, kimkolwiek tylko zechcesz". Ale kim chciałam być? Nie miałam zielonego pojęcia. To znaczy każda rozsądna ewentualność - przy założeniu, że nie miałam szans, by zostać baletnicą, pianistką, lekarzem czy gwiazdą filmową - była zbyt przygnębiająca. Zarządzanie personelem? Psycholożka? Proponowano mi jakieś okropieństwa.

Roxy zawsze chciała być poetką, więc dla niej to było proste. Ale ja nigdy nie chciałam zamknąć się w czymś konkretnym. Żadna rola nie pasowała do mojej wielkiej ciekawości świata, co nie znaczy, że skupiałam się na czymś konkretnym, raczej chodziło o samo poczucie ciekawości. Chyba też nikt by mi nie uwierzył, gdybym próbowała to opisać. Powiedzieliby pewnie: „Mogłabyś się mnóstwa rzeczy dowiedzieć, gdybyś wstała przed południem”.

Próbuję scharakteryzować to poczucie magii, zadowolenia i lekkiej dumy, jakie ogarnęło mnie teraz przed moimi urodzinami. Jak

sięgam pamięcią, chyba po raz pierwszy w życiu w ogóle cokolwiek wydawało mi się interesujące. Nagle wydało mi się, że Kalifornia wcale nie jest interesująca, nie dlatego, że brakowało w niej książek, kochanków i pracy, koncertów i Frederick's of Hollywood, ale dlatego, że ktoś musiał ci pokazać, gdzie znaleźć i jak skonsumować wszystkie dobra kultury. I jeśli nie wiedziałas, gdzie ich szukać, mogłas spędzić całe życie, nie mając zielonego pojęcia, co tracisz. Wiedziałam, że gdybym próbowała to wyjaśnić Chesterowi i Margeeve, zaczęliby gniewnie wypominać mi, ile razy od czasów dzieciństwa próbowali mnie zabrać na jakieś imprezy kulturalne, tyle że zawsze wolałam naburmuszona siedzieć w domu i palić trawę.

Nie chcę przez to powiedzieć, że przestałam być lojalną Kalifornijką, ale wiedziałam, że w Kalifornii, nawet gdybym zdołała znaleźć, dajmy na to, powieść, którą akurat czytałam, napisaną przez pewnego Turka Bilge Karasu, w ogóle nie wzięłabym do ręki książki napisanej przez kogoś o imieniu Bilge.

A teraz mogłabym rzucić w rozmowie z jakimś znajomym Edgara, pod warunkiem, że znałby angielski, „Och, czytam właśnie tureckiego modernistę Bilge Karassu, Calyina i Holendra Ceesa Nootebooma”. I to była prawda, choć naturalnie czytałam ich w tłumaczeniu. Raz czy drugi zauważyłam lekkie uniesienie brwi *l'oncle* Edgara przy tej okazji, co trochę pohamowało moje zapędy.

Raz czy drugi pani Pace powiedziała: „Isabel, masz dobre wyczucie do książek, co byś powiedziała na Nootebooma?”. Albo zadawała mi jakieś inne, podobne pytanie i wdawałyśmy się w interesującą dyskusję literacką. Nie traktowała mnie protekcyjnie, miałam wrażenie, że te rozmowy sprawiają jej autentyczną przyjemność, i na pewno by mi powiedziała, gdyby moje poglądy były jakoś wyjątkowo nietrafne.

Wyczuwałam, że Roxy z wielką ulgą odnotowała moje postępy w sprawach kultury, a przynajmniej zmianę mego nastawienia, i potajemnie relacjonowała swoje spostrzeżenia w rozmowach z Chesterem i Margeeve. Na przykład: siedzę z moim przyjacielem Yves'em wśród tysiąca innych ludzi w audytorium Centrum Pompidou. Z głośników

umieszczonych wysoko na czterech ścianach dobiegają odgłosy dziecięcego śpiewu, plusk strumienia, kakofonia długich organowych akordów niczym zderzenie muzyki sfer - dźwięki jakiejś kosmicznej katastrofy. Głosy dobiegają z lewa, potem z prawa, za chwilę z tyłu, jak gdyby wyskakiwały za drzew. Muzyka jest trochę niepokojąca i kojarzy mi się z głosem zaginionego kota, którego ktoś wsadził do tych głośników. Ale kiedy indziej jest kojąca jak woda. Myślę o kotce Charlotte, o kostkach biednej Roxy, o Edgarze, o tym, jak zupełnie nieprawdopodobne jest to, że w Santa Barbara słuchałabym muzyki Stockhausena. W jakimś sensie ta scena symbolizuje moje nowe, paryskie życie.

Muzyka Stockhausena, który chyba jest Niemcem, ustępuje kompozycji jakiegoś Anglika, która jest znacznie przyjemniejsza. Yves, wracając oczami, stara się z wysiłkiem wsłuchać w nowy utwór. Przypomina wszystkich innych ludzi na widowni, skupionych, trochę wymiętych - publiczność jest tu, jak sądzę, nieodróżnialna od tej, jaką można spotkać na koncercie na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Różnica polega jednak na tym, że tutaj znajduje się Isabel Walker, która wcześniej za nic nie pozwoliłaby sobie na to, by widziano ją w towarzystwie jajogłowych.

Wspomniałam o Fredrick's of Hollywood, ponieważ noszę teraz drogą francuską bieliznę, najbardziej seksowną, jaką mogłam znaleźć. Nie mam kłopotu z biustonoszami, ponieważ nie mam takich dużych piersi jak Roxy. Przez chwilę zabawiałam się myślą, żeby włożyć pas i pończochy (nadające kroczu oprawę w kształcie litery Y Francuzi mają na to wyrażenie *mettre en valeur*), ale pomyślałam, że to byłoby za dużo. Nosiłam więc *slips branliens, curacaos, culottes de soie, pointus...*

Myślę, że niektórzy podświadomie wiedzą o mnie i Edgarze. Pani Pace, Roxy, Ames Everett. Wiedzą, że jestem z kimś, ale nikt nie podejrzewa z kim. Ames pewnie uważa to za niesmaczne. Wychoząc od niego, gdy w ramach swojej codziennej rundy spieszę się do pani Pace, wyobrażam sobie, jak myśli sobie: Ona w ogóle nie przypomina cnotliwej Roxeanne. Prawdę mówiąc, Isabel to mała kurewka, czasami nawet czuć od niej ten zapach, bezmyślny seks, chociaż zgrywa młodą intelektualistkę.

Wyobrażam sobie, że tak o mnie myśli, ponieważ najwyraźniej wyczuwa, że byłam z kimś w łóżku, i zaczyna odnosić się do mnie z dystansem, choć w najmniejszym stopniu nie interesuje się kobietami. Mógłby zostać Herodem, ja Salome. Mam wrażenie, jakby jednocześnie fascynowało go i odstręczało coś, co uważa za moją rzekomą skłonność do grzechu, choć w rzeczywistości to jedynie południowa schadzka z moim sekretnym kochankiem.

Edgar był skupionym, namiętym i zabawnym kochankiem, choć trudno powiedzieć, na czym polegało, że wydawał się zabawny. Rozśmieszał mnie w łóżku i dawał rozkosz. Ani jedno, ani drugie samo w sobie nie wystarczy, by się w kimś zakochać. A nawet nie wystarczy ich połączenie, musi być coś jeszcze. Było mi przyjemnie, że Edgar jest kimś znanym, że ludzie z nim rozmawiają. Francja to niewielki kraj, wszyscy oglądają te same telewizyjne dyskusje przy okrągłym stole i czytają te same trzy gazety. Wiem, że te gazety miały coś wspólnego z moim niespokojnym pragnieniem, by w każdy wtorek znaleźć się w jego ramionach. Lubiłam to, jak patrzył na wszystkie części mojego ciała. Powiedział raz, że pamięta wszystkie pieprzyki wszystkich kobiet, z którymi kiedykolwiek spał (nie powiedział, jak wiele ich było), i że po prostu ma taki rodzaj dokładnej pamięci wzrokowej.

Czasami obawiałam się, że zbyt łatwo można zadowolić mnie w łóżku, bym mogła liczyć na dłuższe zainteresowanie Edgara. Mężczyźni, jak słyszałam, wolą wyzwania w postaci rozbudzania lodowato oziębłych księżniczek. W moim wypadku zadanie nie jest trudne, nie jestem oziębła. Poza tym nie potrafię udawać, że nie mam orgazmu, kiedy właśnie go mam, chociaż skupiając myśli na czymś innym, pewnie mogłabym się przed nim powstrzymać. Ale to byłoby zbyt dużym poświęceniem, nawet gdybym dzięki temu mogła zostać wielką kurtyzaną - jeśli to oziębłość jest tym, czego się od nich wymaga. Czy więc moja prostacka, bezpośrednia seksualność uniemożliwia mi wzbudzenie zainteresowania wyrafinowanego, subtelnego kochanka?

Próbowałam raz rozmawiać na ten temat z Edgarem, choć brakowało mu pewnej podstawowej angielskiej terminologii. Ale przy najmniej go to rozbawiło.

Czasami chce mi się śmiać na myśl o tym, jak wyglądamy z punktu widzenia Boga, kiedy leżę z przepocnymi włosami na poduszce i nogami splecionymi na szyi starszego mężczyzny, albo, w innej wersji, klęczę podparta na kolanach i łokciach i obejmuję siebie przedramionami, a on bierze mnie od tyłu i jego ciało obejmuje mnie w taki sposób, że może jednocześnie mnie pieprzyć i pieścić moją clitoris, podwójna stymulacja, coś jakby cię pieprzyło dwóch facetów naraz, na przykład dwóch tureckich żołnierzy, podobnych do tych z powieści tureckiego modernisty Bilge Karasu, polecanej mi przez panią Pace, w której mroczne miasto jest metaforą duszy.

To książka o torturach i politycznych represjach i mogłaby zainteresować Edgara. Próbowałam ją znaleźć dla niego po francusku. W powieści bezimienni oprawcy co noc wybierają na swoją ofiarę jakiegoś pięknego, młodego człowieka, a kiedy już z nim skończą, nie pozostaje z niego nic prócz strzępów ciała. Potem posypuje się tę krwawą masę trocinami. Widok jego okaleczonych zwłok budzi przerażenie, zmuszając ludzi do uległości. Tak musiało wyglądać Goražde w telewizyjnych dziennikach, które Roxy oglądała, nie potrafiąc się od nich oderwać. Oglądała krwawą rzeczywistość na ekranie telewizora, ale nie chciała czytać literackiego opisu tortur, mówiąc, że to zbyt straszne.

ROZDZIAŁ 23

Tam, mówiłem sobie, tam może jakiś nieszczęśliwy łamie się pod ciężarem bóleści albo też walczy ze śmiercią (...) Śmierć: nieuchronny kres, niedająca pociechy ani ukojenia.

Adolf

Jakoś wkrótce po moich urodzinach zostałam w czwartek na noc u Edgara. Edgar pojechał ostatnim pociągiem do Awinionu, a ja leniwie snułam się po jego mieszkaniu, próbując czytać jakąś książkę, którą znalazłam na szafce nocnej. (Tocqueville. „Wstyd się przyznać, ale nigdy go nie czytałem - powiedział. - Prawdę mówiąc, niezbyt interesowałem się Stanami Zjednoczonymi, po prostu uważałem ten kraj za stracony. Ale teraz, kiedy zaprzyjaźniłem się z Amerykanką, wydaje mi się fascynujący. Tocqueville ma godny do pozazdroszczenia talent do aforyzmów. Co o tym sądzisz, Isabel?. »We Francji prostotę gustów, obyczajność, przywiązanie do rodziny i miłość do miejsca urodzenia uważa się za podstawowe gwarancje ładu i szczęścia w państwie, ale w Ameryce nic nie wydaje się mniej korzystne dla społeczeństwa niż podobne cnoty«”).

Rozmawialiśmy o tym, czy należy zakazać wyświadczenia we Francji amerykańskich filmów. Edgar uważał, że tak byłoby lepiej.

- Jeśli są takie szkodliwe, to czemu ludzie je oglądają, skoro tak bardzo kochacie pokój i porządek - zaprotestowałam.

- Tu się właśnie różnimy: wy, Amerykanie, uważacie, że jeśli ludzie czegoś chcą, trzeba im na to pozwolić. A potem za karę musicie znosić brzydotę, ponieważ ulegliście czemuś, czym w rzeczywistości pogardzacie. To paradoks, który was niszczy, w każdym razie

tak mówi filozof. My, Francuzi, wiemy, że ludzie nie chcą tego, co dobre, tylko tego, co łatwe, i uleganie lenistwu kryjącemu się w naturze ludzkiej nie jest wcale czymś godnym podziwu. Godzimy się na to, by chronić nas przed tym, co w nas najgorsze, albo stawiać wyzwanie naszej lepszej stronie, by tak rzec.

- Francja aż jęczy od luksusu - zauważyłam. - Jesteście o wiele bardziej nastawieni na luksusowe przyjemności i rozkosze podniebienia niż my.

- A potem nagradzamy samych siebie za nasz dobry charakter.

Takie dyskusje budziły we mnie pewien niepokój. Czy mimo wszystko stanowiłam wzorcowy przykład amerykańskich wad i zalet? Po wyjeździe Edgara sama sięgnęłam po Tocqueville'a, który pisze na przykład: „Szczęśliwi i potężni nie udają się na wygnanie”. Czy to prawda? Czy odnosi się do mnie i Roxy?

W końcu zasnąłam, a kiedy się zbudziłam, było już rano. Nie przejęłam się tym, ponieważ Roxy nie oczekiwała ode mnie, że będę wracała do domu wieczorami - chyba że wcześniej umówiliśmy się, że będę potrzebna do opieki nad małą - i nie sprawdzała, czy wróciłam do domu. Czasami schodziłam do niej na śniadanie dopiero po jej wyjściu z Gennie do *creche*, więc nie zawsze spodziewała się, że zobaczymy się rano.

Paryż rankiem jest czysty i mokry dzięki wysiłkom ulicznych sprzątaczy w jasnozielonych uniformach, którzy przeciągają po wzebranych rynsztokach plastikowymi miotłami i robią małe zapory z kawałków starych dywanów. Gdy wyszłam z metra, prawie dokładnie o wpół do dziewiętej, z sykiem przejeżdżały właśnie uliczne polewaczki, w Brasserie Espoir kilka osób siedziało już przy kawie albo *coup de rouge*, jakiś przebiegający mężczyzna pospiesznie wciągał roboczy, niebieski fartuch. Poza tym na ulicach było pusto. O dziewiętej trzydzieści, jakby nie wiadomo skąd, wszyscy nagle pojawiali się w pracy, za kontuarem czy biurkiem. Upłynęło wiele czasu, nim zrozumiałam, że dzieje się tak dlatego, iż mieszkają niedaleko miejsca pracy i nie muszą długo dojeżdżać. Tego ranka zapach croissantów i kawy oraz różowozłota smuga na niebie sprzyjały nieodpartej pokusie, by posiedzieć kilka minut w Brasserie Espoir po prostu, że-

by porozmyślać o Paryżu i miłości. Skądinąd miłość to zagadka. Co sprawia, że akurat ta kobieta kocha właśnie tego cherławego mężczyznę siedzącego naprzeciw? Czemu ten otyły Francuz czule pomaga wysiąść z autobusu właśnie tej siwowłosej kobiecie o orientalnej urodzie, która stąpa z szeroko rozstawianymi stopami w bezwowych butach na płaskim obcasie? Jak się poznali? Za każdym razem, kiedy jechałam autobusem albo spacerowałam w Ogrodzie Luksemburskim, czułam prawdziwe uniesienie na myśl o tym niezwykłym charakterze miłości, widocznych na każdym kroku dowodach tego, że miłość jest ślepa, o jej uroku i mojej roli w tym wszystkim.

Cała szczęśliwa kupiłam „Figaro”, zdaniem Roxy zbyt konserwatywne, ale dla mnie łatwiejsze do czytania, i zaczęłam przedzierać się przez wiadomości z Bośni. Edgar czasami pisze artykuł do czwartkowego wydania. Okazało się, że zdążyłam osobiście poznać dwie osoby wymienione na pierwszej i drugiej stronie „Le Figaro”! Z radością uświadomiłam sobie, że gdybym tylko umiała mówić po francusku (rzecz niemożliwa), teoretycznie mogłabym przypomnieć dwóm ważnym Francuzom, że to właśnie mnie, Isabel Walker, spotkali, gdy... itd., itd. To znaczy miałabym pretekst, żeby się odezwać do byłego ministra i arcybiskupa! Pomyślałam, że to fascynujące, ponieważ w Kalifornii Isabel Walker w ogóle nikogo nie znała.

Dopiłam kawę (*café au lait*) i poszłam dalej Rue Maitre Albert i wystukałam kod otwierający drzwi frontowe, starając się przypomnieć sobie, czy Roxy widziała mnie wczoraj w tym ubraniu i zorientuje się, że spędziłam noc poza domem, ale w końcu pomyślałam: Kogo to obchodzi, po prostu pójdę od razu do niej, zamiast wdrapać się najpierw na górę, by się przebrać.

Gdyby nie to, poszłabym wtedy prosto do swojego pokoju.

Otworzyłam drzwi do jej mieszkania i skierowałam się od razu do kuchni. Roxy nie było, więc mogłam pójść do siebie, ale nie zrobiłam tego, zjrzałam do lodówki i położyłam „Figaro” na stole, żeby sobie poczytała, kiedy wróci do domu. Mogłam, mogłam, powtarzam sobie ciągle i ogarnia mnie przerażenie na myśl o tym, jak wiele zależy od przypadku, jak drobne różnice często decydują o wszystkim.

Właśnie wtedy usłyszałam jakiś łomot - to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy, by opisać ciężki odgłos upadku czegoś, co nie jest zbyt kruche, albo upadającej osoby, jak wtedy, gdy w dzieciństwie słyszeliśmy, że któreś z nas spadło z łóżka.

Wróciłam do salonu, rozmyślając nad tym dźwiękiem i nad tym, że Roxy musiała dość wcześnie tego dnia zabrać Gennie do *creche*. Z dzisiejszej perspektywy trudno mi odtworzyć ciąg następujących po sobie myśli albo impuls, który skłonił mnie do tego, żeby mimo wszystko zajrzeć do jej sypialni. Nie miałam żadnych powodów ku temu, ale po prostu zapukałam do sypialni Roxy, a kiedy odpowiedziało mi milczenie, otworzyłam drzwi, zajrzałam do środka i zobaczyłam Roxy, która leżała obok łóżka w kałuży krwi. Dokładnie tak, jak to się zawsze opisuje: złowroga plama gęstej cieczy, w której leżało jej ramię i policzek.

Krwotok, pomyślałam, to filmowe wyrażenie wydawało mi się teraz aż nazbyt rzeczywiste. Rzuciłam się do niej, żeby jej dotknąć. Ramię było ciepłe i poruszała się lekko, powieki pokryte tuszem migotały, jak gdyby tylko udawała, że jest nieprzytomna. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, jaki jest francuski odpowiednik numeru 9 1 1, ale na telefonie widniał numer do straży pożarnej, więc go wykręciłam, wyrzucając z siebie: „Moja *soeur, sang*, szybko, *vite*” oraz najlepsze, co potrafiłam z siebie wydusić: „*Venez rapidement, s'ilvousplait*. Podałam adres i ogarnęło mnie wrażenie, że zaraz przyjadą. Usiłowałam podnieść Roxy i wciągnąć ją na łóżko, ale nie mogłam, zupełnie jakby wchłonęła w siebie kałużę krwi, w której leżała, i zrobiła się dwa razy cięższa jak gąbka. Na podłodze leżała pod nią lepka, nasączona krwią poduszka, przerażająca, jak w jakimś horrorze, jakby polana keczupem, niemal sztuczna. Spodziewałam się, że zobaczę płód albo coś straszego, co z niej wypadło.

Poszłam do łazienki po ręcznik i dopiero wracając, uświadomiłam sobie, że krew wcale nie pochodzi z jej pochwy, jak mi się wydawało, ale z nadgarstków. Na obu miała ogromne nacięcia i jedno na grzbiecie dłoni; może tam zaczęła, zbyt ostrożnie, zapominając, że trzeba przeciąć duże naczynia u dołu nadgarstków, jeśli naprawdę chce się umrzeć. Krew sączyła się z ran, przerażających wylotów,

i bąblowała jak piana. Rękami mokrymi od krwi Roxy zostawiłam odciski palców na jej policzku, gdzie jej dotknęłam, i na szyi, gdzie próbowałam wyczuć puls. Jeden z nadgarstków miała rozcięty bardziej niż drugi, a więc zawinęłam go mocno zielonym, wełnianym szalikiem z komody. Wiedziałam, że trzeba gdzieś zrobić ucisk na ramieniu. Opaska uciskowa, *toumiquet*, to musi być francuskie słowo, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak to zrobić.

W ten sposób mój świat, podejście do życia, charakter i przeznaczenie zmieniły się w jednej chwili.

Na szczęście miałam wrażenie, albo złudzenie, że zachowałam w tym momencie jasność umysłu: opaska uciskowa, 9 1 1, ramię powyżej łokcia. Przewiązałam jej rękę nad łokciem jedną pończochą i mocno zacisnęłam długopisem, zastanawiając się, czy jeśli umrze, krwawienie natychmiast ustanie. Czy krew wypływająca z nadgarstków oznacza, że jeszcze żyje? Myślałam też, czy dziecko umrze pierwsze, czy po niej, czy zamiast niej i ile czasu mu zostało? Nie mogłam pojąć, że Roxy chciałyby zabić swoje dziecko po tym wszystkim, to musi być jakiś niepojęty wypadek. Ale oczywiście nikt nie przecina sobie przypadkiem ani nadgarstków, ani wierzchu dłoni.

Krew ma pewien szczególny, kwaśno-owocowy zapach.

Skrepowałam jej drugi nadgarstek pończochą. A potem przypomniałam sobie, że nie podałam strażakowi kodu wejściowego do drzwi i pobiegłam do okna. Rzeczywiście stali tam, choć nie słyszałam syreny, i wpatrywali się w kamienicę.

Otworzyłam okno i wykrzyczałam kod. Mój wrzask przypominał pisk przerażonego zwierzęcia i nie miał nic wspólnego z moimi spowolnionymi świadomymi działaniami. Wydawało się, że w mgnieniu oka kilku strażaków stało obok leżącej Roxy. Gdy zobaczyli jej brzuch, jakby przeszedł ich prąd. *Enceinte*. Zaczęli coś krzyczeć do siebie nawzajem i znosić ją po schodach, nie na noszach, ale po prostu za ręce i nogi. Ciało Roxy wyglądało między nimi jak wielki kartofel, włosy wlokły się za nią przez plamy jej krwi, która przesiąknęła przez szalik i pończochy, jakimi owinęłam rany.

U podnóża schodów stały nosze. Położyli ją na nich i zaczęli ją obandażowywać, na nos i usta nałożyli maskę, pewnie z denem,

i przyczepili do niej jakiś żółtawy płyn w butelce na stojaku. Wydarzenia następowały jedno po drugim jak na filmie w przyspieszonym tempie. Kiedy zrozumiałam, że nie muszę już niczego robić, zrobiło mi się niedobrze i poczułam nieprzyjemny łomot w uszach, aż musiałam na moment usiąść na krawężniku i potrzymać głowę między kolanami, dopóki mi nie przeszło. Z budynku wybiegła chuda i kłótniwa madame Florian z pierwszego piętra, wykrzykując coś głosem pełnym pretensji, pewnie w sprawie krwi na schodach. Minęło trochę czasu, może z pięć minut. Wreszcie wstałam i spojrzałam na Roxy. Oczywiście nadal zamknięte, ale widziałam, że oddycha. Ponieśli ją i załadowali do ambulansu wyglądającego bardziej na furgonetkę. Próbowałam do niego wsiąść, ale odepchnęli mnie ze słowami: ***Jks de place***". Ogłupiała patrzyłam, jak odwożą moją umierającą siostrę, nie miałam pojęcia dokąd.

Wokół mnie pojawili się jacyś ludzie, dwaj mężczyźni w garniturach, dziecko z tornistrem na plecach, strażnik miejski w zielonym uniformie, który kazał mi usiąść z powrotem. Dziecko w skupieniu patrzyło na krew zasychającą mi na rękach i na sukience. ***Le sang***. Wtedy madame Florian kazała mi się podnieść i wciągnęła mnie do środka, cały czas mówiąc i wymachując rękami. Zrozumiałam, że mam zmienić sukienkę. To takie cholernie francuskie martwić się o to, co człowiek ma na sobie, pomyślałam z wściekłością. W holu widać było rozmazane krople krwi. W głowie miałam pustkę. Madame Florian zaprowadziła mnie schodami na górę, a ja byłam kompletnie bezwolna. Trzymała mnie za rękę jak dziecko i sama umazała się krwią Roxy. Wszędzie było pełno krwi, która jest nieprawdopodobnie lepka i strasznie się rozmazuje. Gdybym miała ręce we krwi kogoś obcego, martwiłabym się o AIDS, ale madame Florian nie myślała o takich rzeczach.

- Szpital, muszę jechać do szpitala - powtarzałam, kiedy popychała mnie przez drzwi do mieszkania Roxy. Pobiegłam do kuchni, żeby umyć ręce, i włożyłam sukienkę do zlewu.

- ***Oui, oui***, Salpetriere - powiedziała, patrząc na mnie.

Znalazłam w szafie Roxy coś, co na mnie pasowało, i wzięłam portmonetkę z salonu. Madame Florian poszła ze mną na postój

taksówek i ku mojemu zdumieniu wsiadła razem ze mną, mówiąc różne rzeczy do kierowcy, z których rozumiałam tylko *centré des urgences*. W taksówce znowu zaczęłam myśleć, słysząc szybki łomot swojego serca: Roxy próbowała się zabić. Albo zabiła się.

Wszystko to trwało jakieś piętnaście minut, jazda do szpitala może kilka minut więcej, obok niewielkiego zoo, gdzie czasami zabierałam Gennie. W szpitalu madame Florian pomachała do kierowcy, żeby zaczekał, i zaprowadziła mnie do holu, gdzie zaczęła mówić w moim imieniu. Jestem siostrą madame de Persand, którą właśnie przywieziono. Coś odpowiedzieli, ale nie usłyszałam żadnych słów w rodzaju *morte* albo *mourir*.

Madame Florian niecierpliwie wzruszyła ramionami na moje *mer ci*.

- *Restez Id* - powiedziała - zaraz z tobą porozmawiają.

Rzeczywiście podszedł ktoś i z jego słów zrozumiałam, co najważniejsze: zrobili Roxy transfuzję, żyje, powinnam chwilę poczekać, ale przypuszczalnie nie grozi jej niebezpieczeństwo. Madame Florian zawahała się, popatrzyła na mnie, po czym powoli odeszła.

Miałam więc teraz trochę czasu, czekając na to, co będzie dalej, żeby spróbować zrozumieć. Roxy próbowała się zabić! Czemu nie zauważyłam, że ogarnęła ją taka rozpacz albo taki zamęt? Jak mogłam być tak pochłonięta swoimi sprawami, że nie zauważyłam czegoś takiego? Nie miałam pojęcia.

Nie miałam najmniejszego pojęcia. Co dziwne, usłyszałam swój głos wypowiadający te słowa, kiedy wyobrażałam sobie, jak opowiadam o tym Margeeve i Chesterowi. Jeśli chodzi o Roxy, czułam, a raczej poczułam trochę później, wściekłość, jaka ogarnia cię na kogoś, kto cię śmiertelnie przestraszył. Ale jeśli chodziło o mnie samą, czułam ogromny żal i wstyd oraz rodzaj dezorientacji, jak gdybym miała już nigdy więcej nie dowiedzieć się, czy jestem w porządku, czy nie. Jak mogłam być taka szczęśliwa i zupełnie nie zdawać sobie sprawy z tego, że Roxy jest tak bardzo nieszczęśliwa? Wołanie o pomoc. Próba samobójstwa jest wołaniem o pomoc, a ja jej nie pomogłam.

W ten sposób poddawałam się kolejnym falom wyrzutów sumienia i udręki po to, by uniknąć myślenia o tym, co by było, gdyby

umarła, co wydawało mi się tak bardzo niepojęte, a co właśnie starała się osiągnąć.

Ale czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście o to jej chodziło, czy może to było tylko wołanie o pomoc? Czy wiedziała, że przyjdę i ją znajdę? W ten sposób starałam się zbagatelizować i potraktować jako histerię to, co zrobiła. A potem pomyślałam, że może właśnie liczyła na to, że nie przyjdę i jej nie znajdę? Nie mogłam sobie przypomnieć, czy mówiłam jej coś o swoich dzisiejszych planach. A teraz nawet nie wiedziałam, czy ona jeszcze żyje.

A do tego jej dziecko. Przypomniałam sobie, jak kilka miesięcy temu powiedziała do Suzanne, że być może powinna z niego zrezygnować. Teraz te słowa nabrały zupełnie innego znaczenia.

Pielęgniarki i salowe z uwagą spoglądały w moją stronę, krewna *la suicidee*. Pielęgniarki nosiły małe welony jak zakonnice. Zwracały się do mnie jak do krewnego kogoś, kto leży na łożu śmierci, albo jakiegoś grzesznika, delikatnie, taktownie, ściszym głosem. Zagrożenie i śmierć przekraczają granice barier językowych. Całkowicie rozumiałam, co do mnie mówią; mają nadzieję, że udało im się uchronić Roxy przed szokiem pourazowym. Rozważali cesarskie cięcie, gdyby na monitorze kontrolującym stan płodu pojawiły się pewne niepokojące zmiany. Dziecku nic się nie stało. Dziecko żyje dłużej niż matka, wykorzystując aż do końca ostatnie cząstki denu we krwi, dopóki i dla niego nie ma już nadziei.

Siedziałam dalej w poczekalni pełna obaw i gniewu. Jakiś młody lekarz znakiem uniesionych kciuków pokazał mi, że jej stan trochę się poprawił, i ten gest podziałał na mnie niczym kroplówka gniewu i ulgi podłączona do mojego organizmu tak jak butla przy łożku Roxy.

Początkowo zamierzałam zadzwonić do Chestera i Margeeve. Chciałam, żeby mi poradzili, co mam robić. Przymuszalnie potrzebowałam jakiegoś wsparcia, ale coś mnie powstrzymało, coś innego oprócz faktu, że w Kalifornii był właśnie środek nocy. Zawahałam się, ponieważ przyszło mi do głowy, że być może Roxy wcale nie życzyłaby sobie, by wiedzieli, co się stało. Ja na jej miejscu bym nie chciała. Kiedy już dojdzie do siebie, być może nie pozwoli, żeby

traktowano ją jak cierpiącą na depresję, nerwowo niestabilną histeryczkę, którą ludzie będą bali się zostawić samą w domu.

Ale może właśnie chciała, żeby ją traktować w ten sposób, aby już nigdy nie musiała być sama. Sławne wołanie o pomoc.

Jedyna pomoc, jaką ode mnie dostała, to trochę opieki nad dzieckiem. Mój gniew i ulga odpłynęły, pozostawiając swego rodza-ju próżnię, którą szybko na powrót zalały fale gorzkich wyrzutów sumienia. Ciągle do tego wracałam: jak mogłam nie spostrzec, że Roxy znalazła się w takiej rozpaczce, skoro zauważałam oznaki obłąkane-go zamętu w jej myślach? Zbyt intensywnie pochłaniało mnie wła-sne życie.

Pomyślałam, żeby zadzwonić do Suzanne albo do Charles'a-Hen-riego. Czy tego właśnie Roxy chciała? A może naprawdę chciała odejść? Nie wiedziałam, nie miałam pojęcia i żałośnie skulona siedzia-łam w poczekalni, zerkając od czasu do czasu przez zasłony jej łóżka, trzeciego wśród łóżek stojących półkolem i odgrodzonych zasłonami. Leżała z zamkniętymi oczami i lekko zmarszczonym czołem, jak gdy-by była niezadowolona z tego całego zamętu wokół siebie albo jakby błądziła myślami gdzieś daleko, w abstrakcyjnym spokoju śmierci.

Widzę teraz, że bałam się zadzwonić do Chestera i Margeeve, po-nieważ byłiby na mnie wściekli. Wysłali Isabel, żeby pomogła Roxy, a ta nawet nie zauważyła, że siostra stoi na krawędzi samobójstwa. Kolejny z wielu przypadków, gdy Isabel wszystko speprzyła. Zamiast tego tylko gadała bla-bla-bla - to wszystko, czym się zajmowałam, oznaki egoizmu, oznaki obojętności, oznaki niewrażliwości.

Nie należę do osób, które łatwo ulegają poczuciu winy. Lata od-grywania roli nieudanej, młodszej siostry przyzwyczyliły mnie do zaj-mowania postawy obronnej i czasem bywam nawet nierozsądnie wy-zywająca. Również Margeeve i Chester jako rodzice nie starali się zaszczepiać dzieciom poczucia winy (choć uważam, że mój brat Roger zawsze lubił pokazywać, że jest lepszy ode mnie, i czuł się bardziej związany z naszymi nowymi siostrami niż ze mną). Poza tym od poczucia winy człowiek wcale nie robi się lepszy.

Dlaczego więc siedziałam w pustawej, schludnej i niewygodnej po-czekalni francuskiego szpitala, wśród leżących na stolikach dziwnych

czasopism (jak na przykład periodyk poświęcony problemom zawodu jasnowidza), z poczuciem winy i użalając się nad sobą? I czemu właściwie rozmyślałam o Rogerze? Dlatego że bałam się myśleć o Roxy. Dlatego że ktoś wyciągnął jakiś korek w mojej głowie i teraz zalewały mnie te wszystkie myśli. Gorączkowo poszukiwałam jakichś zracjonalizowanych usprawiedliwień: Roxy ukrywała przede mną swoje uczucia i mnie okłamywała. Wcale nie wołała o pomoc, zgoła przeciwnie, bardzo się starała sprawiać wrażenie osoby radosnej w te wszystkie niedzielne popołudnia u Persandów albo kiedy szła pracować w swoim gabinecie, jak gdyby wszystko było w porządku. Skąd mogłam wiedzieć, że usiłuje zachować się jak Sylvia Plath? W tym momencie po raz pierwszy ogarnęły mnie pewne wątpliwości, czy Roxy rzeczywiście jest tak dobrą poetką jak Sylvia Plath. Ale co ja właściwie wiem?

Człowiek nigdy nie jest tak szczęśliwy, jak mu się wydaje, ani tak nieszczęśliwy, jak ma nadzieję, by odwrócić maksymę La Rochefaucaulda. Podobno kiedy ktoś postanowi popełnić samobójstwo, czasami okazuje przed tym radosne ożywienie. Niemniej musiały być jakieś znaki, a ja ich nie widziałam. Kochałam Roxy tak bardzo, że chciałam ją zabić, taka byłam na nią wściekła. Jak mam wyrazić wstyd ogarniający mnie na myśl o tych egocentrycznych rozważaniach pomagających mi odpędzić od siebie myśli o Roxy, która leżała obok nieprzytomna i podłączona do rozmaitych urządzeń niczym jedna z tych kobiet w stanie śpiączki, które utrzymuje się przy życiu tylko po to, żeby urodziły dziecko? Czy wstyd jest tym samym co poczucie winy?

ROZDZIAŁ 24

Wśród przeciwności losu największym nieszczęściem jest czuć się szczęśliwym.

Boecjusz

Zrobiło się południe, dziwna pora czuwania u łóżka chorego. Poczulałam, że jestem głodna, i wtedy nagle przypomniałam sobie o Gennie, którą Roxy zaprowadziła do *creche* i którą trzeba odebrać o piętnastej trzydzieści. W tym samym momencie przyszło mi do głowy coś tak przerażającego i mrożącego krew w żyłach, że musiałam wstać i przejść kilka kroków, trzęsąc się, jak gdyby chwycił mnie skurcz. Próbowałam sdumić, zgasić, wymazać tę myśl: A jeśli nie zabrała Gennie do *creche*? A jeśli małe ciało zamordowanej Gennie leży gdzieś w mieszkaniu? Nie mogłam traktować poważnie tej możliwości i jednocześnie bałam się tego. Roxy nigdy nie skrzywdziłaby Gennie, jednakże kobiety w depresji robią straszne rzeczy, a ona przecież była gotowa skrzywdzić swoje nienarodzone dziecko i siebie samą.

Poczulałam, że muszę natychmiast pojechać na Rue Maitre Albert, choćby po to, by opanować tę mdlącą mnie panikę, tak intensywną, że najchętniej wolałabym stracić świadomość i nic nie czuć do chwili, dopóki nie dotrę na miejsce. Próbowałam znaleźć jakiś szybszy sposób, żeby się dowiedzieć, co się stało, jak choćby telefon do *creche*, ale nie znałam numeru i nie wiedziałam, jak zadzwonić do biura numerów, a nawet jak nazywa się to *creche*. Poprzysięgłam sobie, że nauczę się francuskiego. Próbowałam przypomnieć sobie, w których pokojach byłam rano w mieszkaniu. Czy Gennie mogła gdzieś tam być i jej nie zauważyłam? Dwa razy byłam w sypialni, raz w kuchni,

w salonie. Nie byłam tylko w jej pokoju, gdzie logicznie rzecz biorąc, mogła się właśnie znajdować.

- **Enfant!** - zawołam do pielęgniarki, wskazując na zegarek.
- **Creche.**

- Może pani iść - powiedziała po angielsku. - Stan pani siostry jest stabilny.

Zajrzałam jeszcze raz do Roxy, która spała na łóżku za zasłonami albo konała przyczepiona do kroplówki i różnych urządzeń.

- **Une heure** - dodałam, jeszcze raz dotykając zegarka.

Wzruszyła ramionami. Wybiegłam.

Przed wejściem do szpitala był postój taksówek, ale żadna nie podejżdżała. Pomyślałam już, że pójde pieszo, w końcu nie było tak daleko, gdy zjawiła się taksówka. Czułam adrenalinę krążącą w moich żyłach jak dziwny narkotyk - zupełnie jakbym otumaniona narkotykami próbowała prowadzić normalne życie, z wielkim wysiłkiem starając się udawać, że jestem trzeźwa, bliska omdlenia, a jednak jakimś cudem trzymam się prosto. Uśmiechnęłam się do taksówkarza i spokojnym głosem podałam mu adres. Podczas trwającej cztery minuty podróży na Rue Maitre Albert usiłowałam sdumić swoją fantazję, zdolność do wyobrażenia sobie sceny, w której Roxy zabija Gennie. Skąd mi się wzięła umiejętność wykreowywania takich przerażających scen? Oczywiście z filmów.

Madame Florian chyba wyglądała przez okno albo nasłuchiwała, ponieważ wyskoczyła ze swojego mieszkania na pierwszym piętrze, jak tylko pojawiałam się na schodach.

- **Comment va-t-elle?**

- OK - powiedziałam. - Transfuzja krwi.

Skinęła głową. Wszyscy z nich potrafia lepiej mówić po angielsku, niż się przyznają. Nie miałam nic przeciwko temu, że szła za mną po schodach, chyba chciałam mieć kogoś ze sobą na wypadek, gdybym coś znalazła. Jednocześnie myślałam, że coś znajdę i że nie znajdę, oczekiwanie i przerażenie zawieszony w jakimś otumaniającym buczeniu lęku, czułam dziwną pustkę w głowie, jakby odpłynęła z niej cała krew. Poszłam prosto do sypialni Gennie, gdzie panował idealny porządek, ani śladu Gennie. Ale i tak zajrzałam do

wszystkich szaf. Miałam wrażenie, że czuję wszędzie zapach krwi, intensywną woń, jakby drożdży.

Wzięłam taksówkę i pojechałam do *creche*. W przyspieszonym tempie wydawałam wszystkie swoje pieniądze na taksówki. Gennie była na miejscu, w schludnej sali z klockami i ławkami znajdującej się w przebudowanej części starej szkoły, gdzie kilkanaścioro dzieci w wieku około trzech lat, w wieku Gennie, ciągle biegało w kółko albo siadało, żeby uczyć się piosenek lub napić soku. Gennie nauczyła mnie kilku piosenek (*,/unsifont les marionnettes"*). Teraz siedziała na podłodze naprzeciwko innej małej dziewczynki i budowały coś w zagrodzie utworzonej przez ich tłuste, małe nogi.

- Jej *there* jest *malade* - powiedziałam. - Szpital. *Hôpital*.

- *Tout se passe bien? Gargon ou filie?* - pytała rozpromieniona kobieta z *creche*.

Potrząsnęłam głową.

- *Malade. Malade* - powtarzałam.

Umówiliśmy się, że będę mogła zostawić Gennie do osiemnastej trzydzięci. Potem wróciłam autobusem linii 67 do szpitala. W autobusie zaczęłam płakać, co było strasznie żenujące.

W szpitalu okazało się, że Roxy odzyskała przytomność i leżała teraz cała napięta, z otwartymi oczami, wpatrując się w urządzenia, do których ją przymocowano. Kiedy wsunęłam głowę przez zielone zasłony, uśmiechnęła się słabo. Ale zaraz zamknęła oczy, jak gdyby nie chciała rozmawiać.

- Co ty właściwie sobie myślałaś? - usłyszałam swój gniewny, piskliwy głos, jakby syk. Na pewno nie takim tonem zamierzałam się odezwać, ale najwyraźniej takiego się spodziewała.

- Tak mi przykro, Iz - powiedziała. - Nie wiem. - Mówiła tak cicho, była taka zmieszana i pełna poczucia winy, że zaczęłam myśleć, jak ją pocieszyć. Ale znowu zamknęła oczy i gdzieś odpłynęła.

Koło mnie pojawił się lekarz (dość młody i całkiem atrakcyjny). Zawołał mnie gestem do poczekalni i odezwał się po angielsku:

- Nic jej nie będzie. Jej rany okazały się w sumie dość powierzchowne. Można rzec, bardziej akt symboliczny niż celowy, co nie znaczy, że traktujemy to lekko.

- Nie - powiedziała.
- Wkrótce urodzi dziecko. Martwimy się o stan jej ciąży. Pani jest jej jedyną krewną?
- Tak, w Paryżu tak.
- A co z mężem?
- Rozwód - odpadam. - Ma tylko mnie.
- Zastanowimy się, jak długo ją zatrzymać, żeby mieć pewność, że to się nie powtórzy - ciągnął lekarz. - Oczywiście moglibyśmy podać leki psychotropowe, ale decyżę w tej sprawie podejmie później psychiatra. W tym momencie takie środki są *hors de question* ze względu na dziecko. Poza tym uważam, że jakakolwiek chwilowa psychoza związana z ciążą powinna zniknąć po narodzinach dziecka. Kiedy wypada jej termin?
- Nie wcześniej jak za miesiąc.
- Mąż jest Francuzem? - spytał. - Ojciec tego dziecka? Nie powinna go pani jednak zawiadomić? Powinien wiedzieć, że ciąża może być zagrożona.
- Mówiono jej o tym. Myślę, że mu o tym wspomniała.
- Kto jest jej *gynecologue*? Zawiadomimy go, ale pani powinna zadzwonić do męża.
- Dobrze - powiedziała.

Ale tak naprawdę wcale jeszcze nie postanowiłam, czy zadzwonię do Charles'a-Henriego, czy do Suzanne. Wolałam raczej poczekać i zobaczyć, czy Roxy nie oszalała albo czy nie było to jedynie jakieś zaburzenie związane z ciążą, nagły przypływ hormonów lub paniki. Uznałam, że na razie lepiej będzie, jak zostanę przy niej. Niemniej byłam przerażona, że w taki sposób dowiedziałam się, jakie pokłady gniewu i rozpacz drzemały w Roxy, i że takie rzeczy mogą być niedostrzegalne nawet dla kochających osób, a co dopiero dla takiej samolubnej i nieczułej siostry jak ja.

Oczywiście zamierzałam zadzwonić do Chestera i Margeeve, choć nie byłam pewna, co mam im powiedzieć. Mogłam sobie wyobrazić ich wymówki. A przecież zauważyłam. Zauważyłam, że jest coraz bardziej przygnębiona, ale po prostu nie rozumiałam, w jakim punkcie skali rozpaczy się znalazła.

- A pani, mademoiselle, dobrze się pani czuje? - spytał nagle lekarz, biorąc mnie za łokieć i ciągnąc w stronę krzesła. - Przyniosę pani kawę i kanapkę.

Dziwne, poczułam, jak łzy napływają mi do oczu na ten akt uprzejmości.

- W porządku - powiedziałam. - To tylko dla mnie szok. *Je suis...* - nawet nie znałam właściwego francuskiego wyrazu.

Roxy przez całe popołudnie nie wymówiła już ani słowa, choć siedząc u jej łóżka, zadawałam jej różne pytania albo po prostu starałam się jej pokazać, że jestem przy niej. O osiemnastej trzydzieści wróciłam po Gennie i zabrałam ją do domu, do mieszkania Roxy, i zrobiłam jej kolację z tego, co było w lodówce. Mieszkanie ziało czarną pustką. Próbowałam wyczyścić dywan w pokoju Roxy i zmyć widoczne ślady krwi znaczące drogę, którą ją wynosili. Gennie powtarzała ciągle: „Gdzie jest mama?”. Mówi *mahman* jak francuskie dziecko. Myślę, że jest francuskim dzieckiem.

Około dziewiątej wieczorem zadzwoniła Suzanne de Persand, która chciała rozmawiać z Roxy. Mogłam, przypuszczalnie powinnam powiadomić ją, że Roxy jest w szpitalu, ale powiedziałam tylko, że wyszła do miasta. Potem przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w telefon, obliczając, która godzina jest w Kalifornii (południe), i zwalczając pokusę, by szukać pociechy w rozmowie z rodzicami. Ale nie było ich w domu. Kompletnie zapomniałam. W tym tygodniu wyjechali na spotkanie miłośników pieszych wędrówek do Yosemite. Telefon odebrał Ben, student, który u nich mieszka.

- Nie - rzekłam lekko - to nic ważnego.

Ostatecznie zawiadomiłam jedyną osobę, którą Roxy zapewne najbardziej chciałaby zawiadomić o tym, co się stało, Charles'a Henriego. Oczywiście był wstrząśnięty, przerażony, natychmiast do mojej dyspozycji.

- *Mon Dieu*, ona nie jest sobą, zachowywała się bardzo emocjonalnie także podczas ciąży z Genevieve. Gdzie ona jest, muszę ją zobaczyć. Czy to byłoby dla niej dobre? A może lepiej nie?

Pomyślałam, że to byłoby dobre. Miałam nadzieję, że jego serce zmięknie, kiedy ją zobaczy, i miałam nadzieję, że tego właśnie Roxy

pragnie. Szybko pojawił się w szpitalu troskliwy i przejęty, nieodparcie uroczy w swoim swetrze z golfem i džinsach oraz po malarsku zmierzwionymi włosami. Zrozumiałam, czemu Roxy go kocha.

Ale czy Roxy rzeczywiście go kocha? A może, zadawałam sobie pytanie, chodzi o coś innego, bardziej terytorialnego, takiego jak autozazdrość lwicy? Roxy nie lubiła tracić niczego, co do niej należało, strasznie się wściekała i wszyscy truchleliśmy ze strachu, kiedy gdzieś zapodziała torebkę albo strój gimnastyczny. Charles-Henri nie wróci do niej tylko dlatego, że zobaczy ją w szpitalnym łóżku w Salpêtriere, ale przynajmniej Roxy będzie miała poczucie, że jednak nie zniknął z jej życia.

Na odchodne Charles-Henri zamienił ze mną kilka słów w korytarzu. Widać było, że jest zatroskany i przygnębiony. Westchnął:

- Zadzwoiła do mnie, wiesz, ale nie sądziłem, że tym razem to zrobi, inaczej niż poprzednio. Pomyliłem się, mogłem temu zapobiec. Oczywiście to niczego nie zmienia. Chcę, żeby Roxy dobrze to zrozumiała. Dopilnuj tego.

Pod powierzchnią uroku absolutna twardość, absolutna pewność mężczyzn, że ich pragnienia mają pierwszeństwo. Dopiero później dotarło do mnie, co najwyraźniej rozumieli zarówno Charles-Henri, jak i opiekujący się nią lekarz, że skoro do niego zadzwoniła, to na pewno spodziewała się, że przyjedzie, zanim ona umrze. Symboliczny gest.

Roxy została w szpitalu do końca tygodnia i dostawała gorącą zupę zawierającą potas i inne substancje. Była posepna, a może raczej zamysłona, i sprawiała wrażenie, że jest nie mniej niż ja przerażona tym, co zrobiła, albo tylko tak udawała.

- Po prostu ogarnęło mnie przygniatające poczucie daremności tego wszystkiego - wyjaśniła. - Nie chodziło nawet o mnie, ale o cały świat - mówiła tonem trzeźwego zdumienia.

Ale i a byłam nieufna. Słyszałam, że ludzie, którzy poważnie myślą o samobójstwie, zachowują się jakby nigdy nic. Pragną uwolnić się spod opieki, żeby spróbować jeszcze raz, i dlatego udają, że z nimi wszystko w porządku.

- Cały świat, te wszystkie okropności.
- Ale dlaczego tego ranka, Roxy?
- Nie wiem - powiedziała głosem, w którym słychać było drżenie lęku na myśl o nieprzewidywalnych i nieodpartych impulsach rodzących się w jakimś bliżej nieznanym miejscu naszej osobowości.
- To był taki sam ranek jak każdy inny. Poprzedniego wieczoru rozmawiałam z maitre Bertramem i ciągle myślałam o rozwodzie, zastanawiałam się, jak zdołam przez to wszystko przejść, a potem, kiedy obudziłam się rano, nie działałam w jakimś gorączkowym pośpiechu czy coś takiego. To była chłodna decyzja, która wydawała mi się w tamtej chwili bardzo logiczna, że wcale nie muszę przez to wszystko przechodzić.

Przypuszczalnie miała nadzieję, że w ten sposób mnie uspokoi, ale oczywiście pomyślałam, że skoro coś takiego mogło nią ować raz, może i ponownie, i będę musiała teraz cały czas jej pilnować. Musi pójść do psychiatry i nie wiadomo, czy można będzie jej zaufać, że nie skrzywdzi Gennie albo swojego kolejnego dziecka.

Wyczuwając mój lęk, Roxy jeszcze raz próbowała mnie uspokoić.

- Czuję się dobrze, Iz, naprawdę, czuję się dobrze.

Choć mnie przeprosiła, nie powiedziała nigdy: „To było głupie, nigdy więcej tego nie zrobię”, i prawdę mówiąc, po tej pierwszej rozmowie nie chciała więcej o tym mówić. Raz nawet powiedziała jakimś rozmarzonym, obłąkanym tonem: „Uwielbiam być w ciąży”, głaszcząc swój potężny, półokrągły brzuch. „To zabawne, kiedy twoje ciało się zmienia w ten sposób, czujesz się jak jakiś dzin albo istota, która potrafi się magicznie przepoczwarzać”. Dziwnie się czułam, słysząc ją wypowiadającą te słowa, jak gdyby nic się nie stało. A jednak w jej spojrzeniu pozostało coś niepokojącego.

Może po prostu chciała znaleźć się w szpitalu, chciała, żeby się nią ktoś zaopiekował, ponieważ wydawała się teraz zadowolona. Gdyby nie widok małych bandaży na jej przegubach, coraz mniejszych po każdej zmianie opatrunku, nikt nawet by nie pomyślał, że chciała popełnić samobójstwo albo że przeszła załamanie psychiczne. Dwa dni później sama niemal zaczęłam powątpiewać w realność tego, co się wydarzyło, ponieważ Roxy zaczęła wszystkiemu przeczyć

- to znaczy wypierać całe zdarzenie ze świadomości i udawać, że tak naprawdę nic się nie stało albo że miała jakiś nieszczęśliwy wypadek, jak gdyby potknęła się na dywanie.

Kazała mi obiecać, że nie powiem niczego Persandom, i przypuszczalnie wymusiła podobną obietnicę na Charles'u^Henrim, ponieważ nikt z nich nigdy o tym nie wspomniał. Prawdopodobnie wyobrażała sobie, że zdażyłam już zadzwonić do naszych rodziców, ale ja wcale do nich nie dzwoniłam. Może Roxy jedynie w ten sposób wołała, że nie może znieść tych wszystkich spraw związanych z rozwodem, i może powinnam ostrzec Persandów, że zajmowanie się w tej chwili szczegółami rozwodu to dla niej za wiele. Może udało by się odłożyć je na chwilę. A gdybym to ujęła nieco dramatyczniej - Roxy jest w szpitalu, chora od stresu, za słaba, żeby znieść teraz proces sądowy.

Ostatecznie z zimnym sercem uznałam, że chodziło tu o przypadek Sylvii Plath. Jednak nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele znaczyła dla Roxy sprzedaż obrazu przedstawiającego świętą Urszulę, symbolizującą w jej oczach utratę marzeń o ciekawym życiu. Wychoząc z małżeństwa, Roxy miała mniej niż wtedy, gdy w nie wchodziła. Była kimś, kto przegrał swoje życie.

ROZDZIAŁ 25

Samobójstwo to nie tyle pewien akt, ile opowieść o duszy.

Marcel Jouhandeau, *Kroniki małżeńskie*

We wtorek lekarze zaczęli mówić, że zwolnią ją do domu, ale wyraźnie podkreślali, że niepokoją ich dwie sprawy: konieczność dalszej opieki psychiatrycznej nad Roxy oraz jej zagrożona ciąża. Jeśli chodzi o stan jej umysłu, uznali, że była to reakcja kryzysowa i przypuszczalnie więcej się nie powtórzy. Najwyraźniej niektórych ludzi raz w życiu ogarnia samobójczy instynkt, gdy zdarzy się coś, z czym nie potrafią sobie poradzić. Jeśli akurat stoją na moście, prawdopodobnie uda im się zabić, ale jeśli nie mają pod ręką narzędzi, którymi mogliby to osiągnąć, impuls mija, i kiedy ich sytuacja się poprawia, żyją dalej jak wszyscy inni. Dlatego telefony zaufania i gorące linie dla samobójców są dla ludzi, których ogarnia taki jednorazowy impuls, ale dla osób w chronicznej depresji, które pragną śmierci i gromadzą pigułki, niewiele da się zrobić. A w każdym razie tak mi to wyjaśnił przystojny lekarz.

, Uważali, że w wypadku Roxy wystarczy, jeśli jakoś przeżyje rozwój i ostatni miesiąc ciąży, choć nadal groził jej stan przedrzucawkowy, co częściowo mogło nawet wyjaśniać jej zachowanie. Gdy jej fizjologia wróci do normy, przewidywał doktor, i Roxy skorzysta z pomocy psychologicznej, po prostu z kimś porozmawia - na pewno czuła się samotna, w końcu jest *etrangere*, choć jak sam przyznał, w śmienicie mówi po francusku - wszystko będzie dobrze.

Ale kiedy zobaczyłam, że naprawdę zamierzają wypuścić ją do domu, znowu ogarnął mnie lęk. Postanowiłam, że powiem o wszystkim

Edgarowi i pani Pace, ponieważ któreś z nich na pewno będzie mogło mi doradzić, co powinnam teraz zrobić. Margeeve i Chester wrócą z wycieczki dopiero za tydzień. Na razie przyniosłam Roxy kilka książek od pani Pace i przez weekend zajmowałam się Gennie.

W końcu powiedziałam pani Pace, ale nie Edgarowi. Zapewne pod wpływem jakiejś rodzinnej dumy, jakiegoś pragnienia, by ochronić Roxy przed tym, że Edgar powie wszystko reszcie Persandów, albo lęku, że podobnie jak moi rodzice uznaliby, że powinnam była zauważyć, co się dzieje z Roxy. Zadzwoiłam do niego, by go zawiadomić, że nie mogę się spotkać we wtorek, ale powiedziałam tylko, że Roxy jest chora.

- Najbardziej zdumiewa mnie jednak to - rzekła pani Pace, kiedy skończyłam moją opowieść - że to akurat Roxeanne, tak dobrze dostosowana i taka zakochana we Francji.

- Wiem.

- Jej zachowanie podczas mojego wieczoru rzeczywiście było dziwne, te okrzyki na temat okropności wojny w Bośni. Pomyślałam wtedy, że wypijała za dużo wina. Puściły jej nerwy. Ale najwyraźniej przesądziło o tym coś, co usłyszała od swojego adwokata.

- *Coo duh grah* - powiedziałam, wypróbując francuski zwrot.

- Masz na myśli kroplę, która przelała czarę - wyjaśniła. - To coś zupełnie innego. *Coup de grace* - nawiasem mówiąc, wymawiaj „c” jak w „grace” - to nie to samo co kropla, która przelała czarę, Isabel. Sprawdź to. Ale co właściwie takiego dowiedziała się od adwokata?

- Nic nowego, zamieniłyśmy parę słów, kiedy wróciła do domu. Rozmawiali o sprzedaży *Świętej Urszuli*, jej ulubionego obrazu. Trzeba ją sprzedać, ponieważ okazuje się, że ma pewną wartość, a Roxy nie ma pieniędzy, żeby oddać Charles'owi-Henriemu połowę wartości obrazu.

- Czuła się tak rozgoryczona, że chciała umrzeć.

Wyraźne współczucie słyszalne w głosie pani Pace wskazywało, że sama często bywała na skraju samobójstwa pod wpływem gniewu i rozżalenia. Pani Pace uznała, że do czasu narodzin dziecka powin-

nam być blisko siostry, wtedy jej ciało i psychika wrócą do normy, a na razie ona, OHvia, postara się zająć Roxy różnymi zaproszeniami i rozrywkami.

Roxy wróciła do domu ze szpitala we wtorek wieczorem. Leżała na sofie i oglądałyśmy *L'Opinion* na Canal Sept. W programie przez dwadzieścia minut widać było jedynie ujęcie głowy Edgara, który opowiadał dziennikarzowi przeprowadzającemu wywiad o swoich przygodach w Afryce i na Mindanao oraz o okresie, gdy za prezydentury Giscarda d'Estainga był wiceministrem w jakimś departamencie fiskalnym. Niewiele z tego rozumiałam, ale uchwyciłam to, co mówił o Bośni, ponieważ już wcześniej kilka razy słyszałam jego poglądy na ten temat. Przemknęło mi przez myśl pytanie, czy gdybym nie odwołała naszego wtorkowego spotkania, sam musiałby je odwołać z powodu tego programu, czy może nagranie było z taśmy.

- Trzeba przyznać - powiedziała Roxy - że nawet jeśli reszta Persandów jest lekkomyślna i gnuśna, wuja Edgara to nie dotyczy.

- On nie nazywa się Persand, ale Cosset - zauważyłam, uświadamiając sobie, że nie powinnam zdradzać się z tym, że pamiętam o takich sprawach.

- To prawda, ale oni odziedziczyli swoje lenistwo i lekkomyślną postawę po Suzanne, a ona jest jego siostrą. Na co dzień łatwo zapomnieć, że on naprawdę jest politykiem. W odróżnieniu od pozostałych Persandów rzeczywiście zrobił pewną karierę w życiu publicznym.

Ale oczywiście tak naprawdę nie myślała o Edgarze czy o mnie. Sennie trzymała Gennie na kolanach, przytulając policzek do główki dziecka.

- To wspaniałe znowu być w ciąży - powiedziała. - Iz, połóż mi rękę na brzuchu. Myślę, że dziecko powinno wiedzieć, że inni go pragną. Charles-Henri kiedyś tak robił, głaskał mój brzuch i przemawiał do Gennie, ale teraz nikt nie mówi do tego małego.

Tb było takie nedorzeczne, że znowu ogarnął mnie nastrój, który próbowałam od siebie odpędzić: narastająca panika i bezradność, bo nie wiedziałam, co mam zrobić, oraz pragnienie, by znaleźć się w ramionach starszego dżentelmena, którego oglądałam w telewizji.

Poczułam wściekłość na Roxy, że jest obłąkana - że właśnie w tej chwili zaczyna znowu wariować, co znaczy, że będę musiała z nią tutaj tkwić, uwięziona przez jej sekret, i martwić się, co się stanie i z nią, i ze mną. Położyłam rękę na jej brzuchu, który sprawiał wrażenie nadmiernie nadmuchanej piłki do koszykówki, czegoś twardego i nieorganicznego. Nie czułam znajdującego się w środku dziecka, ale i tak odezwałam się do niego:

- Jeszcze trochę mały przyjacielu, lepiej ciesz się tym, gdzie teraz jesteś.

Charakterystyczny dla wczesnej jesieni nastrój powrotu do szkoły ustąpił widocznym oznakom nadchodzącego sezonu świątecznego. Gennie nosiła małą pelerynkę i czapkę robioną na drutach jak dzieci z książki, którą czytałam w dzieciństwie - nie potrafiłam sobie przypomnieć jakiej, ale goniły w niej obręcze z patykami. Szare światło i szare kamienie paryskich budowli nadawały ulicom monochromatyczną aurę, dzięki czemu jednak weselsze stawały się wnętrza, bogate złocenia i lustra rozmaitych *pdttseries* z mnogością różnych ciast i *bonbons*, a do tego kasztany w lukrze i kasztany piekące się na koksowych piecykach stojących na rogach ulic, wyciągane z węgla przez skulonych sprzedawców o sinoszarych palcach. Cała ludzkość nosiła grube palta. Nadal prześladowała mnie myśl, że w ogóle nie cierpiałam wtedy, gdy Roxy cierpiała tak bardzo.

Mojego najgłębszego poczucia winy nie wzbudzał romans z wujem Edgarem, w stylu Kapuletich i Montekich, trwający mimo pogorszenia się naszych stosunków z Persandami (choć zachowywaliśmy zewnętrzne oznaki sympatii), podobnie jak nie miało ono nic wspólnego z seksem. Z jakiegoś powodu największe wyrzuty sumienia czułam z powodu przyjemności, jaką sprawiały mi wszystkie restauracje, do których chodziliśmy z Edgarem, i moje zainteresowanie nimi. To, że ta fascynacja narastała we mnie, trudno uznać za rzecz całkiem niewinną i przypuszczalnie stanowiło jakąś perwersję, którą, jak wyczuwałam, podsycaliśmy w sobie nawzajem, naszą wspólną tajemnicę. Edgar jako pierwszy odkrył we mnie zainteresowanie wykraczające poza to, co normalne w takiej sytuacji, gdy zoriento-

wał się, że przeczytałam wszystko na temat pewnej restauracji i wiedziałam, jakie są popisowe dania szefa kuchni. Oczywiście można było to potraktować jako normalne przygotowania dobrej kurtyzany, która stara się dowiedzieć, co lubi jej kochanek, ale ponieważ Edgar sam interesuje się restauracjami (choć nie zawsze cieszy go samo jedzenie), chętnie sprzyjał naszym wyprawom do coraz to nowych sławnych lokali położonych w odległych dzielnicach, korzystając z pretekstu, że chodzi mu jedynie o sprawienie mi przyjemności. Te poszukiwania miały ponadto tę zaletę, że spotykaliśmy się teraz z dala od centrum Paryża i mniej narażaliśmy się na to, że ktoś go ze mną zobaczy.

Oczywiście Kalifornijczycy także interesują się restauracjami, nie ma w tym nic dziwnego. Dłaczego więc w głębi duszy czuję, że moje zainteresowania w tej materii wykraczają poza zwykłą ciekawość? Na przykład okazało się, że jestem gotowa wydać sto osiemdziesiąt ciężko zarobionych franków na nowy przewodnik po paryskich restauracjach, mimo że Roxy ma już *Gault et Millau* oraz *Guide Michelin* (z ubiegłego roku), chociaż powinnam była odłożyć te pieniądze na pomoc dla Sarajewa. Nie, prawdę mówiąc, nie było nic dziwnego w tym, że jakaś Kalifornijka lubi restauracje, ale wiedziałam, że mogę łatwo przekroczyć rozsądną miarę. Tak jak w łóżku, gdy przedłużamy nasze przyjemności i nie zastanawiając się nad tym, idziemy za każdym razem trochę dalej po to, by przeciągnąć albo powtórzyć moment rozkoszy (*seclater*).

Łatwo dostrzegalna blizna na lewym przegubie Roxy widniała niczym jaskrawa bransoletka albo znamię pozostawione przez oprawcę; z tej na prawym przegubie została jedynie blada, biała linia. Obie zasłaniała długimi rękawami, których nigdy nie podwijała. Nikt inny ich nie widział i nie wiedział o ich istnieniu, ale dla mnie stanowiły powód nieustających wyrzutów sumienia. Obserwowałam ją i znacznie częściej zostawałam teraz w domu. Oglądałyśmy francuską telewizję, która jest równie głupia jak amerykańska; w istocie jest amerykańską telewizją - składa się głównie z drugorzędnych seriali policyjnych i starych niedobrych filmów.

Wydawało się, że po pewnym czasie rozgoryczenie i apatia Roxy nieco ustąpiły. Powiedziała, że to jej biologia, perspektywa porodu, bierze górę nad wszystkim, zalewając ją falami hormonów służących budowie ciepłego gniazda i zamieniając w łagodną krowę.

- Przypuszczam, że wszystkie moje problemy powrócą - powiedziała - ale teraz nie mam czasu na to, by się martwić. Dziwne, że w ogóle mogę jeszcze pracować. Zwykle odrobina niepokoju powoduje, że pisze mi się lepiej, to nawet niezbędne, ale za dużo niepokoju czyni pustkę w głowie.

Powiedziała, że dobrze jej się teraz pracuje, i sprzedała jeden wiersz do jakiegoś literackiego czasopisma ze Środkowego Zachodu, zdaje się w Michigan albo Ohio. Muszę przyznać, że w chwili, gdy jej nastrój najwyraźniej się poprawił, a w każdym razie nie pogarszał, mój wyraźnie opadł - proces stale nasilający się od czasu jej próby samobójczej. W Paryżu zrobiło się zimno, a ja nie byłam do tego przyzwyczajona. Gdyby to była Kalifornia, jeździłabym na nartach, ale tutaj dzień po dniu pogoda była deszczowa i posepna, każdego popołudnia mrok pochłaniał światło coraz wcześniej, ściemniało się koło czwartej i wciąż było ciemno koło ósmej rano, zupełnie jakby to była daleka Północ za kołem polarnym. Wyniosłe posagi na Place de la Concorde majaczyły teraz niczym czarne, groźne kształty, mokre od ciągłego deszczu. Trzeba było pamiętać o jesiennych butach i płaszczu, jeśli nie chciało się przemoknąć. Pod koniec listopada zdarzył się jeden piękny dzień, gdy spadł śnieg. Przejeżdżałam o zmierzchu przez Place de la Concorde autobusem linii 24 w chwili, gdy zapaliły się latarnie i płatki śniegu opadały powoli w tym różowawym półmroku. Zrobiło się tak pięknie, aż łzy napłynęły mi do oczu. Po czym uświadomiłam sobie, że nie płakałam z powodu piękna, ale po prostu płakałam. To ja byłam smutna, skoro widok czegoś tak kruchego jak płatki śniegu wydawał mi się nie do zniesienia.

A także była jeszcze kwestia *bon coup*. Zwykle nie przejmuję się zbyt tymi sprawami. Jestem uodporniona na to, co myślą o Amerykankach. Yves przedstawił mnie raz jednemu ze swoich przyjaciół, który uśmiechnął się łagodnie i powiedział do niego: „*Elle, le bon*

coup americain?". To zdanie utkwiło mi w pamięci. Może miało stanowić komplement, ale nie przyjąłam go jako komplementu, za wiele we mnie purytyzmu. Nie potrzebowałam słownika, znaczenie jest mniej więcej takie samo we wszystkich językach, coś jak „świećna amerykańska dupa”.

W tym posępnym nastroju zaczęłam myśleć o jałowości mojego życia jako dziewczyny na posyłki, Piętaszki zajmującej się wyprowadzaniem psa i dziewczyny na pół etatu („kochanki”) oraz *bon coup*. Wściekała mnie bierność tego życia i to, że nie robiłam niczego dla swojej przyszłości. Wszystkie publiczne tyrady Edgara na temat odpowiedzialności w końcu przebiły się do mojej świadomości i postanowiłam zapisać się na lekcje gotowania oraz zostać wolontariuszką jakiejś słusznej sprawy.

Roxy pomyślała, że można by zrobić coś w sprawie Bośni. Razem z kilkoma innymi Amerykankami i kilkoma Francuzkami postanowiła zorganizować zbiórkę szminek i tampaksów, które zostaną następnie przesłane kobietom z Sarajewa.

- Czasami tak naprawdę można przetrwać dzięki drobnym przedmiotom codziennego użytku - powiedziała. - Pograżyłam się w takim poczuciu nieszczęścia, że zaczęłam zapominać o innych ludziach, którzy mają prawdziwe problemy.

Usłyszałam w tych słowach dobrze znany głos Margeeve, która w kółko powtarzała je w czasach naszego dorastania, dokładnie w tej samej postaci. Roxi zaprojektowała plakaty i ulotki, dopilnowała druku i razem z innymi kobietami rozdawała je w księgarniach i przyklepała na murach. Codziennie spędzała wiele godzin przy telefonie, rozmawiając z dziennikarzami i załatwiając umieszczenie odpowiednich anonsów w gazetach. Początkowo uważałam, że to dość idiotyczny pomysł wysyłać szminki i tampony dla kobiet żyjących w kraju, w którym pocisk moździerzowy może urwać ci głowę w chwili, gdy właśnie idziesz odebrać przesyłkę. Ale w końcu pomyślałam, że kobieta ma miesiączkę niezależnie od tego, czy leca na nią bomby, czy nie - jeśli ma szczęście i dostała okres. Zaproponowałam więc, żeby raczej wysłały środki antykoncepcyjne, ale uznały,

że to byłoby zbyt kontrowersyjne. Ostatecznie postanowiły zwrócić się do Francuzek z prośbą, żeby kupiły dodatkowe ilości tych niezbędnych przedmiotów i zostawiły je w specjalnych punktach zbiórki na ulicach i w aptekach, po czym Roxy przyjedzie je odebrać wraz z życzliwym ofiarodawcą ciężarówek. **A**

W końcu wydałam dwieście pięćdziesiąt franków na tampaksy, które zostawiłam w Monoprk. Zebrano tony szminek w celu ulżenia cierpieniu. Reszta moich wysiłków była równie mało ambitna jak pomoc przy ustawianiu krzeseł podczas spotkań Edgara, jeśli udało mi się tam dotrzeć dość wcześnie, odbywających się w odległych salach ratusza Ivry albo Villemoisson-sur-Orge.

Miałam kilka różnych tożsamości, kiedy Edgar mnie komuś przedstawiał. Przy okazji publicznych spotkań, przed występem, w sali ratusza albo kościoła, mówił *„pton asistente, mademoiselle Walker”*. Do kogoś, kto znał jego rodzinę: „Znasz mademoiselle Walker? Szwagierkę Charles'a-Henriego?” albo „Szwagierka mojego siostrzeńca, z Santa Barbara w Kalifornii”. Czułam się coraz bardziej niezadowolona z tych rozmaitych tożsamości, choć może powinnam być zadowolona, że nie starał się mnie ukryć. Co tak naprawdę robiła mademoiselle Walker?

Wieczory jego publicznych spotkań to nie były wieczory naszej miłości. Zwykle porywali go później ludzie z mediów albo zatroskani obywatele lub kumple o podobnych poglądach i był po prostu bardzo zajęty. Wracałam wtedy sama do domu albo kręciłam się gdzieś na marginesie wydarzeń i tylko czasem dobiegał mnie jego głos, kiedy mówił na przykład: „Sprzeciwiam się hipokryzji naszych polityków, madame, którzy usiłują głosić idee humanitarnego heroizmu z pomocą niewielu oddziałów lądowych, chociaż prywatnie przyznają, że nie możemy zrobić niczego, co zaszkodziłoby naszym dobrym stosunkom z Niemcami albo traktatowi z Maastricht. Tak czy inaczej nikt nie mówi o moralnych aspektach całej sytuacji. Nie w tym kraju - wszystko, co słyszymy, to tylko cynizm ubrany w szaty pragmatyzmu”. Także nie w moim kraju, jak sądzę.

W jedną z niedziel Edgar pojawił się u Suzanne. Jak zwykle przydzielono mi obowiązek wprowadzenia na spacer gromadki dzieci,

tym razem oprócz Gennie i dzieci Antoine'a miałam się zająć także dziećmi Frederica. Przed obiadem Edgar siedział w bibliotece, rozmawiając z Suzanne. Słyszałam ich wspólny śmiech, gdy zakładałam Gennie śniegowce; w tym czasie pozostałe żony nadzorowały prace kuchenne. Podczas obiadu nie wymieniliśmy żadnych intymnych spojrzeń.

Po czym, siedząc przy stole, powiedział:

- Mam dwa dodatkowe bilety do opery na wtorek. Poupette nie przyjeżdża. Co wy na to, Suzanne? Roxeanne?

(Wiedziałam już, że żona Edgara ma na imię Amelie, ale wszyscy mówią na nią Poupette, i że woli zostawać na wsi).

- Nie, nie, *mera*, miałam taki ciężki tydzień - powiedziała Suzanne.

- A zatem, amerykańskie dziewczęta. Roxeanne i Isabel. - Tu odwrócił się i uśmiechnął do mnie uśmiechem tak doskonałym i po ojcowsku dobrotliwym, że niemal zapomniałam, że to ten sam człowiek, który tak wprawnie pieścił *la founette*.

- Ale muszę siedzieć z samego brzegu, nikt się koło mnie nie przecisnie. - Roxy się roześmiała, głaszcząc swój brzuch.

Przemknęło mi przez myśl, jak bym się czuła, gdyby miał iść do opery z Roxy i Suzanne we wtorek, w nasz uświęcony wieczór. Kiedy później go o to spytałam, natychmiast żałując tonu zazdrości, jaki wkraść się w moje słowa, powiedział, że powszechnie wiadomo, że Suzanne nie znosi opery.

Nigdy wcześniej nie byłam w operze, ale Roxy była, już tu, w Paryżu. W Kalifornii są przedstawienia operowe w Los Angeles, w Dorothy Chandler Pavilion, ale po prostu nikt mnie tam nie zabrał. Operę zatytułowaną *Maria Stuarda* i poświęconą Marii, królowej Szkocji, uważanej przez Francuzów za wielką bohaterkę, wystawiono w Bastylji. Nie jest to ta budowla, na którą lud przypuścił szturm podczas rewolucji, ponieważ wtedy udało im się skutecznie ją zburzyć. Dzisiejsza Opera de Bastille to nowoczesna szklana konstrukcja w kształcie wieloryba, w której wystawia się opery i balety.

Byłam szalenie podekscytowana. Edgar i pozostali mężczyźni włożyli na tę okazję *le smoking*. Widywałam już wcześniej mężczyzn

w strojach wieczorowych, choćby na uroczystości rozdania świadectw w szkole średniej, ale wtedy wypożyczone garnitury jakoś niedorzecznie postarzały chłopców, których widywało się na co dzień w dżinsach. Prezentowali się bardzo dobrze w smokingu (tak wtedy myślałam), ale wydawali się jacyś chudzi i trochę wymoczkowaci. Krótko mówiąc, nie byłam przygotowana na imponujące wrażenie, jakie robili dorośli mężczyźni w strojach wieczorowych - zdecydowane rysy, zapach cygar, krzepkość i dostojeństwo będące oznaką ich pozycji i władzy. Ich sposób bycia, powaga, z jaką elegancko ubrani uczestniczyli w tym wydarzeniu muzycznym, wyrażały ich szacunek dla kultury oraz niezaprzeczone bogactwo, jakim dysponowali. Edgar wymieniał nazwiska różnych postaci, tam kandydat w wyborach prezydenckich z ramienia partii socjalistycznej, tam obecny minister kultury, a tam jego poprzednik, tam sławny projektant mody, tam dyrektor Opera de Bastille. To wszystko działało na mnie jak afrodyzjak. Niektórych ludzi (jak Roxy) podnieca historia. Ja czułam to samo, widząc zgromadzenie ludzi władzy, bogactwo nie tyle pieniędzy, ile znaczenia, te oczywiste dowody ich roli w świecie polityki. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi gorący prąd, słysząc muzykę, poczułam skurcz w gardle. Podziwiałam nawet partnerki tych sławnych mężczyzn, zgrabne kobiety w powiewnych sukniach Lacroix, wszystkie ufarbowane na blond. A ja jestem ciemna, ciemna. Pomyślałam, że najpiękniejszą kobietą w operze jest Roxy, zaróżowiona i promienna, w szarej jedwabnej sukni Mother Hubbard, jedynej rzeczy, w jaką mogła się wcisnąć ze swoim ogromnym brzuchem. Widziałam biegnące ku niej spojrzenia wszystkich mężczyzn; przypuszczalnie zazdrościli temu, któremu zawdzięczała swój stan. Być może, gdyby nie wiedzieli, że jest inaczej, mogliby sądzić, że to Edgar. Na schodach wspierała się na jego ramieniu.

- *Mes nieces américaines* - powiedział do monsieur directeur du cabinet w Ministerstwie Kultury - madame de Persand, mademoiselle Walker.

- *Americaines, bravo* - powiedział do nas de directeur. - *Mes homages, madame* - czyniąc gest, jakby całował Roxy w dłoń. Wydawała się szczęśliwa.

W chwilach, gdy pozwalałam sobie naprawdę myśleć o Roxy, nadal czułam skurcz w żołądku i ogarniał mnie na lęk, że bardzo pragnęła śmierci i jak była jej bliska. Oznaczało to, że już nigdy nie będę w stanie jej zrozumieć. Nieodwracalna obcość pojawiła się między mną a Roxy, a raczej między mną i wszystkimi pozostałymi ludźmi, ponieważ rozumiałam, że nie zdołam ich zrozumieć, ani oni mnie, i że wszyscy jesteśmy samotni, tak jak, zdaje się, chciał powiedzieć Jean-Paul Sartre w swojej książce, przez którą się właśnie przedierałam, *La Nausee*, o mężczyźnie, którego ogarniają mdłości, gdy zaczyna o czymkolwiek myśleć.

Edgar pokręcił głową i powiedział:

- Czytaj Woltera, moje dziecko, albo maksymy La Rochefoucaulda.

W przerwie między aktami wydarzyła się naprawdę rzecz zdumiewająca, coś, co najwyraźniej nie miało żadnego znaczenia dla nikogo poza mną, po prostu zwykła wymiana zdań, uprzejma i kulturalna rozmowa. To znaczy - directeur z Ministerstwa Kultury rozmawiał ze mną!

- *Mtse en scenę* przywodzi na myśl Piranesiego - powiedziała Roxy.

Edgar stwierdził, że Maria, królowa Szkotów, była z pewnością jedną z najgłupszych kobiet w dziejach, wyrażając przy tym nadzieję, że to nie z powodu swojego pobytu we Francji.

- Czyż nie dziwi panią to, że widzi pani tłumaczenie libretta zarówno po francusku, jak i po angielsku, mademoiselle? - spytał mnie directeur. Dobrze zbudowany, dość młody, łysiejący mężczyzna z długami rzęsami Francuza. - Wolę sobie nie wyobrażać, co sądzi na ten temat poprzedni ministre de la culture - mówił, zniżając głos i wskazując człowieka stojącego nieopodal. - To wielki architekt lingwistycznego puryzmu we Francji, przywódca krucjaty przeciw językowi angielskiemu.

- Sprawia wrażenie cierpiącego - przyznałam, ponieważ były minister kultury miał w tym momencie minę, jak gdyby usiadł na pinezce.

- Musi pani odwiedzić stary Palais Garnier - powiedział mój minister. - To wciąż nasze ukochane miejsce. Wciąż wystawia się

w nim przedstawienia taneczne, jeśli interesuje panią balet, i wkrótce ponownie zagości tam opera.

To była niezwykła rozmowa co najmniej z trzech powodów. Poczulałam oblewający mnie od samego brzegu dość wydekoltowanej sukienki rumieniec zaskoczenia, przelotnej niepewności i przyjemności. Po pierwsze oznaczała, że odpowiadam po francusku na tyle swobodnie, by mój rozmówca nabrał przekonania, że można ze mną mówić w tym języku. Po drugie przyjaciele Edgara zwykle nie rozmawiają z kimś tak młodym jak ja, kto wygląda na asystentkę, ograniczając się do *bonjour, mademoiselle*, co oznaczało, że musiałam tego wieczoru wyglądać bardziej dorosło. Po trzecie mój rozmówca uznał, że przypuszczalnie mogę mieć jakieś opinie na temat opery, a zatem musiałam mieć przekonującą minę świadczącą o mojej wrażliwości. Oczywiście miałam swoją opinię, choć się z nią nie zdradziłam. (Uwielbiałam, uwielbiałam, uwielbiałam tę operę). To wystarczyło, bym została włączona do rozmowy pozbawionej jakichkolwiek wyraźnych oznak paternalizmu. Moment ważny dla mnie psychologicznie, ponieważ może po raz pierwszy poczułam wtedy, że dam sobie radę w życiu. Directeur mówił dalej, rzucając mimochodem rozmaite uwagi, jak to mężczyzna starający się zająć kobietę rozmową; dyrektor departamentu we francuskim ministerstwie podczas *entracte* w paryskiej operze mówił do Isabel Walker z Santa Barbara - do mnie!

Kiedy ponownie zajmowaliśmy miejsca, Edgar dotknął mojego łokcia wprawnym gestem posiadacza. Jestem pewna, że zrobił to mimowolnie, pod wpływem nagłego impulsu, który kazał mu zaznaczyć swoją władzę nade mną i mną pokierować, po czym szybko zabrał rękę. Przypuszczalnie nikt niczego nie zauważył. Czy Roxy zauważyła? Uznałam, że nie. Była taka szczęśliwa - wieczór w operze, ministrowie, mężczyźni, przywileje należne pani de Persand - nigdy nie wyglądała równie promiennie. Można było odnieść wrażenie, że jej dziecko na pewno cieszy się tego wieczoru korzystną energią krążącą w jej żyłach, a nawet, jeśli płód rzeczywiście coś słyszy, muzyką Donizettiego niosącą w sobie potwierdzenie istnienia ludzkiego geniuszu i bujną obietnicę życia.

ROZDZIAŁ 26

Człowiek nie jest nigdy tak szczęśliwy ani tak nieszczęśliwy, jak sobie wyobraża.

La Rochefoucauld

Choć tego wieczoru byłam szczęśliwa, ogólnie nadal czułam się przygnębiona. Dotado do mnie, że jeszcze nigdy nie byłam tak długo z dala od rodziny, i być może po prostu za nimi tęskniłam - stąd smutek i ogarniające mnie coraz bardziej poczucie pustki, którą wypełniał jedynie Edgar - seks i kolacja, odwieczny układ, na mocy którego oferował mi poradę i uspokajające zachęty. On gładził moje włosy, ja rozkładałam nogi.

W soboty zjawiał się teraz Charles-Henri po Gennie. Zabierał córkę do siebie na wieś, po czym w niedzielę przywoził do Chartres, skąd odbierałyśmy ją w porze popołudniowego obiadu. W obu wypadkach Roxy wolała unikać jego widoku. W soboty to ja przygotowywałam Gennie do wyjścia, a kiedy przyjeżdżałyśmy do Chartres, jego już nie było. Roxy widziała go tylko trzykrotnie, odkąd ją opuścił: kiedy przypadkiem przyjechał na niedzielny obiad w dniu mojej pierwszej wizyty w Chartres, podczas pierwszego spotkania z adwokatem i raz w szpitalu. Oczywiście rozmawiali przez telefon, ale mówili po francusku, omawiając kwestie związane z odbieraniem i przywożeniem Gennie. Potrafiłam zawsze rozpoznać po sucho-zgorzkniałym tonie jej głosu podszytego lekką skargą, że rozmawia z nim.

Myślę, że kiedyś sama będę miała dziecko, ale na razie macierzyństwo wydaje mi się jedynie skutecznym sposobem na to, by ściągnąć na siebie nienawiść jakiegoś mężczyzny. Zupełnie jakby zrobiło

mu się krzywdę, pozbawiło młodzieńczego szczęścia i autonomii - i oczywiście on podobnie potraktował ciebie. Zauważyłam, że nikt nigdy nie chce oddać swoich dzieci, jednak ludzie nie są już potem tacy szczęśliwi, jak choćby Roxy.

Kilka razy rozmawiałam z Charles'em-Henrim po naszym spotkaniu w Vues de Notre Dame i był zawsze miły, ale zdystansowany. Dramat jego życia rozgrywał się teraz gdzie indziej i chyba był myślami przy Magdzie Tellman i swoim malarstwie. Wyglądało na to, że nie zwraca uwagi na szczegóły warunków rozwodu, pozostawił wszystko w tej kwestii Antoine'owi i maitre Doisneau. Przypuszczam, że postawa radosnej niefrasobliwości i obojętności na materialną stronę życia może być irytująca u męża, ale to właśnie było przyjemne u Charles'a-Henriego. Chociaż oficjalnie nienawidziłam go za to, że był taki okrutny wobec Roxy, w rzeczywistości lubiłam go i podświadomie miałam nadzieję, że będzie szczęśliwy.

Francuscy prawnicy nie uznali opinii Stuarta Barbeego w sprawie wartości obrazu przedstawiającego świętą Urszulę i doszli do wniosku, że każda ze stron powinna dysponować niezależną oceną wartości wspólnego majątku Roxy i Charles'a-Henriego. Zrozumiałam, że jeśli obie oceny wypadną odmiennie, sąd będzie musiał rozstrzygnąć, co z tym zrobić, ale jeśli wypadną podobnie, sprawa rozwodowa wkrótce ruszy z miejsca, przy założeniu, że doszłoby do porozumienia w kwestii finansów.

Francuscy specjaliści pojawili się w połowie listopada w towarzystwie Antoine'a de Persanda. Roxy nie zamierzała się temu przyglądać, więc to ja musiałam wpuścić ich do mieszkania i przysłuchiwać się ich mamrotaniu, nie rozumiejąc niemal ani słowa z tego, co mówili. Antoine zachowywał się przyjaźnie, ale nie przetłumaczył dla mnie słów ekspertów. Powiedział tylko:

- Isabel, *ca va?* To paskudna historia, prawda?
- ***Tres jolie, superbe*** - powiedział mężczyzna z wąsem, patrząc na komodę.

To dobrze, pomyślałam, ponieważ jeśli uzna, że jest bardzo cenna, mogłaby zrównoważyć wartość obrazu; Roxy wtedy po prostu zrezygnowałaby z komody Persandów i zachowała obraz Walkerów.

Obejrzeni zastawę stołową Roxy, stół i inne przedmioty znajdujące się w mieszkaniu, jak telewizor i dywany, włączając w to dywan w sypialni Roxy, na którym wciąż potrafiłam dostrzec, choć oni prawdopodobnie ich nie widzieli, rdzawe pozostałości zmytej krwi. Kilka razy wracali do komody, wyciągając szuflady w poszukiwaniu sygnatury.

- *Ce n'estpas signee* - zauważył jeden z nich.

Zrozumiałam, że to niedobrze, ponieważ byłaby cenniejsza, gdyby znaleźli odpowiednie znaki.

Pojawił się też zupełnie inny człowiek z Luwru, żeby popatrzeć na obraz, i pokręcił głową. „*Ecole de La Tour*. To nas nie interesuje”. Słyszając to, mimo woli poczułam złość, że tak spostponował naszą świętą, a także dlatego, że w tej sytuacji obraz może zostać wystawiony na aukcję. Luwr nie jest nim zainteresowany, a więc nie będzie się sprzeciwiał wydaniu licencji na wywóz, co otwierało drogę dla kupców spoza Francji, na przykład Japończyków albo Amerykanów.

Muszę przyznać, że właśnie w dniu, kiedy odwiedził nas człowiek z Luwru, wypowiedziałam do Antoine'a kilka słów, które po prostu wyrwały mi się, zaskakując mnie samą.

- To takie żałosne, że Charles-Henri zabiera obraz Roxy. Ona nie chce niczego, co do niego należy, nie zabrałaby mu czegoś, co miał od najwcześniejszego dzieciństwa.

Antoine spojrział na mnie zaskoczony i jak zauważyłam (z pewną satysfakcją) wyraźnie zirytowany albo urażony, a nawet zdumiony. Człowiek z Luwru, monsieur Desmond, pośpiesznie odwrócił wzrok, wbijając spojrzenie w obraz z uwagą właściwą osobom głuchym. Mówiłam dalej:

- Jakby nie wystarczyło, że ją porzucił, chociaż jest w ciąży, to jeszcze zabiera jej własność. Wydawałoby się, że powinno mu zależeć na tym, by pewnego dnia te meble i obraz dostały się jego dzieciom, zamiast trafić do rąk obcych ludzi. Po prostu zachowuje się jak beznadziejny palant albo ktoś mu źle doradza.

- Charles-Henri pozostawił załatwienie wszystkiego mnie - powiedział Antoine powoli.

- A więc ty jesteś skończonym palantem - odpadam.

Byłam chyba równie jak Antoine zaskoczona, że nie licząc tego, co powiedzieli sobie Roxy i Charles-Henri, pierwsze poważne pretensje, jakie padły między naszymi rodzinami, wyszły akurat ode mnie i to po tylu miesiącach. Wiem, że to zabrzmi, po kalifornijsku, jeśli powiem, że uważałam, że powinniśmy powiedzieć im, jak się z tym wszystkim czujemy. Jak ja się czułam. Aż do tej chwili mogli nawet mieć wrażenie, że w ogóle nas to nie obeszło. Antoine zamilkł zawstydzony, jak sędzę.

Niemniej *commissaire-priseur* zabrał obraz, komodę, stół z jadalni i kilka rycin do domu aukcyjnego Drouot. Skoro przepadły wszelkie szanse na to, że Roxy będzie mogła zachować obraz, nie pozostało nam nic innego niż mieć nadzieję, że wszystko sprzeda się możliwie jak najlepiej i będzie dużo pieniędzy do podziału. W tym czasie Roger wpadł na pewien pomysł, który mógł się okazać skuteczny: otóż ja i on wytoczmy wspólnie proces Roxy i Charles'owi-Henriemu, których - ponieważ jeszcze się nie rozwiedli - można oskarżyć jako parę, a tym samym uwikłać obraz w problemy prawne i powstrzymać sprzedaż. Roxy podeszła do tego entuzjastycznie. To dopiero byłaby dziwna sytuacja, gdybym mieszkając w zgodzie z Roxy, jednocześnie wytoczyła jej proces, na którym ona miała skorzystać!

Dom aukcyjny Drouot postanowił tymczasem umieścić *Świętą Urszulę* w swoim katalogu, żeby wystawić ją na sprzedaż wraz z innymi podobnego typu obrazami, gdy w jakimś bliżej nieokreślonym momencie zbierze się odpowiednia liczba płócien. Gdyby obie strony doszły wcześniej do porozumienia w sprawie podziału zysków z aukcji, rozwód można by przeprowadzić, nie czekając na sprzedaż obrazu.

- Proszę nie sprzedawać tych porcelanowych drobiazgów - *commissaire-priseur* poradził Roxy, która była akurat w domu, kiedy przyszli po rzeczy. - Nie dostanie pani za nie dużo, a są niezwykle piękne - dodał. - Lepiej je zatrzymać.

- Niech pan to powie mojemu mężowi - skrzywiła się Roxy.

Dom aukcyjny Drouot uznał, że *Święta Urszula* będzie idealnie pasowała do planowanej za niecały miesiąc aukcji malarstwa północnej Francji, i postanowił przygotować dodatkową broszurę dla klien-

tów, którzy otrzymali już gotowy katalog. Spodziewano się, że obraz osiągnie dobrą cenę, i wyznaczono cenę minimalną w wysokości osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Na widok tej sumy Roxy zrozumiała, że nigdy nie będzie w stanie spłacić Charles'a-Henriego. Zadzwoniła nawet do Margeeve i Chestera, błagając ich o pożyczanie czterdziestu tysięcy dolarów, ale oczywiście tylko ich kompletnie zatkało.

Zabrane meble zostawiły po sobie w domu okropną wyrwę niczym wyrzut sumienia; ich wymowna nieobecność stanowiła świadectwo porażki. Podobnie jak Roxy, a może nawet jeszcze bardziej, wściekałam się na totalną niesprawiedliwość tego, że zabrali nam *Świątą Urszulę*. Niespodziewane odkrycie rynkowej wartości obrazu wprowadzało jedynie dodatkowy motyw zachłanności i wyrachowania do wystarczająco bolesnych emocji towarzyszących rozwodowi. Przynajmniej o tym mogłam powiedzieć Edgarowi, choć nadal nie wspomniałam mu ani słowem o tym, że Roxy przecięła sobie nadgarstki.

- Kobiety są nadmiernie chronione przed konsekwencjami swoich czynów - odrzekł. - Zawsze są potem zaskoczone i oburzone, gdy pojawiają się jakieś konsekwencje. - Czy to prawda? Twierdził, że Roxy powinna zdawać sobie sprawę z tego, że przywożąc jakieś dobra do Francji, poddaje się francuskiemu prawu. Ale to nie ma nic wspólnego z absolutną niegodziwością Persandów, którzy kompletnie zignorowali fakt, że obraz należał do naszej rodziny, a więc nie tylko do samej Roxy, i że bardzo wiele dla nas znaczy, a dla nich nic. Powiedziałam mu to wszystko, a on wzruszył ramionami. Jest takie galijskie wzruszenie ramionami. I jest pewna francuska postawa wobec praw majątkowych.

- Wytaczasz moralne argumenty w sprawie Bośni, ale odrzucasz siłę moralnych argumentów w sprawach dotyczących rodziny.

- To, co mówię na temat Bośni, to pragmatyczna argumentacja na podstawie znajomości historii - odpad. - Chyba nie będziemy się kłócić, *cherie*, o jakąś *canape* Roxeanne i jakąś okropną świętą.

- Chcesz rozmawiać o seksie, ale nie o pieniądzach - zaprotestowałam.

- Oczywiście, jestem Francuzem - powiedział. - Wy, Amerykanie, zawsze wszystko cofacie.

Mniej więcej co dwa tygodnie, czasami częściej, Edgar uczestniczył w spotkaniach, które zwykle odbywały się w sali ratusza albo sali kościelnej. Sale wyglądały mniej więcej podobnie jak te w Stanach, z metalowymi krzesłami i beżowymi ścianami. Często organizowano wtedy debatę przy okrągłym stole z udziałem Edgara i czterech albo pięciu mężczyzn z danej okolicy, czasami także jakiejś kobiety, i dyskutowano na temat rozmaitych zagadnień polityki oraz życia publicznego. Oczywiście nie rozumiałam większości z tego, co tam mówiono, ale tematy same stawały się dla mnie jasne: nauka, jaką można wyciągnąć z historii, i rola przekonań religijnych. Stopniowo zaczęło do mnie docierać, że Edgar jest człowiekiem wierzącym, przynajmniej oficjalnie, i wierzy w Boga oraz wyznaje religię katolicką w nie-specjalnie narzucający się, niemniej szczerzy sposób.

W pierwszym odruchu byłam tym zaszokowana. W Kalifornii nikt nie umówiłby się z osobą otwarcie religijną, ponieważ ktoś, kto mówi o Bogu, automatycznie okazuje się hipokrytą. Ale istnieje także francuska hipokryzja, jeśli to właściwe słowo - albo może lepiej: niekonsekwencja - polegająca na tym, że wierzy się w zasady swojej religii i jednocześnie całkiem beztrzesko dopuszcza cudzołóstwa. Poruszyłam ten temat w rozmowie z panią Pace, nie wspominając jednak o sobie i Edgarze.

- No cóż, ich religijność jest bardziej rozwinięta - powiedziała pani Pace. - W Ameryce mamy tylko dwie formy religijności, jak powiedział Matthew Arnold: rozczarowanych i zadufanych. Wydaje się, że we Francji istnieje także typ trzeci, religijność ludzi światowych.

- Która jest autentyczna? - zaczęłam się zastanawiać.

- Myślę, że wszystkie są autentyczne. Rozczarowanie zawsze jest autentyczne. A poza tym nie ma nic równie autentycznego jak poczucie, że ma się absolutną rację. Zadufanie, *autrement dit*. Cemu odmawiać autentyczności byciu człowiekiem światowym?

(Sam Edgar zacytował w tej sprawie Moliера, coś, co brzmiało mniej więcej tak, że to prawda, iż Bóg pewne rozkosze potępia, ale zawsze można jakoś dojść z nim do ładu).

Tymczasem moją duszą targały właśnie wszystkie udreki rozczarowania i poczucia słuszości. Nigdy nie czułam się bardziej Amerykanką. Pokłóciłam się zresztą na ten temat z Yves'em. Miał jakieś dziwne poglądy na temat historii Ameryki, uważał, że wszystkim kierował zza kulis J. Edgar Hoover.

- Miał coś na każdego w Waszyngtonie i musieli spytać go, czy Kennedy może kandydować - wyjaśnił. - Tak samo wybrał Eisenhowera. Był homoseksualistą, więc był paranoikiem. Ale bał się Bobbyego Kennedy'ego, toteż kazał go zabić.

- Niektórzy ludzie we Francji chcą, żeby Ameryka nami rządziła - dodał. - Chcą, żebyśmy oglądali kreskówki, i chcą na wszystkim malować obrazki Disneya i pić nas coca-cola.

- Nikt wam tego nie każe, po prostu to robicie - zaprotestowałam. - Ja sama nie oglądałabym kreskówek, to czemu wy je oglądacie?

- Jesteś na nie uodporniona, ponieważ się na nich wychowałam. A my jesteśmy bezsilni, to jak epidemia odry w Amazonii.

Pomyślałam, że to niedorzeczne bać się kulturalnego zagrożenia ze strony filmu Disneya. Mogłabym wymyślić bardziej niebezpieczne rzeczy niż to.

- Francuzi są po prostu naiwni w sprawach kultury - powiedziałam.

- Amerykanie za dużo się uśmiechają - odparł. - Sama za dużo się uśmiechasz.

Postanowiłam ograniczyć uśmiechy.

Na początku grudnia, jakieś dwa tygodnie przed spodziewaną datą rozwiązania Roxy, pokrywającą się z datą aukcji u Drouota - ironia losu, na którą Roxy na pewno zwróci uwagę - zadzwonili nasi rodzice. Dokonali właśnie rezerwacji i będą tu za tydzień. Czy możemy zamówić dla nich hotel i podać im adres, nic nazbyt obskurnego, ale i nie nazbyt drogiego. Margeeve zaproponowała Deux Continents, który pamiętała z wycieczki sprzed lat.

Ogarnęły nas mieszane uczucia. W każdym razie moje były pomieszane z przyjemnością na myśl, że ich zobaczę (to znaczy, że oni mnie zobaczą z moimi nowymi francuskimi zwrotami, lakierem na paznokciach i skromną fryzurą baletnicy). Czy jesteśmy jedynymi amerykańskimi córkami, które kochają swoich rodziców? Jeśli miałabym

sądzić na własnym przykładzie, to chyba tak. Było mi przyjemnie i czułam lęk. Obawiałam się tego, co powiedzą, kiedy usłyszą o chorobie Roxy (ponieważ w taki sposób zaczęłam o tym myśleć), bałam się ich nieuchronnego oburzenia, z jakim zareagują na wiadomość o jej sytuacji, i piekła, jakie zrobią, kiedy dowiedzą się o utracie obrazu. Bałam się eskalacji napięć i konfliktów. Obawiałam się tego, co mi powiedzą. Było mi przyjemnie i czułam lęk; Roxy mówiła, że czuje wyłącznie obawy, głównie z powodu Rogera.

Margeeve i Chester dodali bowiem, że razem z nimi przylatuje także Roger z Jane, co definitywnie przekreślało ewentualność, że chodzi im o przyjazną wizytę, której celem będzie podniesienie Roxy na duchu. Przyjeżdżają, żeby wytoczyć wojnę, a przynajmniej spowodować trudności prawne, czy też, jak przypuszczalnie sami to postrzegali, dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość. Nie zostawią swojego dziecka na pastwę dziwacznych praw obowiązujących w obcym kraju ani przestarzałych instytucji męskich przywilejów.

- Czy Gennie ma paszport? - spytała Margeeve. - Mam na myśli amerykański paszport. Powinna go mieć.

Pytanie wydało mi się złowieszcze. Może zamierzali porwać Gennie?

Tym razem rozumiałyśmy się z Roxy bez słów, choć zdawałam sobie sprawę z pewnych niewypowiedzianych obaw, których nie próbowałam rozproszyć. Na przykład nie powiedziałam Roxy, że nie wspomniałam Margeeve i Chesterowi o jej próbie samobójczej. Może byłaby zadowolona, ale może chciała, żeby wiedzieli. Może chciała, by wiedział o tym ktoś odpowiedzialny.

Nie lubię prosić innych o przysługę - nigdy nic z tego nie wychodzi, zawsze potem cię nienawidzą - ale niezmiennie czułam życzliwość i dobrą wolę Suzanne de Persand, toteż mając na względzie kolejną depresję Roxy i niewrózący niczego dobrego przyjazd Rogera, uznałam, że nadeszła pora, by z nią porozmawiać. Pomyślałam, że mogłyby mi pomóc, w każdym razie wystarczająco mnie lubiła. Jej postawa wobec Roxy wydawała się bardziej skomplikowana - była żoną jej ulubionego syna, cudzoziemka - mimo to zdecydowanie starała

się ją wspierać, bez wątpienia pragnąc, niezależnie od okoliczności, zachować kontakt z Gennie i następnym dzieckiem.

Wobec mnie była autentycznie przyjazna i miałam wrażenie, że rozumie trudne położenie, w jakim się znalazłam po przyjeździe do Francji w samym środku rodzinnego zamętu, nie znając francuskiego i nie mając żadnych życiowych perspektyw. Wydaje się, że podobnie jak pani Pace pragnęła nadać mi trochę ogłady, choć pani Pace otwarcie krytykowała mój strój albo mówiła mi, że mam brudne rękawiczki, a Suzanne wołała sięgać po pochwały i zachęty. („Masz takie ładne dłonie, kiedy pomalujesz paznokcie, Isabel" albo Jakie masz zdumiewająco długie nogi w butach na wysokim obcasie, Isabel"). Tak, miałam teraz parę rękawiczek i parę cholernych szpilek. Tego dnia, kiedy wybierałam się do Suzanne, miałam to wszystko na sobie, ponieważ wcześniej byłam na lunchu z panią Pace w restauracji, do której zwykle chadzałyśmy (Pierre Traiteur, gdzie zachowywałam się, jak gdybym nigdy tam nie była. Zamówiłam *oeufs a la neige*. Pani Pace powiedziała: „Myślę, że należałoby to raczej wymówić *euffa la neige*, Isabel).

Po lunchu odebrałam Gennie i zawiozłam ją na Avenue Wagram, na cotygodniową wizytę u babci. Przy okazji miałam szansę opowiedzieć Suzanne o kruchym stanie nerwów Roxy. Wyjaśniłam jej, że Roxy bardzo źle znosi sprzedaż obrazu, sugerowałam, że to niedobre w jej stanie i że moim zdaniem należy odłożyć sprzedaż. A może sama mogłabym złożyć zobowiązanie, że spłacę go w ciągu kilku lat? A może obie rodziny powinny się tu spotkać, kiedy przyjadą Margeeve i Chester (nie wspomniałam o Rogerze), i przedyskutować całą sprawę?

- Nie powinnyśmy się angażować się w sprawy dotyczące majątku - powiedziała Suzanne. - Im szybciej to się skończy, tym lepiej. Prawnicy wszystko załatwią. Jestem pewna, że Roxeanne jest przynębiona, ale to nie będzie miało wpływu na jej ciążę.

- Obawiam się, że mój brat może się w to zaangażować - mówiłam dalej, dodając w myślach: „Nie znasz Rogera". - Mój brat prawnik. Po prostu wydaje mi się, że byłoby niedobrze, gdyby wszyscy wpadli w jakąś histerię. Zawsze mi się wydawało, że Charles-

-Henri nie miałyby nic przeciwko temu, żeby dojść w tej sprawie do jakiegoś porozumienia.

Suzanne wzruszyła ramionami.

- Biedny Charles. Ma tyle kłopotów. Mąż jego *petite amie* to bardzo niemiły człowiek, wiesz, prawnicy Roxeanne są niezwykle zdecydowani, a teraz jeszcze twój brat - *alors. Czyi* taka" ma być cena za grzech?

Bardzo pragnęłam powiedzieć jej prawdę: Roxy chciała umrzeć, o tym trzeba teraz myśleć. Powstrzymał mnie jednak wstyd oraz lęk, że w ten sposób zdradziłabym siostrę, a tym samym swoją rodzinę, ujawniając jej słaby punkt, psychiczne załamanie się Roxy. Może nawet Persandowie mogliby to wykorzystać przeciwko niej, choćby po to, by odebrać jej Gennie.

Suzanne nie wykazywała najmniejszego zainteresowania prawnymi aspektami umowy rozwodowej między Charles'em-Henrim a Roxy, ale nie powinnam być zaskoczona, że Francuzi, zapobiegliwi w sprawach finansowych - Suzanne, a nawet Edgar - niechętnie zgodziliby się na coś, co oznaczałoby dla nich stratę finansową; stratę, by tak rzec, po stronie Francji. A potem powiedziała coś jeszcze. Jej słowa sprawiły, że nagle wszystko zrozumiałam.

- W końcu to jest francuski obraz - oświadczyła.

Jak gdyby obrazy miały narodowość! Francuski obraz! Byłam wstrząśnięta. Rozumiem, że dyrektor muzeum mógłby określić narodowość jakiegoś obrazu po to, by umieścić go w tej lub w innej sali, malarstwa włoskiego albo francuskiego, z szesnastego albo siedemnastego wieku, zgodnie z arbitralnymi systemami klasyfikacji, jakimi posługują się muzea. Ale Suzanne chciała przez to powiedzieć, że Roxy nie miała żadnych praw do obrazu, który wisiał u niej na ścianie od dzieciństwa, nad toaletką zasłaną przez papierki od gumy do żucia i inne drobiazgi, tylko dlatego, że kilkaset lat temu, znacznie wcześniej, nim znalazł się w Ameryce, pewien człowiek, który go namalował, żył, być może, w tym samym regionie Europy, z którego wywodzili się, być może, przodkowie Suzanne. Ten okropny pomysł pozwolił mi nagle zrozumieć głupich Serbów, obłąkanych Irlandczyków i tych wszystkich zidiociałych brutali na Bałkanach,

tych wszystkich fanatycznych Arabów w identycznych strojach, ogłupiałych od naprawdę strasznie ograniczającej idei, tego odrażającego i bezkrytycznie przyjmowanego nawyku przynależności narodowej, i rozumiałam, że jeśli chodzi o mnie, nigdy nie zdołam go pojąć. Może mam jakąś prymitywną mentalność ludzi z Nowego Świata, która chroniła mnie przed dostrzeganiem uroku przynależności do jakiegokolwiek narodu. W dodatku z punktu widzenia Suzanne niczym nie różniłam się od jakiegoś Japończyka lub Japonki wywożących jej Renoira albo kredens Bouille, żeby umieścić w swoim papierowym domu na końcu świata. („Słyszałam, że domy w Kalifornii są zrobione z drewna!” - powiedziała raz do mnie Charlotte radośnie zdumiona tą osobliwością).

Nawet Edgar nie potrafił zapomnieć o narodowych podziałach, ponieważ potępiając podziały dzielące Serbów, Chorwatów i muzułmanów w byłej Jugosławii, odwoływał się do francuskiego patriotyzmu albo do narodowego interesu Francji, gdy próbował namówić Francuzów, żeby się zaangażowali i przerwali to, co się tam dzieje. Kiedy później rozmawialiśmy o obrazie, także się ze mną nie zgodził.

- Gdybyśmy pozbawili różne miejsca odróżniających je od siebie cech, które wyrażają się w wytworach ludzkich umiejętności, nie sposób byłoby odróżnić Dubrownika od Detroit - powiedział. A zatem dla niego miało znaczenie, skąd jaka rzecz pochodzi.

- Poza tym święta Urszula pochodziła z Austrii albo Brytanii - dodałam.

Podczas rozmowy z Suzanne postanowiłam, że chociaż jestem Amerykanką, osobą należącą do pewnego narodu, a więc nieuchronnie narażoną na wszystkie ograniczenia, jakie inni ludzie postrzegają jako „amerykańskie”, uwolnię się od przekleństwa narodowości i w ogóle przestanę postrzegać samą siebie w tych kategoriach.

Suzanne podała mi kolejną herbatę w cieniutkiej filiżance z małymi złotymi *fleurs de lys* wokół brzegu, po czym jej spojrzenie padło na moją torebkę Kelly, której nigdy nie zabierałam na niedzielne obiady do Chartres. Czasami można dostrzec, że ktoś coś zauważył, uchwycić błysk zrozumienia i zaskoczenia na twarzy. Nie wiedziałam, co rozumiała, patrząc na Kelly, ale widziałam, że zwróciła uwagę na

moją elegancką torebkę karmelowego koloru, która najwyraźniej coś jej wyjaśniła, stając się czymś więcej niż okazją do zadania sobie pytania „skąd wzięła się taka droga torebka u Isabel?”.

Ściągnęła usta w powściągliwym uśmiechu i miałam wrażenie, że kiedy się ze mną żegnała, z jej głosu powiało chłodem. Gładziła się po swojej ładnej granatowej garsonce, jak gdyby przeżyła jakiś szok i starała się uspokoić swoje serce. Przypuszczalnie pomyślała, że dostałam tę torebkę od jakiegoś mężczyzny i że nie jestem *mdiajeune filie*, za jaką mnie uważała. No cóż, to akurat było prawdą. Przyzwyczaiłam się do tego, że ludzie w końcu zdają sobie z tego sprawę.

- Cieszę się, że będziesz mogła zobaczyć się z rodzicami po tyłu miesiącach - powiedziała oschle. - Przyjeżdżają w środę? Musisz przywieźć ich na obiad w następną niedzielę do Chartres.

ROZDZIAŁ 27

Postawcie dziś na straży tylko Amerykanów.

Jerzy Waszyngton

To dziwne, ale ponownie natknęłam się na męża *petite amie* Charles'a-Henriego u Randolphów. Osobliwe, nieprzyjemne spotkanie. Pomagałam Peg podawać drinki i zakąski, kiedy go zauważyłam. Tym razem nie był pijany ani wojowniczy, miał na sobie elegancki garnitur i wyglądał jak zwykły międzynarodowy prawnik, Amerykanin, jak wielu innych gości, obficie pachnących wodą po goleniu. Nie poznał mnie w pierwszej chwili, dopiero po namyśle rzekł:

- A, prawda, młodsza siostra. Chyba się nie mylę. Słyszałem o tobie. - Przyjrzał mi się, a potem zniżył głos. - Chodź na moment do kuchni, chciałbym z tobą porozmawiać.

Oczywiście poszłam za nim, mając nadzieję na jakieś informacje na temat Charles'a-Henriego.

- Wiesz, gdzie oni trzymają tutaj różne rzeczy, po prostu daj mi trochę cukru do tego Pimm's Cup, czy co to tam jest - poprosił, wręczając mi swojego drinka.

- Tutaj, w szafce nad lodówką - odpadam.

- Jesteś piękną dziewczyną - powiedział. - Wiesz, dyskretna amerykańska dziewczyna z dobrym wyglądem mogłaby u nas sprzątać. Staramy się rozszerzyć zakres naszych usług, chwytasz? No wiesz, miejsce, w którym, powiedzmy, Niemcy, biznesmeni, mogliby organizować posiedzenia zarządu. Chcemy rozszerzyć ofertę. Może wpadłabyś do nas na party?

Zesztywniałam, słysząc słowo „posprzątać”. A myślałam, że wypro-
wadzenie psa to już było dno! Nie zamierzałam zostać pokojówką.

- Spodziewamy się paru biznesmenów z Niemiec i Danii, chcą
przyjechać do Paryża, zobaczyć miasto, zjeść kolację... Chcieliby,
żeby ktoś im wszystko pokazał. Szczególnie podniecają ich amery-
kańskie dziewczęta, nie pytaj czemu. .>.

- Nie sędzę...

- Osoba do towarzystwa, całkiem prywatnie i bardzo, bardzo do-
bre pieniądze. Do tego dobra kolacja, lokale, no wiesz. Zabawisz się.
Musisz tylko ładnie wyglądać i być urocza. Nie sugeruję nic więcej.

- Jestem dość zajęta - wycodziłam wstrząśnięta tym, co właśnie
mi proponował.

- Moja wizytówka - powiedział. - Nie zrozum mnie źle. Nie bę-
dziesz pracowała dla EuroDisney. Nie sugerowałem nic takiego. To
jest prywatne przedsięwzięcie. Zastanów się.

Nagle znalazłyśmy się w gąszczu prywatnych przedsięwzięć. Za na-
szymi plecami kilka osób w Kalifornii wykonało kilka posunięć,
przygotowując się do podróży za Atlantyk. Roger wyszukał w mię-
dzynarodowej sekcji biblioteki firmy Barney, Gehegan, Bryer & Wal-
ker siedem możliwych sposobów rozwiązania problemu obrazu,
z których najbardziej obiecujące pozostało zakwestionowanie jego
własności w amerykańskim, a potem francuskim sądzie i dowodzenie,
że nigdy nie stanowił części *dot* albo *biens* Roxy. Był po prostu czymś,
co zabrała ze sobą, tak jak buty czy walizkę, i nie zamierzała z nikim
się nim dzielić ani nikomu go ofiarowywać. Nie było pisemnego do-
wodu, że podarowała komuś obraz, a poza tym wchodził w obręb
spadku, czyli nie był częścią wspólnego majątku - w każdym razie
tak stanowiło prawo w Kalifornii.

Roger zamierzał także uzyskać zakaz sprzedaży obrazu wydany
przez francuski sąd i w tym celu skontaktował się z kancelarią Dun-
can, Cribbe & Crutcher. Była to amerykańska firma, która miała biu-
ra w Paryżu, reprezentowała kilka koncernów naftowych, EuroDisney,
Warner Brothers, Century 21 Realty oraz wiele innych amerykańskich
przedsiębiorstw i zatrudniała francuskich prawników. Odbył kilka roz-

mów telefonicznych z ich ekspertem Renee Morgan, Francuzką, która studiowała prawo w Ameryce, i zamierzał kontynuować konsultacje po przylocie do Paryża. Tymczasem uzyskał sądowy nakaz w amerykańskim sądzie federalnym, czwarty okręg, zakazujący sprzedaży obrazu w Drouot do czasu rozstrzygnięcia, kto jest jego właścicielem.

Mniej więcej w tym samym czasie kobieta z Muzeum Getty'ego Julia Manchevering zebrała w swoim gabinecie kilku kolegów, przyciemniła światła, ściągnęła w dół ekran projektora i pokazała im slajd przedstawiający *Świętą Urszulę*, który Margeeve wysłała jej kilka miesięcy wcześniej.

- To idzie na sprzedaż w Drouot - powiedziała. - Sprawa rozwodowa. Myślę, że powinniśmy na to spojrzeć.

- Powiedziałbym, że to Lorraine, około tysiąc sześćset dwudziestego roku - oświadczył ekspert od siedemnastego wieku Rand Carruther.

- Ale na pewno nie La Tour - dorzucił ktoś inny.

- Dlaczego nie? Wszystko będzie się zgadzać, jeśli przyjmiemy, że został namalowany przed tysiąc sześćset czterdziestym pierwszym.

- Ktoś powinien się mu przyjrzeć.

- Jak go zaklasyfikowali w Drouot? Jaka cena minimalna?

- *Ecole*. Nie określili ceny minimalnej. Pojawił się dość nagle. Kiedy Stuart Barbee oglądał go na naszą prośbę, żeby ustalić wysokość odszkodowania, wycenił go na czterdzieści tysięcy. Coś musi być z nim nie tak, jeśli sprzedają go tak skromnie, ale myślę, że i tak nie zawadzi mu się przyjrzeć.

- Nie ma problemów ze zgodą na wywóz?

- Luwr najwyraźniej oświadczył, że nie jest zainteresowany i nie będzie sprzeciwiał się wydaniu zgody na wywóz.

Ich spojrzenia spotkały się. To, że Luwr nie jest zainteresowany, mogło oznaczać dwie sprzeczne rzeczy - albo obraz jest bezwartościowy, albo Luwr, twierdząc, że jest nic niewart, pragnie kupić go dla siebie lub dla innego francuskiego muzeum.

W rezultacie tych rozmów w środę na paryskim lotnisku obok Rogera i Jane oraz naszych rodziców pojawił się także ekspert z Muzeum

Getty'ego. Zarezerwowaliśmy dla Chestera i Margeeve pokój w Deux Continents, Roger zatrzymał się w hotelu George V Ogarniały mnie dziwnie złe przeczucia, ale Roxy niespodziewanie skupiła się bardziej na swoich uczuciach niż zagadnieniach własności dzieł sztuki i po prostu cieszyła się z przyjazdu rodziców. Myślała teraz głównie o dziecku, które miało się narodzić, i wsłuchiwała się-w jego poruszenia albo zapowiedź skurczów porodowych, tym bardziej że wkrótce miała pojawić się przy niej matka.

W środę czas dłużył się niemiłosiernie w oczekiwaniu na ich; przyjazd, wreszcie około piątej po południu zadzwonił telefon z Lille. Okazało się, że samolot wylądował tam z powodu strajku na lotnisku Charles'a de Gaulle'a i mieli przyjechać do Paryża specjalnym autobusem Air France. Powiedzieli, żebyśmy nie czekały na nich, jeśli zrobi się późno; po prostu pójda do hotelu, nieżywi z powodu różnicy czasu, i zadzwonią do nas rankiem. Wstrzymanie egzekucji.

W czwartek rano wyszłam z domu wcześniej, żeby wyprowadzić Nicponia; miałam spotkać się z Roxy o dziesiątej. Zwykle Ames Everett nie zajmował mnie dłuższą rozmową, ale tego dnia był bardzo zainteresowany wizytą rodziców i stanem ducha Roxy. Wydawało się, że cała amerykańska społeczność interesowała się teraz stanem ducha Roxy, w miarę jak zbliżał się czas porodu i coraz bardziej oczywisty stawał się fakt, że została porzucona przez męża. Unaoczniało to ryzyko, na jakie narażają się Amerykanki wiążące się z Francuzami po tej stronie oceanu. Wiele osób pytało o Roxy.

- Przypuszczam, że niepokoi się sprzedażą? - powiedział Ames
I pomyślałam jeszcze raz, jak robiłam to wiele razy wcześniej, że jest niezwykle zainteresowany sprzedażą naszego obrazu.

- Czy cieszy się ze spotkania z rodzicami?

- Jeszcze ich nie widziała. Zdaje się, że zaginęli gdzieś między Lille a hotelem Deux Continents. Ale trochę obawia się tego spotkania. Przypuszcza, że ich zdaniem powinna natychmiast wrócić do domu, do Kalifornii, po prostu się stąd wynieść.

- Och, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział.
- Chyba tego nie zrobi?

- Coś będzie musiała zrobić. Charles-Henri się zakochał. Chce się ponownie żenić.

- Co to jest z tą modą na małżeństwo? Małżeństwo jest takie pospolite i całkiem zbyteczne - uskarżał się Ames. - A ponowne małżeństwo wydaje mi się kompletnym szaleństwem.

To dziwne, ale w czwartek, w dniu przyjazdu naszych rodziców - oznaczającym w moim przekonaniu początek końca - zaczęłam po raz pierwszy rozumieć, co ludzie mówią w metrze. Przypominało to cudowny moment w baśniowej opowieści, gdy znajdujesz pierścień albo połykasz magiczny napar i nagle zaczynasz rozumieć mowę ptaków. Rozumiałam toczące się wokół mnie rozmowy.

- Ciekawe, czy Gerard kupi saaba jako swój następny *voiture*?

- Wątpię, zawsze kupuje peugeota.

Magiczny dar nie opuszczał mnie przez cały dzień. Pijąc kawę w Brasserie Espoir, słyszałam, jak obok mnie plotkowały dwie kobiety po pięćdziesiątce, a ich słowa docierały do moich uszu tak wyraźnie, jak gdyby były Amerykankami.

- Z Michelle nigdy nie wiadomo, po prostu tak jest i musisz się zdecydować: tak albo tak, ale to nie jest łatwe.

- To prawda.

- Mogłabyś powiedzieć: mam tego dość, ale co możesz zrobić. Niemniej to prawda.

- Jej matka i tak dalej, prawda?

- Mówiłam im.

Później, kiedy miałam czas się nad tym zastanowić, nabrałam wątpliwości, czy w ogóle warto było to wszystko rozumieć. Może lepiej żyć w dźwiękoszczelnej bańce? Poczułam lekkie rozczarowanie, kiedy okazało się, że te wszystkie słowa, tak intrygująco wyrażane w dramatycznych i niezrozumiałych dźwiękach, których nie potrafiłabym powtórzyć, dotyczyły banałów, jakie można by usłyszeć w autobusie w Santa Barbara (gdyby ktoś jeździł tam autobusem). Niemniej przesyłał mnie rozkoszny dreszcz przyjemności, że wreszcie jestem wtajemniczona, w środku wydarzeń. Od tej chwili podsłuchiwałam jak szpieg.

Roxy poszła obejrzyć *Świątą Urszulę*. W domu aukcyjnym Drouot wpuszczono ją do sali sprzedaży obitej spłowiałym aksamitem, gdzie mogła samotnie stanąć przed swoim obrazem, symbolem jej życia w Paryżu, symbolem szczęścia, symbolem intymnych chwil jej miłości, o których nie miałam zielonego pojęcia, tak jak mogłam sobie jedynie wyobrazić ból i wściekłość, jakie czuła na myśl/że to wszystko zniknęło.

Zaskoczyła ją wiadomość, że obraz może zostać wystawiony na sprzedaż już za kilka dni, *hors catalogue*, jako specjalna pozycja w ostatniej chwili włączona do planowanej od dawna aukcji ważnych dzieł, które ludzie z Drouot uznali za właściwe towarzystwo dla naszego obrazu. Termin wyznaczono na następny piątek. Roxy odparła przecząco na pytanie, czy zamierza się tam wybrać, wołała nie natknąć się na Charles'a-Henriego. Niech inni pójdą, nasi rodzice, Roger, jej przyjaciel Ames Everett. Ames obiecał, że zjawi się na miejscu, żeby się upewnić, czy wszystko przebiegło prawidłowo. Ale wiedziałam, że sercem ona też tam będzie.

Prezentując na zewnątrz krowi spokój, jaki podobno ogarnia kobietę pod koniec ciąży, Roxy obserwowała gromadzenie się wojsk bez słowa skargi. W ciągu ostatnich kilku dni przychodziła do domu, wtaczała się na górę po schodach, wchodziła do mieszkania (dokładnie tak samo jak tego nieszczęsnego dnia, kiedy Charles-Henri ją porzucił) i odpoczywała zgodnie z zaleceniami *sage-femme*. Siedziała w fotelu i zamykała oczy. W dziale drobnych ogłoszeń „Herald Tribune” znalazła słowa:

Niech będzie błogosławione Najświętsze Serce Jezusa, niech będzie uwielbione, otoczone chwałą i miłością niezmiennie teraz i przez wszystkie wieki wieków. Święte Serce Jezusa, módl się za nami. Święty Judo, cudotwórco, módl się za nami. Święty Judo, pocieszycielu tych, którzy prawie stracili wszelką nadzieję, módl się za nami.

Odmawiaj tę modlitwę dziewięć razy dziennie przez dziewięć dni, a twoje modły zostaną wysłuchane. To nigdy nie zawodzi. Musisz w gazecie zamieścić publikację.

Zamykała oczy i zaczynała dziewięć razy powtarzać, a raczej myśleć te słowa. Kiedy dochodziła do końca, nie była pewna, o co właściwie ma poprosić, więc zadowalała się nadzieją, że wszystko jakoś się ułoży. Nie chciała rzucać wyzwania losowi lub świętemu Judzie, czy komukolwiek, prosząc o cokolwiek zbyt usilnie, jak choćby o to, by Charles-Henri dojrzał świadom. Nie była nawet pewna, kim był święty Juda. Dopiero od niedawna była katoliczką, i co właściwie ma znaczyć „publikacja”? Ale dziewięciokrotne powtórzenie modlitwy przynosiło jej ukojenie.

Margeeve i Chester, przetransportowani autobusem z Lille, obudzili się kompletnie przytomni w środku nocy w hotelu Deux Continents, przekleństwo różnicy stref czasowych, a potem znowu o dziesiątej trzydziści, przerażeni, że spali tak długo, i sztywni od leżenia na niewygodnym łożku.

- Musimy przenieść się do innego hotelu, na ten jesteśmy już za starzy - oświadczyła Margeeve.

- To znaczy, że ja muszę nam znaleźć inny hotel, wiem - westchnął Chester. Margeeve zawsze chciała zmieniać pokoje, stoliki, a teraz po raz pierwszy hotele, ale musiał przyznać, że ma rację. W małym nagrzanym pokoju kaloryfer charczał całą noc, wydzielając odór benzoiny.

- Spałeś?

- Obudziłem się o czwartej. - *Heure blanche*, kiedy cierpisz z powodu różnicy czasu. - Wziąłem jeden halcion.

- Trzeba było mnie obudzić. Dałabym ci jakieś lekarstwo - powiedziała Margeeve.

- Lepiej zadzwońmy do Roxy, na pewno się zastanawia, co się z nami stało.

- Nie mogę się doczekać - rzekła Margeeve - ale trochę się boję. Nie wiadomo, co za chaos tam zastaniemy.

- Realia gospodarstwa domowego Roxy. - Chester się roześmiał. - Realia kursu samodoskonalenia w wydaniu Isabel. Realia francuskich obyczajów prawnych. Nigdy nie lubiłaś rzeczywistości.

- A co rzeczywistość dla mnie zrobiła? No tak - dla mnie dużo, ale nie tak wiele dla dziewcząt.

- Dziewczęta mają się świetnie. Wiesz, że to prawda. Inaczej byśmy o tym wiedzieli. Wyczulibyśmy to. Przyleciałabyś pierwszym samolotem.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Gennie. Oczywiście nas nie pozna - powiedziała Margeeve.

Minęło sześć miesięcy, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, więc spodziewałam się, że będą wyglądali jakoś inaczej. W pewnym sensie wyglądali inaczej, a jednocześnie byli na szczęście tacy sami i po prostu jawili się w nowym świecie, jak gdyby odbijającym się od Notre Dame i szemrzącej Sekwany. Niebieski kostium Margeeve, tradycyjny kalifornijski błękit, był jedynie odcień zbyt niebieski, Chester włożył ciemny garnitur, którego nigdy nie nosił w Santa Barbara, jakby się wybierał na gościnne wykłady na wschodnie wybrzeże. Poza tym miał brodę, którą ciągle to golił, to zapuszczał, więc przestaliśmy w końcu zauważać te zmiany, co zawsze budziło jego rozczarowanie, gdy pojawiał się rano ze świeżo ogolonymi policzkami. Teraz jednak zauważyłam, że ma brodę, ponieważ bardzo rzadko widuje się tutaj ludzi z brodą, i wyglądał na obcokrajowca, trochę jakby przyjechał z Europy Wschodniej. Oboje wyglądali na cudzoziemców, ale być może tylko w naszych oczach, i niezaprzeczalnie na Amerykanów. Pobiegłyśmy, żeby ich uściskać u wejścia do metra.

- No nie! - powiedzieli rozpromieni. Wszyscy uśmiechaliśmy się promiennie. - Rox, wyglądasz jak słońca, to muszą być trojaczki.

Miała na sobie niebieską bluzkę z długimi rękawami zakończonymi falbankami, które zasłaniały nadgarstki.

- Iz, wyglądasz świetnie, kochanie, wyglądasz zupełnie jak Francuzka! - Nie spytałam, co to właściwie znaczy.

Poszliśmy do mieszkania Roxy. Oczywiście nie doceniłam Margeeve; klatka schodowa z odłóżającą farbą, która mnie wydała się tak odrażająca, na niej nie zrobiła podobnego wrażenia, wprost przeciwnie, entuzjastycznie zachwycała się jej malowniczością i spatynowanym wystrojem.

- To jest *salon* - powiedziała Roxy. - Tu była komoda, wiesz, w amerykańskim sensie szafka z szufladami, ale poszła na sprzedaż.

- Wiemy, co to jest komoda - oświadczyła Margeeve.

Wydawało mi się, że puste miejsce nad kominkiem wręcz krzyczy do mnie, ale Margeeve i Chester niczego nie zauważyli. Wszystko wydawało im się śliczne i najwyraźniej byli zachwyceni, widząc Roxy w tym nowym świdie, Roxy, pełnoprawną matronę, *maitresse de maison*, panią na włościach. Kiedy poprzednio odwiedzili ją we Francji, mieszkała jeszcze razem z Charles'em-Henrim w jego studenckim mieszkaniu.

- Czy Gennie jest w przedszkolu? Mam nadzieję, że któregoś dnia będziesz mogła zatrzymać ją w domu. Chcielibyśmy zabrać ją do Disneylandu.

- De jeszcze czasu ci zostało, Roxy, co mówi twój lekarz? - spytał Chester, niespokojnie spoglądając na jej pokaźny brzuch.

- Przenieśliśmy się do hotelu Saint-Louis na De Saint-Louis, to słodkie, ustronne miejsce - powiedziała Margeeve. - Dlatego nie było nas w Deux Continents.

- Zaparzę kawy - zaproponowała Roxy, która z przyjemnością weszła w rolę pani domu, ciesząc się, że może wreszcie podjąć tu naszych rodziców. Była wyraźnie szczęśliwa, że mogą zobaczyć ją w jej ulubionym miejscu, niezależnie od okoliczności.

- A teraz zacznij od początku - rzekł Chester. - Opowiedz nam, jak wygląda w tej chwili sytuacja prawna. Roger i Jane przyjadą tu dziś po południu.

- Tylko niech Roger trzyma się od tego jak najdalej! - wrzasnęła nagle Roxy. - Nie chcę, żeby się wtrącał. Proszę, przestańcie się wtrącać, wszystko jest w porządku.

- Roxy! - zawołała Margeeve. - Pamiętaj, że to nie tylko twój obraz, należy także do Chestera, do Rogera, do Isabel. Nie możesz sama o wszystkim decydować. Roger powinien się tym zająć.

- Nie chcę, żebyście się wtrącali, po prostu się odczepcie - wrzeszczała.

I tak rozpętało się piekło, zaledwie dwadzieścia minut po ich przyjeździe. Pomyślałam, że to nawet dobrze, gdy cała złość wyjdzie

z nich tu i teraz. Roxy krzyczała i wściekała się, ale widać było, że nie może zapobiec przyjazdowi Rogera ani podjęciu kolejnych kroków prawnych i zderzeniu z Persandami, i wielu innym straszliwym rzeczom, których jeszcze nie wymieniłam. Pod naszymi stopami rozwaria się przepaść, a potem ktoś miłościwie zasłonił ją dywanem.

Chcę przez to powiedzieć, że po prostu nasi rodzice szybko poddali się widocznej przyjemności, jaką były dla nich wakacje w Paryżu, i zaczęli zachwycać się Gennie, takie piękne dziecko, zdjęcia w ogóle nie potrafią tego oddać, oczywiście gdyby Roxy chciało się robić jakieś fotografie. Pojechaliśmy wspólnie autobusem linii 24. „Wracając, przejdziemy przed frontem katedry Notre Dame”, wyjaśniła Roxy radośnie. Zachwycona rolą przewodniczki po Paryżu, odzyskała spokój i opanowanie.

Ale ja czułam, jak z każdą minutą osuwam się w przeszłość i zaczynam powtarzać jakieś nic nieznaczące zdania w rodzaju: „Uważajcie na gołębie gówno”.

- Kocham to miasto - oświadczyła Roxy w autobusie. - Jest takie cywilizowane. A moje dzieci są oczywiście Francuzami. Zostań tu. Czasem tęsknię do Kalifornii, a potem jadę autobusem i widzę jakiś stary budynek, w którym mieszkał d'Artagnan. Naprawdę żył kiedyś d'Artagnan i jego dom do dzisiaj tu stoi! Wtedy robię się taka podekscytowana, że w ogóle mnie nie obchodzi, co się ze mną stanie. Kochałam się w d'Artagnanie, odkąd skończyłam jedenaście lat.

- Popatrz na te komiczne czapki - powiedziała Margeeve na widok żołnierzy w kepi stojących na rogu. Historia Francji przypomina długą serię komicznych nakryć głowy.

- Czy mamy kogoś takiego jak d'Artagnan? Nikogo - zaprotestowała Roxy.

Kiedy Chester i Margeeve wracali pieszo do swojego hotelu, by przebrać się na kolację, Chester powiedział:

- Margeeve, nie uważam tego obrazu za swoją własność. Ty w ogóle nie widzisz istoty sprawy. Ten obraz kompletnie mnie nie obchodzi, nawet bym go nie rozpoznał.

Tak wypełniłyśmy ich czas różnymi zajęciami, że zaczęli stawiać opór, zapewniając nas, że chcieliby sami zwiedzić pewne miejsca, z powodów turystycznych i nostalgicznych, i w żadnym wypadku nie potrzebują naszej pomocy. Niemniej mieliśmy pójść na kolację do pani Pace i pojechać na niedzielny obiad do Persandów oraz pójść na odczyt w Town Crier i na koncert do amerykańskiego kościoła. Tego wieczoru wszyscy byliśmy umówieni na kolację z Rogerem i Jane w ich hotelu.

Ten sam efekt obcości zabarwiał także Rogera i Jane, może nawet wyraźniej niż w wypadku Chestera i Margeeve, pewnie dlatego, że w mojej pamięci zapisali się bardziej jako moje rodzeństwo, a nie ludzie dorośli, a teraz widziałam parę poważnych, zamożnych Amerykanów, którzy swobodnie czują się w zagranicznych hotelach. Zamówili pokój w George V modnym hotelu w stylu kalifornijskim przy Avenue George V - mówię w stylu kalifornijskim, ponieważ ciągle muszę sobie powtarzać, że nasze hotele są naśladownictwem tutejszych, a nie na odwrót.

Włożyłam buty na wysokim obcasie i wzięłam ze sobą Kelly. Ściany w ich pokoju były obite turkusową tkaniną rozciągniętą wewnątrz ozdobnych ram, telewizor skrywał się we wnętrzu zabytkowej szafy. Roger i Jane wyglądali w tym otoczeniu na stałych bywalców i nagle uświadomiłam sobie, że mój brat jest wziętym prawnikiem i jak przystało na wziętego prawnika, ma na sobie elegancki ciemny garnitur. Dotarło do mnie, że musi zarabiać masę pieniędzy.

Zaczęliśmy od drinków, przy czym Roxy uparła się przy porto, o które tylko Francuz albo Francuzka poprosiliby przed kolacją, i najwyraźniej zrobiła to jedynie po to, żeby ich wprawić w zakłopotanie i zaszokować faktem, że jako *Frangaise* może pić alkohol w czasie ciąży.

- Chciałbym powiedzieć wam najpierw, jak mają się sprawy z obrazem - zaczął Roger. - Spędziłem całe popołudnie w biurze firmy Duncan, Cribbe & Crutcher, która nas tutaj reprezentuje. Złożyli już we francuskim sądzie wniosek o wstrzymanie sprzedaży do czasu, aż amerykański sąd będzie mógł rozstrzygnąć stan prawny obrazu jako własności małżeńskiej. Sąd francuski nie wydał jeszcze

postanowienia. Następnie tenże sąd będzie musiał wyrazić zgodę w sprawie jurysdykcji, ale przynajmniej do tego czasu nic nie może się wydarzyć. Ciekawy szczegół - w DCC znają męża tej kobiety, z którą zadaje się Charles-Henri.

- Magda - powiedziała Roxy. <•

- Ktoś z EuroDisney i najwyraźniej wkurzony jak diabli, nie zamierza dać jej rozwodu, ale to jest jego problem, nie nasz.

- Chcesz powiedzieć, że nie dojdzie do sprzedaży w następny piątek? - spytała Margeeve.

- Możliwe, że do tego czasu wydadzą postanowienie z zastrzeżeniem, że sprawa jest w toku. Muzea często biorą różne rzeczy obciążone takimi warunkami.

- Muzea? - powtórzyliśmy zdumieni. Po raz pierwszy ktoś wspominał o muzeum od czasu, gdy Luwr potraktował nasz obraz tak lekceważąco.

- To nie jest niemożliwe - wyjaśnił Roger. - W każdym razie na podstawie tego, co mi mówiono. Jakieś muzeum może chcieć kupić ten obraz. - Wydawało się, że ta wiadomość była szczególnie ekscytująca dla Margeeve.

W sali restauracyjnej przestudiowaliśmy długie i ozdobne menu.

- Można tutaj pić wodę z kranu? - spytała nagle Jane.

- Jasne, oczywiście, to nie Stambuł - powiedziała Roxy i zmarszczyła brwi, jakby wzięła to do siebie.

- Nie chciałabym od razu na starcie mieć kłopotów z żołądkiem. Wy prawdopodobnie jesteście przyzwyczajeni - rzuciła Jane.

- Naprawdę jest w porządku.

- To dlaczego wszyscy piją tutaj wodę butelkowaną? - Jane nie dawała za wygraną.

- Uważają, że to dobrze robi na nerki albo na żołądek - wyjaśniła Roxy - Chodzi o zdrowie. Tak wypada.

- Tak? No dobrze, to weźmy coś butelkowanego - powiedziała Jane ostrożnie.

Kiedy patrzyłam na tę rodzinę, moją rodzinę, jak siedzą odszykowani w swoich najlepszych ciuchach w eleganckim otoczeniu hotelowej restauracji, poczułam, że wcale nie doprowadzają mnie do

szau, jak to się zwykle dzieje, oczywiście z wyjątkiem Jane. Zupełnie jakby odrobinę przytłaczająca obecność kelnera, złoconych boazerii oraz *foret* w *verres* *fourchettes* powlekała moją rodzinę swego rodzaju chwilową kosmopolityczną patyną. Nawet Jane mniej wyglądała na panią psychiatrę niż w tych swoich sukienkach a la Greer Garson w roli madame Curie; teraz miała francuską, krótką sukienkę, pończochy, dobrą fryzurę i złoty naszyjnik - wyglądała całkowicie po francusku. Nasze spojrzenia mówiły, że nie możemy być takimi kompletnymi wsiowymi idiotami, skoro my dwie z rodziny mieszkamy w Paryżu. Pomyślałam cieplej o nas wszystkich, choć zmierzyli mnie spojrzeniem, gdy zwróciłam uwagę, że *tourtiere* to nie żółw. Oczywiście zadawali sobie pytanie, skąd Isabel może wiedzieć takie rzeczy. Ale przecież nie powiedziałam im - bo i jak miałabym to zrobić - że przypuszczalnie zwiedziłam więcej eleganckich francuskich restauracji niż oni wszyscy razem.

Na koniec Roger, płacąc rachunek, oświadczył:

- Napiwek jest wliczony w cenę.
- Niemniej coś należy zostawić - dodałam.
- Nie. Na tym właśnie polega włączanie napiwku w cenę, uważam, że to bardzo rozsądny system - odparł Roger.
- Może dwadzieścia franków - poparła mnie Roxy.
- Do diabła, dodali już piętnaście procent - zawarczał Roger.
- Może w jakimś skromniejszym miejscu coś się zostawia Isabel, ale tutaj, gdy zapłaciliśmy fortunę za kolację... - powiedziała Margeeve.
- Prawie siedemset dolarów, jeśli mogę zauważyć - uściślił Roger lekko drżącym tonem.
- Mam kilka dziesiątek. - Roxy pogrzebała w torebce i podała mi trzy monety *dix-franc*. Położyłam je na małej tacy obok rachunku. Roger zacisnął zęby, a Chester wydawał się nieco zakłopotany. Wiedziałam, że Edgar zostawiłby w tych okolicznościach ze sto franków, ale kto by się tam ze mną liczył?

ROZDZIAŁ 28

Ach! Nie powierzajcie nikomu obrony swego serca; tylko ono samo może bronić własnej sprawy: tylko ono samo zdolne jest zgłębić swe rany.

Adolf

- To ja, renegatka Charlotte - powiedziała wesołym tonem Charlotte de Persand Saxe przez telefon w piątek późnym popołudniem. Roxy zabrała Chestera i Margeeve do *creche*, żeby przedstawić ich jako *responsables*, osoby upoważnione do odbierania Gennie.

- Roxy nie ma w domu - wyjaśniłam. - Jak się masz? Jesteś w Paryżu?

- Dzwonię do ciebie. Tak, wpadłam w drodze do Lyonu. Pomyślałam, że może spotkałybyśmy się na małą kawę? Chętnie usłyszałabym jakieś rodzinne wieści.

To było raczej zaskakujące, ponieważ wydawałoby się, że jestem najgorzej poinformowaną osobą w całej rodzinie, która nie potrafiłaby zapewne odróżnić kłótni od żywej dyskusji przy stole. Na przykład nadal nie bardzo rozumiałam, jak się mają sprawy z Charlotte i jej mężem Bobem. To, co początkowo przedstawiano jako seksualny skandal - jej „romans”, jak to ujęła Suzanne, z Anglikiem - skurczyło się obecnie do mitu „pracy Charlotte w Londynie”. Bob pojawiał się od czasu do czasu na niedzielnych obiadach, a ich dzieci gościły tam całkiem często. Przestałam nawet mieć jakiegokolwiek pretensje do Charlotte w sprawie kota (w odróżnieniu od Roxy), ponieważ uznałam, że po prostu nie uchwyciłam, o co jej tak naprawdę chodziło. Nawiasem mówiąc, przyzwyczaiałam się, że jestem trochę na marginesie wydarzeń, i dawało mi to pewne wytchnienie,

może tak, jakby się było głuchym, gdy człowiek wędruje myślami, gdzie chce, nie zważając na to, co się dzieje wokół.

Spotkałyśmy się w Vues de Notre Dame.

- Nie jest łatwo żyć w Londynie - westchnęła, zapalając kolejnego papierosa, choć przed sekundą zgasiła poprzedniego, i robiąc zalotnie obrażoną minę do kelnera. Miałam wrażenie, że ma nieco jaśniejsze włosy i przybrała trochę na wadze.

- Anglicy mają tak mało wycucia *plaisir*, a poza tym tam jest strasznie szaro. Ale pracę mam interesującą. Tęsknię do dzieci, lecz przyjeżdżają do mnie na wakacje. Jak sobie radzisz z francuskim?

Słyszała o przyjeździe naszych rodziców. Słyszała o wypadkach związanych ze *Świątą Urszula*. Jej także nie podobało się to, że Antoine się wtracił, i martwiła się o Charles'a-Henriego.

Po czym nagle powiedziała, patrząc mi w oczy:

- Moja ciotka przyjeżdża na obiad w niedzielę. - W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co chodzi, i musiała to zauważyć, ponieważ pochyliła się ku mnie. - Zona mojego wuja Edgara, moja ciotka Amelie. Wiesz, cała rodzina aż huczy.

Czy wysłali ją po to, żeby mi powiedziała, że wiedzą o mnie i Edgarze? Co miałam zrobić? Krew odpłynęła mi z głowy i w pierwszym odruchu wyjąkałam:

- Czy myślisz... czy myślisz, że powiedzą moim rodzicom? - Po prostu żeby się odezwać. Nie obchodziło mnie, co powiedzą moim rodzicom, i tak nie mogłam ich niczym zaszokować. To ja byłam zaszokowana.

Jeszcze przed chwilą rozmyślałam o niej, o Roxy i Charlesu-Henrim. A teraz owładnęło mną poczucie przypominające ten moment, kiedy podczas surfowania morze wyniosło cię na ląd i fala bezpiecznie zostawiła cię na brzegu, po czym nagle morze się wycofuje, piasek pod twoimi stopami zmienia kierunek, woda wsysa cię z powrotem, szorując tobą o ostre grzbiety muszli, i tracisz grunt pod nogami. W tym momencie potężny, ciepły przypływ życia we Francji raptem zaczął ode mnie odpływać, czy też, by ująć to za pomocą innej metafory, jak w filmie odtwarzanym do tyłu, zobaczyłam nagle, jak gąszcz obrazów: *foie gras* i autobusy, koncerty w średniowiecznych

kościółkach i witryny sklepów z czekoladą niczym muzea, koronkowe, wysoko wcięte stringi - uciekając ode mnie, odsyła mnie z porwotem do głupawego filmu, którego akcja toczy się na plaży, jakim było moje życie w Santa Barbara.

A więc miałam to wszystko utracić. Strasznie obawiałam się chwili, w której Chester i Margeeve dowiedzą się, jak bardzo chora była Roxy, tymczasem powinnam się była lękać czegoś zupełnie innego. Moje życie miało legnąć w gruzach.

Czy to Edgara tak żałowałam? Wyglądało na to, że tak, właśnie jego, człowieka, którego kochałam i który kochał mnie, dopóki cała sprawa nie stała się zbyt kłopotliwa i nie zwróciła uwagi (pełnej rozbarwienia? irytacji?) jego siostry i żony, siostrzenic i siostrzeńców... Nawet w chwili paniki nie przyszło mi do głowy, tak jak nie popełniłam tego błędu, myśląc o tym później, gdy raz po raz wspominałam tę rozmowę, że Edgar będzie o mnie walczył albo zaryzykuje dla mnie spokój swojego poukładanego życia. Nie, znałam swoje miejsce. Byłam prostym jednokomórkowym stworzeniem, *au pairgirl*, młodszym graczem, którego nic nie chroni. Wiedziałam, że z takich jak ja się rezygnuje.

Oczywiście miałam nadzieję, że jednak będzie inaczej.

- Początkowo wydawało mi się to bardzo dziwne, a potem pomyślałam, nie, nie takie dziwne - mówiła dalej Charlotte, jeszcze bardziej zniżając głos. - Wiesz, mój wuj ma złą reputację. Przypuszczam, że jest atrakcyjny, ale chyba bardzo stary, nie?

Sceny migały mi przed oczami. Starszy mężczyzna i młoda kobieta w restauracji. On jest przystojny, ubrany starannie, z nieznaczną przesadą, pełne godności siwe włosy, może lekka otyłość, dłonie nieco zniszczone. To znana postać, ludzie na jego widok starają się sobie przypomnieć, gdzie go widzieli. Razem z nim młoda, uśmiechnięta kobieta, zgrabna, w czarnym kostiumie, włosy związane jak u baletnicy w węzeł na karku. Niezła szyja, dobry nos, dobry profil jak u damy. Droga torebka. Na zbliżeniu słyszymy, że rozmawiają o Prokofiewie. Byli na przedstawieniu baletowym. Ludzie, którzy się im przyglądają, nie mogą wiedzieć, że zamiast rajstop ona nosi pończochy przytrzymywane przez czarne, marszczone podwiązki oraz błękitną, koronkową bieliznę, *artillerie de nuit*, z której on pomoże się jej później uwolnić,

gdy będzie całował i pieścił *la foufoune*, a ona będzie całowała i pieściła *la bite*, i spędzą przyjemną godzinę złani potem, ale teraz nie zamierzają pominąć deseru. On zamówił *salade dagrumes*, ona wzięła *clafoutis*.

Czy są zakochani? Nikomu nic podobnego nie przysłoby do głowy, jeśli sądzić po ich radosnym, lekkim śmiechu. Być może każde z nich ma inną definicję miłości. Młoda kobieta uważa, że on jest mądry, dowcipny, ojcowski, obyty i wykształcony oraz że jest wspaniałym kochankiem. Jest przekonana, że on stanowi klucz do jej przyszłości, choć nie potrafiłaby powiedzieć, w jaki sposób ten mechanizm losu miałby zadziałać. Nie kocha go, dlatego że on ma nad nią władzę. Zwykle nie lubi ludzi, którzy mają nad nią jakąś władzę, nawet seksualną, sama woli być stroną dominującą. Ale on ma nad nią także władzę seksualną. Nie chodzi o to, że ona jest biema, ale to on ma pomysły i dyktuje rytm. To człowiek zmysłowy i potrafi nauczyć tego drugą osobę. Wcześniej robiła to na łapu-capu. On nie żałuje czasu i skupienia. Na przykład kiedy koncentruje się na fragmencie jej uda między górną krawędzią pończochy a samą *la foufoune*, na tej niewielkiej szczelinie u nasady nogi, zachowuje się, jakby wcześniej nigdy nie dotykał, nie całował i nie podziwiał podobnego miejsca, jakby nigdy nie widział niczego równie pociągającego.

Czy on jest w niej zakochany? Ona tego nie wie. On mówi, że to jedna z przyjemności okresu życia, w jakim się znalazł: móc zwracać uwagę na rzeczy, które zawsze cenił, ale nie miał czasu się nimi spokojnie zająć. Intensywne doznania, jakie następują po *quenelles de brocbet*, *saucie Nantua* i *nougatine glacee*, *coulis de framboise*, muzyka Prokofiewa, ekscytujące ciała tancerzy, splatają się ze sobą, taniec staje się rodzajem orgazmu, kolacja grą wstępną, całość rodzajem nałogu. Czy dobrze się bawiłaś w Paryżu, Isabel? Tak, bawiłam się bardzo, ale to bardzo dobrze w Paryżu.

Przyszło mi do głowy, że mogłam nie zrozumieć sensu słów „moja ciotka przyjeżdża na obiad”. Mogłam to zignorować. Ale tak bardzo chciałam powiedzieć Charlotte: „Kocham go!”. Czując, jak te słowa pojawiają się na moich wargach, niemal po raz pierwszy je pomyślałam. Zakręciło mi się w głowie od perfum i dymu papierosowego Charlotte. Mogłam w tej samej chwili zdać się cała na Charlotte

i spytać: Co mam teraz zrobić? Gdybym tak uczyniła, miałabym przynajmniej choć jednego sojusznika, nawet jeśli niezbyt mocnego, skoro Charlotte sama jest zakałą rodziny. Ale zabrakło mi przytomności umysłu, czułam jedynie strach przed niedzielnym obiadem i jak już mówiłam, poczucie straszliwej straty, niczym wtedy, gdy patrzysz, jak twój diamentowy pierścionek wpada do zlewu, i wiesz, że nic nie można zrobić.

Kiedy później myślałam o naszych chwilach we dwoje, o śmiechu, kolacjach, dyskusjach o Joubercie, widziałam, że nasza miłość miała własną, uchwytną historię, a jednocześnie była częścią jego dziejów niczym cenny element rodzinnych sreber - i wtedy powracała do mnie nadzieja.

Ale podczas rozmowy z Charlotte jakaś inna część mojej osoby pomyślała: „Czyż nie jestem wojowniczką? Czy nie tak zachowują się Amerykanie? Mam po prostu przestraszyć się Suzanne i żony Edgara i potulnie odejść?”. I w tej samej chwili pomyślałam: „Chyba oszalałam, jeszcze się nic nie stało, po prostu się uspokój”.

Zmieniłam więc taktykę.

- Myślę, że monsieur Cosset jest wielkim człowiekiem - przyznałam. - Wiesz, że często chodzę na jego publiczne występy? Chyba nikt nie sądzi, że jest coś w tym złego? Uważam, że jest on jedyną osobą, która coś robi w sprawie Bośni. Jego zdaniem Francja powinna interweniować i tak samo powinny zrobić Stany Zjednoczone...

To nieco otrzeźwiło Charlotte, widziałam, że zastanawia się nad swoim angielskim słownictwem. Co ja właściwie powiedziałam? Zapadła cisza.

- Nie poznałyśmy dotąd madame Cosset, chyba że Roxy ją wcześniej spotkała - mówiłam dalej. - Naprawdę podziwiam monsieur Cosseta, twojego wuja.

- Jego żona będzie tam w niedzielę - powtórzyła Charlotte - *Moi*, jadę do Lyonu, przykro mi, że nie poznam twoich rodziców.

W myślach krzyczałam: „Kocham go. Nie zrezygnuję z niego”. Do Charlotte powiedziałam:

- Miło będzie poznać twoją ciotkę.

ROZDZIAŁ 29

Następnego dnia była sobota i razem z Roxy zaproponowałyśmy Chesterowi i Margeeve wyprawę na Marche aux Pucés, czyli na pchli targ. Roxy uwielbia tam szperać, a i ja miałam pewną sprawę do załatwienia, choć nikomu o niej nie wspominałam. Nadal miałam nadzieję, że uda mi się kupić coś ładnego Edgarowi w prezencie na Gwiazdkę, co stało się tym pilniejsze, że zaczęłam sobie z pewnym fatalizmem wyobrażać, jak wręczam mu swój podarunek, dowiadując się właśnie, że nie możemy się więcej spotykać, jako pożegnalny prezent, dar na wieczną pamiątkę.

Okazało się, że Margeeve także miała długą listę drobiazków, które obiecała znaleźć na targu staroci dla swoich znajomych z Santa Barbara, i sami zamierzali się tam wybrać. Chester, choć oficjalnie nienawidził robienia zakupów, poszedł razem z nami, starając się jakoś nadrabiać miną. Pojechaliliśmy autobusem, co było łatwiejsze niż wyprawa metrem z Gennie i jej wózkiem spacerowym (*poussette*), emanując niewzruszonym optymizmem, jaki zawsze towarzyszy wyprawom w to dziwne miejsce, gdzie wszystko można znaleźć albo sprzedać - bębny, *bijowc*, dzinsy, afrykańskie osobliwości, porcelanę, drewniane wyposażenie całych wnętrz zerwane ze ścian starych zamków.

Według Roxy autobus linii 24 jest najlepszym autobusem na świecie. Z Place de la Concorde kieruje się na wschód, przedzierając się między Sekwaną a Luwrem. Na murach Luvru widać herby francuskich monarchów - wszystkich Ludwików, Napoleona i Napoleona UJ. Następnie zatrzymuje się przy domu towarowym Samaritaine, po czym przez Pont Neuf jedzie na Place Dauphine, gdzie można rzucić okiem na niezwykle mały park w kształcie ciasta,

w którym starsi panowie grają w *boules*, mija prefekturę policji, gdzie miał swoje biuro komisarz Maigret, po czym jeszcze raz przekracza rzekę niedaleko Notre Dame i jedzie wzdłuż Boulevard Saint-Germain do jej przystanku przy Place Maubert.

Roxy zawsze zabiera swoich gości odwiedzających ją w Paryżu, krewnych albo dawnych kolegów ze szkoły, na przejażdżkę autobusem linii 24 i chociaż zawsze im się to podoba, chyba nikt nie cieszy się z tej wyprawy tak bardzo jak ona. Za każdym razem czuje się niemal upojona z rozkoszy na myśl, że może przejeżdżać autobusem obok miejsca, w którym Pierre Curie zginął pod kołami powozu, albo obok miejsca, w którym Marie Antoinette oczekiwała na egzekucję i gdzie wcześniej maszerowali Rzymianie. Albo że może mieszkać wśród ulic, którymi kiedyś chodził Abelard, w czasach Chaucera, kiedy kompletnie nic się nie działo w Santa Barbara, w Kalifornii, gdzie historia w ogóle jeszcze się nie zaczęła.

W pewnym sensie to było interesujące oglądać Paryż oczami Chestera i Margeeve. Wyglądało na to, że są gotowi polubić to miasto, ale nie czuli zbyt wielkiej sympatii do Francuzów, zwłaszcza Margeeve.

- To naprawdę przerażające, że żebracy muszą tutaj klęczeć, w pozie chrześcijańskiej suplikacji, z rękami złożonymi jak do modlitwy. To straszne. Najwyraźniej, zanim dadzą ci pieniądze, musisz pokazać swój żałosny, beznadziejny upadek.

- Nasi po prostu mówią: pieprzę cię, daj mi forszę - oświadczył Chester.

- Można powiedzieć, że nasi mają godność - stwierdziła Margeeve.

- Lubimy, żeby nasi zachowywali się agresywnie, dzięki czemu możemy spokojnie ich nienawidzić i nie mieć poczucia winy za ich los - zaprotestował Chester.

- To obłuda domagać się od żebraków, żeby demonstracyjnie pokazywali swoją udękę - powiedziała Margeeve.

- Mają tu bardzo mało bezdomnych - wtrąciła się Roxy. - Tutejsze społeczeństwo nie żałuje pieniędzy i wprowadzili liczne zabezpieczenia socjalne.

- Ale te wszystkie kobiety żebrzące z małymi dziećmi na kolanach... - mówiła dalej Margeeve. - To przerażające, jak można w takim celu unieruchamiać małe dzieci na wiele godzin.

Przebywając w ich towarzystwie, uświadomiłam sobie, jak wiele rzeczy zaczęłam rozumieć i uważać za oczywiste, chociaż początkowo na pewno musiały wydawać mi się dziwne. Na przykład kiedy jechaliśmy autobusem na pchli targ, Chester nagle powiedział:

- Czy to was nie dziwi? Tak sobie spokojnie siedzicie?

Rzeczywiście, autobus od pewnego czasu stał na ulicy, nie mogąc ominąć zaparkowanej furgonetki. Obie z Roxy nawet tego nie zauważyłyśmy. Roxy rozmawiała z Margeeve, a moje myśli wędrowały w stronę jutrzejszego obiadu u Suzanne. Tutejsze autobusy nigdy nie jeżdżą zbyt szybko.

Nie przejmowałam się spotkaniem z żoną Edgara, Amelie. Nie stanowiło to dla mnie problemu. W końcu żona, z którą jest od trzydziestu lat, kobieta według moich obliczeń między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką reprezentuje - co właściwie? Nic, co by mogło mnie zainteresować, ale także nie jest żadnym zagrożeniem dla mnie. Jednak to niedzielne zgromadzenie przy stole jawiło mi się jako trybunał złożony z sędziów oceniających moje postępowanie i potępiających mnie w swoim, obcym dla mnie języku, Jezebel / Isabel. Edgara przypuszczalnie nawet tam nie będzie. Byłam całkowicie pochłonięta przez te rozważania, gdy mój ojciec nerwowo wiercił się na swoim siedzeniu.

- Stoimy tu już dziesięć minut - powiedział.

Zorientowałyśmy się, że ma rację. Za nami uformował się sznur samochodów, zdenerwowani ludzie wychylali się z okien, trąbiły klaksony. Jakiś człowiek w swego rodzaju militarnym uniformie mówił coś przez okienko do kierowcy autobusu, pokazując coś wymownymi gestami, na co kierowca autobusu zareagował gniewnie.

- *Passer? Pewc pas* - rzekł wojowniczo. - *Demandez mon nom.*

Roxy przełożyła ich dialog na użytek Chestera i Margeeve. Chester wiercił się i narzekał na głupotę kierowcy furgonetki. Roxy roześmiała się, słysząc Chestera w tej typowej dla niego tyradzie, i powiedziała:

- Strasznie się cieszę, że tu jesteście.

Zaskoczyło mnie jednak, jak bardzo obie z Roxy przyzwyczyłyśmy się do autobusów stojących w korkach, nawet przestałyśmy to zauważać.

Nasi rodzice nieustannie uświadamiali nam, że obie szalenie się zmieniłyśmy, jak choćby w tym momencie, i cały czas robili różne uwagi na temat mojego stroju, który prawdę mówiąc, wcale tak bardzo się nie zmienił, jeśli uwzględnić różnicę w klimacie itd., a w każdym razie tak mi się wydawało, choć rzeczywiście miałam teraz kilka sukienek. Z ich słów mogłam się domyślić, jak wyglądałaby ich rozmowa za moimi plecami.

- To zabawne, Roxy wcale się nie zmieniła, ale Iz bardzo - powiedziałyby Chester.

- Tak, ale Iz miała dłuższą drogę do przejścia. Roxy w pewnym sensie zawsze była sobą, niezależnie od tego, w jakim stanie się teraz znalazła, w ciąży i porzucona przez męża.

- Ona wygląda tak... mam na myśli Iz.

- *Soignee*, tak to się nazywa po francusku - odparłaby Jane. Jane zna francuski.

- Kompletnie mnie to zaskoczyło. Skąd to się bierze?

- Zawsze lubiła być na czasie, a tutaj być na czasie to znaczy być *soignee*. (Margeeve).

- Wygląda jak gwiazda jakiegoś brytyjskiego filmu pornograficznego, wiesz, piękna, okrutna pokojówka, ze związanymi włosami, do tego prosta, krótka, czarna sukienka - zauważyłby Roger. (W rzeczywistości te słowa pochodziły od Yves'a).

- No nie wiem, trudno powiedzieć. Nigdy nie widziałem brytyjskiego filmu pornograficznego. (Chester).

W każdym razie pod wpływem ich spojrzeń czułam się, jakby naprawdę przypuszczali, że w wolnych chwilach biorę udział w filmach pornograficznych. Mieli w oczach jakąś mieszaninę zdumienia, nieufności i nadziei, jak gdyby mój wygląd i francuskie zwroty, jakimi od czasu do czasu rzucałam, były zbyt dobre, by mogły być prawdziwe, i z tego powodu przypuszczalnie należało nad nimi ubolewać.

Roxy ma dość wzdorliwy stosunek do targu staroci jako świadectwa niesłychanego wręcz ludzkiego materializmu, o jakim nawet nam się nie śniło, dopóki nie znaleźliśmy się we Francji. Myślę jednak, że Ameryka po prostu jako kraj dość młody nie zdążyła zgromadzić tych wszystkich przedmiotów. A w dodatku tyle wśród nich brzydoty! Choć muszę przyznać, że moje oko powoli zaczęło się przyzwyczajać do pater z brązu, kupidynów z gipsu, w nieskończoność naprawianych półmisków, zawiasów, materaców, dżinsów, setek lusterek wydartych z oprawy kominków w całym Paryżu, marmurowych popiersi, podartych płócien, kandelabrow, medalionów, siedemnastowiecznych druków (specjalność Amesa Everetta), lamp w stylu art deco, rzeczy, które kosztują tysiące dolarów, i mnóstwa innych kosztujących co najmniej trzydzieści franków. Od dawna przyzwyczałam się myśleć we frankach.

Chester i Margeeve, lekko zdeorientowani, nie wiedzieli, czy reagować na to wszystko niechęcią czy zachwytem, czy raczej jednym i drugim, dzięki czemu mogli swobodnie cieszyć się szaleństwem pchlego targu ze świadomością, że czegoś takiego nie znajdą w Kalifornii, tak jak Francuzi reagują na Las Vegas - mówią, że jest zachwycające, ale nie chcieliby mieć go we Francji. Razem z Roxy mogłyśmy więc obserwować ich zdumienie, gdy przemierzaliśmy hektary alejek zastawionych afrykańskimi rzeźbami, starymi ubraniami, milionem wazonów i statuetek. Podoba mi się myśl, że rzeczy nie umierają, lecz żyją dalej i poddane recyklingowi mają pewien rodzaj nieśmiertelności, ale Roxy nie znosi tego, że ich właściciele umierają, i mówi, że przedmioty żyjące dłużej niż ich właściciele wprawiają ją w przygnębienie.

- Przedmioty powinny popełniać samobójstwo - stwierdziła.

- Zgadza się - oznajmiła Margeeve, ale Chester zaprotestował, mówiąc, że przedmioty często są talizmanami i mają wartość pamiątkową, dzięki czemu zachowuje się pamięć o ich właścicielach. Lubiłam, kiedy nasi rodzice wdawali się w takie rozmowy, dyskutując żywo o niczym. Spędzaliśmy przyjemne popołudnie, przechadzając się po pchlim targu niczym rodzina zwykłych, amerykańskich turystów, niepomni czekających nas jutro trudnych chwil, bolesnych

realiów międzynarodowego sporu prawnego i rozczarowania, jakie wisiało nad Roxy, tragedii i śmierci.

- Można zrozumieć, czemu zbierają te wszystkie śmieci - powiedziała Margeeve - mieli tyle wojen. Kiedy człowiek traci wszystko, znaczenia nabierają najmniejsze drobiazgi.

Roxy roześmiała się na te słowa, choć nie bez pewnej goryczy. W końcu Margeeve pierwsza coś kupiła, niewielką broszkę z wizerunkiem Charles'a de Gaulle'a. To zabawne, że właśnie ona miała ochotę na coś takiego.

Podczas gdy pozostali poszli na lunch, postanowiłam znaleźć człowieka od wazy w stoisku H. Martin na Marche Paul Bert. Cieszyłam się, że mogę na chwilę uwolnić się od nich i zastanowić nad jutrzejszym spotkaniem z żoną Edgara. Wiedziałam, że nazbyt dramatyzuję, wyobrażając sobie straszną scenę publicznego potępienia, wyrzeczenia się, wyrzuty oburzonej żony i przykry wstrząs, gdy Edgar oświadczy, że między nami nic nie było. Ból spodziewanej udręki jest zwykle gorszy niż rzeczywistość. Wyobrażałam sobie zakłopotanie moich rodziców, szyderstwa Roxy, rozczarowanie Suzanne. W centrum tych wszystkich obrazów tkwiła jednak za każdym razem obojętność Edgara. Nowa myśl, że wcale nie kochał mnie tak bardzo jak ja jego, wzmagająca tylko moją namiętność, sprawiając, że tym boleśniejsza była pewność jej końca, jutro albo wkrótce.

Pod wpływem takich myśli do głosu zaczęła dochodzić bardziej wojownicza strona mojej natury i kiedy tak wędrowałam *allees* pchlego targu - podczas gdy Roxy, Jane i nasi rodzice wybrali menu za sześćdziesiąt siedem franków w Resto Pericole i rozptywali się nad doskonałością jagnięciny, miękkością fasolki, skromną ceną i zaskakującą życzliwością kelnera wbrew temu, co się słyszało, podczas gdy Jane jako weganka zjadła *tourte au Maroilles* od Margeeve i wszystkie *crudites* - moja wojownicza strona postanowiła, że nie zamierzam po prostu się poddać.

- Oczywiście, że panią pamiętam, moja droga - powiedział sprzedawca. - Myślę, że już niedługo ta waza znajdzie się moich rękach. Bardzo kosztowna rzecz, proszę być na to przygotowaną. Zadzwoń do pani za kilka dni.

- Myślę, że będę miała trochę pieniędzy - wyjaśniłam. Cała złożona intryga nadal nie była dla mnie zbyt jasna, ponieważ gdyby było inaczej, oczywiście ostrzegłabym panią Pace.

W drodze do domu wdaliśmy się w ożywioną rodzinną kłótnię w autobusie. Być może Chesterowi i Margeeve, którzy przez całe życie mówili do nas „ciiii...”, wydawało się teraz, że nie będziemy ich rozumieć, ponieważ mówią po angielsku.

- Myślę, że powinniśmy wycofać obraz z aukcji, zwinąć go, włożyć do walizki i zabrać ze sobą - zaczęła Margeeve. Słyszałam drżenie emocji w jej głosie. Może poruszyło ją coś na targu staroci i wytrąciło z równowagi. Nawet Chester patrzył na nią z niejakim zdziwieniem.

- Jak mogliby nas powstrzymać? Jest nasz. Po prostu pójdziemy do domu aukcyjnego i go weźmiemy - mówiła dalej. (Prawdę mówiąc, sama o tym myślałam, żeby uratować go dla Roxy).

Chester rozglądał się niespokojnie, Roxy siedziała naburmuszona.

- To moje życie - odpada. - Na pewno nie zamierzam zostać przestępczynią. Muszę tutaj żyć.

- **La France** i tak nie będzie nas ścigać z tego powodu - powiedziała Margeeve. - Isabel może po prostu go przywieźć.

- Nie wracam do domu - oświadczyłam.

W tym momencie wszyscy wsiedli na mnie.

- A co będzie, jak skończą ci się pieniądze? Pozwolenie na pracę? Zielona karta? - A przede wszystkim: - Dlaczego?

Wyglądało na to, że Roxy jest zadowolona, że ściągnęłam na siebie ich uwagę.

- Zaczyna mi się tu podobać - odpowiedziałam. - Przyjechałam tu, żeby się dowiedzieć czegoś o Europie i nauczyć francuskiego, i to właśnie robię.

- Och, kochanie - odezwała się Margeeve, dziwnie pocierając oczy.

- Poza tym mogę tu robić rzeczy, których nie mogę robić w domu - dodałam.

- Na przykład? - spytali szczerze zdumieni, choć można by pomyśleć, że to oczywiste.

- Muzyka - powiedziałam. - Wystawy sztuki.
- Mamy muzykę i wystawy sztuki, może na mniejszą skalę, ale są w porządku - zaprotestował Chester.
- Na przykład niedawno byłam na koncercie Stockhausena w centrum IRCAM, części Centrum Pompidou - powiedziałam.
- Stockhausen! Stockhausen! - Najwyraźniej podziątało to na Chestera jak czerwona płachta. - Myślisz, że nigdy nie było muzyki Stockhausena w Santa Barbara, w Kalifornii, tak? Tak ci się wydaje? A może po prostu nigdy nie udało nam się wyciągnąć ciebie na coś w tym stylu?
- Za to wy cały czas chodzicie na koncerty Stockhausena - odpaliłam.
- Stockhausena, Beethovena, ani razu cię tam nie widziałem. Centrum handlowe i Klinika Świadomego Rodzicielstwa.
- Coś takiego - powiedziała Margeeve.

Zjedliśmy kolację u Roxy, bez Rogera i Jane, którzy wybierali się do Taillevent z jakimiś znajomymi prawnikami. Dość wcześnie poszłam do siebie na górę, ponieważ chciałam się od nich uwolnić. Był sobotni wieczór. Często zostawałam teraz w domu w sobotnie wieczory, opiekując się Gennie. Roxy otrzymywała zaproszenia do znajomych, a Edgar jechał do siebie na wieś. Trochę czytałam i malowałam paznokcie. Rozmyślałam na temat obrazu i zastanawiałam się, czy, jak sugerowała Margeeve tego popołudnia, nie można go po prostu zabrać. W pewnym przemówieniu Edgar powiedział: ***Joubert disait: „Cest la force et le droit qui reglent toutes choses dam la monde; la force en attendant le droit”.***

Zapisałam te słowa w idiotyczny, fonetyczny sposób, tak jak słyszę francuski, a potem spytałam o ich sens. Czy dobrze zrozumiałam? Siła i racja rządzą światem? Siła w służbie prawa, przedumaczył.

- To cię martwi, ***cherie?*** To brzmi jak faszyzm?

Około jedenastej, gdy tylko położyłam się do łóżka, pod wpływem dziwnego podniecenia i obaw przed jutrzejszym obiadem w Chartres znowu poczułam głód i pomyślałam o jabłkach leżących na kredensie u Roxy. Pomyślałam o tym, żeby zabrać obraz. Pomy-

słałam o jabłkach. Ponieważ mój pokój jest na czwartym piętrze na poddaszu, a Roxy mieszka na pierwszym, lepiej dwa razy się zastanowić, zanim człowiek zejdzie na dół wąskimi schodami. Wierciłam się, przewracałam, pracowałam nad swoim francuskim:

Est-ce que vous travaillez a San Francisco? Oui, j'y travaille.

Est-ce que vous cherchez un menuisier? Oui, fen cherche.

Est-ce que vous donnez les clés a la dame? Oui, je les lui donne.

Głód albo niezdecydowanie nie dawały mi zasnąć, leżałam więc, zastanawiając się, czy warto wstawać i schodzić na dół tylko po jabłko, choć jak wiadomo, gdy taki pomysł raz przyjdzie ci do głowy, lepiej od razu wstać i nie czekać. W końcu podniosłam się z łóżka.

Mam teraz satynową koszulę nocną i *negligee* - jedwabne kimono w kwiaty obszyte koronką - ale nie nadawało się do wyjścia w nim na schody. Czytałam wszystkie książki, jakie znalazłam na temat życia utrzymanek. *Gigi, Nana, Blaski i cienie życia kurtyzany, Dama kameliowa*. Nie chodziło o to, że byłam utrzymanką, ściśle biorąc nie byłam, ale też nie dzieliliśmy po połowie rachunku po kolacji. W jednej z książek - muszę przyznać, że żadna z nich nie zachęca do tego niepewnego, ryzykownego stylu życia - znalazłam nawet rozmaite porady na temat bielizny, to właśnie stamtąd wzięłam wyrażenie „artyleria nocy”. Co nie znaczy, że kiedykolwiek spędziłam całą noc z Edgarem.

Tak czy inaczej, włożyłam płaszcz na moją „artylerię nocy” i wyszłam na schody. Była północ. Z ulicy dobiegały jakieś wesołe głosy. Mademoiselle Lavois z drugiego piętra prowadzi, jak ujmuje to madame Florian, *vie irreguliere*. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by znaleźć się gdzieś indziej, na przykład w Kalifornii, zamiast siedzieć głodna w domu w sobotni wieczór i w środku nocy schodzić po jakichś zimnych paryskich schodach po żałosną odrobinę jedzenia.

Nie włożyłam butów, więc jak przypuszczam, schodząc, nie wydawałam żadnych odgłosów - po sławnych schodach, po których *pompiers* znosili Roxy i gdzie, jak mi się wydawało, nadal można było dostrzec ciemne plamki krwi. Miałam w ręku klucz do mieszkania Roxy, ale jej drzwi były otwarte. Roxy, stojąc w drzwiach, rozmawiała z jakimś mężczyzną odwróconym do mnie tyłem i początkowo

pomyślałam, że to Chester albo Roger, a nawet Charles-Henri. Oboje jednocześnie uświadomili sobie moją obecność, mężczyzna odwrócił się. Widziałam go po raz pierwszy. Zatrzymałam się.

- *Allez, donc, bonsoir* - powiedział do Roxy, po czym pocałował ją trzy razy w policzek, oznaka wielkiej sympatii, i szedł na dół.

- Iz! - odezwała się Roxy. - Wydawało mi się, że kogoś słyszę.

- Umieram z głodu - powiedziałam. - Przyszłam po jabłko. Kto to?

- Maitre Bertram, mój *avocat* - odparła tonem udawanej niefrasobliwości, który ucinał sprawę. Dość zabawna godzina na wizytę prawnika.

- Przyjemne popołudnie - rzekła Roxy. - Chyba się dobrze bawili. Cieszę się, że w końcu mam ich tutaj u siebie. -

- Tak mi się jakoś wydawało - powiedziałam.

- Tylko nie chcę, wiesz, żeby narobili zamieszania, na przykład jutro przy obiedzie. Po prostu nie pozwól im, żeby znowu zaczęli mówić o obrazie albo rozwodzie, albo czymś takim.

- Jakbym to ja zawsze prowadziła konwersację. - Roześmiałam się.

- Ale gdyby o tym wspomnieli.

Lubię taki moment w powieści *Słońce też wschodzi*, gdy Jake Barnes mówi na temat życia: „Nie obchodziło mnie, o co w tym wszystkim chodzi. Chciałem tylko wiedzieć, jak z tym żyć”. Wokół mnie było tyle zagadek, że czułam się jak on. Mogłabym chyba policzyć na palcach jednej ręki wszystkie swoje bezsenne noce, zwykle z powodu bólu żołądka, ale to była jedna z tych bezsennych nocy, podczas której przed oczami przesuwwały mi się rozmaite obrazy - Roxy i maitre Bertram w takiej zażyłości, nasi rodzice w Paryżu, fotografia wazy pani Pace na targu staroci i jutrzejszy niedzielny obiad, podczas którego zostanę w jakiś sposób zdemaskowana. Jako kto? Głupia, młoda kobieta, która przysparza kłopotów, niemądra i żywiąca się złudzeniami, wykorzystująca mężczyzn (Kelly), łatwowierna, pozbawiona skrupułów... Która z tych cech, jakie można mi przypisać, czy raczej jakie sama sobie przypisałam, bolała mnie najbardziej? Oczywiście myśl, że jestem głupia. Ale na czym miała, ma polegać ta moja głupota? Każdy może się zakochać, nawet jeśli to niestosowne czy nie-

prawdopodobne, ale nie sposób nad tym w pełni zapanować. Czy zakochałam się w Edgarze? Ciągłe wracałam do tego pytania, ponieważ nie miałam pewności, mimo że tak mi się wydawało. Dzieliła nas zbyt duża różnica wieku, kultury, sytuacji społecznej, by można było tak powiedzieć bez zastrzeżeń.

A do tego jeszcze ta fotografia, zdjęcie wazy znowu nie dawało mi spokoju.

Francuzi mówią zawsze „to prawda” (*c'est vrai*) albo „to nieprawda”. Prosty sposób patrzenia na różne sprawy. Ale nie wyjaśniają, jak zachowywać się w obliczu prawdy. Czy człowiek musi się wobec niej ugiąć, czy stawić opór? I czy można wszystko wyjaśnić w ten sposób? Na przykład Charles-Henri już nie kocha Roxy, *c'est vrai*, ale co z maitre Bertramem?

ROZDZIAŁ 30

Niech będzie błogosławione Najświętsze Serce Jezusa, niech będzie uwielbione, otoczone chwałą i miłością niezmiennie teraz i przez wszystkie wieki wieków. Święte Serce Jezusa, módl się za nami. Święty Judo, cudotwórco, módl się za nami. Święty Judo, pocieszycielu tych, którzy prawie stracili wszelką nadzieję, módl się za nami.

Odmawiaj tę modlitwę dziewięć razy dziennie przez dziewięć dni, a twoje modły zostaną wysłuchane. To nigdy nie zawodzi. Musisz w gazecie zamieścić publikację.

Prawie nie widywaliśmy Rogera od chwili jego przyjazdu. Pracowicie spędził cały piątek wśród francuskich prawników i amerykańskich prawników działających we Francji, a w sobotę, zamiast pojechać z nami na pchli targ, poszedł do Luwru; niemniej ogłosił, że chce z nami porozmawiać przed wyjazdem na niedzielny obiad do Chartres. Razem z Jane zjawili się u Roxy w niedzielę o dziesiątej. Margeeve i Chester przyszli ze swojego hotelu na He Saint-Louis, szczęśliwi jak podczas miodowego miesiąca. Roxy zaparzyła kawę i wszyscy zebraliśmy się w salonie, w którym wyraźnie czegoś brakowało nad kominkiem.

- Chciałbym najpierw zarysować sytuację - zaczął Roger. - Wydaje się prawdopodobne, że uda nam się zatrzymać piątkową sprzedaż. Zdarza się, że w ostatniej chwili dochodzi do interwencji, ludzie z domu aukcyjnego po prostu ogłaszają, że obraz został wycofany. Nie wiem, czy ostrzegli głównych klientów, którzy przyjadą z zagranicy. To sprawa numer jeden, powstrzymanie sprzedaży. Numer dwa, kwestia własności musi zostać dopiero rozstrzygnięta w związku z pozwem złożonym przeze mnie i Isabel, i oczywiście

przez tatę. Czy obraz należy do Roxy, czy został jej jedynie przez nas wypożyczony? Rodzina Persandów w pewnym sensie narzuciła sprawę podziału majątku, zakładając, że obraz należy do Roxy, a tym samym do Roxy i Charles'a-Henriego. Ale to nie jest rozstrzygnięte. Nawet w świetle prawa francuskiego. W Kalifornii z całą pewnością obraz nie wchodziłby w skład wspólnej własności.

- Jednocześnie niewykluczone, że zrobili nam pewną przysługę, w tym sensie, że obraz pojawił się na rynku, rozszła się wiadomość i najwyraźniej są oznaki zainteresowania ze strony muzeów i handlarzy dzieł sztuki. Wiemy już, że jest wart więcej, niż nam się wydawało. Takie sprawy zwykle mają tendencję do nasilania się. Ostatecznie może być wart o wiele więcej, niż sądziliśmy. Wygląda na to, że Antoine de Persand przyprowadził kogoś z Luwru, żeby go obejrzał. Byłaś tam wtedy, Isabel, prawda?

- Szczerze mówiąc, Roger - wtrąciła się Margeeve, która w tej chwili najwyraźniej błędziła myślami gdzie indziej, jeśli sędzić z jej dziwnego sposobu mówienia - skoro, jak podkreślasz, w Kalifornii obowiązuje wspólnota majątkowa, to ten obraz w połowie należy do mnie, a dopiero potem do ciebie i Isabel.

Na moment zawahał się, zastanawiając się nad sensem, a przede wszystkim tonem jej słów, niepewny, czy przypadkiem nie chodzi o jakąś nieoczekiwaną chciwość ze strony Margeeve. Jednak wyglądało na to, że jedynie starała się bronić moralnego prawa Roxy do zabrania obrazu ze sobą. Pomachała rękami, dając do zrozumienia, że nie ma nic więcej do dodania, i usiadła głębiej w fotelu.

Po czym Roger odpowiedział na jej zastrzeżenia:

- Nawet jeśli Chester odziedzyczył obraz po zawarciu małżeństwa, nie jesteś uprawniona do połowy jego wartości w ramach wspólnoty, ponieważ wchodzi w obręb spadku. Poza tym nie zamierzasz chyba pozywać Roxy, nawet formalnie, więc odradzałbym, żebyś była stroną w tej sprawie.

- Oczywiście, to niedorzeczne - powiedziała Margeeve. - Nie zamierzam pozwać nikogo z was. - Znowu zapadła się w fotelu. Czy była rozczarowana?

Roger mówił dalej.

- Luwr. Gdyby Luwr rzeczywiście chciał mieć ten obraz, mogliby poprosić Ministerstwo Kultury o odmowę wydania zgody na wywóz. Francuskie obrazy należące do pewnych kategorii nie mogą opuścić kraju. Dziedzictwo narodowe. Ale to nie dotyczy tej sprawy. Na szczęście dla nas, ponieważ w innym wypadku ograniczyłoby liczbę chętnych do zakupu, wyłączając Amerykanów, *J&R* pończyków.

- No nie, to niesłychane, nasz obraz, który wysłailiśmy do Francji... - zaczęła znowu Margeeve. - Jakim prawem mówią nam, że nie możemy go zabrać z powrotem do domu?

- Moje działania zmierzają do tego, byśmy wykorzystali tę sytuację i tak czy inaczej sprzedali obraz. Najlepiej w Londynie. Odrobiłem małą pracę domową. Jest pewne zainteresowanie, wiadomość się rozeszła, moment na rynku jest dobry. Londyn ma pewne dodatkowe zalety, zwłaszcza podatkowe. Skontaktowałem się więc z domem aukcyjnym Christie's, wiecie, jak w Sotheby's i Christie's? Jutro mamy lunch z facetem z Christie's, w każdym razie ja mam, ale wy też powinniście przyjść, tato i Margeeve. Z faktyczną sprzedażą trzeba będzie poczekać, dopóki nie zostanie rozstrzygnięta kwestia własności, ale tymczasem obraz znajdzie się poza Francją, a to, jak sądzę, będzie rozsądne na wypadek, gdyby zmieniono zdanie w sprawie naszego prawa do wywozu.

- A co będzie, jeśli nie zdołasz powstrzymać sprzedaży tutaj? - spytał Chester.

- Możemy zakwestionować sprzedaż. Możemy także pozwać Persandów po sprzedaży, jeśli nie zdołamy zatrzymać samej sprzedaży. Nie wiem, jak szybko działają tutejsze sądy, znają sprawę dopiero od dwóch tygodni. Nie muszę dodawać, że jako cudzoziemcy jesteśmy w niekorzystnym położeniu, nawet jeśli mamy francuskiego prawnika.

W tym momencie Margeeve spojrzała na Roxy z wyrzutem, jak gdyby miała nadzieję, że jej córka oprzytomnieje i porzuci swoje nierozsądne uwielbienie dla obcych krajów i ludzi, swoje niezdrowe skłonności, które ściągnęły na nas to wszystko. Jakby mówiła, że to wszystko nigdy by się nie stało, gdyby...

- O Boże, po prostu sprzedajmy go i miejmy to za sobą - powiedziała nagle Roxy. - Co za różnica? Mogę się z tym pogodzić, że przyjeżdżając do Francji, podporządkowałam się francuskim zasadom i jestem gotowa żyć z nimi w zgodzie i ponieść konsekwencje.

Nastąpił wybuch powszechnej irytacji z powodu jej uporu.

- Czy naprawdę tego nie rozumiesz, Roxy, czy tylko udajesz? Nie tylko twoje pieniądze mogą przepaść, wszyscy mamy coś do stracenia - powiedział Roger. - Obraz należy do nas wszystkich. Bardziej do nas niż do ciebie.

- Nikomu nie przeszkadzało, że zabrałam brzydki, stary obraz ze świętą Urszulą, dopóki nie pojawiła się sprawa pieniędzy - odparła Roxy.

Zauważyłam, że ostatnio ma często zaczerwienione policzki, здаje się, że to nazywa się maską ciąży, ale teraz przybrały płomienną barwę, nadając jej desperacki wygląd jak u pirata.

- Tak - powiedział Roger - ale teraz chodzi o pieniądze i wszystkich nas to obchodzi.

- Jeśli zamierzaliście zrobić to całe zamieszanie, czemu nie zrobiliście go wcześniej? - spytała Roxy z wyrzutem.

Zaczęli mówić wszyscy naraz i z potoku gniewnych słów zrozumiałam jedynie tyle, że Roger chciał wyrwać obraz z rąk Francuzów i sprzedać go w Christie's, Margeeve starała się wydumaczyć, dlaczego Roxy najwyraźniej nie chce myśleć rozsądnie i pamiętać o finansowych interesach rodziny, Chester zdradzał umiarkowane niezadowolenie, niezależnie od tego, co czuł w głębi duszy, ja żywiłam nadzieję na dziesięć tysięcy dolarów, jakich mogłam się zasadnie spodziewać, z czego część pójdzie na jakąś wazę, a Jane popierała Rogera.

- Rodzina Persandów nie zamierza przegapić żadnej okazji - zauważył Roger. - Wszędzie widać subtelną rękę brata - Antoine'a, prawda? - nawet bardziej niż prawników Charles'a-Henriego. Antoine odgrywa w tym wszystkim dość aktywną rolę. Jestem prawie pewien, że oni wszyscy wiedzą, co się dzieje i jaka jest stawka.

- Powinniśmy pojechać pociągiem o jedenastej czterdzieści - przypomniałam. - Jesteśmy zaproszeni na pierwszą.

Myślę, że moi rodzice poczuli nieznaczące zadowolenie, gdy Genie, zwykle grzeczna, może nazbyt uległa, mała dziewczynka, zaczęła nagle głośno protestować i powiedziała, że nienawidzi niedziel. Pomyślałam, że być może wyczuła zdenerwowanie biorące górę nad rozmową, ale moi rodzice zrozumieli, że po prostu nienawidzi niedzielnych wizyt u Suzanne, i jak zauważyłam, Roxy nie sprostowała tego wrażenia.

ROZDZIAŁ 31

**Le scandale du monde est ce qui fait l'offense,
Et ce n'est pas pecher que pecher en silence.**

Molier

Chociaż Persandów musieliśmy teraz traktować jak wrogów, mimo na pozór dobrych stosunków między obiema rodzinami, z radością podziwialiśmy ich wspaniały dom w Chartres. To znaczy z radością obserwowaliśmy zdumienie malujące się na twarzy Jane, która żywiła zaczerpnięte nie wiadomo skąd przekonanie, że Europejczycy od czasów wojny żyją w nędzy i mieszkają w zbombardowanych budynkach, choć jak sama mogła się przekonać, sprawy miały się inaczej. Podobnie jak mimo zauroczenia targowiskiem na Place Maubert najwyraźniej uważała je bardziej za miejsce, gdzie wieśniacy mogą sprzedawać swoje produkty, niż wygodne źródło towarów dla burżuazyjnych sąsiadów Roxy. „Te biedne kobiety ciągnące swoje zakupy po ulicach - mówiła ze współczuciem na widok zamożnych matron w kostiumach Max Mary z wózkami na zakupy wyładowanymi szampanem i *pate*. - W każdym społeczeństwie życie kobiet jest zawsze najcięższe". Zastanawiałam się, czy byłam taka sama, kiedy przyjechałam do Francji, dokonując błędnych ocen na podstawie amerykańskich wyobrażeń. Roxy cieszyła się także trochę na myśl o tym, jakie wrażenie Chartres zrobi na Chesterze i Margeeve, którzy twierdzili, że wpadła w ręce zubożałych europejskich łowców majątku niczym jedna z bohaterek powieści Henry'ego Jamesa.

Posiadłość Persandów ma bramę, mur i brukowany dziedziniec przed domem, na którym parkują samochody. Z tyłu znajduje się

jakieś dwadzieścia arów ziemi, gdzie zbudowano kort tenisowy. Z taksówki, którą przyjechaliśmy z dworca, wysiedliśmy przed bramą w murze, po czym poszliśmy ścieżką biegnącą wzdłuż dziedzińca. Piętrowy dom ma kształt prostokąta z białego kamienia, z regularnie rozmieszczonymi balkonowymi oknami na parterze, wysokimi oknami na piętrze i mansardowym dachem, pod którym kryją się pokoje drugiego piętra, i jest porośnięty dzikim winem wspinającym się po okiennicach. Bez wątpienia robi wrażenie. W Santa Barbara nie mamy kortu tenisowego ani basenu, tak jak nie mamy kolekcji porcelany po przodkach i prawdę mówiąc, w ogóle nie mamy wiejskiego domu.

Kiedy zajechaliśmy na miejsce, okazało się, że obie z Roxy trochę się pomyliłyśmy. Chartres nie tyle onieśmieliło, ile rozwścieczyło Chestera i Margeeve, których ogarnęło jeszcze silniejsze poczucie niesprawiedliwości na myśl, że Persandowie, jeśli sądzić po ich domu, muszą być nieprawdopodobnie bogaci. Roxy szybko wyjaśniła, że we Francji nigdy nie wiadomo, jak jest naprawdę, ponieważ wiele rzeczy przechodzi z pokolenia na pokolenie. Oczywiście w siedemnastym wieku w *chateau* Persandów nie mieszkali jacyś zwykli wieśniacy, ale też Persandowie nie są aż tak bogaci jak reżyserzy filmowi czy władcy Beverly Hills; po prostu kiedyś kupili ten dom w korzystnym momencie na rynku nieruchomości. Dla Amerykanów, w każdym razie tak było ze mną, wspaniałości europejskich domów są mylące, ponieważ niekoniecznie oznaczają, że ich mieszkańcy są bogaci. Pewien rodzaj modnych francuskich *hôtels particuliers*, których imitacje można znaleźć w amerykańskich parkach tematycznych, stanowi dla Francuzów zwykłe domy rodzinne pochodzące z czasów, gdy wszystkie domy były duże, kamień stanowił jedyny materiał budowlany i umieszczano we wnętrzach lustra, ponieważ jeszcze nie znano światła elektrycznego. Wewnątrz wszystko jest trochę zaniedbane w sposób, który mi odpowiada, odpadające intarsje, nieco spłowiały wiekowy adamaszek, mnóstwo starych przedmiotów prezentujących się znacznie gorzej niż Montecito.

Leniwie zastanawiałam się, w jaki sposób Margeeve i Chester zareagują na samych Persandów, starając się zapomnieć o ewentualnych przykrościach, które mogą na mnie spaść w tym pięknym oto-

czeniu. W pociągu ze strachu rozbolał mnie żołądek na myśl o spotkaniu z Amelie Cosset, jednak obawiałam się także - choć się tego wstydę, musiałam sama przed sobą przyznać, że się tego boję - że będę zażenowana swoją rodziną. Pomyślałam, że chyba już jestem za stara akurat na tę formę nielojalności, która kiedyś zawsze mi towarzyszyła, ale nie, znowu zalała mnie dotkliwa świadomość królewskiego błękitu kostiumu Margeeve i niemodnej brody Chestera. Wiedziałam, że świadczy to o mnie jak najgorzej i jestem złą, niewdzięczną, niedojrzałą osobą, kierującą się godnymi pożałowania wartościami. Na domiar złego Margeeve wzięła mnie pod ramię, kiedy szliśmy po brukowanym dziedzińcu, i powiedziała: Jestem z ciebie taka dumna, Iz".

Obie z Roxy natychmiast zorientowałyśmy się, że Persandowie na pewno odbyli naradę rodzinną, jaką sami mieliśmy przed wyjazdem, i postanowili, że będą zachowywać się z nienaganną doskonałością, demonstrując cały swój wdzięk, ciepło, radosny nastrój oraz manifestacyjne uczucia dla Roxy i dla mnie. Obok Antoine'a i Trudi, i naturalnie Suzanne, zjawiła się też Charlotte, choć powiedziała, że nie przyjedzie, i żona Edgara, ciotka Amelie - madame Cosset. Wszyscy uśmiechnięci, odprasowani, nienaganni.

- Witamy, witamy - powiedziała Suzanne z promiennym uśmiechem i pocałowała moich rodziców w oba policzki. - Jak miło was zobaczyć po tylu latach, czyż nie jesteście zachwyceni Gennie? Jesteśmy dziadkami naprawdę cudownego dziecka, prawda?

Oczywiście z właściwą sobie zdecydowaną pogodą ducha nie wspomniała ani słowem o rodzinnych problemach, rozwodzie ani o tym, że chcą nas obrabować z obrazu Roxy.

- Czyż Roxeanne nie jest cudowną matką? - mówiła do Margeeve. - Genevieve to po prostu marzenie.

Widziałam, że jej słowa zrobiły wrażenie na Margeeve. Sama Gennie także nie była odporna na te pochwały i tańczyła wokół nas, wykrzykując *moi-moi-moi*, czy też coś podobnego w swojej trudnej do zrozumienia dziecięcej paplaninie po francusku.

Madame Cosset wyglądała inaczej, niż ją sobie wyobrażałam. Spodziewałam się zobaczyć kobietę niewielką, spłowiała i dobrze

ubraną. Tymczasem ciotka Amelie była obszerna, koścista i hałaśliwa, ubrana w gabardynowe spodnie i męskiego typu koszulkę polo; najmniej elegancka osoba na obiedzie. Jej krótkie, siwawe włosy były dobrze przystrzyżone, podobno grywała w tenisa, choć nie dzisiaj, i miała dłonie ogrodnika. Próbowałam wyobrazić ją sobie razem z Edgarem w łóżku, czy też raczej starałam się sobie tego nie wyobrażać. Jedno i drugie było trudne.

Widać było, że Suzanne ją lubi. Obie z ożywieniem plotkowały po francusku, zdejmując i wkładając okulary, kiedy doglądały kulinarnych szczegółów w kuchni, po czym po powrocie do salonu przechodziły na angielski w rozmowie z moimi rodzicami. Madame Cosset przyniosła miskę fasolki szparagowej i wyciągała, z niej włókna, trzymając ją na kolanach. Edgar nie przyjechał.

Kiedy na nią nie patrzyłam, przyglądała mi się uważnie, a w każdym razie tak mi się wydawało, choć w jej spojrzeniu nie było rozgoryczenia. Może więc jedynie wyobrażałam sobie jej zainteresowanie. Może w ogóle mnie nie obserwowała. Ale nie, obie z Suzanne patrzyły na mnie, kiedy razem z Chesterem z łatwością pokonaliśmy w ten cudownie ciepły dzień Antoine'a i jego żonę Trudi na podmokłym, gliniastym korcie. Czułam, że mój żołądek nieco się rozluźnia. **Wyglądało** na to, że będą na mnie patrzeć, ale nikt nic nie powie.

Dzień był wystarczająco ciepły na to, by grać w tenisa, lecz zbyt chłodny, by siedzieć bez ruchu, więc Margeeve została razem z Suzanne, madame Cosset i Charlotte w przeszklonym pomieszczeniu wychodzącym na ogród. Margeeve zwierzyła się później tylko mnie, nie Roxy, że Suzanne powiedziała do niej: „Przykro mi z powodu tego wszystkiego, tego sporu między naszymi dziećmi. Możesz mi wierzyć, wcale mi się to nie podoba”. Była to jedyna konkretna aluzja do rozwodu, jaką uczyniła przez cały dzień.

Nie widziałam Antoine'a, mojego przeciwnika na kortie, od dnia, w którym mu wykrzyczałam, że Persandowie chcą obrabować Roxy i resztę naszej rodziny. Teraz znaleźliśmy się po przeciwnych stronach siatki, a ja pragnęłam wepchnąć mu piłkę tenisową głęboko do gardła. Jeśli chodzi o niego, trudno było zgadnąć, czego pragnie, ponieważ uśmiechał się jak zwykle. Jest w istocie dość przy-

stojny, choć pali prawie tak dużo jak Charlotte. Ale serwował w moją stronę z całej siły i nigdy nie kierował piłek na Chestera pod wpływem jakiegoś seksistowskiego przekonania, że mój ojciec, choć grubo po pięćdziesiątce, będzie lepszym graczem niż ja. Razem z Chesterem pokonaliśmy ich gładko, choć Antoine pewnie pobiłby Chestera w singlu. Chester przegrał swój jeden serwis, ja ani razu.

Suzanne podawała szampana albo lillet jako aperitif. W salonie co chwila można było natknąć się na jakieś znaczące spojrzenie przy okazji najróżniejszych tematów. „Macie tutaj piękny dom”, powiedziała Margeeve i Roxy popatrzyła na nią z zawstydzeniem, które i mnie ogarnęło. W tym momencie weszła Nathalie, dziewczyna z sąsiedniej wsi zatrudniona do podawania obiadu, i powiedziała: „*Madame est sewie*”, formuła, której nigdy, ale to nigdy nie używano wcześniej podczas tych obiadów i która, jak się domyślałam, stanowiła lekko onieśmielające ustępstwo ze strony Suzanne na rzecz bardziej oficjalnych obyczajów obowiązujących podczas francuskich spotkań towarzyskich. Margeeve instynktownie zaczęła spoglądać na Roxy, jak gdyby zamierzała naśladować jej ruchy. Choć Margeeve stanowi uosobienie klasy średniej, widać było, że poczuła się niczym kelnerka roznosząca koktajle albo ktoś w tym rodzaju.

Menu także miało na nas zrobić stosowne wrażenie, a może oceniłam to zbyt surowo? Może Suzanne naprawdę chciała po prostu podjąć naszych rodziców smacznym obiadem? Nie mogłabym powiedzieć, że kiedykolwiek był niesmaczny, ale tego dnia jedzenie było rozkosznie smakowite, począwszy od znakomitego gatunku *foie gras*. Zdażyłam dowiedzieć się co nieco na temat *foie gras*, jednego z ulubionych przysmaków Edgara. Zresztą niewykluczone, że również ciotce Amelie przypomniało się, że jej mąż lubi tę potrawę, ponieważ rozmowa zesłała na Edgara, co znowu przypawiło mnie o skurcz żołądka. Chciałabym wiedzieć, dlaczego zwykłe słowa mają taką władzę nad moimi wnętrznościami, jak gdyby były przywiązane do żyłki, którą połknęłam.

- Gdzie jest Edgar, Amelie? - spytała Suzanne.

- Och, *Brwcelles. Oudit*. Przypuszczalnie. *On ne sait jamais* - powiedziała madame Cosset z wielką niefrasobliwością. - Przestałam już o to pytać.

Moim rodzicom wyjaśniła:

- Mój mąż jest w Brukseli. Bardzo mu przykro, że nie mógł przyjechać. - Czy to zdanie było przeznaczone dla mnie, obciążone jakąś ironią? Nie umiałam zgadnąć.

- Mój brat zajmuje się polityką - wyjaśniła Suzanne Chesterowi. Antoine powiedział coś po francusku, czego nie zrozumiałam, i wszyscy Persandowie roześmiali się, ale szybko się opanowali, jak gdyby śmiech świadczył o jakiejś niegrzeczności z ich strony. Madame Cosset także ucieszyła się z żartu, czegokolwiek dotyczył.

- Nie, oczywiście, mój wuj naprawdę dokonał znaczących rzeczy - dodał Antoine.

- Och, jesteśmy tacy szczęśliwi, że możemy was tutaj gościć, i tacy niepokieszeni z powodu... wiecie - powiedziała Suzanne, unosząc kieliszek lekko w stronę Margeeve.

- Bardzo nam miło, że nas zaprosiliście - odparł Chester. - I że możemy poznać ciotki i wujów Gennie, których nie spotkaliśmy wcześniej. Nam także przykro z powodu...

Musieli jednocześnie uświadomić sobie, że Roxy mogłaby w jakimś sensie poczuć się dotknięta tymi uwagami na temat swojej sytuacji małżeńskiej, jak gdyby krytykowali przy niej jej wygląd albo inteligencję.

Zauważyłam, że Margeeve, choć jest raczej młodsza niż madame Cosset lub Suzanne, dostawała półmisek pierwsza, jako najstarsza kobieta siedząca przy stole. Taki sposób zwracania uwagi na wiek kobiety zawsze wydawał mi się nietaktowny, ale być może zawdzięczała ten zaszczyt swojemu statusowi gościa? Była zirytowana czy zadowolona? Po *foiegras* na horyzoncie pojawiła się groźba nowego kulturowego nieporozumienia, ponieważ jako główne danie podano dwa pieczone kurczaki, które rozkosznie pachniały i lśniły brązową polewą niczym danie na fotografii z czasopisma, ale w oczach moich rodziców to były po prostu kurczaki uchodzące za dość tanie jedzenie w Santa Barbara.

Roxy, która zwykle nie zwracała uwagi na takie sprawy, zorientowała się, że Chester i Margeeve mogą opacznie zrozumieć wybór Suzanne, i pospiesznie zaczęła wychwalać jej kurczaki (tutejsze rzeczywiście nie przypominają naszych, są drogie, smaczne i za życia mogą biegać swobodnie po podwórku gospodarstwa).

- Och, boskie, Suzanne - powiedziała. - Czy kupiłaś te *poulets* gdzieś w okolicy? Chciałabym mieć dobrego dostawcę drobiu. Połowa sztuki dobrego gotowania w Paryżu polega na tym, skąd brać produkty, nieprawdaż?

Dostawca drobiu? To archaiczne wyrażenie wskazywało na głębię jej zdenerwowania, być może dorównującego mojemu. Nie miałam wątpliwości, że Roxy, chociaż skrzywdzonej przez Persandów, tym bardziej zależało na tym, żeby ją kochali, i postanowiła zachowywać się wobec nich wspaniale. A oni, którzy ją skrzywdzili, tym bardziej pragnęli zasłużyć na jej dobrą opinię. Przy stole, ku wyraźnej konsternacji Chestera i Margeeve, zapanowała powszechna miłość. Musieli dostrzegać, że nigdy nie odzyskają Roxy, ale nawet jeśli to widzieli, nie zrezygnowali z walki. Od chwili przyjazdu do Paryża wychwalali piękno parku Yosemite albo plaży, opowiadając, jak to Margeeve znalazła pływak od sieci niczym wielką bankę wyrzuconą na brzeg w okolicy Miramaru i inne tego typu rzeczy w nadziei, że uda im się wyczarować jakąś magię Kalifornii. Tymczasem Roxy postanowiła sprawić, by również nasi rodzice i Persandowie nawzajem się pokochali.

Tu nastąpiła dziwna przerwa. W drzwiach jadalni pojawiła się Nathalie, a za nią jakiś człowiek, który uśmiechając się przepraszając i ocierając pot z czoła, wyciągnął butelkę wina. Antoine podniósł się z miejsca, mężczyzna wszedł do pokoju.

- Monsieur, przepraszam, że niepokoję, ale chciałem to panu przynieść w podziękowaniu za uratowanie mojego *panter* - odezwał się nieznajomy, oczywiście po francusku.

- Ach, *panter* - odpad Antoine. - Nie ma sprawy.

- *Panter* i wszystkie *couverts* i *assiettes* oraz *bonne terrine de lapin* - mówił dalej mężczyzna. - Powiedziano mi na stacji, gdzie mogę pana znaleźć.

- *De rien, de rien*, ale to miło z pana strony, że pan o nas pomyślał - rzekł Antoine. Nastąpiła dalsza wymiana zdań, w jeszcze szybszej francuzczyźnie.

- ..już mnie nie ma, *bonjour, mesdames, messieurs, excusez-moi...*

- Po kilku następnych słowach mężczyzna wyszedł razem z Nathalie i nie udało się go namówić, żeby usiadł na chwilę.

- Znalazłem jego koszyk piknikowy w pociągu - wyjaśnił Antoine moim rodzicom. - Zostawiliśmy go u zawiadowcy stacji. Po prostu drobiazg.

- To bardzo przyzwoite z jego strony, że przyniósł butelkę, naprawdę miło, zupełnie niepotrzebnie, *c'est gentil* - powtarzali w kółko.

Wszystkie urazy i nadciągające kłótnie czy spory oraz kwestia kurczaków nagle zniknęły w obliczu krzepiącego świadectwa, że są jeszcze ludzie, którzy wiedzą, jak się zachować, i że można liczyć na bezinteresowną dobrą wolę - oni uratowali jego koszyk piknikowy, on okazał im swoją wdzięczność i ich nagroził.

- No, całkiem niezłe - powiedział Antoine, odczytując etykiety na butelce. - Otworzę je, będzie się nadawało do sera.

- Roxeanne jest idealną *Francaise*. Wiesz? - odezwała się Suzanne do Margeeve. Po czym obniżyła głos i przyjęła ton specjalnej wesołości, jak gdyby chciała zasygnalizować, że nie należy brać jej słów nazbyt poważnie. - Gdyby mi ktoś pokazał katalog i kazał wybrać z niego synowe: tu Roxeanne, Amerykanka, tu Trudi, niemiecka dziewczyna, a tu *une Francaise*, muszę przyznać, że naturalnie wybrałabym Francuzkę, Edwige, żonę mojego najstarszego syna Frederica. Nie pomyślałabym o niemieckiej dziewczynie lub Amerykance. - Tu spojrzała z ostentacyjną czułością na Trudi i Roxy. - Ale one są o wiele bardziej *Francaise* niż Edwige, która nie potrafi zrobić *croque-monsieur*. Szczerze mówiąc, kompletnie z niej *nulle* w sprawach prowadzenia domu. Jest profesorem w Montpellier.

Oczywiście zastanawiałam się, co pomyśli o czeskiej synowej, jeśli Charles-Henri poślubi Magdę. Być może wszyscy się nad tym zastanawiali, ponieważ w głosie Suzanne słychać było prawdziwą obawę, pewne drżenie emocji.

Suzanne odwróciła się w stronę drzwi do kuchni, złapała spojrzeniem Nathalie i po chwili Nathalie przyniosła sery.

- Gennie, kochanie, sery nie są dla ciebie, leć, dziecko, do ogrodu - powiedziała Suzanne do Gennie. - Twoje dziewczęta są takie różne - mówiła dalej, spoglądając teraz na mnie. - Isabel i Roxy.

Zrozumiałam, że pojawił się nowy temat. Ja.

- To Isabel *l'Americaine, maman* - powiedział Antoine ze śmiechem.

Nie wiedziałam, co to miało znaczyć.

- Och, cicho, Antoine - wtrąciła się Trudi.

- Obie są takie urocze, każda w inny sposób - powiedziała Suzanne.

Przyszło mi do głowy, że być może nie wiedzą o tym, że Roxy i ja jesteśmy przyrodnimi siostrami i nie mamy kropli wspólnej krwi. Pewnie Roxy nigdy tego nie wyjaśniła.

- Tak, są dość różne - przyznała Margeeve.

- Isabel jest taka przedsiębiorcza - mówił dalej Antoine.

- Antoine - uciszała go Trudi.

- Wydaje mi się, że Amerykanie **zwykłe** są przedsiębiorczy - odezwała się madame Cosset. - Przedsiębiorczy i praktyczni.

Miałam tego po dziurki w nosie. Praktyczni, tak, próbujemy podciąć sobie żyły, wędrujemy po całym świecie, umieramy z miłości. Zastanawiałam się, jaki jest sens słowa „praktyczny” po francusku, może to coś zupełnie innego. A „przedsiębiorczy”?

- Amerykanie uważają Francuzów za ludzi racjonalnych - odezwał się Chester niezbyt zrećnie. - Racjonalizm, wiek oświecenia. Termidor.

- Oczywiście Isabel jest bardzo silna. Praktyczne postępowanie to oznaka siły - oświadczył Antoine.

Trudi powiedziała coś do niego po francusku.

- Amerykańska dziewczyna to znany symbol nieustraszonej pomyślności - rzekła madame Cosset. - Moja przyjaciółka, hrabina Cortenoux, znasz ją, Suzanne, jest głęboko przekonana, że wszystkie Amerykanki, które tu przyjeżdżają, to bogate dziedziczki polujące na francuskich mężów, ale moim zdaniem te dni należą już do przeszłości.

- Myślę, że Francuzi są bardzo praktyczni - wtrąciła się Margeeve. - Przypuszczam, że „racjonalny” oznacza dokładnie to samo.

- Mamo, sądzę, że nie można generalizować w sprawie narodowych charakterów - powiedziała Roxy z wyrzutem. - Naprawdę.

Margeeve wpatrywała się w szkielet kurczaka z wyrazem urażonej niewinności, bo to nie ona zaczęła ten wątek.

- *Je chasse*. - Antoine uprzejmie zmienił temat. - Poluję. Poluje pan?

- Nie, nie... a na co pan poluje? - spytał Chester.

- Jelenie.

- Ze sztucera, jak sądzę - rzekł Chester posępnie.

- *Mais non*, strzela się do ptaków, na jelenia polujemy z psami. To bardzo piękne: konie, psy, trop, myśliwi w swoich kurtkach. *Cure* przychodzi pobłogosławić psy. Chodzi o to, żeby powalić szlachetnego jelenia na ziemię. Jest tak wyczerpany, że nie może już dłużej uciekać.

My, Amerykanie, zaniemówiliśmy ze zdumienia odrobinę za długo, zastanawiając się, czy dobrze zrozumieliśmy jego słowa.

- A co się dzieje potem? - spytała Margeeve.

- Potem psy zabijają jelenia. Macie takie wyrażenie *in at the kill*, odnosi się właśnie do tego.

Znowu chwila milczenia, podczas której przeżywaliśmy nasze oburzenie, a oni pojęli, że jesteśmy oburzeni, choć nie mieli pojęcia, jak bardzo.

- Czy ludzie kiedykolwiek giną, wiecie, spadają z konia, czy coś w tym rodzaju? - dopytywała się Margeeve.

- *Non*, zwykle nie, choć, przykro powiedzieć, czasami się zdarza.

- O, to dobrze - powiedziała Margeeve. - W ten sposób to się staje trochę bardziej sprawiedliwe.

- Wybiera się pan na Rolanda Garrosa? - Chester pospiesznie spytał Antoine'a.

- Na pewno są „praktyczni” w sprawie obrazu Roxy - mówiła dalej Margeeve, wracając do tematu charakteru Francuzów.

- Trudno dostać bilety! Strasznie trudno je dostać! - wykrzykiwał Antoine.

- Proponowali je w Kalifornii za pośrednictwem Amerykańskiej Federacji Tenisowej. Cała seria: Roland Garros-Queen's Cup-Wimbledon, ale trzeba zdecydować się z góry - powiedział Chester.

- Trzy tygodnie, zapomniałem ceny, ale to nie było tanie.

- Roxy już by to zauważyła, jest idealną *Francaise*, ma tak rozwinięte instynkty... - zaczęła Suzanne. - Podczas gdy Isabel...

- Zastanawiamy się nad wyprawą kajakiem po morzu w Patagonii! - zawołał Chester.

Isabel, Isabel. Dlaczego moje imię nagle zaczęło powtarzać się tak często? Kilka osób mówiło naraz, po francusku, o coś się spierając, parsknięcie śmiechu Antoine'a, nie słyszałam, co powiedziały madame Cosset. Właśnie w tym momencie moją uwagę rozproszyła pewna myśl, która chyba nigdy wcześniej nie przyszła mi do głowy. Wyobraziłam sobie całe towarzystwo jako oktett z opery, którą ostatnio widziałam, w scenie kiedy każdy ze śpiewaków wychodzi naprzód i śpiewa o swoich troskach, na przykład Roxy śpiewałaby: „Charles-Henri, *l'amour*, rozpacz”, Antoine w duecie z madame Cosset śpiewałby: „Isabel, ta mała dziwka, niszczycielka rodzinnego szczęścia”, Charlotte śpiewałaby: „O, ja nieszczęsna, czemu pojechałam do Londynu, tam jest tak zimno”. Suzanne: „Co mam zrobić, żeby to wszystko się nie rozsypało? Nie odbierajcie mi moich wnuków”. Moi rodzice: „Czemu nie możemy po prostu zabrać naszych córek i naszego obrazu? ”. Trudi? No cóż, nie wiem, co śpiewałaby Trudi. Chodzi jednak o to, że nikt z obecnych nie wyrażał swoich uczuć w sposób, do jakiego zachęca się nas w Kalifornii - taką postawę nazywa się tutaj „uprzejmością” albo „dobrym wychowaniem”. Mimo to wszyscy wiedzieli, co inni myślą, a w każdym razie ja sądziłam, że wiem. Rzeczywiście czegoś się tu nauczyłam na temat zachowywania swoich opinii dla siebie, uśmiechania się, dobrego wychowania.

W chwili mojej nieuwagi rozmowa najwyraźniej zmieniła temat, najwyraźniej stało się to, czego się obawiałam, na moment pojawiła się pewna myśl i nagle usłyszałam głos Roxy: „Myślę, że przyszła pora, by powiedzieć...”. Ale teraz zapadła przeraźliwa, paląca cisza, jakby wszystkim obecnym przy stole odebrało mowę. Pora ewidentnie

przyszła, ale w języku francuskim, i minęła, a ja ją przegapiłam. Teraz wszyscy patrzyli na siebie w napiętym milczeniu. Usiłowałam zgadnąć, co takiego powiedziano, z wyrazu twarzy Margeeve albo ze zmarszczonych brwi Roxy. Wiedziałam, że to mogło dotyczyć mnie, choć wcale tak nie było.

Wreszcie odezwała się madame Cosset stłumionym tonem oburzenia:

- Ten beaufort jest niedobry!
- Nie, ma jakiś dziwny, wędzony smak - westchnęła Suzanne.
- Tak, jest niedobry - zawołali wszyscy.

Antoine wziął trochę z półmiska i spróbował.

- Nie, nie najlepszy - przyznała Trudi niespokojnym szeptem. Być może to na nią, choć nie jest **Francaise**, spadło zadanie zakupu sera.

- Podobno to bardzo dobry beaufort - powiedziała Suzanne niezadowolona. - Na pewno porozmawiam z monsieur Compansem. Ale nie wszystko stracone, bo reblochon jest dobry. **Servez~vous.**

Posiłek dobiegł końca (**glace vanille, sauce caramel**), Suzanne zaprowadziła nas na kawę do salonu. Roger, Antoine i Chester zainstalowali się na sofach. Jane spytała o łazienkę. (Straszne **fawc pas**. Wydaje się, że Francuzi nigdy nie sikają. Roxy spojrzała na mnie, wyracając oczami). Ponieważ też musiałam tam pójść, pokazałam drogę Jane.

- Bardzo przyjemny obiad - powiedziała szeptem. - Myślę, że są bardzo mili.

To typowe dla psychiatry nie widzieć wszystkich lęków i napięć. Nie zauważyła także pięknych starych tapet w sypialni przedstawiających ptaki pośród winorośli i poczuła się obrażona na widok bidetu, który początkowo wzięła za przykład francuskiego seksizmu, rodzaj toalety bez deski, przeznaczonej wyłącznie dla mężczyzn.

Kiedy schodziłyśmy na dół, przez szklane drzwi zobaczyłam, że Suzanne i Margeeve rozmawiają na tarasie. Trudi zniknęła w kuchni, Antoine nadchodził, niosąc kawę na małej tacy. Margeeve odwróciła się, słysząc, że idziemy na dół, i spojrzała na mnie. Na twarzy miała wyraz zmartwienia i napięcia.

- Powinniśmy już jechać - powiedział Roger w tym momencie.
- W każdym razie ja i Jane. Wybieramy się posłuchać nieszporów w Notre Dame.

- Powinniśmy już jechać - zawołali wszyscy. Zebraliśmy swoje kurtki i torebki.

Naprawdę nic się nie wydarzyło. Madame Cosset uścisnęła mi dłoń. Czy wyobraziłam sobie niewielki znaczący uśmieszek w jej wyrozumiałym uśmiechu? Uścisnęła dłonie wszystkich Amerykanów, a Suzanne nas ucałowała.

ROZDZIAŁ 32

W pociągu mogliśmy się wreszcie trochę odprężyć jak aktorzy na planie między ujęciami.

- Bardzo przyjemny obiad - powiedziała Margeeve niezobowiązująco. Wydawała się nieobecna, zamyślona. - Naprawdę nie wydają się interesowni w zwykłym sensie.

- Nigdy nie zaproponowałbym klientowi, żeby zjadł lunch z przeciwnikiem - dodał Roger. - Niebezpieczeństwo nie polega na tym, że może wybuchnąć kłótnia, ale na tym, że może zapanować harmonia. Ludzie nigdy nie chcą uwierzyć w najgorsze.

Czy to prawda? Miałam wiele do przemyślenia.

Roxy wyglądała, jakby poczuła ulgę, a nawet jak gdyby była szczęśliwa, że ma to popołudnie za sobą. Rzeczywiście zapanowała harmonia, czego głęboko pragnęła. Ale jej szczęście było krótkotrwałe, ponieważ Margeeve jeszcze nie skończyła.

- Roxeanne, myślę, że powinnaś natychmiast wrócić do Kalifornii - oświadczyła.

- Już o tym rozmawialiśmy - zaprotestowała Roxy.

- Jak tylko będziesz mogła podróżować. Wiem, że żadna linia lotnicza nie wzięłaby cię w tym stanie. To po prostu niedorzeczne myśleć o tym, żeby tu zostać. To nie jest twoja kultura, to nie są twoi krewni i nie sądzę, żebyś mogła na nich liczyć. Oczywiście kochają Gennie i będą kochali drugie dziecko, ale jak zamierzasz je utrzymać? Jakie życie cię tu czeka, rozwiedziona żona płacząca się jak jakieś piąte koło u wozu?

- Myślałam o tym, nie raz i nie dwa. Nie wracam do domu - powiedziała Roxy.

I tak dalej. Ujęłam tę rozmowę w skrócie, ponieważ kłótnia na temat przyszłości Roxy zajęła trwającą czterdzieści pięć minut podróż z Chartres do Gare Montparnasse. Oczywiście żadne z nas nie mówiło tego, co leżało nam na sercu, oprócz Roxy, która w kółko powtarzała swoje zastrzeżenia dotyczące powrotu do domu: „I co ja będę tam robiła?” oraz „Moje dzieci są Francuzami”.

Po czym dokładnie w chwili, gdy pociąg wtoczył się na stację, Margeeve zwróciła się do mnie:

- Iz, jak rozumiem, zadałaś się ze starym wujem z rodziny Persandów?

Usiłowała spojrzeć na mnie z matczyną troską i dezaprobatą, ale coś w wyrazie jej twarzy wskazywało, że wcale nie jest aż tak oburzona. Oczywiście już dawno przestali załamywać ręce nad moją moralnością, więc być może i to ich nie zaszokowało.

Ale ja byłam wstrząśnięta. Nie przyszło mi do głowy, że oni wiedzą.

- Kto ci o tym powiedział? - Spojrzałam na Roxy, ale na jej twarzy zobaczyłam jedynie wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

- Rozmawiałam z Suzanne. Jak matka z matką. Po prostu do-rzucam to do reszty naszych francuskich doświadczeń - odparła Margeeve. - Iz, Suzanne bardzo przepraszała, że w ogóle o tym wspomina. Na tarasie, przed naszym odjazdem.

Margeeve odtworzyła całą scenę. Siedziały razem z Suzanne w małym przeszklonym pomieszczeniu przylegającym do tarasu, pełnym paproci i aspidistr oraz fotografii i niewielkich rysunków różnych Persandów wiszących na ścianach; Suzanne nalewała kolejną kawę i podawała cukier (w kostkach).

- Jest pewna delikatna sprawa, o której chciałabym wspomnieć - zaczęła. - Na osobności, kiedy nikt nas nie słyszy. - Westchnęła. - Wszyscy tak bardzo lubimy Roxeanne, a teraz także Isabel. To taka przyjemność, że mogliśmy ją gościć przez te wszystkie miesiące, i takie cudowne dla Roxeanne, zwłaszcza - jak to mówicie -*pendant* ciąży i wszystkich tych problemów. To wspaniała dziewczyna.

- Bardzo dziękuję, też tak myśliły - powiedziała Margeeve.
- Oczywiście.

- Tak, taka pomocna i taka radosna. Zdumiewające, jak umie postępować z małymi dziećmi, jest naprawdę wspaniała. W niedziele zabiera je na spacer i znakomicie sobie z nimi radzi.

- Naprawdę? To znaczy, cieszę się, że to słyszę.

- Jak to wyjaśnić? Myślę, że możemy mówić szczerze. Jak dwie **grand-meres**. Przypuszczam, że nie spotkałaś mojego brata, monsieur Cosseta, ale jest postacią bardzo dobrze znaną we Francji z powodu swoich komentarzy politycznych, **personnage**. Prawdę mówiąc, jest teraz kimś ważnym. Obawiam się jednak, że cieszy się pewną reputacją jako **tombeur**.

Margeeve nie od razu uchwyciła tok tego rozumowania, ale wyczuwała nastrój poufałości w tonie Suzanne, a poza tym sama chciała poruszyć wiadomą sprawę - obrazu. Wyczekiwanie na moment, w którym będzie mogła podjąć swój wątek, nie pozwoliło jednak skupić się na aluzjach Suzanne.

- Mamy pewien problem, o którym, jak sądzę, będziemy mogli pomówić. Chodzi o obraz. Widzisz, tak naprawdę on nie należy do Roxeanne - powiedziała Margeeve.

- Och? - Suzanne najwyraźniej była zbita z tropu tą nagłą zmianą tematu.

- Dlatego mój syn wszczął sprawę sądową. Pytanie, które naprawdę niepokoi naszą rodzinę brzmi: czy Roxy miała prawo zabrać go do Francji. Rozumiesz?

Suzanne nie rozumiała.

- Wiem, że Francuzi mają opinię ludzi znających się na tych rzeczach, ale możesz mi wierzyć, że jeśli chodzi o mojego brata, jego wybryki już dawno przekroczyły normę i przyniosły wiele cierpień biednej Amelii, choć prawdopodobnie całkowicie się już z tym pogodziła.

Tu z kolei ona musiała zauważyć, że Margeeve jej nie rozumie.

- Obawiamy się, że mój brat wykorzystał Isabel. Byłoby mi przykro, gdyby Isabel została skrzywdzona przez kogoś znacznie starszego i bardziej doświadczonego oraz, obawiam się, trochę pozbawionego skrupułów, jeśli chodzi o młode kobiety.

Margeeve z ciekawością zareagowała na myśl, że coś mogło zranić Isabel. Suzanne mówiła dalej:

- Oczywiście po powrocie do domu to wszystko będzie wydawało jej się mniej bolesne, zakładając, że w ogóle jest bolesne, ale Isabel ma taką otwartą, życzliwą naturę, wszyscy ją kochamy i nie chcielibyśmy, żeby została zraniona przez kogoś, kto, szczerze mówiąc, nie zawsze był miły wobec kobiet.

- Ojej - powiedziała Margeeve niewyraźnie.

- Myślę, że gdyby wróciła do Ameryki... oczywiście po rozwiązaniu Roxeanne. Dopilnujemy, żeby Roxeanne otrzymała wszelką pomoc, jaka będzie niezbędna... Jeśli Isabel wróci do Kalifornii, nie wątpię, że ta cała historia z czasem zatrze się w jej pamięci. Na pewno będzie miała wielu admiratorów w Kalifornii... Myślę, że z czasem zrozumie...

Teraz, w pociągu, poczułam się całkowicie upokorzona. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam, jak Suzanne mówi do Antoine'a albo Charlotte: „Widzieliście *sac* Isabel? *Mon Dieu*, czy to możliwe, że Edgar wróci do swoich starych sztuczek?”. A ja zrozumiałam wyraz twarzy Margeeve, na której dezaprobata mieszała się z rozbawieniem. Mój ojciec, który przerwał w tym momencie lekturę „Pariscope”, rzucił mi niejednoznaczne spojrzenie pełne oczekiwania. Roger i Jane uprzejmie milczeli. Roger chyba się zastanawiał, w jaki sposób ta nowa wiadomość może pomóc naszej sprawie.

- No dobrze, czy chodzi o to, żebym coś wyjaśniała, czy co? - powiedziałam ze złością. Wyobrażałam sobie ich konsternację.

Ale Margeeve się śmiała!

- Madame de Persand przeproszała mnie, że jej straszny brat rozpustnik uwiódł nasz niewinny kwiatusek, Isabel. Są tacy zawstyżeni i zatroskani - mówiła dalej Margeeve.

Roxy także zaczęła się śmiać. Na twarzy Chestera pojawiło się lekkie niezadowolenie. Pomyślałam, jakie to irytujące, że moja cnota, albo jej brak, może być powodem do rodzinnej wesołości, i powiedziałam im o tym.

- „Byłoby nam przykro, gdyby biedna Isabel albo Roxy poczuły się nieszczęśliwe z powodu kogoś z naszej rodziny”. Oczywiście chciała, żebyśmy z tobą porozmawiali. Jak przypuszczam, żeby cię

uratować. - Jej uśmiech i lekki ton... Szybko zrozumiałam, że Margeeve śmieje się z tego, że stałam się przyczyną pewnej niewygody dla Persandów. Najwyraźniej ani sam Edgar, ani moje uczucia nie wzbudzały w niej żadnej ciekawości. Potraktowała całą rzecz jako żart, ponieważ Persandowie traktowali ją poważnie, sądząc, że padłam ofiarą ich najbardziej rozpustnego krewnego. Prawdę mówiąc, odrobinę mnie to zaniepokoiło, że Edgar ma opinię rozpustnika. Nigdy nie ukrywał swojej przeszłości, ale nie podkreślał, by w jakiegokolwiek mierze odbiegała od przeszłości przeciętnego Francuza skupionego na swoich obowiązkach, kościele i państwie, rodzinie i kolacjach. Ale mogło być inaczej.

Jeszcze bardziej niepokoił mnie śmiech mojej rodziny traktującej mnie jako instrument w dziele zemsty. Było w tym coś brutalnego. Nigdy wcześniej nie widziałam swoich bliskich w takim świetle i być może było czymś niesprawiedliwym postrzegać ich w ten sposób teraz, kiedy oddawali się nieszkodliwej wesołości kosztem ludzi, którzy w końcu zamierzali zabrać im masę pieniędzy i sądzili, że ta cała Isabel nie potrafi się o siebie zatroszczyć. W końcu niewielki triumf, ale nie podobało mi się to, że moim kosztem. Znałam swoje uczucia i myśli, choć nie mogłam im nic z tego wyjaśnić - na temat Edgara, na temat mojego serca. Wiedziałam, co by mi odpowiedzieli, gdybym powiedziała, że jestem zakochana i że chciałam, by tak się stało. Powiedzieliby, że już nie raz tak mówiłam.

- On jest co najmniej po siedemdziesiątce! - zawołała Roxy do Margeeve i Chestera. - Nie miałam zielonego pojęcia! Bo niby jak? Ona - mówiła o mnie, jakby mnie tam w ogóle nie było - nigdy nie powiedziała ani słowa. Naturalnie on przysyła drogie prezenty. Widziałam je. - Roxy była przygnębiona i przybrała postawę obronną, zachowywała się, jak gdyby ktoś złapał ją na kłamstwie w pracy polegającej na opiekowaniu się Isabel, której nie można zaufać. Mogłabym im coś o niej powiedzieć.

- Tak, to prawda - odpadam - ale to nie ich sprawa i nie wasza, jeśli już o to chodzi.

Wyraz ich oczu się zmienił. Widziałam, jak wymienili ze sobą spojrzenia znaczące mniej więcej tyle, że nigdy nie miało sensu próbować przemówić Isabel do rozsądku.

- Od samego przyjazdu starałaś się utrudnić mi życie - zawołała Roxy wściekle w moją stronę. - Jak mogłaś coś takiego zrobić? Nic dziwnego, że z Persandami są takie problemy.

Wściekała się bez końca, rozprawiając o fatalnym wpływie mojego romansu na jej życie. Margeeve, a nawet Chester pocieszali ją, bo był to przecież wstrząs dla jej delikatnego organizmu poetki.

- Dziewczyny, obie wracacie do domu - oznajmił Chester.

ROZDZIAŁ 33

Pod wpływem jakiegoś skojarzenia zaproponowałam, żebyśmy się spotkali z człowiekiem z Christie's w Pile ou Face, małej restauracji położonej niedaleko domu aukcyjnego Drouot. Człowiek ten nazywał się Pierś Janely i był okazały, pulchny i przyjazny. Natychmiast zauważyłam, że był odrobinę za duży jak na Pile ou Face i zajmował zbyt wiele miejsca w dyskretnej, małej sali. Miał angielską twarz z zaczerwienionymi policzkami, a jego głos zmieniał się od hałaśliwości klas wyższych po gładkie, poufne szemranie handlarza dzieł sztuki. Może nigdy nie zwracałam na nie uwagi, a zapomniałam o niemal afektownych intonacjach angielskiej angielszczyzny, która brzmiała dziwnie i scenicznie na de naszych płaskich kalifornijskich akcentów. Kiedy wokół siebie słyszysz wyłącznie francuski, zaczynasz dostrzegać różne akcenty angielskiego. Pierś był wysoki, podobnie jak Roger i ja, weszliśmy więc kręconymi schodami na piętro, pochylając głowy.

Chester postanowił wybrać się z Margeeve do Luwru i powiedział, że przyjdzie na deser, jeśli mu się uda, ale raczej nie powinniśmy na to liczyć. Oświadczył, że ufa nam całkowicie. Ani ja, ani on nie byliśmy całkiem pewni, dlaczego w ogóle mamy spotkać się z tym facetem z Christie's, ale Roger korespondował z nim od pewnego czasu.

- Chciałbym od razu na wstępie powiedzieć, że wasz obraz jest wspaniały, bajeczny, cudowny - rzekł Pierś Janely. - Co to będzie *oeuffermier*? Po prostu gotowane jajko? Tylko we Francji mogą podać ci gotowane jajko z takim zadęciem. Można by wręcz powiedzieć, z takim tupetem. I jeszcze ta cena! Tak, myślę, że zacznę od jajka. - Wszystko to powiedział, byłam pewna, głosem doskonale słyszalnym na dole.

- Wyjaśniłem już sytuację prawną - powiedział Roger do mnie.
- Zawikłana, ale z pewnością nie najgorsza, z jaką miałem do czynienia - zauważył Janely. - Oczywiście sprawy zawsze wyglądają gorzej, kiedy zaangażowani są w to Francuzi.

- Oni nie są zaangażowani w szerszym sensie - wyjaśnił Roger.
- Jak pisałem, Luwr nie jest zainteresowany, co otwiera drogę dla wywozu obrazu z Francji.

- A potem *foie de veau, pommes mousseline* - powiedział Janely.

- Och, powinien pan spróbować czegoś bardziej *cuisinee* - zaproponowałam. - Jak często przyjeżdża pan do Paryża? Tutaj cudownie robią *pintade au cerfeuil* z odrobiną kasztanów.

Czułam, jak Roger przygląda mi się nieufnie.

- Przejrzę najpierw listę win - powiedział Janely. - Zajmowałem się trochę winami, zanim przerzuciłem się na starych mistrzów.

- Podobno wszyscy prawdziwi eksperci to Anglicy - oświadczył Roger.

- Bez wątpienia to absolutna prawda. Francuzi bardzo łatwo ulegają modom i często potrafią przegapić jakiś zdumiewający rocznik.

Przestudiował listę win i czekał, aż złożymy zamówienie. Sama wzięłam jajka, głównie z powodu *puree z morilles*, które podają razem z nimi, oraz *croustade de poulet*, pamiętając o tym, że przypuszczalnie czeka mnie jeszcze jeden duży posiłek tego wieczoru z Edgarem. Kiedy Roger złożył zamówienie, Janely poprosił kelnera, żeby przyniósł nam czerwony trevallon, co uznałam za interesujący wybór.

- Muszę przyznać, że wasz obraz pochodzi z najlepszego okresu La Toura, jak sędzę, choć bez wątpienia nie jest to okres, z którego jest najlepiej znany - powiedział po chwili Janely. - Moim zdaniem La Tour.

Czekał, aż oswoimy się z tą niesamowitą wiadomością.

- Zdaje się, że nie wszyscy podzielają tę opinię - powiedział Roger po chwili niskim, stłumionym głosem, niczym mężczyzna rozdarty przez pożądanie. - Najczęściej wszyscy mówią „szkoła La Toura” albo „uczeń La Toura”.

- Oczywiście - przytaknął Janely. - A czego się spodziewacie? Gdyby powiedzieli wam, że to jest La Tour, cena poszybowałaby

w kosmos i musieliby zapłacić za mego więcej. Szczerze mówiąc, to proste.

- Ale Luwr?

- Założmy, że jesteście muzeum - powiedział Janely. - Chcecie kupić, powiedzmy, jakiegoś Renoira, którego jacyś ludzie znaleźli u siebie na strychu. Nie mówię, że Luwr wprowadzałyby ludzi w błąd, nigdy niczego takiego bym nie sugerował, mam na myśli jedynie psychologię sytuacji. Zanim zaproponujecie cenę, czy poszlibyście najpierw do nich, żeby im powiedzieć, jak cenny jest ich Renoir? Wątpię.

Oboje z Rogerem byliśmy powaleni prostotą i oczywistością jego słów.

- Gdyby sami się wahali, czy to rzeczywiście Renoir, czy zapewnialibyście ich, że to prawda? Nie, nie zrobilibyście tego. Aby zachować czyste sumienie, moglibyście im powiedzieć, że nie jesteście pewni.

- Rozumiem - powiedział Roger po chwili. - I co pan o tym sądzi?

- Myślę, że to jest bardzo dobry La Tour, który, jeśli dojdzie do prawdziwej walki podczas licytacji, może osiągnąć bardzo dobrą cenę. Więcej niż jedna osoba będzie znała jego prawdziwą wartość. W naszym katalogu sprawa zostanie ujęta prawidłowo.

- Jakiej ceny można się spodziewać? - spytał Roger głosem narzmiąłym od chciwości.

- Przepuszczalnie miliona funtów. Doradzalibyśmy cenę minimalną mniej więcej tej wysokości. To będzie oznaczało, że nie zostanie sprzedany poniżej tej sumy.

Obydwoje z Rogerem obliczaliśmy różnicę między milionem funtów, nawet jeśli podzielilibyśmy się z Persandami, a czterdziestoma tysiącami dolarów, o jakich mówił początkowo Stuart Barbee. Poczułam się dziwnie; sam proces myślenia o dużej sumie pieniędzy wywołuje pewien rodzaj niemiłego podniecenia, uczucie gorączkowego zainteresowania, szum w głowie. W mojej wyobraźni przepływały bez związku wazy i piękne stroje. Starałam się pomyśleć o czymś bardziej wartościowym, wyobrażałam sobie dwa miliony, po podzieleniu się z Persandami pozostawał milion, po podzieleniu się

z Roxy i Judith nadal wypadło pięćset tysięcy dla Rogera i dla mnie. Zawrotna suma dająca poczucie mocy. Isabel, dziewczyna od wyprawiania psów, stawała się Isabel, dziedziczką fortuny. Oddzielałam te myśli od siebie po to, żeby je zapisać po kolei, ale pojawiły się wszystkie naraz z siłą elektrycznego wstrząsu.

Roger dokonywał podobnych obliczeń albo odebrało mu mowę na myśl o niegodziwej podstępności wielkich instytucji.

- Barbee, facet, który przyszedł w imieniu Muzeum Getty'ego, był przecież niezależnym rzeczoznawcą? Nie miał tu nic do stracenia ani zyskania, chodziło jedynie o ubezpieczenie.

- Hm, powiedzmy - rzekł Janely.

- Kto więc może nam powiedzieć, jak jest naprawdę? - spytał Roger.

- Co oczywiste, nasz punkt widzenia jest dokładnie przeciwny do punktu widzenia muzeów i handlarzy. Podobnie jak wy chcemy sprzedać obraz za możliwie najwyższą cenę. Jednak zaniżanie ceny nie służyłoby naszym interesom i najczęściej w swoich przewidywaniach jesteśmy bardzo blisko faktycznej ceny sprzedaży. Czasami sprzedaż wypada gorzej, czasami przekracza nasze szacunki - tak zdarza się najczęściej. Jesteśmy dokładni, ponieważ mamy pewność co do naszych opinii na temat autorstwa i znamy rynek. Musimy. Moim zdaniem nie ma żadnej wątpliwości, że macie dobrego, wczesnego La Toura i że może być wart co najmniej milion funtów.

- Czy Drouot nie powinien mieć więcej doświadczenia w dziedzinie francuskiego malarstwa?

Janely uniósł brew.

- Nie twierdzę, że znam powiązania dominujące wśród francuskich instytucji. Można bezpiecznie powiedzieć, że Drouot stara się grać bezpiecznie.

- Czujębym się pewniej w Christie's - przyznał Roger.

- O, to wyśmienite - powiedział Janely o swoim suflecie. - Francuzi są naprawdę niezrównani.

Chester wspiął się po kręconych schodach w chwili, gdy właśnie kończyliśmy, wypiliśmy więc z nim jeszcze jedną kawę. Pan Janely zapłacił rachunek.

- Milion, tato - rzekł Roger do Chestera. - Pan Janely jest pewny, że to La Tour.

Chester sprawiał wrażenie, jakby się poczuł nieswojo.

Oboje z Rogerem byliśmy wstrząśnięci, powaleni przez ten lunch i nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia, wracając pieszo na Place Maubert, zatopieni w swoich myślach, liczący bogactwo, planujący przyszłe posunięcia, usiłujący stłumić rodzące się w nas niestosowne nadzieje, tak starannie wytępione niegdyś przez naszych rodziców i ich kazania przeciwko chciwości. (Choć nie zauważyłam, żeby wywarły większy wpływ na Rogera). W ogóle nie przeszkadzało nam, że *Święta Urszula* miałyby zostać sprzedana przez Christie's. Po chwili dyskretnego wyczekiwania w następstwie wycofania obrazu z aukcji w Drouot pojawi się z wielkim hukiem jako La Tour, z którego Luwr już wcześniej zrezygnował. Każde z nas myślało o tym, co będą dla nas znaczyły te pieniądze, przy czym Roger przypuszczalnie zastanawiał się, jak uniknąć konieczności dzielenia się nimi z Persandami. Zgadzałam się, że nie mieli do nich żadnych praw.

ROZDZIAŁ 34

Dziękuję ci za twoje wysiłki, sprawiły mi wiele dobrego, tym więcej iż, mam nadzieję, nic cię nie będą kosztowały; ale zaklinam cię, nie mówmy o przyszłości.

Adolf

Niecierpliwie czekałam na spotkanie z Edgarem tego wieczoru po jego powrocie z Brukseli - jedynie na drinka, nie randkę w pełnym tego słowa znaczeniu. Miałam mu mnóstwo do powiedzenia - i jeszcze wiadomość, że obie nasze rodziny wiedzą o naszym romansie. Jeśli sam tego nie wiedział. Obawiałam się tej rozmowy, ponieważ to będzie moment, w którym mógłby powiedzieć, że lepiej będzie, jak przestaniemy się spotykać.

Umówiliśmy się o szóstej w barze Lutetia.

- Spotkałam się na kawie z Charlotte - zaczęłam bez zbędnych wstępów. - Mówi, że Persandowie i inni wiedzą o nas i że zrobił się wielki hałas. Moi rodzice także wiedzą, Suzanne im powiedziała.

Edgar wydawał się zaskoczony. Napił się scotcha.

- Cóż, czy to psuje ci zabawę, *cherie*?

- Mnie nie. Ale myślałam o tobie. O twojej żonie. - Jego żona nie była tematem zakazanym, ale nigdy o niej nie wspominaliśmy. Postawiłam to sobie za punkt honoru.

Wzruszył ramionami.

- Kłopotliwie, ale nie zabójcze. - Niemniej widziałam, że myśl o tym, co się stało, budziła w nim lekką irytację. Kłótnie, może ultimatum. Pewnie wiedział dokładnie, czego się spodziewać. - Ciekawe, skąd się dowiedzieli?

- Nie powiedziała. Byłam zbyt zaskoczona, żeby spytać. Nie mam zielonego pojęcia.

- Nieważne, Isabel. **Pas de probleme**. Możemy zignorować to, co powiedziała ci Charlotte, jak gdyby nigdy ci tego nie mówiła.

Możemy? Zastanawiałam się. Czy można nie wiedzieć czegoś, co się wie? Czy uda nam się kiedykolwiek wyrzucić ich z sypialni? Czy może zawsze będziemy czuli na sobie ich spojrzenia, irytację, a nawet śmiech? (Nie zapomniałam złośliwego rozbawienia moich rodziców). Wszyscy wdzierali się w idealną prywatność naszego intymnego świata.

- A może to będzie zabawne **epater** szacowne towarzystwo?
- ciągnął.

„Zabawne”, właśnie od tego słowa zaczęliśmy. W półmroku baru jego władcza postać działała na mnie uspokajająco, ale cień na jego twarzy już nie.

- Czy to nie rozkosznie szokować innych? Nie martw się, ma-lutka. Tego, co mamy, nie można nam odebrać. - Powiedział to, żeby mnie uspokoić, ale nie czułam spokoju.

- Jutro wieczorem idziemy wszyscy do pani Pace, to znaczy ja i moja rodzina - powiedziałam.

Jutro, we wtorek, wypadało nasze kolejne spotkanie. Edgar spoj-rzał na zegarek.

- Chodźmy do mojego mieszkania na godzinkę, **cherie**. Potem będę musiał wyjść, ale nie przed dziewiątą.

Tego właśnie pragnęłam, znaleźć się w jego ramionach, ale to ze-rwanie z naszą wtorkową tradycją sprawiało, że czułam się bardziej zdezorientowana, niż zdawałam sobie z tego sprawę.

Kiedy Edgar poszedł odebrać swój płaszcz, usłyszałam (zrozu-miałam), jak elegancka Francuzka mówi do swojej towarzyszki przy sąsiednim stoliku:

- To nieprawda, że amerykańskie dziewczęta, które przyjeżdża-ją tutaj, są wszystkie bardzo bogate, **riche et bien placee**, jak w latach pięćdziesiątych. Dzisiaj nie wiadomo, kim są, przyjeżdżają z różnych stanów, o których nigdy się nie słyszało. Poza tym to nieprawda, że Amerykanie nie mówią po francusku. Moja droga, oni wszyscy mó-wią po francusku, **execrablement**.

W naszych *les galipettes* było tego wieczoru coś elegijnego, w szczytowym momencie łąkałam z powodu wyjątkowo dojmującego poczucia napięcia i ulgi, ale jednocześnie byłam pewna, że to było po raz ostatni. „*Jionjour tristesse* / Jesteś wypisany w liniach sufitu”. Po wszystkim został we mnie długi, obejmując mnie z czułością.

A potem wstał, nalał sobie koniaku i powiedział:

- Isabel, na kilka miesięcy jadę do Zagrzebia pomagać przy toczących się tam negocjacjach.

Poczułam nagły lęk, ale nie byłam zaskoczona. Powinnam uważać, że to dobrze, być szczęśliwa, że mógł przysłużyć się swojemu krajowi tam, gdzie mógł pomóc. Ten hołd złożony jego przenikliwej myśli jeszcze raz potwierdzał, skąd się brało moje uwielbienie. A jednak poczułam się opuszczona, tak jak się tego spodziewałam, i w rezultacie ogarnęło mnie przerażenie i złość.

- A ja, co ze mną? - spytałam. - Czy będziesz mnie jeszcze chciał, kiedy wrócisz?

Wyglądał, jakby się zastanawiał, choć jestem pewna, że myślał już o tym wcześniej.

- Nie zawsze będziesz mnie chciała, moja najdroższa Isabel. Musimy o tym pamiętać. Może to naturalny moment, żeby się rozstać.

Czułam, jak moje serce zamiera na dźwięk tych słów, tak jak zawsze się dzieje, gdy słyszysz coś, czego się obawiałaś, wiesz, że schrzaniłaś sprawdzian, i teraz musisz przeczytać marną ocenę na zawsze wpisaną do twoich akt.

- Nie, w ogóle tak nie myślę. Będę czekała, pojedę z tobą...

- Oczywiście, zawsze będziemy się kochali. Ale nie zawsze będziesz mnie pragnęła. Wiem to, nawet jeśli ty tego nie wiesz - mówił. - To chyba wasz Emerson powiedział, że „każdy bohater zostaje w końcu nudziarzem”.

- Nie chcę o tym mówić.

Edgar ma pewną koncepcję przeznaczenia, posługuje się tym słowem. Odnosi je do siebie. „Obawiam się, że te bezużyteczne kazania są moim przeznaczeniem - powiedział kiedyś o swoich telewizyjnych występach i publicznych odczytach. - Swego czasu sądziłem,

że moim przeznaczeniem jest zostać mężem stanu". Teraz jego przeznaczenie kazało mu zerwać ze mną.

Ale przeznaczenie wydaje się jedynie nadętym słowem oznaczającym przyszłość. Może trzeba być osobą religijną, żeby się nim posługiwać, albo politykiem, jak sam powiedział. Może trzeba być w jego wieku, kiedy idea przyszłości nie jest już tak pociągająca. Jego słowa utkwiły mi w pamięci, ponieważ nigdy nie myślałam o sobie jako o kimś, kto ma jakieś przeznaczenie, choć oczywiście miałam swoją przyszłość; wszyscy ją mają, poza tymi, których czeka rychły kres. Przeznaczenie Roxy to życie we Francji, na które została nieuchronnie skazana przez swoje francusko brzmiące imię. Jej przeznaczenie jest oczywiste. A moje? Czymkolwiek by ono było, nie mogłam żałować, że Edgar jedzie do Zagrzebia, jeśli zależało mi na nim samym. Tak bardzo tego pragnął i mógł tam naprawdę pomóc. A jednak to aż za dobrze pasowało do toczącego się w spokojnym, zwolnionym tempie upadku mojego życia we Francji i śmierci moich nadziei. Początkowo nie miałam słów, żeby zaprotestować albo robić mu wymówki. Może byłam za bardzo zdumiona. Należałam do tych, których czeka szybki kres.

- Jesteś młoda, piękna i dobra - mówił. - Nie zawsze będziesz mnie pragnęła, Isabel.

Oczywiście mało brakowało, a wykrzyczałabym: a ty jesteś szpetnym, starym durniem. Ale nie powiedziałam tego. Prowadziliśmy błyskotliwą rozmowę o stosunkach między bośniackimi muzułmanami a Chorwatami.

Tak. A potem *sutien-gorge, combi satinee, slip dentelle, bas-collant*, szpilki i wyszłam w noc.

Starając się opanować łzy żalu, wracałam samotnie do domu przez Boulevard Saint-Germain. Było jasne, że powiedział coś więcej niż tylko to, że wyjeżdża do Zagrzebia; powiedział „zegnaj”. Rzucił mnie. To wyjaśniało jego szczególną czułość i pewną powagę, wyjaśniało parę rzeczy, które powiedział i których nie zrozumiałam. Byłam tępa, jak zawsze. Nie chciałam wiedzieć. Zegnaj na zawsze, mówił. Zostałam rzucona i dowiedziałam się, że to moja wina: „Nie zawsze będziesz mnie pragnęła, Isabel”.

W Paryżu było teraz wietrznie i zimno, grudzień, pogoda nazbyt złowróbna dla majowo-grudniowych kochanków, i o siódmej trzydzieści było ciemno jak o północy - *dix-neufheures trente*, ale nigdy nie nauczę się myśleć o czasie w ten sposób. Drażniła mnie pustka otaczającego świata. Miałam na sobie długi płaszcz, który przywiozła mi Margeeve, ale cała się trzęsłam, czując coraz większe rozdrażnienie, choć powinnam być spokojna, skoro kochałam się z Edgarem. Był próżny na punkcie swoich talentów kochanka, ponieważ zaprzeczały jego wiekowi; chciał po prostu dowieść swojego wigoru. A teraz będzie się sprawdzał w Jugosławii i tak naprawdę tylko o to mu chodziło; ten cały jego patriotyzm w rzeczywistości był narcyzmem - takie myśli przychodziły mi wtedy do głowy.

W czarnych kałużach zimnego deszczu odbijały się świadka reflektorów. Podczas paskudnej pogody w Paryżu człowiek myśli zwykle o ludzkiej odwadze - niezłomnych parasolach, pomocnych autobusach - i to działa pokrzepiająco. Ale tego wieczoru deszcz opowiadał o mojej samotności („// *pleut dans ma chambre, Upleut dans mon coeur*”). Spoglądając w górę, widziałam tylko oświetlone sufity mieszkań, ale nawet sufity, ozdobione gipsowymi owocami, oświecone przez bajkowe kandelabry, mówiły o zamożnym, sytym zadowoleniu, z którego zostałam wykluczona. Wyobrażałam sobie kurczaki z trufkami, rodziny przy stole, śmiech, wszystkie młode kobiety, które nauczono grać na pianinie. Nawet Charlotte potrafi zrobić kurczaka z trufkami i zagrać *Dla Elizy*.

Nie mogłam nic zrobić i straciłam wszystko: Edgara, swoją rodzinę i Francję (ponieważ widziałam aż nazbyt wyraźnie, że Łódź zbliża się do brzegu, wkrótce położą trap i moje kufty załadują na podróż powrotną). Z powrotem do mojej rodziny - która stała się teraz jakąś obca. Wciąż byłam na nich wściekła za to, jak zareagowali, kiedy dowiedzieli się o Edgarze i o mnie, za to, że wyśmiewali się z mojej miłości i moich obaw, za to, że traktowali mnie tak lekko. Gdyby mnie kochali, a nawet choćby znali, nie mogliby, pękając ze śmiechu, powiedzieć: „Ich rozpustny wuj uwiódł nasz niewinny kwiatuśzek, Isabel”. Czy ta sarkastyczna uwaga Margeeve nie zdradzała, co tak naprawdę o mnie myślała? (Czy mój ojciec oburzył się, choćby

w głębi serca, myśląc: Jak ona może powiedzieć coś takiego do Isabel?). Jak gdyby ciągle skupiali się na moich seksualnych wyczynach w szkole średniej albo na jakimś wyobrażeniu mojej osoby, które w ogóle nie bierze pod uwagę tego, że jestem...

No właśnie, jaka? Kiedy przyszło do odpowiedzi, poczułam pustkę w głowie. Wiedziałam, że mam różne zalety, ale idąc samotnie w lodowatym deszczu Boulevard Saint-Germain, tuż przed Rue Saint Jacques, musiałam przyznać, że innym jakoś nie rzucały się w oczy. Czy to możliwe, że wszyscy na świecie się myślą i tylko ja mam rację? Co takiego zrobiłam, albo czego nie zrobiłam w życiu, by mogli traktować mnie tak lekko, podczas gdy Rogera i Roxy, a nawet Judith, traktowali poważnie? Co trzeba zrobić, by przebić się do świata ludzi traktowanych poważnie? Te bezsensowne pytania miały wtedy dla mnie kosmiczne znaczenie.

Dla mnie i być może dla rozpustnego wuja, którego, według jego rodziny, byłam ofiarą, podczas gdy moja rodzina widziała to odwrotnie. Byłoby to nawet zabawne, gdybym miała ochotę na żarty. Poczułam nagły przypływ wspaniałomyślności. Jeśli byłam tylko jego ofiarą, ostatnim romansem, wygodną, przelotną kochanką, nie przejmowałam się tym. Serce ma własne imperatywy, zarówno serce Edgara, jak i moje. Ukłucie wdzięczności dla Edgara sprawiło, że łzy stanęły mi w oczach. Dlaczego? Ponieważ uważał, że warto opowiadać mi różne rzeczy, o Clausewitzu i marszałku Ney. Ponieważ wyczuwałam, że skończyły się nasze rozmowy. Nie przetrwają spojrzeń i szeptów naszych rodzin ani dystansu między Paryżem a Zagrzebiem. A jednak - jakiś Francuz napisał: „Nieobecność osłabia zwykłe namiętności i wzmacnia wielkie”. Wahałam się więc między gniewem a zrozumieniem i między rozpaczą a nadzieją. W końcu nie powiedział wprost, że to koniec, lecz jedynie, że może powinniśmy tak zrobić.

Nadzieja przybiera różne postaci. Może - zawsze potrafiłam ułożyć lepszy scenariusz - może nie doceniłam niezwykłej kultury i tolerancji Francuzów (jeśli pomyśleć na przykład o małżeńskim urlopie Charlotte)? Może z czasem zaczną traktować nas jako coś oczywistego? W wyobraźni zobaczyłam wizję przyszłości: na trawniku w Chartres, niedzielny obiad, Isabel i Edgar od lat są razem, Isa-

bel poprawia koc na jego kolanach, kiedy on siedzi w swoim wózku inwalidzkim, Suzanne woła ich na obiad. Amelie wyjechała na długą wycieczkę do Egiptu.

A jednak czy przyszłość polegająca na popychaniu starszego dżentelmena w *fauteuil roulant* zaspokoiłaby moje pragnienia? Ktoś inny powiedział: „Kto się żywi nadzieją, umrze głodny”. Co by się ze mną stało? Taki w istocie był sens mojego użalania się nad sobą - żal nad Isabel *seule*. Ogromne wrażenie zrobiło na mnie kiedyś powiedzenie Sartrea, choćby dlatego, że wydawało się o wiele mocniejsze w języku francuskim niż wtedy, gdy słyszałam je w niedzielnej szkółce w Miami, w stanie Ohio: „*Jlimportant nest pas ce qu'on fait de nous, mais ce que nous faisons nous-tne me de ce qu'on a fait de nous*”.

Czy to możliwe, że zaczęłam myśleć po francusku?

Byłam zaniepokojona tym, w jaki sposób wydarzenia, zamiast zmierzać w stronę kulminacji, jak to byłoby w filmie, najwyraźniej zaczynały się uspokajać niczym Morze Wiary w wierszu Matthew Arnolda. Słyszałam długi ryk odpływu. Być może nigdy nie powiemy sobie z Edgarem „do widzenia”; pojawią się coraz dłuższe przerwy między naszymi spotkaniami, będzie spędzał coraz więcej czasu w Brukseli albo w Bośni, a ja - gdzie? Moja przyszłość pozostawała wielką niewiadomą. Wyglądało na to, że będę skazana na ciągłą wędrówkę, odczuwając mdłości na widok pustki świata jak bohater z powieści Sartrea. Persandowie nigdy otwarcie mnie nie potępia, nie usłyszę słowa pretensji, nie będzie kulminacji, dramatów w sali sądowej albo aukcyjnej, ich gniew nigdy nie znajdzie wyrazu - świat pozostanie równie płaski pod moimi stopami jak ruchomy chodnik na stacji metra Chatelet, który pozornie gdzieś mnie wiezie, ale dowozi jedynie do najbliższej staq'i. Tę płaskość nazwano „cywilizacją”. We Francji nawet rześka amerykańska pisownia tego słowa przez „z” uległa zmiękczeniu do *civilisation*.

Może powinnam pojechać do EuroDisney i pieprzyć się z niemieckimi biznesmenami za pieniądze, jak proponował pan Tellman. Żartowałam.

Próbowałam przekonać siebie samą, że są rzeczy, na które warto czekać: dziecko Roxy, jakieś pieniądze za *Świątą Urszulę*. Ale to było za mało, żeby wyrwać mnie z mojego nieszczęścia.

*

**

Ilekróć o sobie myślę, zawsze przypominają mi się rdzawe plamy krwi Roxy na schodach przy Rue Maitre Albert numer 12, plamy ciemne jak wyrzut sumienia, mówiące, że to Roxy trzeba się opiekować i to jej trzeba strzec, to ona jest kwiatem. Ty, Isabel, jesteś drzewem, mocnym i głęboko zakorzenionym, cokolwiek o tobie myślą. (Ale La Fontaine powiada, że róża ugina się podczas burzy, a drzewa się łamią). Roxy jest naprawdę dzielna, zdarzył jej się niefortunny wypadek albo moment załamania, ale teraz śmiało maszeruje do przodu, samotnie oczekując kolejnego dziecka, ponieważ ostatecznie nikt nie będzie jej pomagał - ani Chester z Margeeve nie zrezygnują ze swojej porannej gazety i herbaty, nie będą przygotowywali pokarmów i wkładali dzieciom bucików i martwili się, ani ja, nawet jeśli bym tego bardzo pragnęła, ani Charles-Henri podczas weekendowych wizyt, ani Suzanne... Kiedy snułam takie rozważania, zawsze przypominał mi się obraz. A gdybyśmy naprawdę dostali milion dolarów? To uratowałoby Roxy. Można mówić, co się chce o pieniądzach, że brudne albo w złym guście, ale dla Roxy oznaczałyby kolosalną różnicę pomiędzy szarą codziennością a życiem poświęconym sztuce. W uniesieniu, wobec swojej nagłej bezinteresowności wspinałam się na schody szczerze przekonana, że podaruję Roxy swój udział w *Świętej Urszuli*. „Nie ufaj pierwszym odruchom - powiedział, zdaje się, Talleyrand, cytowany przez Edgara w jednym z przemówień - ponieważ przypuszczalnie są dobre”.

Stając przed drzwiami do mieszkania Roxy, usłyszałam chaos podniesionych głosów. Znowu ogarnął ich nastrój rodzinnej kłótni podobnej do tych, jakie wybuchnęły już kilka razy. W środku dowiedziałam się, że niecałą godzinę temu zjawił się Charles-Henri i oświadczył Roxy, że zgadza się z nią, iż nie należy sprzedawać *Świętej Urszuli*, a obraz powinien zostać przepisany na Gennie i na dziecko, które ma się urodzić, co skutecznie zamykałoby sprawę włączania go do rozliczeń rozwodowych.

Roxy właśnie powiedziała o tym pozostałym.

- Tego właśnie chciałam przez cały czas! To wszystko rozwiązuje! Wiedziałam, że kiedy naprawdę się nad tym zastanowi, postąpi

jak należy - powiedziała z rozpromienioną twarzą. Świat znowu miał znajomą twarz. Będzie można wycofać obraz z Drouot, powiesić go na jego miejscu nad kominkiem, wszystko będzie tak jak dawniej, jeśli nie liczyć konieczności ubezpieczenia go na osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Co będzie kosztowne, ale jakoś da radę. Mogłam sobie wyobrazić ulgę, jaka ją ogarnęła, poczucie, że szczęście znowu się do niej uśmiechnęło.

Wtedy Roger powiedział:

- Roxy, nie ma mowy.

Nie ma mowy, żebyś przywłaszczyła sobie własność o wartości kilku milionów dolarów, która należy do Chestera, Isabel i do mnie.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Roxy: - Ten obraz dostałam po śmierci wuja Williama, kiedy wszyscy wybieraliśmy obrazy.

Roger: - Co za bzdury, nie myśl, że możesz mówić takie brednie. On nawet nie był twoim wujem.

Margeeve: - Roger, jeśli tak do tego podchodzisz, to przypominam ci, że połowa tego obrazu należy do mnie, ponieważ jestem żoną Chestera, sam to powiedziałeś. To Chester odziedziczył obraz. Więc połowa jest moja.

Roger: - Nic z tego, Margeeve, już ci to wyjaśniałem.

Jane: - A co z Fritzem? Dlaczego dzieci Roxy miałyby, a nie Fritz...?

Ja (nieśmiało): - Niech Roger opowie wam o naszym lunchu z facetem z Christie's...

Chester (w obronie Roxy): - Zdaje się, iż w testamencie wuj William postanowił, że każdy ma sobie wybrać coś, co mu się podoba.

Roger: - Nie sądzę, żeby to dotyczyło dzieci twojej żony. Osób, które nawet nie są z nim spokrewnione.

Ja: - Roxy! Jest wart miliony dolarów. Oprzytomniej!

Margeeve: - Nie jestem taka pewna, czy chciałabym go sprzedać. Moglibyśmy go wypożyczyć do muzeum dla bezpieczeństwa. Tak naprawdę jaki sens mają pieniądze, wszystko i tak pochłoną podatki, czy nie lepiej mieć cenne dzieło sztuki, czynić dobro za jego pomocą?

Chester: - To niedorzeczne. To niedorzeczne.

I tak dalej w tym stylu. Nowością był pewien ton, którego nie słyszeliśmy wcześniej, ton pretensji między Chesterem a Margeeve, ale nie potrafiłam zgadnąć, kto kogo obwinia.

- To nie do wiary, kłócimy się o dziedzictwo nienarodzonego dziecka - wrzasnęła Roxy wśród chóru innych okrzyków, przy czym moje były równie głośne i pełne chciwości jak pozostałych. Tyle, jeśli chodzi o moje wspaniałe postanowienie podjęte na schodach.

Nigdy nie domyśliłabym się, co czuli ani jakie nimi miotały dziwne emocje. Pewnie nie świadczy najlepiej o mnie i Rogerze, że tak bardzo zależało nam na pieniądzach, ale skoro o tym mowa, zdecydowanie nie podobało mi się, że Roxy pragnie zagarnąć obraz dla swoich dzieci, i powtarzałam to, raz po raz, z coraz większą zaciętością. Wszyscy zrobiliśmy się okropnie zawzięci, choć byliśmy szczęśliwą rodziną (i bez wątplenia będziemy ponownie). W ten sposób dowiedziałam się czegoś na temat trującej siły pieniędzy. W końcu siła naszego zbiorowego oburzenia przekonała Roxy, że będzie musiała odrzucić propozycję Charles'a-Henriego i zgodzić się na sprzedaż w Drouot albo Christie's.

- Powinniśmy zastanowić się nad wycofaniem obrazu z aukcji w Drouot - postanowił Roger. - Powołując się na to, że rozważamy jego propozycję. W tym czasie zaczekamy na decyzję sądu, czy obraz należy do *biens*, jak to się tu nazywa, małżeńskich.

- Myślałam, że zostawicie mi choć jedną rzecz, którą kocham - wrzasnęła Roxy.

Samotnie w swoim pokoju miotałam się od rozpaczki do wściekłości, rozmyślając o Edgarze i mojej uległości. Czy podziwiał moją uległość, to, że nie robię mu wyrzutów, nie leję łez? Czy można mnie tak po prostu odprawić rzuconym mimochodem zdaniem, że nic już dla siebie nie znaczymy? Czy wystarczyło, że odwołał się do mojej uległości i zdrowego rozsądku? Zrezygnowałam niemal z całego życia towarzyskiego, poświęciłam... To było uzalanie się nad sobą w najskrajniejszej postaci. Gniewne mowy, które układałam w głowie, zamieniały się w mowy pełne błagań, przemowy, a potem listy. Przez

całą noc pisałam w głowie gniewne i błagalne listy o tym, że chciałam zostać z nim na zawsze.

Problem polegał na tym, że słowo „zawsze” natychmiast wskazywało na swoje przeciwieństwo: skończoność, śmiertelność, z którą przypuszczalnie zetknąłby się prędzej niż ja. Przypominało o jego wieku i mojej młodości, i o tym, że musiałabym się nim opiekować w jego dolegliwościach, o których wołał na razie nie myśleć. Usiłowałam powiedzieć: chcę być z tobą na każdych warunkach albo pozwól mi być po prostu twoją sekretarką i asystentką. Ale wszystkie protesty wypadały nieprzekonująco w obliczu podejrzenia, że Edgar miał rację i że prędzej czy później nasze drogi się rozejdą. Kazał mi przeczytać francuską powieść pod tytułem *Adolf*, w której bohater powiada: „Biada mężczyźnie, który w pierwszych chwilach miłostnego związku nie wierzy, by ten związek miał być wieczny!”. Próbowałam przypomnieć sobie, co sama myślałam na początku - i to prawda, zawsze miałam przeczucie czekających mnie kłopotów. Co za przekleństwo mieć krytyczną, rozsądną naturę; jakże zazdrościłam Roxy jej bezrefleksyjnych namiętności i życia artystki, która ma prawo układać rzeczywistość po swojemu.

Myśl, że zostałam bez Edgara, sprawiła, że ponownie poczułam się zdezorientowana po miesiącach harmonijnie ułożonego życia. Nagle ogarnęły mnie nudności i strasznie porzygałam się w małym WC obok drzwi do pokoju afrykańskiej rodziny. Moje problemy wydawały się tym większe, że wiedziałam, jak wygląda szczęście. Niemniej nauczyłam się jednej lekcji od pani Pace, surowej, prawdziwie amerykańskiej lekcji: Cokolwiek się wydarzy, będę się uśmiechać.

Następnego dnia, we wtorek rano, Roxy przyszła do mojego pokoju. Z trudem wspinała się teraz po schodach, odkąd przytyła prawie dwadzieścia kilo. Kiedy stanęła w drzwiach, przez chwilę w ogóle nie przypominała Roxy, ale jakąś obszerną kobiecą postać gdzieś z Rumunii albo Splitu uciekającą przed ostrzałem mordercy. Bezkształtny, brązowy płaszcz zamieniał ją w jakąś anonimową Słowiankę, do tego miała lekko opuchniętą, okragłą twarz i worki pod oczami.

- Pani Pace prosiła, żebyś zadzwoniła do niej - odezwała się. - Poza tym, Iz, wcale nie uważam jak inni, że to takie dziwne. Chciałam ci

to powiedzieć, zanim przyjdą. Wiesz, chodzi o wuja Edgara. Nawet go nie widzieli na oczy, po prostu usłyszeli „siedemdziesiątka”.

- Tak myślę - odrzekłam. - Zresztą i tak mam to gdzieś.

- Nie wiedziałam, że tak bardzo potrzebowałaś jakiejś ojcowskiej postaci. Pewnie myślisz, że Chester poświęcał mi więcej uwagi niż tobie. (Rzeczywiście tak myślałam, ale miałam to gdzieś).

- Interesują mnie jego poglądy polityczne - powiedziałam.

- Prawdę mówiąc, zazdroścę ci. Nie wuja Edgara, ale, sama nie wiem, zazdroścę ci namiętności.

- Rox, jeszcze będziesz szczupła - pocieszyłam ją. Przypomniałam mi się maitre Bertram i ta dziwna chwila na schodach.

- Tak, wiem - westchnęła bez przekonania. Podobno pod koniec ciąży wydaje ci się, że już nigdy nie będziesz taka jak kiedyś.

Zeszłam do mieszkania Roxy i zadzwoniłam do pani Pace. Powiedziała, że było u niej włamanie, i chciała, żebym przyszła jak najszybciej. Pobiegłam do jej mieszkania, gdzie zastałam scenę dziwnie przypominającą dzień w Chartres, gdy ktoś „odwiedził” Persandów. Nieznany gość nie tylko „odwiedził” panią Pace, ale także ją okradł. Policjant zbierał w całym domu odciski palców, a Robert Pace, ubrany w szlafrok, rozmawiał przez telefon w sprawie ubezpieczenia. Poprzedniego wieczoru wrócili późno i po powrocie nie rozglądali się po domu. Dopiero o siódmej rano zauważyli, że kilka rzeczy zginęło z kredensu. Oczywiście wiedziałam, że zniknęła także waza. Powinnam była wcześniej powiedzieć coś na ten temat.

Pani Pace (starannie ubrana, pończochy, garsonka, broszka w kłapie) poprosiła:

- Chciałabym tylko, Isabel, żebyś spokojnie rozejrzała się po domu i pomogła mi sporządzić listę rzeczy, które zniknęły. Mówią, że samemu zawsze się coś przeoczy, bo człowiek jest za bardzo przygnębiony i zdenerwowany. Zauważyłam oczywiście brak tego, co rzucało się w oczy. Wszystkie rzeczy z kredensu: waza, srebrny imbryk, półmisek Bow. Poza tym magnetowid i niewielki stolik z przedpokoju. Jednak, co dziwne, zniknęły także moje dokumenty, które przecież nie powinny interesować francuskiego włamywacza.

- Skądinąd włamanie wydaje się takim francuskim przestępstwem - dodała, nigdy nie tracąc okazji do refleksji. - Takim swoim, skupionym na przedmiotach materialnych, wymagającym pewnej wiedzy i pozbawionym przemocy. Ale naprawdę nie rozumiem tego zainteresowania moimi kartotekami.

- Może po prostu szukali ukrytej biżuterii - powiedziałam przygnębiona własną rolą w całej sprawie.

Stolik, waza, półmisek Bow. Poza tym prawie nic nie zniknęło, choć w końcu w jej garderobie zauważyliśmy brak dobrego, małego rysunku Claude'a. Z jej kartoteki ktoś wyciągnął lata 1940-1952 i porozkładał na biurku. Kiedy chowałam teczki na miejsce, zauważyłam, że brakuje roku 1950.

- Co się działo w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym? - spytałam, ponieważ nie dotarliśmy jeszcze do tego momentu w naszych porządkach.

- Stare sprawy związane z partią komunistyczną. Tego roku byłam skarbnikiem. Och, tak bardzo się martwię o moją porcelanę, Robercie! - zawołała. - Strasznie mi jej szkoda.

Ciekawe, że ja też się o nią martwiłam, zupełnie jakby to do nas się włamano. Byłam tak samo zirytowana i ogarnęło mnie poczucie naruszenia prywatnej przestrzeni. Dostrzegałam w tej kradzieży fragment szerszego wzoru, motywu utraty, który zaczął wyłaniać się z pozornie przypadkowych elementów życia i narzucać mi swoją wolę.

Przypomniałam sobie od razu, że Cleve Randolph pragnął zajrzeć do papierów pani Pace, choć oczywiście nie widziałam żadnego związku z kradzieżą. Co to wszystko miało znaczyć?

Pobiegłam do domu, żeby przygotować się do naszej wyprawy do EuroDisney. Kiedy ubierałam Gennie w płaszczyk, zadzwonił do mnie sprzedawca antyków z jarmarku staroci. Miał wazę. Była prawie taka sama, choć niedokładnie jak ta, której pragnęłam, może więc chciałabym się umówić, żeby przyjść i ją obejrzyć? Powiedziałam, że niedługo przyjdę, zadzwonię do niego.

ROZDZIAŁ 35

Wyznaczając jednak takie determinanty naszemu życiu, wykluczył tym samym właśnie wszelkie życia, jakich moglibyśmy oczekiwać.

Proust, *Czas odnaleziony*

Muszę teraz ostrożnie wybierać swą drogę wśród wydarzeń następujących kilku dni, które jeszcze bardziej zmieniły nasz świat i nas samych. Oczywiście wiem, że każde wydarzenie w życiu wpływa na kształt następnego, można więc coś takiego powiedzieć o dowolnej sekwencji wydarzeń. Ale jak powiedział Wiktor Hugo: „katastrofy w trzeźwiący sposób porządkują nasze życie”. Czy mogliśmy uniknąć tej właśnie, gdybyśmy tylko posłuchali?

Na ten dzień mieliśmy zaplanowaną wyprawę do EuroDisney. Razem z Margeeve zabraliśmy Gennie, a Suzanne de Persand wzięła ze sobą dwójkę dzieci Charlotte: Paula-Louisa i Marie-Odile. Początkowo miała jechać z nami jeszcze Roxy, ale w ostatniej chwili powiedziała, że nie czuje się na siłach. Zaniepokojone spytałyśmy:

- Czy nie sądzisz, że zaczyna się poród?

Nie, odpada Roxy bez przekonania, to chyba jeszcze nie dziś; uznała, że chodzenie kilometrami po jakimś parku rozrywki przy zimnej pogodzie byłoby dla niej za trudne. Już w pociągu pomyślałyśmy i powiedziałyśmy to na głos, że przypuszczalnie chciała mieć dzień dla siebie, wolna od naszego towarzystwa i od Gennie.

Pomysł wycieczki do EuroDisney budził we mnie uczucie snobistycznej niechęci. Wydawało mi się niepojęte, jak Europejczycy w ogóle mogą tam jeździć, nie mówiąc o nas, skoro mamy coś takiego

u siebie, w Kahifornii, o ile kiedykolwiek mielibyśmy ochotę tamjechać. Oczywiście Chester i Margeeve zabrali nas tam, kiedy byliśmy dziećmi, i oczywiście szalenie nam się wtedy podobało.

Droga do EuroDisney zabiera czterdzieści minut jazdy pociągiem na wschód od Paryża. Ponieważ Gennie nie odziedziczyła wrodzonej wiedzy na temat Myszki Miki i Kaczora Donalda, nie była szczególnie podekscytowana. Była bardziej francuskim dzieckiem niż Amerykanką. Przypuszczam, że w *creche* mówią do niej *ooh-la-la*, ponieważ mówi *ooh-la-la*, i najwyraźniej nie przejęła takich zwrotów od Roxy, która mówi do niej wyłącznie po angielsku. Ale tego dnia wiedziała, że jedziemy na wycieczkę i że to jest specjalna wycieczka, ponieważ jedzie z nią także druga babcia i mali kuzyni.

"J a k tu pięknie!", powiedziała Suzanne uprzejmie, kiedy zbliżyliśmy się do szeregu różowych budynków, idąc przez park kwitnących rododendronów i poinsecji na cześć zbliżających się świąt oraz sztucznego śniegu umieszczonego w rogach okien. Spodziewałam się, że EuroDisney będzie jakimś żenującym naśladownictwem, wtórnym zbiorem tekturowych zamków, amerykańskim wyobrażeniem splendorów Starego Świata, więc byłam zaskoczona, że był taki ładny, z różowym hotelem niczym tort weselny, który wyglądał znajomo, wiktoriańskimi kolumnkami i szkłem Tiffanyego. Był amerykański. Spodziewałam się, że poczuję przypływ kulturowej złości, rodzaj upokorzenia i wstydu, że Ameryka woli zaprezentować się Europejczykom poprzez taką głupotę. Ale trudno było się do czegoś przyczepić.

- Wygląda jak Del Coronado, ten hotel w San Diego - powiedziała Margeeve. - Zdaje się, że zbudowano go na wzór jednego z naszych kalifornijskich hoteli - wyjaśniła, zwracając się do Suzanne.

- Kalifornia, tak, wyobrażam sobie, że Kalifornia tak wygląda, wiesz, widziałam tylko Santa Barbara. - Suzanne pokiwała głową.
- To naprawdę urocze, ten hotel tutaj, chociaż podobno jedzenie jest nie najlepsze.

Usiłuję sobie teraz przypomnieć, co robiliśmy przez jakąś godzinę, zanim nastąpiło dziwne wydarzenie. Myślę, że miło spędziliśmy czas, wszystko było pełne ozdóbek i śliczne - wyidealizowana Ameryka.

Musiałam przyznać, że miło było znaleźć się z powrotem w Ameryce, zwłaszcza w Ameryce sprowadzonej do jej idealnej postaci, ganików z piernika i szkła Tiffany'ego oraz niegroźnych, antropomorficznych królików i myszy, uroczych kadów, optymistycznych bajek, Świętych Mikołajów i przystojnych kowbojów, ciuché i stacyjek. Wiem, że powinno to budzić nasz sprzeciw, ale trudno nie doceniać nieobecności papierków od gumy do żucia i niebezpiecznej broni. A w każdym razie tak sobie to wyobrażałam.

Pojechaliśmy małą kolejką z Dzikiego Zachodu, która zabrała nas do Sierra Nevada przez krajobraz przypominający Tahoe - żadne z tych miejsc nie wydawało nam się egzotyczne, ale Suzanne raz po raz mówiła „bardzo ładne”, a Gennie śmiała się na widok tancerek z wodewilu i westernowych zabijaków. Poszliśmy do zaniku Śpiącej Królowej. „La Belle au Bois Dormant”, wyjaśniła dzieciom Suzanne. Zrobiliśmy sobie zdjęcia i poszliśmy na przejażdżkę wśród piratów.

Mój francuski świat zawalił się z hukiem, o czym przypominały mi skurcze żołądka podczas tej głupiej jazdy, kiedy mocno trzymałam Gennie piszczącą na widok podświetlonych twarzy rzezimieszków i realistycznie oddanych krokodyli.

Zobaczyłam teraz, że moja miłość do Edgara była rodzajem bajki, marzenia oderwanego od rzeczywistości. A jednak kiedy wyjdziemy z EuroDisney, będziemy tacy sami jak poprzednio, tymczasem ja nie byłam taka sama po kilku miesiącach spędzonych z Edgarem w moim bajkowym świecie Francji. Zmieniłam się i nie będę już taka jak przedtem, choć nie umiałam powiedzieć, jaka to zmiana. Opłakiwałam naszą ostatnią rozmowę, a potem zbierałam się i chwytałam promienie nadziei, że może jakoś uda się nam być razem. Jego słowa o wyjeździe pojawiły się zbyt szybko po tym, jak mu powiedziałam, że zostaliśmy zdemaskowani, żeby można było podejrzewać, iż jedno z drugim ma jakiś związek. Jechał do Zagrzebia, to wszystko.

A potem wpadłam w jakąś otchłań: od dawna zamierzał mi powiedzieć, że między nami wszystko się kończy, i był to tylko zbieg okoliczności, że nasze rodziny dowiedziały się teraz o naszym romansie. Skąd się o tym dowiedzieli? Czy to przez Kelly? Ile naprawdę jest wart nasz obraz? Czy człowiek z jarmarku staroci zamierzał

mi sprzedać wazę pani Pace? Te pytania z sensem i bez sensu przelatywały mi przez głowę podczas żeglugi naszej małej barki, która niosła nas przez Morze Karaibskie.

To właśnie wtedy, gdy stałam wśród piratów z Wysp Karaibskich, patrząc na kołyszące się w oddali małe statki na błękitnym morzu, podszedł do nas jeden z piratów i coś powiedział. Miał skupione, groźne spojrzenie, a jego uśmiech pirata przypominał paszczę rekina. Mimowolnie wzdrygnęłam się, kiedy położył mi rękę na ramieniu. Człowiek raczej się nie spodziewa, że odezwie się do niego element scenografii; chwila zupełnie jak w horrorze, gdy oczy portretu nagle zaczynają się poruszać.

- Siostrzyczka, tak? Mamy właśnie przerwę.

Long John Silver, Jolly Roger; po chwili jego rysy zaczynały przypominać męża Magdy Tellman, prawnika. Uśmiechnął się do mnie, a potem do Margeeve i Suzanne.

- To moja matka i... - zawahałam się, przypominając sobie o jego agresywnej postawie, kiedy był pijany. Teraz wydawał się spokojny, ale miałam wątpliwości, czy to rozsądne wspominać nazwisko Suzanne albo Gennie i pozostałych dzieci. To nie była myśl w pełnym tego słowa znaczeniu, po prostu coś powstrzymało mnie przed tym, żeby ich przedstawić. Wydawało mi się dziwne, że znalazł się właśnie tutaj, przebrany w białą, luźną koszulę, wyciągniętą ze spodni jak bluza pirata, ale oczywiście miał jakieś związki z tym miejscem.

- Cieszę się, że ją widzę - rzekł niemal jowialnie do Suzanne i Margeeve. - Potrzebuję jej pomocy w pewnej sprawie. Gdy jej nie będzie, oprowadzę panie trochę.

Wydawały się zaskoczone. Spojrzały na mnie, żeby się upewnić, czy rzeczywiście znam tego faceta.

- Dobrze - zaczęłam - zamierzaliśmy właśnie pójść do Futurelandu, czy jak to się nazywa.

- Słuchaj - powiedział, chwytając mnie trochę zbyt mocno za rękę, i odprowadził krok albo dwa na bok. - Chcę, żebyś przyprowadziła mój samochód. Z pewnych względów nie mogę sam tego zrobić. Powiem ci dokładnie, gdzie on jest. To mi bardzo pomoże.

Byłam tak przyzwyczajona, że robię różne rzeczy dla innych jako goniec i popychadło, że niemal od razu chciałam powiedzieć „jasne”, ale coś mnie powstrzymało i powiedziałam, że przykro mi, ale nie mogę. Jeszcze mocniej ścisnął mnie za rękę. Teraz zauważyłam, że jest zdenerwowany; pocił się, choć było zimno i nie miał na sobie płaszcz. Drugą ręką sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął portfel. Puścił mnie i wyjął coś z portfela, swoje zdjęcie oprawione w plastik z jakimś napisem, rodzaj identyfikatora, który wcisnął mi w dłoń.

- Kiedy już to załatwisz, możesz zabrać panie do hotelu Disneyland na wystawny lunch, na mój koszt, wszystko za darmo. Popatrz, weź to, to cię upoważnia do tego, żeby mieć wszystko za darmo w całym parku.

Nie powiedziałam ani słowa, więc chwycił mnie ponownie.

- To biały opel, wynajęty, stoi obok zachodniego ogrodzenia przy Frontierlandzie. Nie pamiętam rejestracji, jeśli będzie więcej niż jeden, musisz spróbować, czy kluczyk pasuje. Po prostu wsiądź tutaj do pociągu, w Fantasylandzie; nie, szybciej będzie piechotą. Pójdź tędy, wzdłuż torów, aż dojdiesz do Frontierlandu. Masz tu kluczyk.

- Słuchaj... - zaczęłam.

- Zrób to - powiedział.

Miał w głosie coś, co kazało mi go posłuchać. Może w jego tonie była jakaś groźba, a może to silny uścisk jego palców albo sposób, w jaki patrzył na Gennie. Za granicą Amerykanie chętniej wyświadczają sobie różne przysługi, niż zapewne zrobiliby to w kraju. Powiedziałam sobie, że nie ma nic dziwnego w tym, że mu pomagam. Ale ze wstydem muszę przyznać, że przekonał mnie ten identyfikator.

- Pojedź drogą techniczną do miejsca, w którym będziemy cię widzieli z wieży zamku Śpiącej Królowy. To zajmie tylko kwadrans i szalenie mi pomoże. W tym czasie pokażę im pewne ciekawe rzeczy niedostępne dla zwiedzających.

- Isabel? - zawoła Margeeve.

- Będę za kilka minut. To jest pan Tellman - powiedziałam.

I ruszyłam, choć byłam zirytowana i niespokojna, w stronę, którą mi wskazał.

Zdaje się, że trwało to więcej niż piętnaście minut. Szłam przez krajobraz lasów sosnowych i krzewów szalwiowych, jak gdybym była w Kalifornii. Jak gdybym przemierzała Kalifornię w siedmiomilowych butach, jednym krokiem pokonując ogromne połacie krajobrazu. Jakiś stary jeep rdzewiał w rozpadlinie, widać było kaktusy i bydło długorogie. Na wzgórzu zobaczyłam srebrzyste belki pobielanego domu z sekwoi. Równie dobrze mogłabym być w Tahoe. Wreszcie w oddali, za małą wiejską stacją kolejową, przez zarośla dostrzegłam teren parkingu. Szłam chyba ze dwadzieścia minut. Wybrałam jakąś ścieżkę, okazała się niedobra, potem następną, która przechodziła pod torami miniaturowej kolejki. W końcu znalazłam się wśród zaparkowanych samochodów obsługi, małych ciężarówek i elektrycznych wózków, beczek po ropie, dużych pojemników na śmieci. Biały opel stał niemal samotnie przy ogrodzeniu. Był niezamknięty. Obok biegła droga techniczna, którą miałam pojechać. Poczułam nieokreślony niepokój, jak gdybym kradła ten samochód. To wszystko było jakieś dziwne. A jednak co tu mogło być nie tak, w pełnym świetle dnia, w EuroDisney, wśród tysiąca ludzi? Otwierając samochód, zobaczyłam, że przyglądała mi się grupa rangersów w kowbojskich kapeluszach. Wiedziałam, że to Francuzi - pracowali tutaj Francuzi - ale w stetsonach i kowbojskich butach wyglądali na Amerykanów. Kiedy wykręciłam w stronę drogi technicznej, nagle przejazd zagroził mi samochód szeryfa, plymouth z napisem „Sheriff”, z którego wyskoczyli mężczyźni z bronią w rękę, ale to byli francuscy policjanci, a ich pistolety skierowane były we mnie.

Wysiadłam z samochodu z rękami do góry. Każdy amerykański kinoman wie, że tak trzeba zrobić. Jacyś ludzie patrzyli na tę typowo amerykańską scenę z wiaduktu niewielkiej kolejki. Pewnie sądzili, że stanowimy element żywej dioramy amerykańskiego życia.

Żandarmi kazali mi usiąść w swoim samochodzie i ponownie zaparkowali opła. Zaczęli zadawać pytania. Co tutaj robię? Do kogo należy ten opel? Gdzie jest mężczyzna, który go wynajął? Co mam z nim wspólnego? Mówiłam teraz lepiej po francusku niż wtedy, gdy Roxy podcięła sobie żyły. Potrafiłam powiedzieć kilka słów. Mogłam

im wyjaśnić, co to za facet, skąd go znam, powiedzieć, że jest z moją matką i moją małą siostrzenicą, z niewysoką blond Francuzką i jeszcze dwojgiem jej wnucząt.

Problem polegał na tym, że nie miałam pewności, czy mi uwierzyli. Tak czy inaczej, kazali mi siedzieć razem z nimi. .

ROZDZIAŁ 36

O bizarre suite d'evenements! Comment cela 'est-il arrive? Pourquoi ces choses et non pas d'autres?

Beaumarchais, *Le mariage de Figaro*

Jak w źle zmontowanym filmie trudno było śledzić przebieg dalszych wydarzeń, tak szybko i niespójnie po sobie następowały, tak słabo rozumiałam słowa mamrotane po francusku, atmosferę pośpiechu i powagi sytuacji, w której mężczyźni wysiadali z samochodów, po czym do nich wracali, odbezpieczali i przygotowywali swoją broń, mówili przez krótkofalówki. Pojechaliśmy wzdłuż drogi technicznej do miejsca, gdzie Tellman kazał mi zostawić opla. Za nami wlokły się dwa samochody, dwa inne czekały na tle innego krajobrazu, obok fantazyjnie przyszczyżonych drzew oznaczających granicę Fantasylandu. Sponad drzew wystawały cukierkowo różowe i błękitne wieże zamku. Większość gości Fantasylandu nosiła teraz żółte plastikowe płaszcze od deszczu z podobizną Myszki Miki, które kupili w sklepie z pamiątkami, spodziewając się deszczu. Rzeczywiście spadło kilka kropli. Nie widziałam Margeeve ani Gennie, ani Tellmana.

- Myślę, że są w wieży - powiedziałam żandarmom. - Kiedy odchodziłam, właśnie tam się wybierali.

- Czy on nadal ma broń?

- Broń? Nie widziałam broni - odpadam. - *Je n'aipas vu* - broń.

- Jakie jest francuskie słowo?

Miałam nadzieję, że nie ma broni. Wiedziałam, że jest nieopanowany. Dotado do mnie, że jest obłąkany; przypomniałam sobie, jak

chwycił mnie za ramię, krople potu na czole. A teraz miał Gennie. Jak mogłam odejść tak posłusznie i zostawić ją, Margeeve i Suzanne w rękach szaleńca? Żandarmi marszczyli czoło, mieli ponure miny.

Na podstawie ich rozmów między sobą zaczęłam powoli rozumieć, co się stało. Amerykanin usiłował zabić swoją żonę, ale mu się nie udało. Zdołała doczołgać się do sąsiada, zdążyła powiedzieć im, że jest obłąkany i że ma broń. Nie wiadomo, czy ona przeżyje, ma małe szanse. Wtedy on będzie mordercą. Spojrzeli na mnie, jakby czekając moją reakcję. Czy jestem jego dziewczyną, jego współniczką? Amerykanin, mówili. Szaleniec z bronią postrzelił ją, ale nie zginęła. Jeszcze nie.

- Jesteś jego *petite amie*? Twój przyjaciel? - mówili do mnie.
- Zawołasz do niego.

Ale nie pozwolili mi wysiąść z samochodu. Wydawało mi się, że widziałam złowrogie oko Tellmana spoglądające z okna wieży, ale równie dobrze mógł to być tekturowy pirat. Policjanci otoczyli wieżę i odgonili ludzi w żółtych pelerynach, rodziny i matki z wózkami, po czym skierowali ich w stronę Latającego Piotrusia Pana, ogłaszając, że Piraci są teraz zamknięci.

- *Dumbo, Dumbo est ouvert!* - ktoś zawołał. - *Dumbo est ouvert!*

Turyści pomknęli w stronę przejażdżki do świata Dumbo.

- To Amerykanin? Mówi po angielsku? Czy mówi po francusku? Czy panie mówią po francusku? - zaczął wypytywać mnie jeden z policjantów po angielsku z ciężkim francuskim akcentem. Jeszcze raz wyjaśniłam, kim one są. Nie próbowałam nawet wyjaśniać, kim jest on: były mąż kochanki byłego męża mojej siostry. Czy naprawdę usiłował zabić Magdę?

Opowiedziałam im o mojej matce, o teściowej mojej siostry i o mojej trzyletniej siostrzenicy zamkniętych tam w środku razem z jeszcze inną dwójką małych dzieci. Zastanawiałam się, czy się boją, zastanawiałam się, czy w ogóle tam są i czy może je skrzywdzić. Nawet jeśli zranił Magdę, czy może je zranić?

W pewnej chwili wydawało mi się, że usłyszałam z oddali jakiś płacz, który mógł być płaczem Gennie. Usiłowałam zachować ka-

mienną twarz. Starałam się nie myśleć, ale ja także musiałam się zastanowić, co zrobić. Strasznie chciało mi się sikać. Może to skutek lęku. Lęku oraz potężnej dawki *ennui*. Wydawało mi się, że siedziemy tu od kilku godzin. Chyba chciałam, żeby wreszcie coś się stało, ale nic się nie działo.

- Pozwólcie mi zawołać do mojej matki - powiedziałam.

- *Allez-y* - powiedział żandarm, wypychając mnie z samochodu
- Stań tam, nie bliżej, dam ci mikrofon.

Chwilę szamotali się z dużym megafonem na kablu, w końcu jeden z nich stanął z nim przede mną. Kiedy odchrząknęłam, żeby oczyścić głos, wśród wież Chateau de la Belle au Bois Dormant odbił się echem potężny kaszel.

- Margeeve - zawołałam, mój głos huczał mi w uszach. Cisza. Może jej tam w ogóle nie było. *Encore*, ktoś powiedział. Zawołałam jeszcze raz, ale gdy nikt nie odpowiedział, wepchnęli mnie z powrotem do samochodu.

Siedzę w policyjnym renault u wylotu drogi technicznej. Razem ze mną młody żandarm. Narastają we mnie pytania, na które nie znam odpowiedzi: Czy czekają, żeby się zorientować, czy mogę im się do czegoś przydać? Czy myślą, że jestem w to zamieszana? Czemu nie mogę podejść bliżej, tam gdzie są inni mężczyźni w hełmach i kuloodpornych kamizelkach? Ten widok nie jest sam w sobie straszny, ponieważ francuska policja często ubiera się w ten sposób podczas całkiem niegroźnych zamieszek na Boulevard Saint-Germain. Ale teraz panuje napięta atmosfera sytuacji kryzysowej, poważnego przestępstwa. Pojawiają się inni mężczyźni w garniturach, stoją bez broni, nieosłonięci i krzyczą do maleńkich bajkowych okienek: „Hej, Doug. Doug, wszystko w porządku, stary. Porozmawiaj z tymi ludźmi”. Jestem pewna, że słyszę w oddali zawodzenie, które może być głosem Gennie.

Żółte płaszcze przeciwdeszczowe przypląły znowu od Dumbo i formują zewnętrzny krąg poza zasięgiem policji. Sprowadzono psy. Dwa owczarki niemieckie. Tłum rozstępuje się z respektem, żeby przepuścić je i ich opiekunów. Psy także patrzą w stronę wieży. Dlaczego?

- Hej, Doug, tak nie można, człowieku. Wyjdź stamtąd. Nikt nie będzie strzelał.

- Wypuść małą dziewczynkę, Doug. Nie potrzebujesz więcej kłopotów. I wypuść kobiety.

Jeden z nich powiedział:

- Mamy młodą kobietę, Doug.

Mówił o mnie?

Grupy francuskich policjantów konferowały z nowo przybyłymi Amerykanami w samochodach ochrony EuroDisney. Spojrzałam na zegarek: jedenasta rano.

Południe. Pierwsza. O pierwszej trzydzieści skrajnie udręczona wyjaśniłam, że muszę iść do toalety. Młody mężczyzna wysiadł z samochodu i wrócił z policjantką. Zrozumiałam z tego, że w jakimś sensie jestem zatrzymana i nie mogę się nigdzie oddalać sama. Nie zmartwiło mnie to, byłam niewinna i miałam wysoko postawionych przyjaciół - ale czy rzeczywiście? Niemniej czułam się dziwnie; zatrzymany czuje się w jakiś sposób ważny. Doug Tellman nadal się nie ujawniał. Wokół ciągle się coś działo. Z jakiegoś powodu tak naprawdę nie bałam się o Margeeve i pozostałych, wszystko wydawało mi się zbyt nieprawdopodobne, nie do wiary, za bardzo przypominało jakiś zmyślony dramat odgrywany dla zabawienia widzów. Zupełnie tak jak wtedy, gdy przeżywasz jakieś sercowe dramaty i prawdziwe wydarzenia są bez znaczenia.

Policjantka, która podobnie jak ja nie miała zielonego pojęcia, gdzie szukać toalet, zaprowadziła mnie w stronę obiecującego zielonego budynku na skraju drogi technicznej.

- Mówi pani po angielsku? - spytałam.

- Bardzo mało - powiedziała.

- Czy oni naprawdę myślą, że tamtym coś grozi? Mojej matce i Gennie? On nie ma powodu ich krzywdzić. Nawet ich nie zna.

Kiedy to powiedziałam, przyszło mi na myśl, że mógłby skrzywdzić Suzanne, gdyby wiedział, kim ona jest, matką jego zniechęconego rywala. Wzruszyła ramionami.

Znalazłyśmy toalety. Wysikałyśmy się obie, policjantka też. Wyglądało to w pewnym sensie nieprofesjonalnie.

- *Comment tu t'appelles, toi?* - spytałam ją. To były pierwsze słowa, jakie powiedział do mnie Yves, zdanie, które opanowałam do perfekcji. Wiedziałam, że nie można w taki familiarny sposób zagadnąć monsieur le ministre, ale może drugą kobietę? Ale nawet ona wydawała się z początku nieco zaskoczona, a potem rozbawiona.

- *Je m'appelle Huguette, moi* - powiedziała. - *Toi?*

Wyszliśmy na zewnątrz, przed nami nadal kłębił się tłum gapiów w żółtych pelerynach. Jakiś Amerykanin powiedział: „Problem z zakładnikami”.

- *Moi, je suis Isabel.*

Odprowadziła mnie do samochodu. Spytałam, czy nie mogłabym po prostu tutaj stanąć, ale kazała mi z powrotem wsiąść do środka. Przyciągnięto jakąś dziwną maszynę, podobną do automatów, które wyrzucają piłki tenisowe. Minęła kolejna godzina. Nie miałam pojęcia, czy oni w ogóle wiedzą, że on naprawdę tam jest, ale nadal skupiali swoją uwagę na wieży Chateau de la Belle au Bois Dormant. Czekaliśmy, siedzieliśmy, lecz nie działo się nic, co wyjaśniłoby moją sytuację. W końcu dla zabicia czasu opowiedziałam Huguette historię o fotografii wazy z targu staroci i o kradzieży wazy pani Pace; ku mojemu zdumieniu zapisała niektóre z tych informacji.

W końcu zjawił się starszy policjant i wsunął głowę do samochodu. Razem z nim przyszedł jeden z Amerykanów w garniturach.

- Co może nam pani opowiedzieć, mademoiselle? - spytał Amerykanin. Po raz pierwszy w ciągu tych kilku godzin ktoś pytał, czy przypadkiem czegoś nie wiem o tym, co się dzieje. Mówiłam po angielsku, człowiek z EuroDisney przełożył moją historię na użytek dziarskich francuskich żandarmów. Opowiedziałam, jak pan Tellman poprosił mnie, żebym przyprowadziła jego samochód, a następnie jak policja mnie zatrzymała, kiedy do niego wsiadłam - czyli tę część, którą już znali.

- On tam jest - rzekł facet z Disneya. - Zauważyli go. Nie wiadomo, czy jest tam z nim ktoś jeszcze. Nie postawił żadnych żądań i nie zareagował.

- Razem z nim jest moja matka i druga kobieta oraz kilkoro dzieci - powiedziałam.

- Przypuszczalnie zakładnicy.
- Czy jestem aresztowana? - spytałam.
- W tej chwili nie. Ale musimy zrozumieć pani rolę - powiedział starszy żandarm doskonałą angielszczyzną.
- Nie mam tu żadnej roli - oświadczyłam. - Nie widzicie tego?
- *Mañ non*, Amerykanie są całkowicie niepojęci - powiedziała do mnie Huguette. - Te ich uśmiechy. Maskują się za pomocą uśmiechów. I nie podają ci swojego nazwiska. „Po prostu mów do mnie Marilyn”, mówią. To bardzo nieprzyjemne.

Ale dla mnie cała ta sytuacja była kompletnie niepojęta. Po raz pierwszy zaczęłam się naprawdę martwić.

Kiedy tak siedziałam, jakby poza czasem, w kosmicznej kapsule policyjnego samochodu, czułam w głowie zamęt i zastanawiałam się nad możliwym biegiem dalszych wypadków, przypomniały się słowa Edgara:

- Wy, Amerykanie, zawsze wyobrażacie sobie, że wszystko skończy się dobrze.

Czy to prawda?

- Wiele razy zadawałem sobie pytanie, czemu w to wierzycie - powiedział. - To nie wynika z protestantyzmu ani z waszej historii.

Francuzi bardzo poważnie traktują protestantyzm. Wyobrażają sobie, że kryje się za nim cały światopogląd, choć na przykład dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Kto ma rację?

- Wasi ojcowie założyciele żywili pewne nadzieje co do przyszłości i postanowili stworzyć warunki, które umożliwią realizację najszczytniejszych zamierzeń. Ale gdzieś po drodze nadzieja przekształciła się w wiarę wcieloną. Sądę, że nazywacie to siłą pozytywnego myślenia - dodał jeszcze. - Oczywiście Francuzi nie mają takich złudzeń, że wszystko zawsze ułoży się najlepiej, jak to możliwe.

Czy i tu wszystko się ułoży? Czy może jakiś obłąkany prawnik od Disneya skrzywdzi moją matkę, Suzanne i trójkę małych dzieci? Ponieważ byłam Amerykanką, oczywiście obawiałam się, że je skrzywdzi, czyli spodziewałam się czegoś dokładnie przeciwnego, niż zdaniem Edgara powinnam oczekiwać. Przypomniały mi się wszystkie

dramaty z udziałem zakładników, jakie widziałam w wieczornych wiadomościach telewizyjnych, wszystkie reportaże na temat bandytów strzelających z przejeżdżających samochodów i napadów na sklepy całodobowe, i zawsze to się źle kończyło. Porywacze, a czasem także zakładnicy, ginęli z ręki policji albo płonęli żywcem. To Francuzi wydawali się niefrasobliwi. Kiedy tak coraz bardziej zmęczona siedziałam w ciasnym samochodzie policyjnym, pomyślałam, że to francuska policja zachowuje się tak, jakby się nic nie stało, jakby nie miała się czym martwić. Policjanci sprawiali wrażenie, jak gdyby zamierzali biwakować pod oknami wieży w nieskończoność.

Minuty i godziny ciągnęły się niemiłosiernie. W końcu moje myśli popłynęły ponad tą niespójną scenarią w stronę przyszłości, gdzie kilka spraw zobaczyłam teraz całkiem jasno. Pojadę do Bośni, a przynajmniej do Zagrzebia. Czemu nie? Z Edgarem albo z jakąś organizacją niosącą pomoc. Mogę prowadzić ciężarówkę albo być asystentką Edgara lub sekretarką delegacji, mogę być reporterką i robić filmy dokumentalne. W ten sposób mogę robić coś wartościowego, żeby wszystko ułożyło się jak najlepiej. Takie rozwiązanie wydało mi się cudownie jasne i bardzo mi ulżyło na myśl, że coś wreszcie w moim życiu jest cudownie jasne. Wizja była równie żywa jak wspomnienie; zobaczyłam siebie z dala od rodziny i swojego dawnego kraju, na ziemi niczyjej zamętu i przygody, która zaczynała się już dziś, w EuroDisney. Będę spała z lekarzami bez granic i bośniaczkami, muzułmańskimi dyplomatami. Będę spisywała dyktowane teksty i zapisywała własne spostrzeżenia. Będę pomagała tym biednym kobietom w chustach. Znajdę dom dzieciom urodzonym z gwałtu, których nikt nie chce. Edgar miał rację, kiedy mówił o odpowiedzialności i odwadze, że trzeba je mieć. Miałam nadzieję, że ja również je mam.

Minęło następne czterdzieści pięć minut, zanim znowu wydarzyło się coś godnego uwagi. Bez ostrzeżenia ktoś wyrzucił z okna wieży jakiś przedmiot, który wylądował u stóp inspektora policji. Eksperci ostrożnie podeszli do tajemniczego obiektu, psy go obwąchały. To była torebka Margeeve. „To jest torebka mojej matki!” - powiedziałam policjantce Huguette, która została ze mną w samochodzie i teraz

szybko przekazała moje słowa innym. Mężczyźni z poważnymi mianami zaczęli przeglądać zawartość torebki, uśmiechając się na widok chusteczki Margeeve i paczki cloretsów.

W środku znaleźli list napisany ręką Margeeve: „Wychodzimy, nie strzelajcie”. Policjanci głośno przekazali sobie dobrą wiadomość. Tłum turystów, zmieniająca się populacja na obrzeżach obszaru oddzielonego kordonem, usłyszał i podjął nowinę: dzieci wychodzą. Kobiety zatrzyma, żeby zapewnić sobie bezpieczny przejazd gdzieś indziej. Gdzie proponują? Eksperci wymienili spojrzenia ulgi i zadowolienia. Jedno niebezpieczeństwo zażegnane, dzieci są całe i zaczął się dialog, to zawsze najlepszy znak.

Dopiero na widok torebki Margeeve zaczęłam sobie uświadamiać, co przechodziła przez cały czas, a co jakoś przedtem mi umykało. Wyobrażałam sobie, jak Tellman wrywa jej torebkę z rąk albo ona sama ją oddaje, proponując, żeby umieścił list w środku. Margeeve zawsze zachowuje przytomność umysłu, więc nie potrafiłam wyobrazić sobie, że się załamuje. Na pewno jest spokojna, podobnie jak Suzanne, obie skupiają uwagę na dzieciach. Byłam pewna, że nic im się nie stało. Ale gdzie one są?

- Nie możemy proponować żadnych działań - rzekł żandarm do przedstawicieli Disneya. - On musi wyjść. Przekonamy go, że nic mu nie grozi. Przekażcie mu, że musi wypuścić kobiety.

- Mógłby pojechać do Algierii albo do Iraku - powiedział ktoś.

- Jesteśmy gotowi na przyjęcie dzieci - odezwał się megafon.

W tym momencie u stóp wieży zamku Śpiącej Królowiny otworzyły się krzywe drzwi i ku mojej uldze wyszedł z nich Paul-Louis, odważnie prowadząc za rączki Marie-Odile i Gennie. Mimo to policja skierowała w ich stronę wyciągniętą broń. Paul-Louis zmrugał oczy na widok takiej liczby policjantów, kordonów i kamer filmowych, po czym odrobinę się wyprostował, żeby wydawać się wyższym; dzielny mały chłopiec. Marie-Odile i Gennie wyglądały dość spokojnie i na pewno nie były ranne. Z miejsca zostały otoczone przez grupę urzędników i straciłam je z oczu, ponieważ dalej siedziałam zamknięta w samochodzie policyjnym.

- Nie chcecie, żebym porozmawiała z moją siostrzenicą? - spytałam Huguette, moją strażniczkę. - Jestem jej ciotką, mogę się nią zaopiekować, ucieszy się, gdy zobaczy kogoś znajomego.

- Tak, dobry pomysł - zgodziła się. - Chodź ze mną. - Otworzyła przede mną drzwi samochodu, jak gdyby była mężczyzną.

Na mój widok Gennie przybiegła do mnie, mówiąc coś w kółko w swojej trudnej do zrozumienia francuskiej paplaninie.

- Co ona mówi? - spytał policjant i musiałam się przyznać, że sama nie potrafię jej zrozumieć.

- Chłopiec mówi, że nie jedli lunchu - wtrąciła się Huguette.

Przyszło mi na myśl, że też nic nie jadłam. Zaproponowałam, że wezmę dzieci do baru i nakarmię.

- Tak, proszę je zabrać z pola strzału - powiedział jakiś Amerykanin. Najwyraźniej reprezentował grupę pracowników American Disney, którzy uczestniczyli w całym zajściu, głównie wołając od czasu do czasu „Hej, Doug” w stronę okien wieży.

Siedzieliśmy właśnie w barze, jedząc mickeyburgery i popijając koktajle czekoladowe, gdy po godzinie niemal bez ostrzeżenia z wieży wyszły Margeeve i Suzanne, wstrząśnięte, ale opanowane. Potwierdziły moje słowa, że nie jestem współpracowniczką Tellmana. Po prostu poprosił mnie, żebym przyprowadziła samochód. Pojawiła się nowa zmiana policjantów, dzięki czemu poprzednia mogła pójść do restauracji, gdzie siedziałam z dziećmi i policjantką i gdzie wszyscy usiedli razem, zamawiając mickeyburgery.

- Nie powiedział nam, dlaczego nas zatrzymał. Pomyślałyśmy, że pewnie popełnił jakieś przestępstwo - Margeeve żywo wyjaśniała policjantom. - Usiłował nakłonić Suzanne do tego, żeby wymyśliła jakieś miejsce, w którym mogłby się schować. Nic nam nie zrobił. - Była bardzo pobudzona, podekscytowana swoją przygodą. - Miał pistolet, w ten sposób nas tam zatrzymał.

Były przerażone na wieść o tym, co zrobił Magdzie. Patrzyłam na Suzanne, starając się odgadnąć jej najgłębsze uczucia, ale zdołałam dostrzec jedynie zdumienie na jej twarzy.

Strasznie chciałam zostać dłużej i zobaczyć, jak to się wszystko skończy, ale oczywiście ktoś musiał zabrać dzieci do domu. Na

szczęście (tak się wydawało) Suzanne i Margeeve, naładowane energią po swoich przeżyciach, oświadczyły, że mogą same wrócić do Paryża z dziećmi. To bardzo dziwne, jak ulotne są przywileje związane z faktem, że jesteś bohaterem jakiegoś dramatu. Nikt nie odwiózł ich limuzyną EuroDisney do Paryża ani nawet policyjnym samochodem, czekała je jedynie podróż małą kolejką do głównego wejścia, gdzie policjant zatrzymał dla nich taksówkę - jedyny hołd dla ich krótkiego statusu gwiazd, jakimi były jako zakładniczki. Życie jest kapryśne, tylko przez chwilę jesteś ważna, a potem odwraca się plecami. Słynne piętnaście minut Andy'ego Warhola.

Odprowadziłam je na postój taksówek, a potem razem z policjantem wróciłam na scenę wydarzeń. Oczywiście chciałam zobaczyć, jak to się skończy. W parku powoli zapalały się światła, tworząc świąteczną aurę wieczoru, po alejkach zaczęły się snuć orkiestry, ludzie wchodzili do restauracji na wino i przekąski.

Kiedy razem z policjantem doszliśmy z powrotem do Chateau de la Belle au Bois Dormant, okazało się, że Tellman się poddał. Siedział teraz na ziemi przed wejściem do wieży otoczony przez policjantów i urzędników EuroDisney. Wydawał się jakiś mniejszy, zgarbiony. Niezgolony zarost nadawał jego skórze szary odcień, miał jakąś plamę na koszuli i wyglądało na to, że łkał. Nie spojrzał na mnie. Ktoś narzucił mu coś na ramiona. Nastąpiło jakieś nieporozumienie między ludźmi od Disneya a policją, coś, co zmusiło ludzi Disneya do wycofania się wśród gniewnych okrzyków. Po chwili policjanci wsadzili Tellmana do małego renault, w którym przedtem sama musiałam siedzieć, i odjechali. Policja przestała się mną interesować. Przez chwilę rozglądałam się, a potem poszłam pieszo do wejścia wśród przechadzających się orkiestr i przebiegających mężczyzn w kostiumach lwów. W Paryżu mniej więcej w tym samym czasie Suzanne usłyszała wiadomość o śmierci swojego najmłodszego syna, ale ja na razie nic o tym nie wiedziałam.

ROZDZIAŁ 37

Wyjechaliśmy z domu około ósmej trzydzieści rano. Roxy, korzystając ze spokojnego przedpołudnia, nie spieszyła się z ubieraniem się. Uznała, że dziś nie będzie jeszcze rodzić, i czując radosną ulgę, że udało jej się nas wszystkich pozbyć, postanowiła zafundować sobie gorącą czekoladę w Brasserie Espoir. Włożyła płaszcz i zeszła na dół. Na schodach usłyszała szmer głosów dobiegających z dołu i kiedy doszła do frontowego holu, zobaczyła, że roi się w nim od żandarmów, wśród których dostrzegła niewielką, ubraną na fioletowo roztrzęsioną madame Florian, którą opiekowała się policjantka dziwnie przypominająca pielęgniarkę. Roxy zaintrygowana zamieszaniem wbiła wzrok w miejsce, w które wpatrywali się wszyscy pozostali. W szeroko otwartych drzwiach do *poubelles* w pomieszczeniu gospodarczym pod schodami zobaczyła bezwładne nogi jakiegoś najwyraźniej martwego ciała, które leżało w głębi, za koszami na śmieci albo wśród nich.

Przez sekundę czuła w głowie pulsowanie lęku i podniecenia. Wcześniej słyszała syreny, ale nie sądziła, że policja przyjechała do tego spokojnego budynku, gdzie jedynym hałasem są okazjonalne okrzyki pana Moabi, handlarza ropy naftowej z Algierii mieszkającego na trzecim piętrze, który w ten sposób pogania swoich współpracowników przez telefon. A potem ogarnęła ją dziwna myśl, że to nieruchome ciało należy do Charles'a-Henriego powalonego przez bożą sprawiedliwość. Bała się tej myśli, a jednocześnie była pewna, że tak właśnie się stało. Do ciemnego holu wdoczyła się kolejna grupa żandarmów. Madame Florian, siedząc w płaszczu na schodach, jeszcze raz opowiadała swoim dziecięcym głosem jakiejś osobie z notatnikiem

o tym, jak znalazła zwłoki. Zobaczyła tylko nogi, bala się wejść do środka.

Roxy także wolała drugi raz nie patrzeć w głąb półmroku pomieszczenia gospodarczego, niemniej dostrzegła, jak ktoś przykrywa ciało tkaniną, spod której wystawało kilka centymetrów nogi w dżinsach i stopa. Ogarnęła ją teraz zgoła przeciwna pewność, że nic, żadne zakłęcie, nie zdoła jej uwolnić od beznadziejnej czy też nieznośnej sytuacji i będzie musiała wycierpieć swoje do końca. Śmierć nie powali nagle Charles'a-Henriego po to, by wyzwolić Roxy od moralnych niedogodności roli porzuconej żony w obcym kraju, nic z tego. Poza tym kochała Charles'a-Henriego i wcale nie chciała jego śmierci. Niemniej zaczęło ją nurtować pewne przerażające, niemal radosne uczucie, że to nie był Charles-Henri - bo oczywiście to nie mógł być on, ale w pewnym sensie poczucie szczęścia, że ten grom z jasnego nieba, czyjeś ciało w *poubelles*, zajmie teraz uwagę wszystkich mieszkańców okolicy i jej własną, otwierając dni ożywionych dociekań i wymiany pogłosek w okolicy Place Maubert, a ona nie będzie musiała przez cały czas myśleć tylko o Charles'u-Henrim.

Po czym z mdłą pewnością poczuła, że ciało musi należeć do Tommy'ego Smithersa, amerykańskiego chłopca, który mieszkał przede mną w moim pokoju na poddaszu, zawsze pijany, w oczekiwaniu na pieniądze z domu, być może trochę schizofreniczny, czyjs nieznośny syn, o którym udało się szczęśliwie zapomnieć, żałosny Tommy, który w zeszłym tygodniu znowu próbował pożyczyć od niej pieniądze, a potem płakał na schodach.

Uważała, że takie rzeczy jak morderstwo zdarzają się głównie w Ameryce, a w każdym razie tak tutaj zawsze słyszała: twój kraj jest taki gwałtowny, tyle tam przemocy, ludzie noszą przy sobie broń jak w kowbojskich filmach, na ulicach roi się od *fous*, szaleńców jak w filmie *Taksówkarz*, albo od gangsterów jak w *Bonnie i Clyde* - to były postaci historyczne, prawda?

Widząc, jak policjant zdejmuje odciski palców z drzwi od pomieszczenia na śmieci i drzwi wejściowych, pomyślała, że to zupełnie amerykańska procedura. W tym czasie inny policjant stał na baczność przed wejściem do kamienicy, równie nijaki i przyjazny jak

młodzi mężczyźni, którzy na sąsiedniej ulicy pilnowali prezydenta Mitterranda.

Kiedy podała policji swoje nazwisko, spojrzeli na nią z namysłem, **une Americaine**. Czy zna martwego osobnika? Czy nic nie słyszała? Co robiła poprzedniego dnia wieczorem koło jedenastej? Jednak nie zachowywali się tak, jakby ją podejrzewali, byli bardzo uprzejmi i rzeczowi, nie powiedzieli jej też, kto to jest, ile ma lat i jak zginął. W odpowiedzi na ich pytania wyrecytowała nazwiska pozostałych mieszkańców kamienicy - swojej siostry Isabel, rodziny Afrykańczyków, mademoiselle Lavois z drugiego piętra, pana Moabiego i madame Florian, którą już poznali. Jej siostra Isabel mieszka w pokoju na poddaszu, a wcześniej mieszkał tam Amerykanin Tommy Smithers. Policjanci pokiwali głową i zapisali jej słowa. Zaczęła się zastanawiać, czy zmarłym człowiekiem nie jest pan Moabi, zawsze taki wojowniczy i gwałtowny, kiedy rozmawiał przez telefon; na pewno wiele osób miało ochotę go zabić.

- Ciało musiał porzucić ktoś, kto znał kod wejściowy od ulicy i miał klucz do pomieszczenia na śmieci - rzekł detektyw.

- Niekoniecznie, czasami zostawiamy otwarte małe drzwi z boku - sprzeciwiła się Roxy. - Śmieciarze mogą dzięki temu zabrać **poubelles** od razu na ulicę, nie wchodząc do budynku.

- Aha - powiedział policjant i zapisał to.

- Jesteście pewni, że to nie jest to pan Smithers? Mieszkał w **chambre d'etudiant**.

- Dziękujemy na razie, madame, wezwiemy panią później.

- Pójdę do Brasserie Espoir - powiedziała Roxy.

Przed domem na Place Maubert wszystko wyglądało normalnie. Wciąż zdumiona i podekscytowana usiadła przy jednym ze stolików na tarasie Brasserie Espoir. Kawiarniany pies ułożył się u jej stóp, przechodzili kelnerzy w czystych, porannych fartuchach, poczuła zapach kawy i croissantów, aurę niewzruszonego powszechnego przekonania, że ten ranek wyglądał dokładnie tak samo, jak powinny wyglądać wszystkie ranki w społeczeństwie, które pojmuje sens poranka. Matki w praktycznych butach popychały wózki spacerowe, ciągnąc jamniki na smyczy.

- *Bonjour* - przywitała się Anne-Chantal Lartigue, pocałowała ją szybko i usiadła obok. - Cieszę się, że cię widzę. Naprawiają u nas elektryczny *minuterie*, więc nie działa kod do mojego budynku i przez następne pół godziny nie mogę wejść do środka. Czy to nie głupie?

- W naszej kamienicy znaleziono jakieś martwe ciało porzucone w śmieciach - rzekła Roxy głosem pełnym zdumienia.

- Naprawdę? Na Boga, kto to?

- Nie powiedzieli. Madame Florian go znalazła.

Anne-Chantal roześmiała się wesoło na myśl o madame Florian i trupie. Dopiero po chwili Roxy poczuła, jak nienaturalna była ta wesołość towarzysząca śmierci jakiegoś nieznanego, a może nawet kogoś, kogo znały, w holu jej kamienicy. Ale właśnie w ten sposób - także w ten - Francuzi radzą sobie z poważnymi sprawami, tak jak Chińczycy podobno śmieją się, kiedy ktoś się przewróci, mimo że mógł zrobić sobie krzywdę.

- Muszę zapalić - powiedziała Anne-Chantal. - Nie masz nic przeciw temu? Dostałam dziś rano okropną wiadomość, że Jérôme, no nie, to naprawdę nie do wiary, Jérôme zamierza spędzić lato w Paryżu! Najpierw wpadłam w histerię, ale teraz jestem spokojna. Jak ten człowiek śmie?

Nie warto było nawet wspominać, że ten człowiek jest paryżaninem i nawet jeśli od niej odszedł, nadal nim pozostał.

- Ale mówiąc poważnie, jakie to straszne, martwy człowiek w twoim domu, widziałas go? - mówiła dalej Anne-Chantal.

- Widziałam jego stopę - odpada Roxy, która cały czas usiłowała uchwycić jakoś sens tego wydarzenia i czuła, że to niemożliwe, ponieważ jej serce było wciąż zdrętwiałe i nie umiała nic na to poradzić.

- Jak zginął?

- Nie mam pojęcia, prawdę mówiąc.

Źle potraktowała Tommy'ego Smithersa. W końcu odmówiła pożyczania mu pieniędzy, był taki irytujący, taki żaloszny, ciągle taki zagubiony, nie należało mu pomagać za każdym razem. Wyobraźnia podsuwała jej straszne obrazy. Tommy poszedł na ulicę okradać albo podrywać mężczyzn, został zamordowany przez mściwego klien-

ta, który wiedział, gdzie kiedyś mieszkał. Albo przedawkowanie narkotyków, to też było możliwe. Albo samobójstwo.

Spojrzały w stronę inspektora policji pospiesznie idącego w ich stronę.

- Będą nas przepytawać - powiedziała Roxy.

Policjant zdjął czapkę.

- Madame de Persand - zaczął - szalenie nam przykro, że musimy pani powiedzieć tę bardzo smutną wiadomość. To jest pani mąż.

Roxy po prostu patrzyła na niego.

- Tak zeznała madame Florian. Bardzo mi przykro, madame. Czy mogłaby pani? Czy możemy panią prosić...?

Roxy wydało się, że podano jej znieczulenie dooportunowe, poczuła chłodne uczucie odrętwienia schodzące od szyi w dół. Teraz już nie czuła. Szeroko otwartymi oczami spoglądała na poli'anta, który patrzył na nią. Miał małe, okrągłe okulary. Nałożył czapkę. Wstała.

- To niemożliwe, mój mąż wyjechał - powiedziała.

- Tak, tak zeznała madame Florian. Ze nie mieszka już razem z rodziną.

- To niemożliwe. Myślę, że nie powinnam na to patrzeć - mówiła dalej Roxy. - Dziecko. Nie, nie mogę.

- Madame...

- To jakieś nieporozumienie.

- Rozumiemy. Bardzo nam przykro. Może rzeczywiście nie powinna pani patrzeć.

- Ja zobaczę - powiedziała Anne-Chantal. Policjant poczuł się najwyraźniej spokojniejszy, widząc, że ma do czynienia z rdzenną Francuzką. - Jestem pewna, że to nie może być monsieur de Persand. Madame de Persand nie powinna na to patrzeć.

- Gdyby pani mogła, madame. Pani jest...?

- Lartigue, Anne-Chantal. Boulevard Saint-Germain sześćdziesiąt osiem. Proszę mnie zaprowadzić tam, gdzie leży ciało.

- Musimy poprosić madame de Persand, żeby z nami poszła - rzekł policjant do Anne-Chantal, jakby Roxy tam nie było. - Ale zgadzamy się, że nie będzie patrzyła na zwłoki.

Minęli Rue Lagrange. Wszystko wyglądało jak zwykle. Opóźniony w rozwoju chłopiec jak zawsze siedział na ławce, tego ranka matka opatuliła go w ciepły płaszcz. Jęczał i szczekał, a kawiarniany pies Metro mu się odszczeknął. Policjant uprzejmie wziął Roxy pod rękę.

Samochody policyjne zablokowały Rue Maitre Albert. Tego dnia, mimo porannego szronu na przywiedłych chryzantemach w ogrodzie na Place Maubert, miało być słonecznie. Obok spieszyli gdzieś przechodnie w futrach, nie zwracając uwagi na całe zamieszanie, policjantów i grupy mężczyzn po cywilnemu. Inni patrzyli na Roxy i Anne-Chantal, jak gdyby zadawali sobie pytanie, co takiego zrobiły. Roxy zdawała sobie sprawę z tego, że policjant (mocno różowa twarz, nadal pachnący wodą po goleniu, ponieważ było wcześniej) specjalnie dla niej zwolnił kroku. Jego lekki dotyk na jej łokciu mógł natychmiast zamienić się w mocny uścisk, gdyby się potknęła i straciła równowagę. Na pewno się myła, to nie może być Charles-Henri, nie traktowała poważnie takiej myśli.

- Madame była *a côté* - powiedział jej policjant do drugiego, który czekał na nich przed wejściem. Kiedy znaleźli się w środku, Roxy zobaczyła ten sam dziwny widok: ludzka noga w niebieskich dżinsach wystająca z koszy na śmieci, ramię oświedone przez flesze mężczyzn, którzy fotografowali scenę zbrodni w mrocznym pomieszczeniu pod schodami.

- Lepiej, żeby madame de Persand na to nie patrzyła - zawołał jej policjant do innych. - Zostanie tutaj. Madame Lartigue zidentyfikuje monsieur.

Roxy, nadal odrętwiała, stała w holu, kiedy Anne-Chantal weszła kilka kroków do pomieszczenia gospodarczego. A ponieważ nic nie czuła, nie mogła nawet poczuć zdumienia, gdy Anne-Chantal wydała z siebie krótki okrzyk, sdumiony drżący jęk konsternacji albo przerażenia:

- Och, *mon Dieu*, to on.

Anne-Chantal, błada i roztrzęsiona, wybiegła z pomieszczenia gospodarczego, torując sobie drogę wśród policjantów, i objęła Roxy.

- Och, moja droga, biedactwo, to on.

Policjant wzmocnił uścisk na ramieniu Roxy na wypadek, gdyby zemdląca, jakby spodziewał się, że zemdleje, ale Roxy nie czuła nic. Nagle niewielki strumyczek zaczął przenikać z jej zmartwiałego kręgosłupa do mózgu, kropla zrozumienia: Charles-Henri leży tam, martwy w jakiś niepojęty sposób, to jego nogi wystają.

- Ale jak... - zdołała wreszcie wydusić.

To nie miało żadnego sensu, a więc przypuszczalnie było nieprawdą, a jednak musiała zachowywać się, jak gdyby to była prawda, policjanci oczekują od ciebie, że zemdlejesz albo krzykniesz. Rozejrzała się wokół zdezorientowana, starając się odczytać wyraz twarzy innych. Anne-Chantal wzięła ją za drugie ramię i zwracając się w stronę policjanta wskazała głową w stronę schodów. Roxy myślała o uśmiechu Charles'a-Henriego i jego szaliku na wietrze, gdy stał na szczycie urwiska, na które się kiedyś wspięli, a ona bała się, że wiatr szarpiący jego szalik ściągnie go na dół.

Teraz poczuła ten sam pełzający lęk. Za późno, żeby go uratować. Spadł. Jego ciało leży pogruchotane. Gdy próbowała coś powiedzieć, z jej piersi wydobyło się łkanie niczym jęk jakiegoś zawiasu, dźwięk wyciśnięty z niej przez nagłe poruszenie dziecka w jej brzuchu.

- Tak - powiedział inspektor. - Musimy zadać pani kilka pytań, madame. Gdzie przebywał, gdzie mieszka, co robił wczoraj wieczorem? Ale zapewne możemy przeprowadzić tę rozmowę w komisariacie policji, to niedaleko? Madame? Tak będzie łatwiej?

- Tak, jak pan chce - zgodziła się Roxy.

- Ma pani siłę chodzić, madame? To tylko *a côté*.

To była środa, a więc nie dzień handlowy, i Roxy idąc wraz z policjantem przez plac, nie zwracała na siebie uwagi. Przechodząc na światłach w stronę Rue Monge, jej policjant wymienił skinienia ze strażnikami na Rue de Bievre, gdzie być może w tej właśnie chwili spał prezydent Mitterrand nieświadom tego, co zdarzyło się w sąsiedztwie. Roxy zeznawała już raz na komisariacie, kiedy skradziono jej torebkę. Dopiero teraz powiedziała sobie, że jej mąż nie żyje, a ona idzie na komisariat złożyć zeznanie, zupełnie jakby chodziło o straconą torebkę.

- Ale jak on zginął? Och, powiedzcie mi! - zawołała.
- Może pani nam coś powie, madame - odpad policjant.

Naprawdę bardzo mocno trzymała ją za łokieć. Kątem oka dostrzegła, że jego twarz nie była wcale przyjazna ani współczująca, jak sądziła, zmylił ją jego ton. Pewnie uważa, że zabiłam Charles'a-Henriego, pomyślała. Przerazona usłyszała własny chichot, chichot dziecka w szkole.

Komisariat policji wydał jej się, chyba po raz tysięczny, niewymownie szpetny, monolit z betonu ciężący nad Place Maubert; kto wie, ile ślicznych starych kamienic zburzono, niemal cały kwartał, żeby zbudować te ohydne cementowe podjazdy, ślepe okna. Weszli po schodach. Powoli. Francuzi (poza Charles'em-Henrim) traktowali ciężę z należytym respektem, *mamans, babes*. Charles-Henri nie żył. Czuła dziwną lekkość w głowie, w miarę jak coraz silniej docierała do niej ta myśl.

Wewnątrz wyglądało na to, że wszyscy na nią czekają.

- Madame de Persand? - odezwał się wyższy rangą urzędnik (jak sądziła po większej liczbie guzików w uniformie). Weszli do jego gabinetu. Posadzono ją na krzesło. Gdzieś w de dobiegły ją szepety w chwili, gdy policjant siadał za swoim biurkiem: biura na świecie wszędzie wyglądają tak samo: biurko, metalowa szafka, mała flaga na stojaku, pieczęcie na ścianie, kosz na śmieci.

- Madame de Persand?

Tak, Anne-Chantal wciąż była przy niej, stojąc pod ścianą tuż obok drzwi.

- *Crime passionnel* - powiedziała za nią jakiś szept. - *EAmericaine*. Z użyciem broni. Oni wszyscy mają broń. *Bien sur, Us'agissait d'un coup de fusil. Elle est Americaine*.

- Pani nazwisko, *prenom, nom de jeune fille*

Roxy prawie nie słyszała swoich odpowiedzi na te pytania, łatwe pytania o jej nazwisko, jej życie, jej małżeństwo. Pomyślała, że oficer policji trochę przypomina jej ojca, ma taki sam wysoki grzbiet nosa, takie same rudawe włosy. Czy to nie dziwne? Czy to nie dziwne, że Charles-Henri nie żyje? Obiecała sobie, że później będzie płakać. Później poczuje ból, straszliwą stratę, śmierć swojego przy-

stojnego, młodego męża. Obiecała sobie, że później poczuje całą grozę tej sytuacji. Po prostu na razie to wszystko do niej nie dotarło.

- Pozwoli pani, madame, że wykonamy pewien test dotyczący pani dłoni - powiedział wyższy urzędnik.

Zobaczyła uśmiech Anne-Chantal, która gestem uniesionych kciuków dawała jej znak, że wszystko będzie dobrze. Zupełnie jakby mówiła: odwagi. Jakby mówiła: to dobrze. Ale co dobrze?

Roxy w komisariacie policji zachciało się siku. Wyczulona na wszystkie sygnały dobiegające z głębi własnego ciała zadała sobie pytanie: czy to nie dziecko, czy może już? - ale nie, czuła tylko parcie na pęcherz, gdy wstała z krzesła i poszła, jak jej wskazano, do sąsiedniego pomieszczenia, żeby położyć ręce na jakimś miękkim wośku czy czymś takim. To tylko rutynowa czynność, powtarzali raz po raz, po prostu muszą to zrobić. Nie pozwolili Anne-Chantal pójść razem z nią, ale Anne-Chantal krążyła opiekuńczo po korytarzu, rozmawiając z policjantką, która je powitała. Do Roxy zaczęła teraz mocniej docierać rzeczywistość tego, co się stało, Charles-Henri nie żyje, policjanci zadają jej poważnie brzmiące pytania, choć wiedziała, że jej samej nic nie grozi. Nie myślała w ogóle o sobie, starała się ze wszystkich sił poczuć grozę, ale i zagadkowość wydarzeń, bo jak to możliwe, żeby nie żył. Nie powiedzieli, jak to się stało.

Pomyślała o swoich dzieciach pozbawionych ojca. Pomyślała o biednej Suzanne i o reszcie rodziny, o tym, jak wszyscy bardzo kochali tego lekkomyślnego, utalentowanego człowieka, tak niefrasobliwego i obdarzonego takim nieodpartym urokiem. Pomyślała o tym, że jej dziecko, które się zaraz urodzi, nigdy go nie pozna, Gennie nie będzie go pamiętała. Paraliżująca tragedia jeszcze do niej w pełni nie dotarła, jeszcze nie czuje w sercu tego bólu, który wkrótce poczuje, wiedziała, że tak będzie, ale z wolna zaczęło to do niej docierać.

- Może wrócić pani do domu - powiedzieli - ale proszę nie opuszczać okolicy. Odprowadzimy panią.

- Zostanę z nią, ona nie może być sama, zadzwonimy do jej matki - zawołała Anne-Chantal. - Musimy zadzwonić do Persandów. Czy zawiadomiliście Persandów?

Roxy poczuła zawrót w głowie na myśl o tym wszystkim, co ją czeka, o tym całym powiadamianiu, o bólu, który dopiero nadejdzie. To dziwne, że jeden z policjantów odprowadzał ją do domu razem z Anne-Chantal.

Powiedział, że zostanie na dole w holu kamienicy. Pomieszczenie gospodarcze zapieczętowano żółtą taśmą.

Było dopiero południe. Czy to możliwe? Pomyślała, że powinna zadzwonić do Rogera. Pomyślała też, że powinna się położyć i Anne-Chantal przyznała jej rację. Wzięła od Roxy notatnik z numerami telefonów i usiadła w salonie, żeby zadzwonić, do kogo trzeba.

Przez całe długie popołudnie aż do zmroku Roxy pyta Anne-Chantal, czy Suzanne wróciła już z Disneylandu, i Anne-Chantal wybiera jej numer, po czym kręci głową. W końcu udaje jej się złapać Antoine'a. Antoine przyjeżdża na Rue Maitre Albert. Długo rozmawia z policjantami w korytarzu, potem przychodzi do Roxy z twarzą skurczoną, posępną, bliską łez. Obejmuje Roxy, wypija kieliszek koniaku. Potem dzwoni do Frederica i Charlotte. Roxy słyszy krzyki Charlotte po drugiej stronie. Antoine mówi głosem drżącym, ale opanowanym, panuje nad sytuacją.

- Myślę, że Roxeanne jest aresztowana - mówi Antoine do Charlotte. - Jej status jest niejasny.

- Trudi jest na wsi, jedzie tutaj - mówi do Roxeanne.

Swoją lojalną, zadecydowaną postawą daje jej jasno do zrozumienia, że ani na moment nie uwierzył, że biedna Roxy ma cokolwiek wspólnego z tą szokującą tragedią. Persandowie stają u jej boku. Wszyscy przyznają, że to dziwne, że Isabel, Suzanne i Margeeve oraz dzieci nie wróciły *jeszcze* z EuroDisney. Bolesna myśl, że trzeba będzie przekazać Suzanne straszną wiadomość o śmierci syna. To bardziej niż przerażające pomyśleć, że niczego nieświadoma gdzieś tam beztrudnie podróżuje z dziećmi, ale wkrótce tu przyjadą, nie trzeba ich szukać. Roxy znowu zaczyna zastanawiać się zdumiona, jak on zginął i z czyjej ręki. Czy to możliwe, że sam to zrobił? Nic jej nie powiedzieli.

Anne-Chantal, słysząc bolesny jęk, wpada do pokoju przyłożyć rękę do jej czoła.

- Czy to dziecko? - pyta. - Och, jakież to byłoby piękne, gdyby wkrótce pojawiło się dziecko, by pokrzepić nasze serca nowym życiem.
- Muszę go zobaczyć - woła Roxy. - Czy on... nadal tam jest?
- Nie, nie na pewno nie, nie możesz teraz na niego patrzeć. Później, podczas pogrzebu.

ROZDZIAŁ 38

Ale ja, przebywając w EuroDisney, nie miałam o tym wszystkim najmniejszego pojęcia, ponieważ nikt mi nic nie powiedział. Chciałam jakoś ogarnąć wydarzenia tego dziwnego dnia, więc wykorzystując legitymację Tellmana do darmowych posiłków, wybrałam się do hotelu Disneyland. Zasiadłam w nieco przyciężkawej wiktoriańskiej sali jadalnej, zamówiłam kolację i oddałam się rozmaitym rozmyśleniom. Snułam marzenia o kochaniu się z Edgarem w Zagrzebiu i bogactwie, jakie spadnie na mnie za sprawą *Świętej Urszuli*, a także zastanawiałam się, co będzie, jeśli Magda Tellman umrze. Pomyślałam, że gdyby umada, Charles-Henri wróciłby do Roxy, a to oznaczałoby, że jestem wolna.

Teraz może to się wydawać dość bezduszne, ale po prostu nie byłam jeszcze gotowa na to, żeby wracać do domu na spotkanie z rodziną. Toteż dzięki temu, że siedząc w restauracji hotelu Disneyland, zjadłam *blanquette de veau* i popijałam cote du rhone, ominęła mnie przygnębiająca scena, gdy Suzanne i Margeeve przywiozły Gennie na Rue Maitre Albert i usłyszały od Anne-Chantal straszną wiadomość o Charles'u-Henrim, którą sama poznałam dopiero koło dziesiątej, kiedy wróciłam do domu. Policja w EuroDisney nie wiedziała nic o śmierci przy Rue Maitre Albert numer 12.

Kiedy dotadałam na Rue Maitre Albert, okna w mieszkaniu Roxy były ciemne, więc wspięłam się od razu na poddasze. W drzwiach znalazłam kartkę mówiącą, że wszyscy pojechali na Avenue Wagram. Wydało mi się to dziwne, ale niekoniecznie niepokojące. Może Suzanne zaproponowała kolację dla swojej bohaterskiej bandy niedawnych zakładników. Mimo to zeszłam do mieszkania Roxy

i zadzwoniłam do hotelu rodziców, żeby upewnić się, że ich tam nie ma - i rzeczywiście ich nie było. Wtedy postanowiłam, że zadzwonię do Edgara, w końcu to z nim chciałam przede wszystkim porozmawiać, poszłam więc jeszcze raz do mieszkania Roxy i usiadłam w ciemnym salonie.

- Ach, Isabel, jak się czujesz? - spytał.

- W porządku. Czy ktoś powiedział ci, co się dzisiaj działo?

- Którą część dnia masz na myśli? Serbowie ponownie podjęli ostrzał Sarajewa. Moja siostra przez siedem godzin była zakładniczką przetrzymywaną przez oszalałego Amerykanina w parku Disneyland, a potem jeszcze, drobnostka, okazało się, że jeden z moich siostrzeńców został zamordowany.

- Kto? - zawołałam z nagłym przerażeniem, czując oczywiście, że to musi być Charles-Henri.

- Charles-Henri. Ktoś postrzelił go trzykrotnie i zostawił śmiertelnie rannego w *poubelles* przy Maitre Albert.

Nie wiem, co powiedziałam. Wszystko było jasne: Tellman zabił Charles'a-Henriego i usiłował zabić Magdę.

- Początkowo - kontynuował Edgar tym samym suchym, niemal gniewnym tonem - policja oczywiście podejrzewała Roxeanne. Rozmawiałem z komisarzem. Ale ranna Magda przyczołgała się ze swojego domku do magazynu Spectoramy przy autostradzie i tam ktoś jej pomógł. Powiedziała, co się stało. Jej mąż ją postrzelił.

- Mój Boże - szepnęłam, myśląc: biedna Roxy, biedny Charles-Henri, to takie głupie. Przecież Tellman, morderca, mógł pozabijać dzieci. Pomyślałam nawet: biedna Magda, może Charles-Henri był miłością jej życia, czy kogoś obchodzi teraz biedna Magda? Czy ktoś jeszcze wierzy w miłość? Chciało mi się płakać, ale to było wszystko zbyt dziwne na łązy.

- *Mon Dieu* - westchnął Edgar. - Co za świat! - zawołał tonem najgłębszego rozgoryczenia. - Czerwoni, czarni; kto by pomyślał, że czarni tak szybko zajmą miejsce czerwonych?

Przypuszczam, że chyba miał na myśli Bośnię.

- Mogę do ciebie przyjść? - Pragnęłam nade wszystko znaleźć się w jego ramionach.

- *Non, chérie*, jadę w tej chwili na Avenue Wagram. Suzanne jest bardzo zrozpaczona. Zapewne są tam też twoi rodzice.

- Więc chyba cię tam zobaczę.

Usłyszałam jakiś hałas, więc odwróciłam się, żeby się rozejrzeć w ciemnym salonie, i ze zdumieniem zobaczyłam Roxy stojącą w drzwiach swojej sypialni.

- Oni są u Suzanne - odezwała się.

- Roxy, jakie to straszne, nie wiedziałam, nie zdawałam sobie sprawy, że tu jesteś. Właśnie przyjechałam. Ja... - zaczęłam. - Zostanę z tobą.

- Kazałam im jechać. Chciałam zostać sama - dodała. - Zabrali ze sobą Gennie. Wzięłam jakieś środki nasenne. Podobno nieszkodliwe dla płodu. Zamierzam iść spać.

- Roxy, mój Boże... - jeszcze raz próbowałam coś powiedzieć, ale oczywiście co można było powiedzieć: smutek, żal, szok. Ze życia może kompletnie odmienić się w jednej minucie, że nigdy nic nie wiadomo.

- To był jej mąż, ten facet, Tellman...

- Wiem, słyszałam. Pewnie myśleli, że to ja - rzekła rozwlekłe, smutnym głosem, niewątpliwie była pod wpływem środków nasennych.

- Nie możesz zostać sama! Zostanę tutaj.

- Za chwilę zasnę. Nie mogłam pójść z nimi. Kazałam im iść. Iz, coś ci powiem: czuję się, jakbym to ja zabiła Charles'a-Henriego. Ale nie mogę im tego powiedzieć.

Patrząc na jej twarz, zrozumiałam, że naprawdę tak myśli. Miała dziwne spojrzenie bezsennych oczu lady Makbet.

Nie miałam pojęcia, jakie myśli rodziły się w jej mózgu omamionym lekami. Oczywiście go nie zabiła. Nie można było jej o to winić. Wystarczy pomyśleć o jej niewzruszonej lojalności wobec Charles'a-Henriego, o tym, jak sprzeciwiała się idei rozwodu, o maleńkim świadectwie jego miłości, które wkrótce miało przyjść na świat. Nie, nawet Persandowie nie mogli jej winić. Pomogłam Roxy położyć się do łóżka. Ogarnęła mnie wobec niej jakaś czułość i głęboki żal.

Kiedy się kładła, chwyciła mnie za rękę i syknęła:

- Chciałabym być taką twardą, zimną osobą jak ty, Isabel. Tobie zawsze wszystko układa się tak, jak tego chcesz. Może pewnego dnia też będziesz cierpiała, choć wątpię. Nie znaczy to, że cię nienawidzę. Myślę, że kiedyś tak było, ale...

W tym momencie jej powieki zamknęły się i osunęła się w jakiś kamienny sen.

Byłam wstrząśnięta, jednak w jakimś sensie niezbyt zaskoczona, że myśli o mnie w ten sposób. Zastanawiałam się, czy to były gorzkie refleksje wypowiedziane w chwili przygnębienia, czy raczej sekrety jej podświadomości.

Oczywiście nie mogłam zostawić jej samej. Wydało mi się dziwne, że inni ją zostawili. Siadłam w ciemności na kanapie, myśląc tylko o tym, żeby pojechać do Edgara.

Dosłownie kilka minut później ktoś zadzwonił do drzwi.

- Ames - powiedział głos w domofonie.

Wpuściłam go do środka.

- Jak ona się czuje? - spytał z miłością i przejęciem, nieodłączny ironiczny uśmiech zniknął z jego twarzy. Zobaczyłam nagle wszystkie przyjemne aspekty jego osobowości, niczym w lustrze odbijającym światło setek innych sytuacji, różnych rzeczy, które mi powiedział, spraw, w które mnie wprowadził; jego doskonałą kuchnię i odpowiedzialność jako właściciela psa oraz reputację człowieka znanego z dobroczynności.

- Rozmawiałem z nią pół godziny temu i powiedziała, że jest sama. Jak oni mogli zostawić ją samą?

- Prawdopodobnie ich do tego zmusiła. Ludzie nie sprzeciwiają się Roxy.

- Zostanę z nią. Przyjechałem z nią posiedzieć.

- Naprawdę możesz, Ames? - spytałam. Co chwila dowadywałam się, jak nietrafne były moje sądy o ludziach. - Chciałabym pojechać do mojej matki i Suzanne. Czy słyszałeś, co im się przytrafiło?

W drodze na Avenue Wagram (dwie przesiadki) miałam mnóstwo czasu, żeby zastanawiać się nad tym, co właściwie miała na myśli Roxy, kiedy powiedziała, że kiedyś mnie nienawidziła, ale nie

potraktowałam tego poważnie i wyrzuciłam jej słowa z pamięci. Byłam zbyt zdumiona.

W ogromnym haussmannowskim mieszkaniu Suzanne byli już wszyscy: Suzanne mimo łez z rezolutnym uśmiechem siedzi w fotelu, w otoczeniu swojego najstarszego syna Frederica, Antonine'a i Trudi, Charlotte i Boba, Chestera i Margeeve i jakiegoś nieznanego mężczyzny, może z policji, Rogera i Jane, lekarza monsieur jakiegoś tam, prawnika Roxy maitre Bertrama i jeszcze jednego mężczyzny, z którym właśnie rozmawia - może to być prawnik Persandów. Edgar. Zobaczyłam, jak mój ojciec spogląda na niego ukradkiem, gdy Edgar pochylił się nad fotelem Suzanne, żeby z nią porozmawiać. Scena wielkiego uczuciowego poruszenia. Atmosfera zdecydowania i odwagi, Gennie położono do łóżka, dyskusja z Jane na temat pigułek nasennych dla Suzanne, Antoine usiłuje połączyć się telefonicznie z monsieur de Persandem, który bawi gdzieś w Polsce, Paul-Louis i Marie-Odile skuleni na poduszkach na podłodze. Kiedy weszłam, Edgar odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, jak mi się wydawało, z nieco bardziej otwartą zażyłością, ale może to sobie tylko wyobraziłam.

Później przyszedł do kuchni, gdy poszłam zrobić herbatę. Mówił ściszym głosem.

- Wyjeżdżam w niedzielę. Bardzo mi przykro, że muszę zostawić siostrę w takim momencie. Przykro mi, że cię opuszczam.

- To nie była wina Roxy - powiedziałam. - Roxy go kochała.

- Śmierć w porę, jeśli spojrzeć na to z punktu widzenia Roxeanne - rzekł, patrząc na mnie. - Aureola wdowy zamiast szkaradnych kompromisów rozwódki. Dzieci bezpiecznie dziedziczą po ojcu. Niczym nienaruszona więź z Suzanne i tak dalej. Suzanne. To straszne patrzeć, jak twoje dziecko umiera, chyba najstraszniejsza rzecz na świecie.

Chyba naprawdę wierzą, że to wina Roxy, pomyślałam. Wydaje im się, że gdyby była lepszą żoną, używała cukru w kostkach i malowała paznokcie, nie zaczęłyby zadawać się Magdą.

- Nigdy nie myślałem o *crime passionnel* jako czymś typowo amerykańskim. Ten Tellman. Amerykańska przemoc, o której się zwykle słyszy, dotyczy narkotyków albo rabunku.

- Ale co ja mam zrobić? - zawołałam. - Czy będziesz mnie chciał, kiedy wrócisz?

Jednak nie miał okazji odpowiedzieć, ponieważ w tym momencie do kuchni wszedł Antoine.

Oczywiście byłam równie zdruzgotana i zrozpaczona jak inni i siedziałam z nimi przez wiele godzin, które trzeba było jakoś przetrwać, zanim mogliśmy coś zrobić nazajutrz, żeby móc na chwilę nie myśleć o tym, co się stało. Czy byłam zaskoczona? Nie całkiem. Sądząc po tym, co stało się z Magdą, nie ulegało wątpliwości, że Tellman zabił Charles'a-Henriego. Uważałam, że to oczywiste dla wszystkich. Ten człowiek został aresztowany. Nie przejmowałam się tym, że postrzelił Magdę, to było jedynie intrygujące, ponieważ nigdy jej nie widziałam na oczy. Ale myślałam o Charles'u-Heririm. To była moja pierwsza śmierć.

- **Oh, oh, mon petit** - jęczała Suzanne, drobna, z suchymi oczami, siedząc na *canape*. - **Je ne peux pas le croire.**

ROZDZIAŁ 39

Wracając do domu, zabrałyśmy się z Gennie taksówką razem z moimi rodzicami i były to pierwsze chwile, kiedy znaleźliśmy się sami. Oczywiście byli wstrząśnięci, ale przede wszystkim martwili się o Roxy i chyba gdzieś w głębi duszy uważali, że Charles-Henri ściągnął na siebie sprawiedliwą zemstę za to, jak potraktował ich córkę. Czuło się coś takiego, choć naturalnie nigdy by się do tego nie przyznali.

- To zdumiewające, jakie bywają wyroki losu - westchnęła Margeeve.

Wiedziałam, że czasami słowo „los” stanowiło zaszyfowaną nazwę boskiej sprawiedliwości, w którą oczywiście nie wierzyła.

- Szybko tego dnia nie zapomnę - powtarzała ciągle Margeeve.

Noc spędziłam na sofie u Roxy, na wypadek gdyby potrzebowała pomocy, ale nic takiego się nie zdarzyło. Wstałam wcześniej, zanim podniosła się z łóżka, i nakarmiłam Gennie. Kiedy przyszli Margeeve i Chester, powiedziałam, że mam coś do załatwienia, i poszłam na pchli targ popatrzeć na skradzioną wagę. Dzięki temu mogłam nie myśleć o innych rzeczach. Zresztą umysł ludzki jest całkowicie bezradny wobec czegoś tak nieodwołalnego i nieakceptowalnego, jak czyjaś śmierć, tym bardziej że nie miałam okazji skupić się na załatwieniu wszystkich spraw związanych ze śmiercią, ponieważ Antoine i Roxy sami się tym zajęli, dzwoniąc do znajomych i wydając oświadczenia. W „Liberation”, którą czytałam w autobusie linii 85, znalazłam opis zabójstwa przy użyciu broni palnej popełnionego przez niezrównoważonego Amerykanina, pracownika EuroDisney, który zamordował kochankę żony (nie wymieniono nazwiska) i próbował zabić również ją. Został zatrzymany po dramatycznej

próbie wzięcia zakładników w parku i według prasowej relacji w areszcie przyznał się do winy.

Tak jak się spodziewałam, to była waza pani Pace. Skradziona dla pewnego klienta (dla mnie) przez złodziei (kogo?) niezdających sobie sprawy z tego, że zbiegiem okoliczności sama zrobiłam fotografię, którą się posłużyli. Ale kto dał im tę fotografię i złożył zamówienie?

Powiedziałam, że chciałabym zobaczyć więcej fotografii. Wyjął z koperty około trzydziestu i wyłożył wszystkie przede mną. Szybko znalazłam to, czego szukałam, jak mówią detektywi w kryminałach: zdjęcie salonu Suzanne w Chartres, na którym widać ładny zbiór fajansowych półmisek wiszących na ścianie. „Persandowie mają cudowne stare naczynia”, powiedziałam kiedyś do Stuarta Barbeego. Stuart widział rzeczy, które podarowali Roxy. A potem ci ludzie - ktoś, kogo znał - „odwiedzili” Persandów i zrobili zdjęcia.

Myśl, że Stuart Barbee miałyby należeć do gangu złodziei porcelany, wydawała mi się nieco fantastyczna, ale jeszcze bardziej niedorzeczne mogło być przypuszczenie, że zamieszany był w to Cleve Randolph, biorąc pod uwagę niezaprzeczalny fakt, że złodzieje porcelany zainteresowali się dokładnie tymi dokumentami pani Pace, do których miałam zajrzeć na prośbę Randolpha. Oznaczałoby to, że CIA kierowała gangiem złodziei porcelany we Francji. Zastanawianie się nad tą zabawną ideą w pewnej mierze odwracało moją uwagę od śmierci Charles'a-Henriego, choć zagadka pozostawała nierozwiązana. Niemniej, tak jak obiecałam, zadzwoniłam pod numer, który dostałam od policjantki Huguette, i zostawiłam jej w biurze wiadomość.

Byłam zdumiona ceną wazy, dwadzieścia tysięcy franków, około czterech tysięcy dolarów. Pomyślałam, że lepiej będzie, jak jej odzyskanie pozostawię policji. Na razie odwlekłam sprawę, mówiąc handlarzowi, że muszę się zorientować, czy zdołam zgromadzić dość pieniędzy.

Muszę przyznać, że zważywszy na to, jak potoczył się mój związek z Edgarem, zaczęłam rozważać kupno nieco tańszej wazy. Ale z drugiej strony może właśnie zakup czegoś naprawdę rujnującego

byłby właściwym egzystencjalnym *gęste*? Na świecie roiło się od waz oraz dzbanków i półmisków. Będę musiała się zastanowić.

A potem wróciłam na Rue Maitre Albert do oniemiałej atmosfery poranka po czyjejś śmierci. Byłam zadowolona, że Charles-Henri zdążył zabrać wcześniej swoje rzeczy z mieszkania Roxy, więc nie musieliśmy patrzeć na jego buty lub szczotkę do włosów. Pierwszy raz umarł ktoś tak blisko ze mną związany.

Roxy, taka dzielna, piękna i dzielna. Wszyscy podziwiali pełną godności odwagę, z jaką znosiła swój los, oczekując na zbliżający się poród. Przyjaciele z okolic Place Maitre Albert przynieśli *tarleś ipdtes*. Dzień, dziwny i nużący, ciągnął się niemiłosiernie. Charles-Henri leżał gdzieś w policyjnej kostnicy. Powiedziano nam, że może upłynąć wiele czasu, zanim policja wyda ciało rodzinie i będzie można wyprawić pogrzeb. Edgar odwiedził Roxy w towarzystwie abbe Moundaura.

Po południu zadzwonił Roger z wiadomością, że jego pracownicy próbują doprowadzić do uwolnienia Douga Tellmana za kaucją na podstawie nakazu habeas corpus.

- Tak, Isabel, habeas corpus istnieje we Francji - powiedział Edgar ironicznie, kiedy zawołałam, że to niemożliwe. - Wam, Amerykanom, wydaje się chyba, że Amerykanie są jedynym tak szczęśliwym narodem, a wszystkie pozostałe narody muszą znosić ograniczenia swojej moralnej energii albo ciemnoty swych instytucji.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru w jego głosie pobrzmiwała złość na mnie, jak gdyby żałował, że w ogóle zna jakichś Amerykanów. Ten ton jeszcze bardziej pogłębił pustkę w moim żołądku wypaloną przez śmierć.

- Ja też? - spytałam.

- Wy, Amerykanie, jesteście przekonani, pewnie dlatego w kółko wam to powtarzają, że jesteście najbardziej wolnym narodem na świecie, w co trudno doprawdy uwierzyć. Jeśli się wspomni, powiedzmy, o wskaźniku morderstw w waszym kraju, mówicie: „To cena, jaką płacimy za wolność”, ale ktoś mógłby spytać: Wolność czego? Nie znacze wolności bezpiecznego przechadzania się po ulicy.

Akurat ja na pewno nie zasłużyłam na taki wykład.

- To wcale nie są moje poglądy. - Zauważyłam, że obciążał mnie odpowiedzialnością za wszystkie wady mojego plemienia. Nawet abbe Moundaur zrobił surową minę, jakby podzielał opinię Edgara.
- Mówisz o Amerykanach, nie mówisz o mnie - zaprotestowałam.
- Jesteś bardzo amerykańska, Isabel - odpad.
- Skoro Francja ma taką obsesję na punkcie *liberte*, na pewno go wypuszczą - powiedziałam.
- Zabiłam go! - krzyknęła Roxy teatralnie. Wiedzieliśmy, że się zdrzemnęła i obudziła z tym słowami, jak gdyby należały jeszcze do snu. - Chciał wrócić do mnie, wiem to. Skąd inaczej by się tu znalazł, w tym budynku, wczoraj wieczorem?

Jeśli sądziła, że zamierzał do niej wrócić, to tym lepiej dla niej, choć kryła się w tym nieznośna ironia, że zginął właśnie w tym momencie. Może tak było. Poczulałam ulgę, że Roxy tak naprawdę go nie zabiła. Na tym polegała między innymi moralna siła jej położenia. Nawet Persandowie wiedzieli, że go nie zabiła, sam ściągnął na siebie śmierć swoimi erotycznymi zachciankami. Niemniej zabił go Amerykanin. Amerykanin z bronią w ręku. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Niech będzie błogosławione Najświętsze Serce Jezusa, niech będzie uwielbione, otoczone chwałą i miłością niezmiennie teraz i przez wszystkie wieki wieków. Święte Serce Jezusa, módl się za nami. Święty Judo, cudotwórco, módl się za nami. Święty Judo, pocieszycielu tych, którzy prawie stracili wszelką nadzieję, módl się za nami.

Odmawiaj tę modlitwę dziewięć razy dziennie przez dziewięć dni, a twoje modły zostaną wysłuchane. To nigdy nie zawodzi. Musisz w gazecie zamieścić publikację.

Kiedy leżała w półśnie odurzona przez środki nasenne, Roxy pomyślała nagle, że zabiła go tą modlitwą. Odmawiała ją dziewięć razy dziennie przez dziewięć dni i Bóg wejrzał w jej serce, odkrył niewypowiedziane, nieświadome pragnienie w jego głębi i zesłał odpowiedź.

Zauważyłam, że wszyscy, mówiąc o tym, co się stało - w rozmowach z dziennikarzami, z przyjaciółmi, z przestraszonymi, wstrząśniętymi, religijnymi i jedynie ciekawskimi - mówili *l'Americain*. Nie mówili, że Charles-Henri zginął z ręki męża swojej kochanki. Nie, zawsze mówili, że zabił go *un Americain*. Tak ujął to Edgar i tak samo robiła Anne-Chantal, tak samo Suzanne oraz nieoficjalny rzecznik rodziny Antoine i tak napisano w gazecie.

Roxy w głębi serca zastanawiała się nad skutecznością modlitwy i nad tym, jak niezbadane są wyroki boże. Pragnęła przedyskutować pewną kwestię z jakimś księdzem. Powiedziała Margeeve, że chce zostać sama, i późnym popołudniem przeszła przez Pont de l'Archeveche i ogrody Notre Dame i weszła do obszernego, nieco zatęchłego wnętrza katedry.

Tam i ona miała sposobność wejrzeć w przyszłość. Bardzo powoli zaczęła sobie uświadamiać, że została wdową i że wdowa to coś zupełnie innego niż rozwódka. Może z powrotem zabrać swoją komodę i *Świętą Urszulę* z Drouot, ponieważ nie będzie żadnego rozwodu.

Ze wszystkich sił starała się odpędzić od siebie ogarniające ją nieubłagane przyjemne uczucie ulgi, ponieważ oznaczałoby, że chyba jest potworem. Ostrożnie badała temperaturę tej emocji, próbując się upewnić, że nie jest w żadnym sensie szczęśliwa albo zadowolona z tego, że Charles-Henri nie żyje. Zastanowiła się, jakie ma czarne stroje w swojej garderobie.

Ulga to jednak nie to samo co zadowolenie. Oczywiście powiedziała sobie, że nie jest zadowolona - jest zrozpaczona. Uciekła do kościoła, żeby uniknąć leżenia na kanapie, które niesłychanie sprzyjało wszystkim straszonym myślom o poczuciu ulgi, jakie napadały na nią, w miarę jak zaczęły do niej docierać wszystkie realne korzyści z tej jakże fortunnej tragedii.

Kiedy wróciła z Notre Dame - spacer trwał zaledwie kilka minut - była najwyraźniej podekscytowana, a nawet promienna. Nie dlatego, że widziała się z księdzem, powiedziała, ale dlatego, że wody odeszły jej na starożytnej posadzce katedry i wkrótce niechybnie zaczną rodzić. Dramatyzm nadchodzącego wydarzenia niosącego ry-

zykowne świadectwo nadchodzącej przyszłości, szlachetny wysiłek, jaki ją teraz czekał przy wydawaniu na świat kolejnego zakładnika losu, podziały na nią uspokajająco i uspokoiły nas wszystkich. Delikatne perfumy niezwykłego podniecenia przytłumiły wypełniające mieszkanie ciężkie wonie kwiatów oraz rytualnych *pdtes* i serów. Margeeve zadzwoniła do Suzanne. Pytaliśmy Roxy o skurcze i rozmawiając przez telefon ze wstrząśniętymi załobnikami, staraliśmy się zachować równowagę między nieuchronnymi emocjami, jakie towarzyszą śmierci i narodzinom życia.

Tego samego wieczoru po północy, kiedy poczuła kilka zdecydowanych skurczów, Chester i Margeeve zabrali ją do *clinique maternelle*.

Umyłam porzucane filiżanki po kawie i kieliszki od wina, po czym spędziłam kolejną noc na kanapie w mieszkaniu Roxy, czekając na telefon. Nic mnie nie zbudziło poza moimi burzliwymi snami. Śniło mi się Santa Barbara, róg Morales i Dziesiątej, gdzie stoi stacja benzynowa. W moim samochodzie zabrakło benzyny, szłam do tej stacji i minął mnie inny samochód, który omal mnie nie rozjechał, wyskoczył nagle z tyłu i mnie przestraszył. Zastanawiałam się, czy kierowca chciał mnie zabić, czy może to tylko przypadek. Wtedy wyszedł facet ze stacji benzynowej i powiedział: „Nie wiesz, kto to był, prawda?”. Sen był tak żywy, jaskrawe świadko Santa Barbara takie namacalne i jeszcze zapach morza, że naprawdę tam byłam i przez moment, budząc się na sofie w Paryżu, byłam dezorientowana i wpadłam w panikę. Dzwonił telefon.

ROZDZIAŁ 40

Zaczynało dzień, rozejrzałem się po okolicy.

Adolf

To był piątek rano i dzwonił Roger, mówił rzeczowym głosem biznesmena, jak gdyby jeden dzień stracony z powodu śmierci stanowił wszystko, na co mogliśmy sobie pozwolić, i teraz z powrotem powinniśmy nabrać tempa.

- Dzisiaj jest aukcja, przychodzisz?

W zamięcie ostatnich dni w ogóle zapomniałabym o obrazie, Drouot, pieniądzech, ale Roger szepnął do mnie poprzedniego wieczoru:

- Isabel, myślę, że nie powinniśmy rezygnować ze sprzedaży, dopóki nie pojawiły się żadne nowe okoliczności prawne. W ten sposób będziemy mogli twierdzić, że sprzedaż była zgodna z intencjami Charles'a-Henriego oraz Roxy, ponieważ Bóg wie, jakie komplikacje mogą się pojawić, jeśli Persandowie wpadną na pomysł, że obraz stanowi część majątku zmadego. Dzięki temu nikt nie będzie mógł nam zarzucić, że zrobiliśmy coś, co nie zostało wcześniej usankcjonowane. W istniejących warunkach myślę, że powinniśmy go sprzedać teraz, niezależnie od tego, co mówi Roxy, zanim pojawią się jakieś nowe aspekty jej sytuacji prawnej, *^// accompli*, jak tutaj mówią.

Oczywiście nie mogliśmy wiedzieć, co działo się w tym czasie za kulisami, ale ludzie z Drouot zapewniali go, że sprzedaż na pewno wypadnie doskonale, zważywszy na to, że na aukcji mieli się pojawić ważni handlarze dzieł sztuki i kuratorzy muzeów. Czy to pod wpły-

wem plotek pochodzących z muzeów, czy może wskazówki, jaką była obecność człowieka z Christie's na spotkaniu z Rogerem - tak czy inaczej, zaproponowali nam teraz znacznie wyższą cenę minimalną niż ustalone początkowo osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Kusząca obietnica pieniędzy działa silnie nawet na ludzi z domu aukcyjnego i najwyraźniej podziałał na nich fakt, że ekspert z Christie's nie miał wątpliwości co do autorstwa obrazu (o czym Roger nie omieszkiał ich poinformować).

- Jeśli nic nie będzie się działo z Roxy, pójdę z tobą - powiedziałam.

Nie mieliśmy żadnych wiadomości od Roxy, ale Chester przez telefon z hotelu powiedział nam, że położono ją do łóżka ze słabymi skurczami i kiedy wychodzili o trzeciej, jeszcze nie zaczęła naprawdę rodzić. Słychać było, że jest wyrwany ze snu i trochę zły.

- Nie idziesz na aukcję? - spytałam.

- Nie wiem. Zobaczę, czego sobie życzy Margeeve. Przypuszczalnie będzie chciała zostać z Roxy.

- Pójdę więc z Rogerem - powiedziałam.

- Nie musimy tam być - odparł. - Co nie znaczy, że specjalnie na to liczyliśmy.

Ale ja koniecznie musiałam to zobaczyć. Ogarnęło mnie jakieś zabobonne poczucie, że powinnam być wszędzie, żeby wszystko kontrolować, bo wszystko wymyka się spod kontroli albo może się wymknąć, jeśli nie będę miała tego na oku i czegoś nie zauważę; musiałam być wszędzie jednocześnie.

Ledwie wcisnęliśmy się do sali, w której miano sprzedawać obrazy. W atmosferze rzeczowych transakcji i poszukiwania okazji, w aurze pokerowej rozgrywki domu aukcyjnego ludzkie odruchy, jak się wydaje, odgrywały znacznie mniejszą rolę. Rzeczy panowały niepodzielnie, rządziły pieniądze, szalała rywalizacja, szybowały emocje. Sterty przedmiotów przywożono i wywożono na wózkach, doczający się ludzie zżywieniem dyskutowali po francusku i blokowali wejścia do różnych salonów, oglądali pierścienie zamknięte w szklanych kasetkach i sponiewierane klawesyny.

Wyglądało na to, że nasza aukcja należała do szczególnie atrakcyjnych i zgromadziła bardziej znaczący, bardziej wyelegantowany dum niż licytacje jakichś szpargałów ze strychu odbywające się w *salle* po drugiej stronie korytarza, **choć** i tam walczono niemniej zawzięcie. Przepychając się do środka, zorientowałam się, że widzę w dumie liczne znajome twarze, których początkowo nie zauważyłam. Dostrzegłam Stuarta Barbeego i Amesa Everetta, którzy rozmawiali z jakimś postawnym siwowłosym mężczyzną w dobrze skrojonym garniturze, a także - pewna niespodzianka - **Antoine'a** i Charlotte wraz z prawnikiem Charles'a-Henriego, maitre Doisneau. Widziałam maitre Bertrama. A także monsieur Desmonda, człowieka, który oglądał *Świętą Urszulę* na prośbę Luwru, oraz grupę mężczyzn w muszkach i tweedowych marynarkach, którzy mogli być (z tego co wiedziałam) z Santa Barbara. Zapewne z Muzeum Getty'ego. Zjawiał się nawet - przez chwilę zastanawiałam się, skąd znam tego dość młodego łysiejącego człowieka z długimi rzęsami - monsieur le directeur du cabinet, którego poznałam w operze, podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury! Tak, to już naprawdę mnie zdumiało, jak powiedziałyby pani Pace. Miał na sobie ciemny, dwurzędowy garnitur i z ożywieniem rozmawiał z dwoma innymi mężczyznami w ciemnych garniturach, którzy postawili swoje teczki na podłodze; patrząc na nich, pomyślałam o filmach sensacyjnych, w których szpiedzy zamieniają aktówki. Monsieur Desmond podszedł do nich.

Pomachałam nad czyimś ramieniem do Antoine'a de Persanda i Charlotte.

- Nie miałam pojęcia, że przyjdiesz.

Antoine zmarszczył brew jakby lekko zaskoczony, że widzi mnie w tym miejscu, i przez długą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Sądzę, że teraz to mój obowiązek zadbać o właściwe załatwienie *affaires* Roxeanne i dopilnować interesu mojej bratanicy i świeżo narodzonego dziecka - rzekł z pewną rezygnacją, wzruszając ramionami. - Choć oczywiście niełatwo powiedzieć, na czym w tym wypadku polega właściwe załatwienie sprawy. - Przepchnął się trochę w moją stronę.

- Poród już się zaczął! - zawołam. - Może już się urodziło!

- Tak, twoja matka dzwoniła, Suzanne pojechała do *clinique*.
Może dziecko trochę ulży jej sercu.

- Przyszedł także maitre Bertram, prawnik Roxy - zauważyłam.

- Tak, rozmawiałem z nim. Mówi, że mają sprzedawać także jakiegoś ważnego Poussina. - Pewnie dlatego zjawił się sekretarz stanu z Ministerstwa Kultury, dopilnować losu dziedzictwa Francji.

Z tyłu za rzędami krzeseł, na których siedzieli uprzywilejowani uczestnicy aukcji, tłoczył się dum widzów. Jestem wysoka, ale stamtąd, gdzie staliśmy, prawie nie widziałam podium. Roger jest jeszcze wyższy i miał trochę lepsze miejsce, ale i tak żadne z nas nie zdołało uchwycić tego, co się dzieje. Człowiek prowadzący aukcję wskazywał zza swojego pulpitu na stojący za nim obraz na sztalugach. Jego wyjaśnienia w szybkiej francuszczyźnie budziły szmer podniecenia albo milczenie, po czym uczestnicy licytacji wymieniali niedosłyszalne dla nas sumy we frankach, najpierw kilku z nich, w końcu tylko dwóch, i zaraz było po wszystkim wraz z ostrym uderzeniem młotka i szmerem komentarzy na widowni. W ten sposób odprawiono kilka obrazów szybko wnoszonych i wynoszonych przed naszymi oczami: Watteau, jakiegoś *inconnu*, Lapautre'a, Bouguereau, Rosę Bonheur.

Z każdą kolejną sprzedażą czułam, jak udziela mi się - a pewnie Rogerowi również - rosnące napięcie, budząc w nas niespokojne pragnienie, żeby już było po wszystkim. Jak wiele razy w przeszłości ogarnęło mnie poczucie, że jestem jedynie bezsilnym widzem zaplątanym przypadkowo w jakieś wydarzenie. Czy to możliwe, że *Święta Urszula* wniesiona do sali spotka swój los i zniknie w ten sam pospieszny sposób jak inne płótna akurat w chwili, gdy Roxy, nic o tym nie wiedząc, leży, jęcząc z bólu w jakiejś klinice? Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie zdradziecki charakter naszej zgody na to, by jednak wystawić obraz na sprzedaż.

Kiedy do sali wniesiono wielką scenę mitologiczną - myśliwi w togach ścigający jelenia - którą ustawiono z szacunkiem na sztaludze, na widowni zaległa cisza. Najwyraźniej ważne osobistości zebrały się tutaj nie, jak sądziłam, z powodu naszej *Świętej Urszuli*, ale z powodu tego Poussina. Prowadzący licytację przez chwilę charakteryzował obraz rzeczowym, poważnym tonem:

- Grupa towarzyszy Diany - proszę zwrócić uwagę na kolorystykę...

- Czy słyszę sześć milionów na początek? - spytał.

Jakiś mężczyzna siedzący dwa rzędy przede mną zrobił niewielki gest, co mogłam dostrzec ze swojego miejsca, ale nie widziałam innych uczestników licytacji ubiegających się o ten obraz, którzy podnosili wciąż cenę aż do wysokości czterdziestu milionów franków. Gdy osiągnięto tę cenę, po długiej, niemal morderczej pauzie, która obwieściła koniec rywalizacji i przegraną pozostałych, a uderzenie młotka zamknęło licytację, mężczyźni, którzy wnieśli obraz, wywieźli Poussina z sali równie bezceremonialnie jak obraz jakiegoś *inconnu*. Prowadzący pozwolił sobie na westchnie, chwilę przerwy, pauzę. Ames Everett, który właśnie mnie dostrzegł, mrugnął do mnie okiem. Sekretarz stanu skinął głową z uśmiechem, zastanawiając się, byłam tego pewna, gdzie już mnie widział.

Inne obrazy i wreszcie nasza *Święta Urszula*. Serce zabiło mi mocniej na widok jej rozbawienia przemieszanego z lekką odrazą. Próbowałam zerknąć na twarz Rogera, ale nie mogłam jej dostrzec. I tak wyczuwałam jego podniecenie. Staliśmy, drżąc, w tłumie. „La Tour”, usłyszałam głos prowadzącego aukcję, nie *ecole* i nie *eleve*, choć mogłoby tak powiedzieć, jego słowa dźwięczały mi w uszach.

- Czy słyszę dwieście tysięcy? - powiedział.

Wydawało się, że nie minęło czterdzieści sekund i *Święta Urszula* została sprzedana za dziesięć milionów franków; przy czym walka toczyła się zasadniczo między dwoma uczestnikami licytacji. Jednym z nich był mężczyzna stojący obok Amesa i Stuarta, drugim mężczyzna w tweedowej sportowej marynarce i muszce, Amerykanin, byłam tego pewna. Nie miałam pojęcia, który z nich kupił nasz obraz. Przez chwilę nawet ja miałam problem z przeliczeniem tej ilości franków na dolary. Serce mi waliło. Prawie dwa miliony dolarów!

Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że w dodatku nie będziemy musieli dzielić się tymi pieniędzmi z Persandami. Ciekawe, czy Antoine zdawał sobie z tego sprawę. Widziałam, jak z nieruchomą twarzą, wstrząśnięty mamrotał coś do Frederica. Liczyłam dalej. Powiedzmy, że podzielimy to na cztery - ja, Roxy, Roger i Ju-

dith - ostatecznie, jeśli nie od razu, wypadaloby dla mnie dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Och, Chester na pewno założy za mnie z góry na zakup wazy - oczywiście nie wazy pani Pace. Pomyślałam o wszystkich innych rzeczach, które mogłabym zrobić z ćwiercią miliona dolarów. Zastanawiałam się, czy dzięki tym pieniądzom Roxy mogłaby poczuć się trochę mniej nieszczęśliwa. Ale raczej mogłaby się poczuć gorzej, osiągając w pewnym sensie finansowe korzyści ze śmierci ukochanego męża. Próbowałam wyjść z sali, żeby spokojnie odetchnąć w holu, ale tkwiłam w zbyt gęstym ścisku. Na sprzedaż czekało jeszcze dziesięć kolejnych obrazów, dopiero wtedy było po wszystkim.

- Isabel! - zawołał Stuart Barbee, podchodząc do mnie, gdy dum zaczął się przeredzać. Próbował się uśmiechać, ale widać było, że dręczy go jakieś przygnębienie, które widziałam już wcześniej, gdy rozmawiał z Amesem. - Isabel, jestem taki szczęśliwy z powodu Roxeanne. Przyda jej się odrobina szczęścia, biedna dziewczyna...

- Co się dzieje, Stuart? - spytałam.

- Conrad został aresztowany - wyszeptał. Conrad, jego przyjaciel, angielski fryzjer.

- Za co?

- Za włamanie.

Od razu zrozumiałam, jak to działało. Stuart dał Conradowi fotografię i wskazówki. Nieświadomie? Conrad przekazał fotografie zaprzyjaźnionemu handlarzowi, który pokazywał je klientom. Potem Conrad szedł pod wskazany adres i kradł przedmioty, które znalazły potencjalnych nabywców. Zastanawiałam się, czy tylko Conrad „odwiedził” Suzanne, kiedy powiedzieliśmy Stuartowi o jej pięknych rzeczach?

Pomyślałam, czy nie wydobyc od Stuarta przynajmniej wazy pani Pace. Mogłabym powiedzieć: oddaj ją albo wszystko powiem. Opowiem, jak zrobiłam zdjęcie, jak ci je dałam, a potem spowodowałam kradzież, obiecując handlarzowi, że ją kupię. Oddaj ją albo będziesz w to zamieszany. Jednak pomyślałam, że chyba nie powinienem znać mojej roli w tej całej sprawie; w końcu i tak odzyskamy wazę dzięki policji. Ale na czym polegała rola Stuarta? A związek

z aktami pani Pace? Nadal wydawało mi się to dość zabawne, żeby CIA kierowała gangiem złodziei porcelany.

- Stał właśnie przed domem w Chartres, kiedy pojawili się *flics* i go złapali - opowiadał Stuart.

- *Bonjour, mademoiselle* - w szmerze rozmów rozległ się głos sekretarza stanu w Ministerstwie Kultury. - Panna Walker, prawda? A więc interesuje się pani osobiście artystycznymi skarbami Francji?

Chyba nie wierzę w Boga, a przynajmniej nie tak bardzo jak Roxy, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że za tą skromną rekompensatą stała jakaś zyczliwa kosmiczna siła. Wiceminister mówił do mnie! I to nie wszystko. Cieszyłam się, że byłam dobrze ubrana i nawet miałam ze sobą Kelly.

- Musiałam zobaczyć los mojego małego La Toura - powiedziałam, jak się wydawało, z niezmiernym dostojeństwem.

- Doprawdy! Pani La Tour? Przyszedłem, ponieważ interesowało mnie, co się stanie z wielkim Poussinem. A jeśli chodzi o La Toura, mieliśmy nadzieję... Mówi pani, że należał do niej? - Gładki, ujmujący uśmiech dyplomaty skrywający niepokój.

- Należał do mojej rodziny - zdawałam sobie sprawę z ironicznego spojrzenia Stuarta. A co, czy tak nie było?

- Doprawdy! To niezwykle. Wie pani, kto jest nowym właścicielem?

- Nie, jeszcze nie. Czy poznał pan mojego brata i bratową?

Rozpromieniony Roger, z Jane u jego boku, przedarł się właśnie w moją stronę. Oboje wymienili *bonjours* z sekretarzem stanu (monsieur LeLay).

- Zastanawiam się, jak wygląda kwestia wywozu. Oczywiście to jest dobro narodowe. Chyba w Luwrze doszło do chwilowej nieuwagi. Musimy się temu przyjrzeć. Luwr jeszcze raz się tym zajmie - mówił dalej monsieur le directeur etc. - Ciekawe, że nie zajęły się tym wcześniej. Dopilnuję tego.

Poczułam pewien niepokój. Czy to możliwe, że jeszcze raz wrócą do sprawy zgody na wywóz?

- A może... Mam nadzieję, że nie jest pani zbyt zajęta, mademoiselle? Czy nie zechciałaby pani umówić się ze mną na lunch, po-

nieważ bardzo chętnie, ze względu na moją rolę w ministerstwie, poznałbym historię tego ślicznego francuskiego obrazu, w jaki sposób znalazł się w pani rodzinie itd. Dzisiaj, a może w najbliższych dniach, co pani na to?

Ukradkiem przyglądałam mu się. Wyglądało na to, że mówi do mnie nie tyle jako dyplomata, ile jako mężczyzna. Oczywiście zgodziłam się, choć nie na dziś. Wyjaśniłam mu, że moja siostra właśnie spodziewa się dziecka.

- Proszę dać mi pani *numero de telephone, mademoiselle* - powiedział, wyciągając swój elegancki mały *camet* od Hermesa.

Tego popołudnia urodził się mały Charles-Luc ważący trzy i pół kilo - telefon zadzwonił w chwili, gdy razem z Rogerem i Jane weszliśmy do mieszkania Roxy. Łatwy poród, matka i dziecko czują się dobrze. Wyruszyliśmy do kliniki zobaczyć niemowlę i przekazać Roxy najnowszą wiadomość.

W poniedziałek na pogrzebie, w zimny, posepny dzień, Roxy wyglądała pięknie w czarnym kostiumie, którego nigdy wcześniej u niej nie widziałam, i sądząc po tym, jak pasował do jej nieco tęższej figury, musiał być nowy. Na rękach trzymała małego Charles'a-Luca owiniętego w pelerynkę i koronki, jak gdyby to były bardziej chrzciny niż pogrzeb. W pewnym momencie przekazała go (maleńka, pomarszczona, czerwona istota) Chesterowi, który spojrzał na niego z dumą, i zajęła się Gennie wiercąca się niespokojnie w swoim małym, niebieskim płaszczyku obszytym futerkiem, lekko przerażoną obecnością tak wielu krewnych i żałobników zebranych w chłodny, zimowy poranek wśród imponujących skrzydlatych grobowców Cimetiere du Montparnasse.

Oczywiście Magda nie mogła przyjść na *obseques*, słyszeliśmy, że była jeszcze w szpitalu. Mimo to rozglądałam się, szukając tajemniczniej osoby w czarnej woalce kryjącej się gdzieś na obrzeżach za krzewami wierzb. Kiedy myślę teraz o tej scenie, przypomina mi się pogrzeb Johna F. Kennedy'ego, który widziałam gdzieś w telewizji. Myślę, że Roxy także sobie o nim przypominała, choć żadnej z nas

nie było wtedy na świecie, ponieważ najwyraźniej zapożyczała pozę pełnej godności wdowy opłakującej męża z tamtego występu Jackie. Ukłękła przy grobie. Z tyłu za nią, w pewnej odległości od Persandów, stał maitre Bertram. Obok stała madame Cosset, Antoine i Trudi, Yvonne, Charlotte i Bob, Frederic, choć nie było jego żony, oraz Suzanne, także na czarno i - najbardziej byłam go ciekawa - monsieur de Persand, wysoki, szczupły mężczyzna z białym wąsem i niepokojną, gniewną twarzą, kiedy spoglądał na nas i nasze nieoponowane łkania rodem z Nowego Świata. Jakże poprawnie prezentowali się w swoich żałobnych strojach. Jakże poprawnie zachowywali się przez cały ten czas.

Charles-Henri zginął z ręki Amerykanina. Widziałam, że ani na chwilę o tym nie zapominają. A jego amerykańska żona nie potrafiła temu zapobiec, nie umiała go zatrzymać przy sobie. Członkowie dziecięcego narodu - wiedziałam, co o nas myślą - kolebki zabójców i złodziei dzieł sztuki. (A także złodziei porcelany, mogliby powiedzieć, gdyby o tym wiedzieli). O ileż byłoby lepiej, z pewnością myśleli, gdyby markiz de Lafayette nigdy tam nie pojechał.

Jakże pięknie wyglądała Roxy, która była teraz ich na zawsze, wdowa po ich synu, matka ich wnuków - a wdowa to we Francji postać ciesząca się powszechnym szacunkiem, symbol wierności i cierpliwej żałoby. Stała w pewnej odległości od Persandów i od naszych rodziców, samotna w swoim bólu, jeśli nie liczyć troskliwej obecności maitre Bertrama.

- „*Je suis la tenebreuse, la veuve, l'inconsolée* - szepnęła, klękając przy grobie i parafrazując (powiedziała mi później) kilka wersów Nerval'a. - *Pleurez! Enfants, vous n'avez plus de pere*”.

Maitre Bertram pomógł jej się podnieść z kolan lekkim opiekuńczym uchwycem w okolicy łokcia. Wyraz bólu widoczny na jej twarzy krył w sobie wewnętrzny spokój, niewzruszoną pewność. Przypuszczalnie miała teraz wszystko, czego pragnęła. Uświadomiłam sobie, właśnie w tym momencie, że Roxy jest osobą, która zawsze będzie miała to, czego pragnie.

- Och, Iz - szepnęła Margeeve, kiedy grudy ziemi zaczęły spadać na trumnę - teraz Roxy może wrócić do domu.

Może wróci, a może nie.

Nie musiała się nad tym zastanawiać. Miała wszystko, czego pragnie. *E Americaine*. Mogła mieć wszystko. Sama sobie poradziła. Urodziła dziecko i przetrwała, i bez wątpienia będzie sobie radzić dalej. Może wybierać wśród kontynentów, języków, religii i ról.

Nie chciałabym tu mówić o sobie, ale pomyślałam, jak doskonała jest Roxy, prawdziwa lilia wśród pól, i jak potrafiła osiągnąć to, czego pragnęła. Pomyślałam o Marii i Marcie. W czasach, kiedy chodziłyśmy do szkółki niedzielnej (musieliśmy, gdy byliśmy w waszym wieku, wyjaśniali nam Chester i Margeeve, kiedy pytałyśmy, czemu oni nie idą), opowieść o Marii i Marcie była jedną z wielu opowieści biblijnych, z których wyciągałam morał zgoła przeciwny do tego, jakiego się po mnie spodziewano, i stawałam po niewłaściwej stronie, tak jak w powieściach Henry'ego Jamesa, które przeczytałam za namową pani Pace. Wiem, że należało być Marią, ale to Roxy była Marią.

ROZDZIAŁ 41

Trzeba być zawsze obutym i, ile tylko w naszej mocy, gotowym do drogi.

Montaigne

Zamknięci w swoim smutku i żalu, odgradzeni od świata przez konwencję żałoby i skupieni na narodzinach dziecka, bardzo powoli zaczęliśmy sobie uświadamiać, za pośrednictwem Rogera i jego kontaktów wśród prawników, że położenie Tellmana aresztowanego przez francuską policję wzbudziło oburzenie i współczucie amerykańskiej społeczności w Paryżu. Te doniesienia potwierdziła pani Pace i z jej tonu wnosiłam, że po części podziela powszechny pogląd, że francuski wymiar sprawiedliwości traktuje Tellmana, niewątpliwie osobę zaburzoną, surowiej, niż traktowałby oszalałego francuskiego kochanka - powiedzmy, gwałtownego Korsykana, mieszkańca Afryki Północnej lub Afrykanina, czyli osobników, których napady morderczego szału można uważać za rzecz pewną i reagować na nie jeśli nie ze zrozumieniem, to przynajmniej z odrobiną protekcyjnej łagodności, stosownej wobec mniej cywilizowanych obyczajów krajów ich pochodzenia. Tymczasem bogaty amerykański prawnik budził niesłychaną wrogość i nieprzejednane pragnienie zemsty.

Wzburzenie amerykańskiej społeczności w sprawie Tellmana podsycali głównie jego koledzy prawnicy, wyliczając długą listę upokorzeń, jakie ten biedny facet musiał znieść ze strony swojej niewiernej czeskiej żony i jej beczelnego francuskiego kochanka - upokorzeń większych, niż człowiek może znieść, nie mówiąc już o tak kruchej osobie, jak Doug toczący mężną walkę z problemami,

jakich przysparzało mu nadużywanie pewnych substancji, i z jakimi potrafił sobie jakoś radzić, aż do tej katastrofy.

Słyszeliśmy o planowanym spotkaniu zainteresowanych Amerykanów w sprawie ewentualnego protestu w obronie Tellmana: listy do gazet, delegacje do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, może interwencja u ambasadora. Kiedy poszłam jak zwykle pomagać Randolphom w przygotowaniu bankietu, nie spodziewałam się, że zostanę tam wstępne zgromadzenie zatroskanych Amerykanów - tych samych ludzi z EuroDisney, których widziałam podczas poprzedniego koktajl party, kilkunastu prawników, Stuarta Barbeego, Amesa Everetta, Davida Crowella, wielebnego Dragona, panią Pace, a nawet amerykańskiego ambasadora Leo Burleigha, którego wcześniej widziałam tylko z daleka. To właśnie ze względu na nich Peg Randolph poprosiła mnie, żebym kupiła trochę przyjęciowego jedzenia w *traiteur*.

Weszłam skromnie jak pokojówka, niosąc różowe pudełka, i przemknęłam w stronę kuchni.

- Nie możemy tracić z oczu faktu, że jest to *American citizen* - mówił Cleve Randolph. - Przede wszystkim uważają go za winnego, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności, co jest całkowicie nieamerykańskim sposobem myślenia. „Winny, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności” - to jest właśnie nieznośne w Kodeksie Napoleona.

Kiedy mnie dostrzegli, w pokoju zrobiło się cicho jak w bibliotece. Widziałam zwrócone ku sobie twarze, niemal słyszałam, jak trzeszczą im kostki w palcach. Peg Randolph podeszła do mnie z wyrazem twarzy stosownym do rozmowy z osobą w żałobie, a za taką mnie tutaj zapewne uważali, szwagierkę ofiary, a do tego swego rodzaju bohaterkę, a przynajmniej uczestniczkę dramatu, jaki rozegrał się w wieży zamku Śpiącej Królowy.

- Ten człowiek potrzebuje opieki psychiatrycznej - powiedziała.

- Wiem - powiedziałam, przesuwając się bliżej drzwi od kuchni, dzięki czemu mogłam zająć się nakładaniem kawałków *pa&te* z wędzonego łososia na półmisek i czarnych oliwek do jej miseczek Limoges.

- Zbrodnia w afekcie - mówili.

- Co byś zrobił, gdyby ktoś młócił twoją żonę - powiedział ktoś.
- W grę wchodzi jeszcze inna zasada: Czy obcy rząd może robić z amerykańskim obywatelem wszystko, co mu się żywnie podoba?

- Obawiam się, że może - wtrącił się amerykański ambasador, na próżno starając się ich uspokoić. - Pomyślcie o **Chłopaku**, który został stracony w Singapurze. Prezydent prosił o łaskę, ale i to nie pomogło.

- To jedynie pokazuje, z jaką wzdargą traktują naszego prezydenta - oświadczył Cleve Randołph. - Sami widzicie dlaczego.

- Obywatele amerykańscy muszą podporządkować się prawom kraju, w którym się znajdują - powtórzył ambasador. - Problem polega na tym, że mamy do czynienia z osobnikiem zaburzonym psychicznie, który potrzebuje pomocy psychiatrycznej. Nie był w pełni odpowiedzialny za tę bez wątpienia straszliwą zbrodnię.

- Przyjaciół Stuarda, Conrad, także został aresztowany - szepnęła Peg, wchodząc do kuchni.

- Podstawowe prawa człowieka - usłyszałam głos Ames Everetta.

Słyszałam wiele innych głosów, wszyscy wiele mówili podniesionym tonem z wyrazem oburzenia na twarzach. Pomyślałam o swojej rozmowie z Edgarem na temat podstawowych praw człowieka („Ludzie, którzy dzisiaj wierzą w prawa człowieka, to ci sami ludzie, którzy dwadzieścia lat temu - a nawet jeszcze dawniej - wierzyli w robotników. Potem robotnicy przesunęli się na prawo, kiedy dostali trochę więcej pieniędzy, i trzeba było ująć sprawę szerzej”). Oczywiście nigdy nie spotkałam robotnika.

Przypomniałam sobie zamieszanie w Town Crier. Zauważyłam teraz, że obecni mieli przypinane papierowe samoprzylepne plakietki ze swoim nazwiskiem, najwyraźniej rozdawane przez ludzi Euro-Disney, na plakietkach widać było podobiznę Myszki Miki.

Znowu zapadła kłopotliwa cisza, gdy weszłam do salonu - siostra wdowy po ofierze itp. - niosąc brie *ipdte* z wędzonego łososia. Wyobrażali sobie, że oczywiście pragnęłam jego śmierci. Oczywiście nie chciałam, żeby wyszedł na wolność; ale prawdę mówiąc, uważałam, że mieli rację, Tellman był osobą zaburzoną psychicznie. Jako dziecko swoich rodziców z Kalifornii w Ameryce widziałam, że mieli ra-

cję, mówiąc, że potrzebuje pomocy. Czy to była dobroć, czy zobowiązanie? Zastanawiałam się, co czuje Roxy.

Podobały mi się nijakie, życzliwe twarze moich rodaków, przystojnych jak piloci albo mężczyźni z reklam biżuterii. Akcent miejsca, w którym człowiek się urodził, żyje nie tylko w jego mowie, ale także w jego sercu i umyśle, powiedział La Rochefoucauld.

Wydaje się, że wszyscy próbujemy uwolnić się od Ameryki, ale coś ciągnie nas z powrotem. Czy uda mi się uniknąć tego magnetyzmu, tego prądu głębinowego? Sądziłam, że tak, w każdym razie wtedy, ale nie byłam pewna co do Roxy.

Pomyślałam, że żadne z nas nigdy nie jadłoby *pdte* z wędzonego łososia, gdybyśmy zostali w Santa Barbara. Sama zdążyłam już jeść nie tylko łososia, ale także ślimaki, flaczki i mózdzek oraz pobrzechki i sercówki, ostrygi i salsefię, i cienkie naleśniki, i malutkie ptaszki wrzucane w całości do garnków z *foie gras*, które je się z głową i ze wszystkim. Co dostaje do jedzenia Tellman w swojej celi? Co mają do jedzenia ludzie w Sarajewie?

Tak czy inaczej, nie mogłam dłużej przysłuchiwać się tej dyskusji, ponieważ obiecałam odebrać nowe paczki tampaksów i szminek подарowanych przez Francuzki dla kobiet w Sarajewie, po czym miałam spotkać się z Chesterem i Margeeve i z pozostałymi na kolacji. Jutro wyjeżdżali. Edgar od niedzieli był w Zagrzebiu. Miałam nadzieję, że serce nie będzie bolało mnie do końca świata. Ale nie jestem pewna.

Ci wszyscy Amerykanie przeflancowani do Francji chyba też jedli te biedne, małe ptaszki - nazywają je *greues? Grebes? Merles?* Co na to obrońcy praw zwierząt? Obrońcy praw zwierząt krytycznie odnoszą się do *foie gras*. Potępiają sposób, w jaki zmusza się gęś do połykania ziarna, napychanie jej na siłę przez lejek wsadzony w przełyk, co rozdyma jej wątrobę. A co ja myślę na temat *foie gras*? Czy Amerykanie nadal są Amerykanami, kiedy zostają przesadzeni do innego kraju, czy też stają się kimś innym, jak, powiedzmy, porucznik Calley albo ja, jeśli już o to chodzi, osoba nieniąjąca kraju, która zamierza jechać do Zagrzebia, zamierza zjeść lunch z sekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury, zamierza wypić mnóstwo pomarańczowej herbatki, zamierza naprawdę przyłożyć się do nauki francuskiego?